

„Ta przygoda jest tak ekscytująca, że przerzucałem kolejne strony z prędkością warp!
Książka po prostu niesamowita – inteligentna, płynąca prosto z serca i wciągająca”

Robert J. Sawyer, autor *Hominidów*, zdobywca Nagrody Hugo

REMIGIUSZ MRÓZ



ECHO
Z OTCHŁANI



ECHO
Z OTCHŁANI

REMIGIUSZ
MRÓZ

ECHO
Z OTCHŁANI



Copyright © Remigiusz Mróz, 2020

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2020

Redaktor prowadzący: Adrian Tomczyk

Redakcja: Karolina Borowiec

Korekta: Magdalena Owczarzak, Anna Królak

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Projekt typograficzny, skład i łamanie: Stanisław Tuchołka / panbook.pl

Fotografia na okładce: Sergey Nivens / Shutterstock

Fotografia autora: Mikołaj Starzyński

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN: 978-83-66517-65-3

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl

*Tym razem dedykację zamieściłem na samym końcu.
A więc tutaj życzę tylko dobrej lektury.*

ROZDZIAŁ 1

1

Håkon Lindberg wprowadził odpowiedni kod do konsoli sterowania diapauzą, po czym cofnął się o krok. Kapsuła kriogeniczna rozświetliła się zimnym blaskiem, a postać leżąca w środku poruszyła się niespokojnie.

Skandynaw nie wiedział, czy nie popełnia właśnie największego błędu w życiu. Teraz jednak było już za późno, by mógł rozważyć wszystkie implikacje swoich działań.

Przesłona komory odsunęła się ze świstem, a chwilę później Dija Udin złapał za jej brzegi. Ręce mu się zatrzęsły, ale zdołał się podciągnąć. Zamrugął kilkakrotnie, wodząc mętным wzrokiem wokół.

– To ty, sukinsynu? – zapytał, mrużąc oczy.

– Wstawaj.

– A sądzisz, że co właśnie próbuję zrobić? – odparł Alhassan i stęknął, gramoląc się na zewnątrz. – Gdzie ja jestem?

– W pomieszczeniu kriogenicznym.

– Miałem na myśli szerszą perspektywę.

– Na finiszu swojej drogi życiowej – odparł Lindberg.

Dija Udin odkasznął i splunął na podłogę.

– Musiałem długo spać, skoro zdążyłeś wyrobić sobie namiastkę poczucia humoru – odparł, rozglądając się wokół. – Dotarliśmy na Ziemię?

– Tak.

– I? Jest tu kto?

Alhassan zrobił krok ku niemu, a Håkon natychmiast dobył berettę z kabury. Nie wycelował broni w dawnego przyjaciela, ale trzymał ją w gotowości. Dija Udin spojrział z powątpiewaniem na rękę opuszczoną wzdłuż tułowia, a potem na konchę przytroczoną do pasa.

– Uważaj z tym – powiedział.

– Masz na myśli gnata czy *la'derach*?

– Maskę. Gnatem nie potrafisz się posługiwać, co nieraz udowodniłeś na Accipiterze.

– Wtedy strzelałem do widm, teraz będę celować do wroga. Większa motywacja.

Dija Udin przewrócił oczami.

– Widzę, że prawda o mnie złamała ci serce.

– Goń się, Alhassan.

– Ty też – odburknął nawigator, po czym zawiesił wzrok na jednym z pulpitów i ściągnął brwi. Zbliżył się do niego, aktywował wyświetlacz, a potem obrócił się do Lindberga. – Co to ma być?

– Ziemia.

– Nie wygląda.

Håkon wzruszył ramionami. Nie miał zamiaru rozprawiać o tym, co mogło się tutaj zdarzyć. Przez setki lat, które minęły od rozpoczęcia misji Ara Maxima, możliwości były nieskończone.

– Widywałem gówienka, które wyglądały lepiej – ciągnął Dija Udin. – Przecież tu nic nie ma. Przeżył ktoś?

Lindberg nie odpowiedział. Nadal nie był do końca pewien, co powinien zrobić.

– Jesteśmy na orbicie geosynchronicznej?

Gdy Alhassan po raz kolejny nie doczekał się odpowiedzi, obejrzał się przez ramię.

– Rozważasz użycie mnie?

– Poniekąd.

Dija Udin odwrócił się i rozłożył szeroko ręce.

– Strzelaj.

– Gdybym miał to zrobić, w ogóle nie wyszedłbyś z kriokomory.

– Więc o co chodzi?

– Musimy stąd zniknąć.

– Że co?

Håkon nabrał głęboko tchu, powtarzając sobie, że podjął decyzję. Być może uczynił to już dawno, gdy tylko wpadł na pomysł, jak Alhassan mógłby odkupić swoje winy.

– Kiedy spałeś, Jaccard zorganizował ci sąd polowy – odezwał się Skandynaw, chowając broń. – Channary Sang była oskarżycielem, ja cię broniłem.

– To niezbyt sprawiedliwe.

Lindberg skinął na niego i ruszył do drzwi.

– Zaocznie zapadł wyrok śmierci – dodał.

– Oczywiście. Przecież bronił mnie adwokat imbecyl.

Skandynaw nawet na niego nie spojrzał.

– Miałeś nigdy nie wybudzić się z kriosnu – rzucił.

– Nie najgorsza śmierć, zważywszy na to, jak wkurzoną grupę ludzi stanowicie.

– Emocje nie były najważniejsze przy podejmowaniu decyzji – odparł Håkon, wychylając się za próg. Po chwili dał znak towarzyszowi, że na zewnątrz jest czysto. – Twoja śmierć miała mieć charakter prewencyjny.

– Cudnie.

– Jaccard obawiał się, że ściągniesz tutaj swoich.

– Całkiem słusznie, nie sądzisz?

– Nie – odparł Lindberg. – Nie wezwiesz nikogo, bo nie będziesz miał sposobności.

– Oberżniesz mi dłonie, to wybiorę numer kinolem. Nie łudź się, że będzie inaczej.

Håkon wiedział, że rozmówca przesadza tylko nieznacznie. Gdyby pojawiła się możliwość, Dija Udin ochno by z niej skorzystał, a za sto czy dwieście lat na orbicie okołozemskiej

pojawiłaby się cała armada okrętów – o ile w tej linii czasu przetrwały *proelium*. Skandynaw nie miał jednak zamiaru dopuścić Alhassana do systemów komunikacyjnych. Jeszcze nie teraz.

– Dokąd idziemy?

– Do wahadłowca.

– Świetnie. Wybierz jakiś ładny, bo będzie to twój grób.

Lindberg zignorował zaczepkę, zatrzymując się przed zakrętem. Wyjrzał zza rogu i stwierdziwszy, że korytarz jest pusty, poszedł dalej.

– Myślisz, że pajacuję?

– Ty zawsze pajacujesz, Dija Udin.

– Może, ale tym razem jestem szczerzy niż katolik na spowiedzi – odparł poważnym tonem. – Zarżnę cię jak knura przy pierwszej okazji. Ciebie i całą twoją rasę.

Håkon zatrzymał się i obrócił do niego.

– Pomagam ci zbiec. Mógłbyś to docenić i przestać pieprzyć.

– Wszystko, co mówię, to święta prawda.

– Nikogo dotychczas nie zabiłeś i nie...

– Posłałem dowódcę Accipitera do wieczności. Konał długo, dostarczając mi wielu miłych chwil. A dodatkowo przyłożyłem rękę do zagłady gatunku ludzkiego. Potrzebujesz czegoś jeszcze, by...

– Zamkniesz się? – uciał Lindberg, po czym ruszył we wcześniejszym kierunku.

Oczywiście Dija Udin mówił prawdę – być może nawet w kwestii tego, że dybie na jego życie. Pomiął jednak to, że to Prastarzy zaimplementowali mu do głowy odpowiedni program, właściwie pozbawiając go wolnej woli.

– Zduśniałeś kompletnie – zauważył Alhassan, gdy dotarli pod włącz hangaru. Astrochemik wprowadził odpowiedni kod, przejście się otworzyło, a oni ruszyli ku najbliższemu promowi. Żadna z tych jednostek nie była wyposażona

w ansibl, więc Håkon nie musiał obawiać się, że kompan przekuje swoje słowa w czyny.

Zajęli miejsca w kokpicie, po czym Lindberg wyświetlił przed sobą interfejs zdalnej kontroli środowiska w hangarze.

– Dlaczego to robisz, sukinsynu?

– Bo uważam, że coś więcej jest na rzeczy. I ty pomożesz mi w ustaleniu, czy tak jest naprawdę.

– Coś więcej?

– Pamiętasz, co się stało, gdy Kennedy po raz pierwszy otrzymał sygnał z Accipitera?

– Nie.

– To była krótka wiadomość o treści *Rah'ma'dul*.

– Może i tak. Trochę czasu minęło.

– Za to powinieneś doskonale pamiętać, co stało się potem.

Alhassan skrzywił się, drapiąc się po głowie.

– Kennedy natychmiast został wysłany nam na spotkanie – ciągnął dalej Lindberg. – Ellyse mówiła, że wszystko załatwiono w okamgnieniu. Zebrano piętnaścioro ochotników, dano im deklaracje do podpisu, a następnie wyprawiono w drogę. Dlaczego?

– Bo chcieli nas ratować.

– Byliśmy pogrążeni w kriostazie przez następne pół wieku, Dija Udin. Nie robiło nam różnicy, czy Ziemia dołoży do tego miesiąc, rok, czy nawet dziesięć lat. Tymczasem oni spieszyli się, jakby się paliło. I wszystko dlatego, że dostali tę wiadomość.

– Skąd te bzdury płyną? Złapałeś salmonellę mózgowia?

Skandynaw obrócił się do niego z kamiennym wyrazem twarzy.

– Koncha powoli odkrywa przede mną prawdę – powiedział.

Alhassan skwitował jego słowa, gwizdząc pod nosem.

– Teraz już wiem, dlaczego mi pomagasz – dodał. – Sfiksowałeś do reszty. Nadajesz się do eutanazji, naukowcu,

bo czas na leczenie już dawno minął. Teraz można jedynie ulżyć tobie i osobom w twoim otoczeniu.

Håkon milczał, włączając procedurę dekompresji. Gdy zewnętrzna gródź się otworzyła, pomieszczenie wypełniło się alarmującym czerwonym światłem. Skandynaw wiedział, że nie ma wiele czasu, nim pozostali zorientują się, co robi.

Czym prędzej wyprowadził wahadłowiec w otwartą przestrzeń, a potem obrał kurs na Ziemię.

2

Ellyse otworzyła oczy i przeciągnęła się ospale. Machinalnie przesunęła rękę na drugą stronę łóżka, a gdy nie odnalazła Lindberga, spojrzała ku łazience.

– Håkon?

Podniosła się powoli, zastanawiając, dokąd mógł pójść. Sprawdziła godzinę – piąta dwadzieścia cztery czasu pokładowego. Od tygodnia mało sypiał, ale zazwyczaj zastawała go rankiem na łóżku, pochylonego nad datapadem. I nie dziwiła się, że cierpi na bezsenność – ten tydzień był zmorą, mimo że trafili w końcu do domu.

Nie udało im się nawiązać kontaktu radiowego z żadnym skupiskiem ocalałych na powierzchni, a Loïc Jaccard postanowił, że nie wylądają, dopóki nie będzie miał pewności, że są bezpieczni. Przez kilkaset lat wiele mogło się zmienić, argumentował. I Nozomi musiała przyznać mu rację.

Wisielei więc na orbicie geostacjonarnej, tak blisko domu, a jednocześnie tak daleko. Wszystkim trudno było oswoić się z tą myślą, ale Håkon z jakiejś przyczyny znosił to najgorzej. Ellyse przypuszczała, że mogło to mieć coś wspólnego z konchą. Zakładał ją coraz częściej, a gdy tego nie robił, sprawiał wrażenie narkomana na głodzie.

Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała z nim o tym porozmawiać. Weszła pod prysznic, starając się ułożyć w głowie hipotetyczną konwersację. Krople zimnej wody spływały po jej ciele, a Ellyse trwała w zamyśleniu.

W końcu urwała rozważania i wyszła z kabiny. Narzuciwszy na siebie biały mundur z czerwonymi patkami, udała się do mesy. O tej porze powinna być jeszcze pusta, ale przy stoliku pod iluminatorem siedział Jaccard.

Obejrzał się i posłał jej cierpki uśmiech.

– Dzień dobry, panie majorze – powiedziała.

– Już dzień?

Skinęła głową, podchodząc do szafki z mieszankami witaminowymi. Wyciągnęła jedną, po czym nałożyła sobie trochę galaretowatej papki. Zanim dotarli na orbitę, byli przekonani, że wreszcie z nią skończą. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że na Ziemi nie ma już ani flory, ani fauny. Wyjałowione pustkowia nie mogły skrywać żadnego pożywienia – i patrząc na nie, trudno było się spodziewać, że ktokolwiek przeżył.

A mimo to z powierzchni docierały do nich sygnały.

Najpierw był SOS z wyspy Tristan da Cunha, jednego z najbardziej odludnych miejsc na kuli ziemskiej. Potem zgłoszono się z Falklandów, Wysp Kokosowych, Kiribati i Pitcairn. Początkowo załoganci sądzili, że tylko niewielkie, odosobnione skupiska przetrwały pożogę, która strawiła całą planetę. Potem odebrali jednak wołanie o pomoc z wybrzeża Morza Czarnego.

Jak się okazało, wszystkie sygnały były tylko zautomatyzowanymi SOS. Nikt nie odpowiadał na wezwania Kennedy'ego.

– Jak Håkon? – odezwał się nagle Loïc, wpatrując się w planetę widoczną przez iluminator.

– W porządku. Dlaczego pan pyta?

– Nie rób ze mnie durnia – odbąknął Jaccard. – Widzę przecież, że od kilku dni wygląda, jakby miał umierać.

– Jest zmęczony.

Major oderwał wzrok od Ziemi i przeniósł go na Ellyse.

– Nie wydaje mi się – powiedział. – A jako dowódca muszę trzymać rękę na pulsie. Zamierzam podłączyć go do sprzętu w ambulatorium.

– Myślę, że nie będzie z tym żadnego...

Nozomi nagle urwała, gdyż rozległ się dźwięk alarmowy z komputera pokładowego. Najbliższy pulpit w ścianie natychmiast rozbłysnął, wyczuwając obecność oficera dowodzącego. Łoïc aktywował wyświetlacz i zdębiał.

– Co on wyprawia? – rzucił.

Ellyse zerwała się na równe nogi, ponieważ orientując się, że nie ma co pędzić na mostek. Został doszczętnie zniszczony w wymianie ognia z Diamentowymi, zresztą wciąż zalegały na nim ich ciała.

Łoïc wbił wzrok w jej oczy.

– Co on robi, do cholery? – powtórzył. – Zatrzymaj go!

Nozomi patrzyła na oddalający się prom, obawiając się najgorszego. Jeszcze zanim pogrążyli się w diapauzie, Håkon wspomniał o możliwości zrehabilitowania Dija Udina. Być może właśnie wcielał plan w życie.

Klnąc pod nosem, Jaccard uruchomił procedurę budzenia załogi, a potem popędził do maszynowni. Ellyse ruszyła w ślad za nim, ledwo dotrzymując mu kroku. Zatrzymali się dopiero w windzie.

– Mów, póki jeszcze możesz – syknął dowódca, nawet na nią nie patrząc.

– Nie mam pojęcia, co się dzieje, panie majorze.

– Wiedziałaś, że coś z nim nie w porządku!

– Tak, ale...

– Mów wszystko, co wiesz.

– Zaczął częściej nosić konchę i, owszem, wyglądał na bardziej zmęczonego, ale...

– Zabrał go – wszedł jej w słowo Loïc. – Zabrał tego zdrajcę.

Uderzył pięścią w ścianę windy, a potem zacisnął usta, aż zbielały.

– Dorwę go, Ellyse. Ich obydwu.

Radiooperatorka nie odzywała się, czekając, aż winda dotrze na niższy pokład. Gdy tylko drzwi się rozsunęły, Jaccard wybiegł na korytarz i puścił się pędem do maszynowni. Nie było tu jeszcze zbudzonych: Gideona i Sang, ale komputery pracowały. Dowódca zatrzymał się przed jednym z nich, a potem aktywował system obronny okrętu.

– Panie majorze...

– Wydałem jasny rozkaz: nie ruszać się ze statku!

Ellyse nie sądziła, by posunął się do strącenia wahadłowca. Wprawdzie trudy sytuacji zbierały żniwo w każdym z nich, ale Loïc nie należał do ludzi, którzy działali pochopnie. Dał upust emocjom i zapewne na tym się skończy. Nozomi stanęła obok, przyglądając się ekranom.

– Co on robi? – zapytał Jaccard. – Co zamierza?

– Jest przekonany, że koncha może pomóc Alhassanowi.

Dowódca wyglądał, jakby miał zamiar ją także ukarać za samowolkę Skandynawa. Zamknął oczy, najwyraźniej wreszcie uświadamiając sobie, że nerwy działają na jego niekorzyść. Zrobił kilka głębokich wdechów i wydechów.

– Jak? – spytał. – Jak koncha miałaby mu pomóc?

– Kiedy ostatnim razem o tym wspominał, zamierzał ją przeprogramować.

– Tak, tyle pamiętam – powiedział Loïc, nadal wpatrując się w kontrolki systemu obronnego. – Przebąkiwał coś o odkupieniu win. Ale nic nie wspomniał o sposobie.

Gideon Hallford wpadł do maszynowni, po czym zdezorientowany rozejrzał się wokół i podbiegł do dwójki załogantów. Szybko przekonał się, w czym tkwi problem.

– Håkon? – zapytał, z trudem łapiąc oddech.

Nozomi skinęła głową, patrząc na jego poharatane oblicze. Efekty noszenia konchy przedstawiały się na nim znacznie gorzej niż na Lindbergu. Główny mechanik spodziewał się, że na Ziemi znajdą technologię, która pozwoli mu wrócić do normalnego wyglądu, ale teraz musiał pogodzić się z tym, że został oszpecony już na zawsze.

– Możesz go zatrzymać? – zapytał dowódca, gdy kocmołuch zasiadał przed głównym panelem kontrolnym.

– Nie. Jest już za daleko.

– Może zdalnie?

– Zablokował połączenie.

– Wywołaj go – burknął Loïc, po czym się wyprostował. Hallford natychmiast nawiązał kontakt z promem. – Lindberg, masz ostatnią szansę, by wrócić na pokład. Nie mam zamiaru do ciebie strzelać, bo kierując się na planetę, sam prowadzasz na siebie śmierć. Prędeż czy później zmienisz zdanie, ale będzie po wszystkim. Za moment zamykam włącznik i nie otworzę go, choćby kończyło ci się powietrze w promie.

Jaccard spojrział na mechanika.

– Brak odpowiedzi – oznajmił Hallford.

– To samobójstwo – dodał dowódca.

Nozomi z trudem przełknęła ślinę, obserwując oddalającą się jednostkę.

– Jest ze mną Ellyse, więc jeśli chcesz, możesz się z nią pożegnać.

Wciąż odpowiadała mu jedynie cisza. Jaccard pokręcił głową, a potem nachylił się nad wyświetlaczem Gideona. Tymczasem do maszynowni dotarła Channary Sang z beretą w gotowości.

– Co się dzieje? – zapytała.

Loïc zignorował ją i zwrócił się do głównego mechanika:

– Dokąd lecą? Masz trajektorię?

Hallford kiwnął głową, wyświetlając na głównym ekranie kurs wahadłowca. Cienka linia prowadziła z hangaru Kennedy'ego na półkulę południową, gdzieś pomiędzy Afrykę a Amerykę Południową.

– Tristan da Cunha – powiedział Gideon, robiąc zbliżenie. Ich oczom ukazała się niewielka wulkaniczna wyspa, niemal w całości górzysta. Jedyńm płaskim terenem było północno-zachodnie wybrzeże. – Stamtąd przyszedł pierwszy SOS.

– Co wiemy o tym miejscu?

– Niewiele – odparł kocmołuch, kręcąc głową. – Gdy Kennedy opuszczał Ziemię, było tam kilkuset mieszkańców. Wszyscy cierpieli na szereg chorób wynikających z ograniczonej puli genetycznej. Zbyt dużo bliskiej krwi się mieszało, co nie jest niczym dziwnym, jeśli wziąć pod uwagę, że było to jedno z najbardziej izolowanych, ale wciąż zamieszkanym miejsc na świecie.

– I zapewne dlatego przetrwało to, co się tu zdarzyło – skwitował Loïc. – Pytanie, co teraz tam jest.

Ellyse pomyślała, że Håkon niebawem się tego dowie, i uznała, że nie ma zamiaru pozostać bierna.

– Musimy za nimi ruszyć – odezwała się.

Channary Sang spiorunowała ją wzrokiem.

– Nimi? – zapytała. – Twój chłoptaş zabrał tego zawszonego kundla?

– Obawiam się, że tak.

Jaccard skinął na Gideona, a ten dla formalności upewnił się, czy ich przypuszczenia były trafne.

– Kriokomora pusta – powiedział. – I podpisuję się pod pomysłem Ellyse, panie majorze. Musimy...

– Jedyne, co musimy, to nie podejmować zbędnego ryzyka – uciał Loïc. – Nie wiemy, co tam się wydarzyło. Nie wiemy, co zastaniemy na powierzchni. Być może znajduje się tam to, co zniszczyło naszą planetę. I nie ma tam ani jednego człowieka.

– A może to tylko automatyczny sygnał SOS i nic ponadto – zauważyła Nozomi.

Przez moment milczeli.

– Trzeba powiadomić pozostałych – odezwała się w końcu Ellyse. – I jeśli nadal respektujemy hierarchię służbową, decyzja należeć będzie do pułkownik Romanienko z ISS Galileo.

– Oczywiście – odparł Jaccard.

3

Przy podejściu do wyspy Håkon bacznie obserwował wskazania sensorów i ostatecznie uznał, że tutejsze wiatry znacznie przerastają jego umiejętności pilotażu. Tristan da Cunha przez lata stanowiła miejsce niezdojone dla środków powietrznego transportu – dostać można było się tu jedynie drogą morską.

– Przejmij stery – powiedział do Dija Udina.

– Dlaczego?

Lindberg spojrział na niego spod byka.

– Bo jesteś nawigatorem. Lepiej sobie poradzisz.

– Nie, dziękuję.

– Co?

– Przeprowadziłeś nas tutaj, to teraz przyziem tego gruchota. Mnie tam na życiu nie zależy, Jaccard i tak mnie w końcu dorwie.

– Bierz ten wolant.

Alhassan mruknął coś pod nosem, ale przejął kontrolę nad promem. Håkon nie sądził, by czymkolwiek ryzykował, oddając mu sterowanie. Nie było żadnego sposobu, by Dija Udin zagroził załodze Kennedy'ego lub innych statków.

Boczny podmuch szarpnął wahadłowcem, a Alhassan puścił wiązanek przekleństw. Podziałała na astrochemika krzepiąco.

Gdyby towarzysz zaczął się modlić, jak niegdyś przed Terminalem, poczułby się zaniepokojony.

– Posadzisz nas?

– Tylko jeśli wybierzesz inne miejsce. Ta wyspa to pieprzony wulkan.

– Nie, musimy wylądować tutaj.

– Skrawek ziemi jak każdy inny.

– Niezupełnie.

Sam nie wiedział, skąd płynie przekonanie, że właśnie tutaj powinni się znaleźć. Z pewnością koncha miała z tym coś wspólnego – tyle że jej nosiciel nie miał pojęcia co. Kolejne podmuchy sponiewierały statek, a załogantami rzuciło na boki. Szybko przekonali się, że to jedynie początek. Im bliżej górzystej wyspy się znajdowali, tym bardziej nimi targało.

By utrzymać prędkość i trajektorię podejścia, Alhassan zaczął szarpać się z wolantem. Håkon obserwował to z rosnącym niepokojem.

– To... jest... kurwa... daremne... – poinformował go Dija Udin, w przerwach zapierając się z całej siły.

– Uda się – odparł Skandynaw, łapiąc się bocznego panelu.

– Nie masz... pojęcia, o czym... mówisz.

– Widzę, że zbliżamy się do ziemi. Jest do...

Promem rzuciło na bok, a Alhassan nie zdążył w porę skontrolować. Odchyliło ich od poziomu na tyle, że gdyby znajdowali się tuż nad powierzchnią, z pewnością by w nią zaryli.

– Widzisz? – zapytał nawigator. – Jeden taki podmuch i będzie po nas.

Dopiero teraz Håkon zreflektował się, że szalejące tu wiatry nie mogą mieć wiele wspólnego z wichrami wiejącymi niegdyś nad Tristan da Cunha. Klimat planety musiał się zmienić, a prądy powietrzne się nasiliły, sprawiając, że miejsce to stało się jeszcze bardziej niedostępne.

Lindberg przestał o tym myśleć, gdy rozległ się komunikat ostrzegawczy o zderzeniu z ziemią. Komputer pokładowy beznamiętnym głosem oznajmiał, że ta znajduje się tuż pod nimi.

– *Podciągnij maszynę. W górę, w górę.*

Poniewierany Håkon obrócił się do pilota.

– Słyszysz to?

– *Podciągnij maszynę.*

– Słyszę aż za dobrze.

– *W górę, w górę.*

– Nie rozbijesz nas?

– Trudno powiedzieć.

Wahadłowiec niemal otarł się o urwisko, a potem przechylił na bok. Lindberg widział już ziemię – odległość była zdecydowanie za mała.

– *Wyrównaj, wyrównaj.*

– Masz za duży odchył!

Dija Udin zaklął pod nosem, siłując się z wolantem. Skandynawowi przeszło przez myśl, że nie wygląda to najlepiej. Zaraz potem przestał snuć takie rozważania, bo gdy minęły zbocze góry, zerwała się jeszcze większa wichura.

– *Førvind...*

– Co?! – Alhassan starał się przekrzyczeć huk.

– Wiatr fenowy...

– Nie słyszę cię, sukinsynu! – ryknął Dija Udin, odpalając boczne silniki manewrowe, by prom poradził sobie z kolejnym podmuchem. Håkon nie wiedział nawet, czy odbili w dobrą stronę. Cały statek się trząsał, a on skupiał się jedynie na tym, by nie uderzyć głową w któryś z paneli. Zaparł się w fotelu i z trudem przepchnął ślinę przez wyschnięte gardło.

Sygnaly alarmowe wyły w najlepsze, a beznamiętny głos nadal oznajmiał, że pilot powinien jak najprędzej podciągnąć maszynę. Lindberg pomyślał, że brzmi to jak odczytywanie epitafium.

Potem statkiem rzuciło mocno w górę. Skandynaw uderzył o sufit i poczuł wilgoć na czubku głowy. Jego zmysły ledwo zarejestrowały rozchodzący się stamtąd ból, a kolejne szarpnięcia wyrwało go z fotela. Przetoczył się po podłodze, która nagle stała się pochyła.

Ostatnim, co pamiętał, było uderzenie w podstawę siedziska.

4

Nie najlepsze lądowanie, skwitował w duchu Dija Udin. Z trudem opuścił kadłub, uważając, by nie zranić się powyrywającymi elementami poszycia. Wyszedłszy na zewnątrz, uznał, że już nigdzie nie polecą. Zniszczenia przekraczały możliwości naprawy.

– Żyjesz? – zapytał.

Nie otrzymał odpowiedzi. Rozejrzał się wokół, orientując się, że mógł trafić gorzej. Wbili się w hałdę ciemnego piachu, tymczasem już kawałek dalej znajdowały się postrzępione skały.

– Pytałem o coś, sukinsynu – dodał, nadal lustrując wzrokiem okolicę. Spodziewał się, że jeśli przetrwała tu jakaś grupa ludzi, mieszkańcy natychmiast popędzą do wraku. Wyspa była niewielka i niemal w całości zajęta przez wulkan – cały płaski teren w północno-zachodniej części można było przemierzyć truchtem.

Stwierdziwszy, że w pobliżu nikogo nie ma, Alhassan wrócił do roztrzaskanego wahadłowca. Podciągnął się na poszyciu i zajrzał do środka.

– Jeśli wyzionąłeś ducha, a ja tego nie widziałem, będę niepokieszony.

– Żyję... – odparł słabo Håkon.

– To wychodź. Pogoda piękna jak na Rah'ma'dul.

– Albo na Quae'hes.

– Gdzie?

– Tej planecie z pulsarem. Nie pamiętasz?

– Od tamtych przeskoków w czasie wszystko mi się zaczęło merdać. Wychodzisz?

Lindberg z trudem opuścił statek, w ostatnim etapie korzystając z wyciągniętej ręki Dija Udina. Ten dostrzegł, że towarzysz ma liczne urazy – wszystkie jednak zdawały się powierzchowne.

– Masz ryło zalane krwią – poinformował go. – Usiądź.

Posadził Lindberga przy promie, a potem jeszcze raz skontrolował okolicę. Do tej pory z pewnością ktoś powinien się tu zjawić.

– Daleko stąd jest to miasto? – zapytał Alhassan.

– To dość durne pytanie, nawet jak na ciebie, skoro nie wiem, gdzie się rozbiliśmy.

– W hałdzie piachu.

– Aha.

Håkon dotknął rękawem rozciętego łuku brwiowego, krzywiąc się. Ubranie natychmiast zabarwiło się na czerwono.

– Jedyne miasto, Edynburg Siedmiu Mórz, znajduje się na północy. Jeśli posadziłeś nas na równym terenie, to może dzielić nas od niego maksymalnie kilka kilometrów.

Lindberg przymknął oko, gdy strużka krwi spłynęła mu z czoła.

– Głębokie mam rozcięcia? – zapytał.

– Nie wiem.

– Sprawdź.

– Nie chcę patrzeć na twoją facjatę. Teraz wygląda gorzej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Uratowałem ci tyłek, Alhassan, mógłbyś...

– Dobra, już dobra – uciał nawigator, po czym obejrzał obrażenia kompana. – Wezmę ze statku apteczkę – dodał, podnosząc się. – I dlaczego w ogóle mi pomogłeś?

– Bo wierzę, że możesz okazać się przydatny. Przecież ci mówiłem.

Dija Udin wszedł do kadłuba i zaczął przewracać pojemniki z racjami żywnościowymi.

– Równie dobrze sam mógłbyś sprawdzić, skąd ten pośpiech w wysłaniu Kennedy’ego. Alhassan zda się psu na budę.

– Jesteś przedstawicielem prastarej rasy – zaproponował Håkon słabym głosem.

– Tylko jednym z wielu klonów. W ogólnym rozrachunku jestem wart tyle, co Murzyn na polu bawełny w dziewiętnastowiecznej Wirginii.

– To porównanie nie od parady? – zainteresował się Skandynaw.

– Co?

– Mówiłeś mi kiedyś, że przebywałeś na Ziemi od dziewiętnastego wieku.

– Fakt, mówiłem – potwierdził Dija Udin, znajdując w końcu to, czego szukał. – Pamiętam też doskonale, w jakich okolicznościach. Torturowałeś mnie, sukinsynu.

– Który to był dokładnie rok, kiedy się tu zjawiałeś?

– Tysiąc osiemset czterdziesty pierwszy. Piękne czasy. Dwie Kanady połączyły się w jedno państwo, a Harrison został prezydentem USA. Biedny stary skurczybyk, kojfnął już w trzydziestym którymś dniu kadencji.

– Dija Udin...

– Thomas Cook zaczynał swoją działalność – ciągnął dalej rozrzewniony Alhassan. – Zorganizował pierwszą wycieczkę turystyczną na trasie z Leicester do Loughborough. Niestety cel był całkowicie haniebny. Pierwsi turyści chcieli dostać się na zlot abstynentów. Wyobrażasz sobie?

– Dija Udin...

– Czego? – zapytał, podciągając się na kawałku metalu.

Ledwo spojrzał na zewnątrz, a nie musiał już czekać na odpowiedź. Przed Håkonem stało kilkanaścioro ludzi, którzy

przywodzili na myśl raczej mieszkańców jednej z planet dostępnych przez Terminal niż mieszkańców Ziemi. Dolną część ich twarzy zakrywały czarne, masywne maski, które w miejscu ust miały niewielką kratkę. Białka oczu mieli pokryte siatką czerwonych naczynek, a tęczówki i źrenice jakby wyblakłe. Kształt głowy także był nienaturalny niczym zduszony imadłem z obu stron.

Alhassan ostrożnie przełożył nogę przez kawałek poszycia, a potem opuścił się na piasek. Widział, że przybysze trzymają w dłoniach niewielkie urządzenia przypominające niegdyś piloty. Nie ulegało wątpliwości, że to broń – na razie niewycelowana w nikogo.

– Co to ma być? – zapytał Dija Udin.

– Gospodarze, najwyraźniej.

– Nie wyglądają mi na twoich pobratymców.

– Bo przez kilkaset lat nie dostali nowej krwi – odparł astrochemik, gdy Alhassan przykucnął obok i podał mu apteczkę. – Jeszcze zanim rozpoczęła się Ara Maxima, ograniczona pula genetyczna tej wyspy doprowadziła do masowego występowania astmy i jaskry.

– W takim razie problem się pogłębił. Teraz mają jajowate łby.

– Jak faraonowie.

– Co?

– Egipskie rodziny królewskie nie mieszały krwi z ludźmi o niższym statusie społecznym, przez co zawierano małżeństwa wyłącznie z krewnymi. Zaowocowało to jajowatym kształtem głowy, który możesz zaobserwować na niektórych dziełach sztuki z Osiemnastej Dynastii.

– Żartujesz sobie?

– Nie.

– Mam na myśli to, że papłasz w najlepsze, a ci ludzie mają broń.

– Widzę, że mają – odparł Håkon, otwierając apteczkę. Wyjął z niej laserowy skaner i przesunął nim po miejscach, które ucierpiały najbardziej. Mieszkańcy Tristan da Cunha przyglądali się temu z obojętnością, podczas gdy Alhassan baczenie lustrował ich wzrokiem.

Nadal nie odzywali się słowem. Stali w bezruchu, jakby było im wszystko jedno, kim są nieproszeni goście.

– Pomóż mi wstać – powiedział Lindberg, gdy skończył diagnozę.

Alhassan niechętnie posłużył mu ramieniem, po czym ustawili się naprzeciw gospodarzy.

– Halo? – zapytał Dija Udin, patrząc w wyblakłe oczy jednego z nich. Od razu zrozumiał, że nie usłyszy żadnej odpowiedzi. Håkon również musiał zdawać sobie z tego sprawę – a mimo to podjął próbę nawiązania kontaktu. Przedstawił ich i oznajmił, że nie mają wrogich zamiarów.

Tubylcy nadal milczeli, nie poruszając się.

– Dziwna banda – ocenił Alhassan. – Trudno powiedzieć, o co im chodzi.

Skandynaw odepchnął go, a następnie uniósł otwarte dłonie. Gdy zaczął się do nich zbliżać, Dija Udin przygotował się na najgorsze.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – powiedział.

– Nie widzę innego wyjścia – odparł Håkon. – Musimy nawiązać kontakt.

– Może lepiej stacjonarnie.

– Martwisz się o swojego wybawcę, Alhassan?

– Niezbyt. Po prostu logicznie rozumiuję, że lepiej byłoby, gdybyśmy obaj przeżyli.

Naukowiec zatrzymał się o krok od mieszkańców wyspy. Ci zdawali się wreszcie dostrzec przybyszy. Spojrzeli na nich zamglonym wzrokiem, jednak nadal się nie odezwali. Dija Udin zarejestrował, że jeden z nich uniósł nieznacznie broń. Pożałował, że służbowe beretty zostały gdzieś we wraku.

– Nazywam się Håkon Lindberg – powtórzył Skandynaw. – Byłem astrochemikiem na pokładzie ISS Accipitera, statku wchodzącego w skład misji Ara Maxima. Z pewnością o niej słyszeliście.

Stojący naprzeciw Håkona tubylec dał krok w tył. Zaraz później to samo zrobiła reszta, z wyjątkiem jednego. Najwyraźniej był to przywódca, bo gdy ruszył w przód, mijani mieszkańcy skłonili się lekko. Załoganci Kennedy’ego zrobili to samo.

– Czego tu szukacie? – zapytał chrapliwym, zniekształconym głosem. Posługiwał się *lingua universalis*, choć z dawną brytyjską manierą.

– Dobrze pytanie – odparł Dija Udin.

Tubylec nawet na niego nie spojrział. Wbijał beznamiętny wzrok w oczy Lindberga. Ten najwyraźniej poczuł się skołowany, bo nie był w stanie dobyć głosu.

– Nasz prom się rozbił – wyręczył go Alhassan, machnąwszy ręką w kierunku gruchota. – Co można też było ustalić drogą dedukcji.

– Czego od nas chcecie?

– Niczego – odparł Dija Udin.

– Przysłali was z Amalgamatu?

– Z czego?

– Nie wystarczy wam, że wyzyskujecie nas do cna? – zapytał mężczyzna, obracając się i wskazując rozległe pastwiska za sobą. Alhassan potrzebował chwili, by dostrzec owce i inne zwierzęta stadne.

– Nie rozumiem – odparł.

– Czego jeszcze chcecie?

– Od was? Niczego. Chyba że umiecie składać do kupy rozbite wahadłowce.

Gospodarz nie wyglądał na przekonanego, choć miał przed sobą namacalny dowód na to, że w istocie ma do czynienia z rozbitkami.

– Nie mamy z czego żywić dzieci – dodał mężczyzna. – Z każdym kolejnym pokoleniem nasze problemy stają się coraz większe... a wy nigdy nie przysłaliście nawet swojego wysłannika. Wciąż bezzałogowe łodzie. – Człowiek z maską urwał, po czym spojrzął na zniszczony prom. – Tym razem coś poszło nie tak, prawda? Tylko dlatego tu jesteście.

– Najwyraźniej – bąknął Alhassan.

– Nie mamy nic wspólnego z ludźmi, o których pan mówi – dodał Håkon.

– Bzdura! – krzyknął przywódca, a reszta tubylców nagle się ożywiła. Jak jeden mąż unieśli broń i wycelowali w nieproszonych gości.

Lindberg nadal trwał z uniesionymi dłońmi – teraz dołączył do niego Alhassan.

– Ożeż kurwa – ocenił. – Nie wygląda to dobrze.

– Bądź cicho, pozwól mi to jakoś...

– Wyzyskiwacze! – krzyknął mężczyzna, przerywając Håkonowi. – Jesteście zakałą nowego świata, nikczemnikami, którzy spluwają na nasze dziedzictwo! Stanowimy jedną rasę, jeden gatunek!

Kilka osób zbliżyło się do swojego lidera.

– Podłe kreatury! Macie instrumenty, by nas uratować!

– Chyba czas wracać do wahadłowca – zauważył szeptem Dija Udin. Wzrok zebranych nie był już obojętny. Teraz spoglądali na nich z czystą nienawiścią. Alhassan pomyślał, że przed momentem traktowali ich jako zagrożenie, szybko jednak przekonali się, że mają do czynienia z przypadkowymi rozbitkami, a nie z inwazją.

– Jak śmiecie wykrwawiać tę społeczność! – ryczał mężczyzna, rozkładając bezradnie ręce. – Giniemy! Giniemy na waszych oczach, a wy nie kiwniecie nawet palcem!

Dija Udin stwierdził, że temperatura tej rozmowy podniosła się stanowczo za bardzo. Niewiele dzieliło ich od punktu wrzenia.

- Spokojnie – powiedział Lindberg, cofając się. – My tylko...
- Zdrajcy ludzkości! – krzyknął ktoś z tyłu.
- Zabić! Nakarmić nimi świnie!

Z kakofonii okrzyków trudno było wyłowić poszczególne słowa. Tłum gęstniał, wciąż napierając na dwóch załogantów Kennedy'ego. Wycofywali się do promu, aż w końcu dotarli pod sam kadłub. Przyłgnąwszy do niego plecami, spojrzeli po sobie.

Podniósł się dziki ryk, a potem jeden z napastników wysforował się przed resztę. Dija Udin zdążył obejrzeć się na niego akurat w porę, by zobaczyć, jak niebieska wiązka z jego broni mknie w ich kierunku. Machinalnie zamknął oczy, zginając się wpool, a potem padł na ziemię.

- Nie! – krzyknął przywódca.

Alhassan dopiero po chwili uświadomił sobie, że wszystkie wrzaski nagle ucichły. Kuląc się na ziemi, starał się stwierdzić, czy odniósł jakieś obrażenia. Gdy uznał, że jest cały, otworzył oczy i spojrzał po agresorach. Mężczyzna na przedzie sprawiał wrażenie zawiedzionego, pozostali wyglądali na zażenowanych.

Dija Udin uświadomił sobie, że chciano ich nastraszyć, ale nie atakować.

- Zbieranina zawszonych łachudrów – powiedział pod nosem, podnosząc się. – Czymkolwiek jest ten Amalgamat, najwyraźniej słusznie was...

Urwał, gdy zobaczył leżącego na ziemi Håkona. Był zwrócony twarzą do niego. W otwartych oczach przyjaciela Alhassan dostrzegł pustkę. Przerażliwą, pozbawioną oznak życia pustkę.

- Co...

Padł przy Lindbergu, mimowolnie szukając miejsca, gdzie trafiła go wiązka. Zobaczył dziurę w klatce piersiowej. Wylewała się z niej krew, a głowa Skandynawa opadła bezwładnie na bok.

- Jak... – wydukał Alhassan. – Jak to...

Kątem oka dostrzegł, że przywódca tubylców zbliża się do niego. Dija Udin zignorował go i położył palec na tętnicy szyjnej przyjaciela. Nie wyczuł pulsu.

– Skurwysyny! – krzyknął, oglądając się na mężczyznę.

Potem owładnęło go szaleństwo.

5

Ellyse stała obok Jaccarda, gdy ten składał raport Wieronice Romanienko, oficer dowodzącej ISS Galileo. Była najstarsza stopniem w całej flocie, co niespecjalnie cieszyło Loïca – zdążył już przywyknąć, że do niego należy ostatnie słowo.

Kobieta patrzyła prosto w obiektyw, przez co dwoje załogantów na Kennedym miało wrażenie, że łypie im prosto w oczy. Romanienko miała krótkie rude włosy i tak wydatne kości policzkowe, jakby miały się przebić przez skórę. Nozomi oceniła, że ma na karku dobrą pięćdziesiątkę.

– Chcesz mi powiedzieć, że z pokładu uciekł człowiek, który wprowadził wirusa do naszych okrętów? Człowiek, który odpowiada za klęskę misji Ara Maxima i niezliczoną ilość ofiar?

– Pani pułkownik...

– Nie przerywaj.

Kategoryczność jej głosu sprawiła, że Loïc spuścił wzrok.

– Ostatnim razem, gdy mi raportowałeś, zapadł wyrok śmierci – dodała, po czym zawiesiła głos.

– Tak jest. Przeprowadziłem proces zgodnie z rozkazem.

– W takim razie nie rozumiem, dlaczego nie wykonano wyroku.

– Mieliśmy to zrobić dzisiaj w południe czasu pokładowego.

– Dlaczego nie od razu?

Jaccard nie miał dobrej odpowiedzi na to pytanie. Ellyse chciała przyjść mu w sukurs, ale prawda była taka, że po

prostu im się nie spieszyło. Ktoś zaproponował, by odłączyć komorę później, w końcu dla skazańca nie miało to żadnego znaczenia. Teraz Nozomi uświadomiła sobie, że podsunął to Lindberg. Musiał już wtedy planować uwolnienie Alhassana, nie była to spontaniczna decyzja.

Jak tylko Håkon wróci, Ellyse zamierzała urządzić mu piekło na ziemi.

– Zadałam ci pytanie, majorze.

– Na które nie potrafię odpowiedzieć. Zaplanowaliśmy egzekucję na jutro, nie było powodu, by robić to od razu.

Wieronika głośno westchnęła, spoglądając w bok. Potem wróciła wzrokiem do obiektywu.

– Nie roztrząsajmy tego – powiedziała. – I tak nie mogę cię ukarać za twoją niekompetencję, prawda?

– Pani pułkownik...

– Nie zdegraduję cię przecież. Jesteś jednym z niewielu oficerów Międzynarodowej Floty, którzy przetrwali. Kogo jeszcze mamy? Tego wariata z Wolszczana?

Hans-Dieter Gerling. Ellyse widziała go tylko raz, gdy Kennedy nawiązał z nim połączenie tuż po przybyciu jednostki ISS Wolszczan na orbitę. Kapitan Gerling był ostatnim ocalałym na jego pokładzie – i bynajmniej nie zniósł dobrze lat spędzonych w samotności.

– Pani pułkownik, zapewniam, że...

– Wiem – ucięła rudowłosa Rosjanka. – Zrobisz wszystko, co w twojej mocy, żeby dopaść skazańca i wymierzyć mu sprawiedliwość. Czy tak?

– Znajdę go.

– I wykonasz wyrok.

– Oczywiście – odparł Jaccard głosem na pozór beznamiętnym. Nozomi jednak dosłyszała w nim nutę niezadowolenia. I niespecjalnie ją to dziwiło. Nie dość, że prawie cała spuścizna ludzkości przepadła w odmętach historii, to jeszcze ocaleni rozpoczęli odbudowę od

barbarzyńskich działań. Tym w jej przekonaniu był zaoczny wyrok śmierci, bez prawa do drugiej instancji czy profesjonalnej obrony. Håkon robił, co mógł, ale wiedział o Międzynarodowym Kodeksie Karno-Wojskowym tyle, co Dija Udin o recytowaniu poezji.

– Czy mam zatem rozumieć, że schodzimy na powierzchnię?
– zapytał Loïc.

– Tylko jeśli będzie to konieczne – odparła natychmiast Romanienko. – Wiecie, gdzie wylądował ten astrochemik?

„Ten astrochemik”, powtórzyła w myśli Ellyse. Nie tak dawno temu Wieronika zapewniała, że na Ziemi będą nazywać szkoły na ich cześć, tymczasem teraz sama nie pamiętała nawet, jak nazywa się jeden z nich.

– Tak jest – odparł major. – Tristan da Cunha.

– Macie wgląd w to, co tam się dzieje?

– Nie. Nadal pozostajemy na orbicie geosynchronicznej.

– Więc zabierz ten statek nad wyspę.

Jaccard skinął głową, po czym obrócił się do Nozomi. Ta podeszła do głównej konsoli maszynowni, następnie połączyła się z systemem nawigacyjnym. Wprowadziła kurs, a Kennedy natychmiast odpowiedział, zwiększając ciąg silników.

– Macie o pół wieku nowszy sprzęt – odezwała się Wieronika.

– Skąd będziecie mogli coś dojrzeć?

– Wystarczy nam pułap dwudziestu tysięcy kilometrów.

– A więc technologia nie poszła specjalnie naprzód.

– Akurat ta od kilku wieków nie – odparł Loïc pod nosem.

Ellyse ustawiła nową trajektorię lotu, a Kennedy zawisł w przestrzeni kosmicznej nad południową częścią Oceanu Atlantyckiego. Odczyty systemów były standardowe – spadł poziom wysokoenergetycznych cząstek wiatru słonecznego, a promieniowanie kosmiczne zmniejszyło się kosztem większej ilości zjonizowanych cząstek.

– Pokaż mi tę wyspę – powiedział Jaccard.

Nozomi przywołała obraz z głównej kamery. Sprzęt był wysokiej klasy – i znacznie przewyższał ten na statkach Ara Maxima. Przede wszystkim był nowszy, Kennedy był ponadto jednostką eksploracyjną, która musiała zostać wyposażona w najlepszą aparaturę badawczą.

Na ekranie pojawiły się trzy wyspy. Największa z nich wyglądała, jakby niemal w całości tworzył ją wulkan.

– Nie widzę obrazu z Kennedy’ego – odezwała się Romanienko.

– Ellyse – upomniał podwładną Loïc.

Radiooperatorka szybko nawiązała połączenie z komputerem pokładowym ISS Galileo i ustanowiła przekaz na żywo.

– Ta największa to Tristan de Cunha? – zapytała Wieronika.

– Tak jest.

– A dwie pozostałe?

– Inaccessible i Wyspy Nightingale, czterdzieści pięć kilometrów na południowy zachód od Tristan. W naszych czasach niezaludnione.

– Można mniemać, że to się zmieniło.

– Tak jest – odparła Ellyse.

Gdy wykonywali przelot nad powierzchnią Ziemi, nieczęsto trafiali na miejsca, gdzie przetrwała roślinność. Te wyspy zaś kwitły. Na Inaccessible nie sposób było czegokolwiek dojrzeć – całe dziesięć kilometrów kwadratowych pokryte było gęstymi koronami drzew. W przypadku Nightingale było podobnie.

Inaczej zaś sytuacja przedstawiała się na Tristan da Cunha. Ellyse zrobiła zbliżenie, dostrzegając rozległe pastwiska na pokrytych zielenią zboczach wulkanu. Na jednym równinnym skrawku ziemi widniała gęsto zaludniona osada. Czerwone dachy, jeden przy drugim, przesłaniały to, co kryło się pod nimi.

– Jest prom – powiedziała Nozomi.

– Raczej to, co z niego zostało – zauważyła Wieronika. – Rozbili się.

Loïc ściągnął brwi i spojrzał pytająco na Ellyse. Nie miała dla niego odpowiedzi, jeszcze nie teraz. Nie pamiętała, kiedy ostatnim razem rozbił się jakikolwiek wahadłowiec z ISS-ów. Usterki się już nie zdarzały.

Sprawdziła warunki środowiskowe i zupełnie zbladła.

– Szaleje tam wiatr o prędkości trzystu kilometrów na godzinę. To jak przy porządnym tornadzie.

– Nie odnotowaliście takich zjawisk podczas przelotu nad innymi częściami globu?

Nozomi zamilkła, nie wiedząc, jak wyjść obronną ręką z opresji.

– Skupialiśmy się przede wszystkim na poszukiwaniu oznak cywilizacji, nie na analizowaniu prądów powietrznych – wyręczył ją Jaccard. – Najwyraźniej jednak w innych miejscach aż tak nie wiało, system by to odnotował.

– Nieważne. Zrób zbliżenie na ten prom.

Ellyse wykonała rozkaz z duszą na ramieniu. Wahadłowiec złamał się wpół, część poszycia była skrzyta, jakby wykonano je z papieru, a nie grafenu. Obawiała się tego, co jeszcze może zobaczyć.

– Krew – powiedział Loïc, wskazując na czerwony płatek ziemi.

Nozomi machinalnie oddaliła obraz i rozejrzała się po okolicy, szukając Håkona. Nigdzie nie dostrzegła żadnych postaci, więc na powrót zbliżyła poprzedni kadr.

– Nie ma ciał, to dobry znak – odezwała się Wieronika.

– Dobry? Dla pani zapewne...

– Ellyse – upomniał ją Loïc.

Oficer dowodząca Galileo spojrzała na nią z ukosa.

– Nie bądź beczelna – powiedziała. – Zależy mi na każdym załogancie, a tym bardziej na astrochemiku. Mam sześć statków na orbicie, a na nich w sumie dwanaście osób. Nie stać mnie na utratę kogokolwiek.

Nie wspomniała o tym, że wśród jednostek był ISS Challenger, na którego pokładzie znajdował się cały bank zarodków, przyszłość gatunku. Trzydzieści osób nie było załączkiem nowego pokolenia ludzkości, nie mogło być. Co najwyżej strażnikami embrionów.

– Odnajdźcie go – powiedziała. – I jeśli to możliwe, sprowadźcie go z powrotem.

– Tak jest – odparł Jaccard. – A co z Alhassanem?

– Upewnijcie się, że nie żyje.

To rzekłszy, Romanienko rozłączyła się, a dwójka załogantów spojrziała po sobie i zawiesiła wzrok na obrazie z obiektywu. Kogokolwiek raniono, wylał z siebie całe litry krwi. Nie wyglądało to najlepiej.

– Jak pan myśli...

– Nie gdybajmy, Ellyse – uciał szybko Jaccard. – Przeskanuj teren pod kątem sygnatur termicznych.

Nozomi od razu aktywowała odpowiedni program. Obraz pociemniał, a załoganci starali się dostrzec jakikolwiek punkt świetlny. Szybko przekonali się, że to daremne – wyspa sprawiała wrażenie, jakby nie było na niej żadnej żywej istoty, prócz zwierząt hodowlanych na pastwiskach.

– Dachy muszą być wykonane z jakichś metamateriałów – zauważyła Ellyse. – Kamery termowizyjne nic tu nie działają.

– W takim razie nagrywaj, co się tam dzieje. Chcę mieć podgląd dwadzieścia cztery godziny na dobę. – Łoïc zrobił pauzę, patrząc na radiooperatorkę. – I nie znaczy to, że masz ślęczeć nad ekranem przez cały ten czas. Zrozumiano?

– Tak jest.

– Ustaw alert. I jak tylko pojawią się Lindberg lub Alhassan, daj mi znać.

Obróciła się do niego.

– I co wtedy?

– Jednego uratujemy, drugiego pozbedziemy się raz na zawsze – rzucił Jaccard na odchodnym, po czym skierował się

na korytarz. Gdy Ellyse została sama w maszynowni, zrobiła głęboki wdech i wlepiła wzrok w obraz z kamery. Miała nadzieję, że Håkonowi nic nie jest.

6

– Banda skurwiałych kundli! – krzyknął Dija Udin, gdy wtrącili go do niewielkiego pomieszczenia. Wymachiwał rękoma, starając się trafić któregoś z nich, ale unikali jego ciosów nad wyraz zręcznie.

Upadł na ziemię i natychmiast się obrócił. Zanim zamknęli drzwi, zobaczył jeszcze, że niosą dokądś ciało Lindberga. Bezwładnie spoczywało na rękach jednego z mężczyzn. Głowa opadła do tyłu, usta i oczy przyjaciela miał szeroko rozwarte.

Dija Udin rzucił się do drzwi i zaczął tłuc w nie pięściami. Były wykonane ze stopu jakiegoś metalu, podobnie jak ściany. Alhassan szybko uświadomił sobie, że nic nie działo. Mimo to uderzał jeszcze przez kilka chwil, złorzecząc tak, że zdarł sobie gardło.

Potem odwrócił się i oparłszy o drzwi plecami, osunął się na podłogę.

– Będę rozrzucał kawałki waszych ciał po tej zapiżdżonej wyspie! – krzyknął jeszcze, po czym zamilkł. Wiedział, że spotka go taki sam los, jak Skandynawa. Nie miało znaczenia, ile żółci z siebie wyleje ani jak przekonujące groźby sformułuje.

Zamknął oczy, zwieszając głowę. Wyobraźnia podsunęła mu widok pośmiertnego grymasu, który zastygł na twarzy Lindberga. Natychmiast otworzył oczy.

Przez chwilę trwał w bezruchu, uspokajając się.

Potem zerwał się na równe nogi i na powrót zaczął okładać drzwi. Przestał dopiero, gdy na jego knykciach pojawiły się

krwawe ślady. Cofnął się, oddychając ciężko. Usłyszał, że ktoś zbliża się do jego celi.

Drzwi otworzyły się powoli. W progu stał mężczyzna z wycelowaną w Alhassana bronią i ewidentnie nie miał zamiaru się z nim patyczkować. Ledwo więzień ruszył ku niemu, ten pociągnął za spust. Rozległ się dźwięk ładowania, a następnie wiązka niebieskiego światła pomknęła w stronę Dija Udina.

Targnęło nim w tył, a siła uderzenia rozlała się po całym ciele. Padł na ziemię i natychmiast zorientował się, że użyto innego trybu działania broni – nie miał ani zadrapania.

– Co to jest? – zapytał, podnosząc się.

– Impulsator – odparł mężczyzna zniekształconym głosem. – Nie tak zaawansowany jak wasze, ale nadal sprawny.

– Ale...

– Wiem, broń na Tristan da Cunha jest zakazana. Radzimy sobie jednak całkiem nieźle, jak widzisz.

Rozmówca w mig znalazł się tuż przy nim, w ostatniej chwili biorąc zamach nogą. Wymierzył nią Alhassanowi w głowę i gdy ten padł na bok, mężczyzna poprawił jeszcze dwoma kopniakami.

– I obawiam się, że nie doniesiesz nikomu o złamaniu regulaminu. Nigdy nie wrócisz do Amalgamatu, psie.

Kolejny cios spadł na krocze Dija Udina, aż ten zawył.

– Dlaczego... to... kurwa... robisz? – zdołał wydukać, przetaczając się na bok. Czuł się, jakby żołądek podszedł mu do gardła i zablokował drogę dostępu dla tlenu. Wziął chrapliwy wdech i kaszlnął.

– Powinienem zrobić dużo więcej – odparł zamaskowany. – Po tym wszystkim, czego się dopuściliście.

– Dopiero co... przylecieliśmy, imbecyłu.

Następny kopniak sprawił, że Alhassanowi odechciało się butności. Nadal nosił się z zamiarem rozszarpania tych ludzi

na strzepy, ale musiał wyczekać odpowiedniej okazji. Pomści Lindberga, co do tego mogli być pewni.

Na razie jednak zdecydował się przyjąć koncyliacyjny ton. Podsunął się pod ścianę, a potem oparł o nią plecami. Otarł krew z twarzy i podniósł wzrok na rozmówcę. Jego masywna osłona na twarz przywodziła na myśl te, w których niegdyś pracowali górnicy na Księżycu. W koloniach panowała atmosfera, ale głęboko pod ziemią nadal potrzebowali przetworników powietrza. Dija Udinowi przeszło przez myśl, że może tam też ocalały resztki ludzkości.

Powie o tym swoim, gdy tylko uda mu się nawiązać kontakt. Był to imperatyw, któremu podporządkowana była teraz cała jego egzystencja. Sześć statków zbiegło z *proelium*, wykpiwszy zasady gry i oszukawszy Diamentowych. Stało się dokładnie to, do zapobieżenia czemu Alhassan w ogóle pojawił się na tym świecie. To on miał dopilnować, by ludzkość stawiała czoło swoim adwersarzom.

Wszystko jeszcze naprawi. Miał czas, a gdy tylko uda mu się uzyskać dostęp do ansibla, prześle wiadomość. Teraz należało zadbać o własne bezpieczeństwo.

– Jesteśmy członkami misji Ara Maxima – odezwał się, zawiesiwszy wzrok na strażniku.

Mężczyzna nie odpowiadał.

– Nigdy o niej nie słyszałeś?

– Nie.

– Opuściliśmy Ziemię kilkaset lat temu. Mieliśmy zbadać i zasiedlić szereg planet. Mój okręt, Accipiter, został zatrzymany niedaleko Mi Arae w gwiazdozbiornie Ołtarza, kilkanaście parseków od Ziemi. Wszyscy załoganci byli martwi, prócz mnie i mojego przyjaciela, którego, kurwa, zamordowaliście. Nie mieliśmy kontaktu z centrum dowodzenia, byliśmy zdani wyłącznie na siebie.

Alhassan bacznie obserwował reakcję rozmówcy. Wyglądał, jakby dopuszczał możliwość, że usłyszał prawdę.

– Dokąd lecieliście? – zapytał mimo to.

– Na Krauss-deGrasse-7c w konstelacji Oriona, ponad sto dwadzieścia lat świetlnych od nas. Mieliśmy założyć tam kolonię, a statek wysłać z powrotem na Ziemię.

Zamaskowany niemal niezauważalnie kiwnął głową. Dija Udin poczuł, że pojawiła się iskierka nadziei. Zaczerpnął tchu, a potem zaczął pokrótce opisywać wszystko, co spotkało go od momentu wybudzenia się z diapauzy.

Historyjkę miał opracowaną do perfekcji. Wszak sam od początku udawał, że nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Ostatecznie udało mu się zainteresować strażnika na tyle, że ten posłał po innych. Zebrało się konsylium mieszkańców wyspy, na którym deliberowali nad jego słowami. Widział w ich oczach błysk zaufania – i wiedział, że ma ich w kieszeni. Było tylko kwestią czasu, nim go wypuszczą.

Pomógł mu fakt, że jeden ze starszyzny wiedział o misji Ara Maxima. Wprawdzie w Edynburgu Siedmiu Mórz nie było żadnego repozytorium wiedzy, ale informację przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Gdy zaprowadzono Alhassana przed oblicze przywódców tej społeczności, stary człowiek podniósł się ociężale z metalowego siedziska.

– A więc to prawda – wychrypiał.

Trudno było dostrzec ruch jego ust pod czarną kratką. Oczy sprawiały wrażenie, jakby zaszyły bielmem.

– Najwyraźniej – odparł Dija Udin.

– Nie przybyliście z Amalgamatu.

– Nie wiem nawet, co to jest, do cholery.

Mieszkańcy spojrzeli po sobie skonsternowani. Do tej pory Alhassan zdołał wysnuć trochę przypuszczeń na temat tej organizacji. Sprawowała rządy twardą ręką, czemu trudno było się dziwić, wzięwszy pod uwagę, że Ziemia stanowiła jałowe pustkowia. Dija Udin sądził, że świetnie dogadałby się z tamtymi ludźmi.

Gdyby tylko jego misją nie było wytrzebiecie ich.

– Przybywam w pokoju – odezwał się, rozkładając ręce. – Tak jak mój towarzysz, którego z zimną krwią ubiliście.

Żaden z nich nie odpowiedział, spłynęło to po nich. Musieli być na tyle oswojeni ze śmiercią, że nie traktowali jej jako tematu wartego rozmowy.

– Muszę dostać się do swojego okrętu.

– Nie ma takiej możliwości – odparł starzec. – Jesteśmy w tej chwili monitorowani z orbity.

Alhassan rozejrzył się. Na Kennedym najwyraźniej zainteresowano się już wyspą.

– Możecie to stwierdzić?

– Mamy sensory – rzekł członek starszyny i z pomocą młodego chłopaka zasiadł na swoim miejscu. – Widzimy, że skupili na nas swoją uwagę.

– Szukają nas, to powinno być dla was całkowicie zrozumiałe. Tak jak to, że doskonale widzą rozbity prom, więc nie ma sensu mnie tu trzymać. Muszę natychmiast udać się do statku.

– Nie ma takiej możliwości – powtórzył wódz.

Dija Udin powściągnął wzbierający w nim gniew.

– Posłuchaj, starcze – podjął spokojnie. – Wiesz już, że nie mamy nic wspólnego z tym waszym konglomeratem, czy jak go tam zwiecie. Jeśli zależy wam, by nie narobić sobie nowego wroga, radzę wam dopuścić mnie do tej sterty złomu.

– Zniszczenia tego okrętu...

– Tak, tak, przekraczają możliwości naprawy. Nie mam zamiaru już nim latać.

– Więc dlaczego tak ci do niego spieszno?

– Muszę coś znaleźć.

– Co takiego?

Alhassan nie miał zamiaru mówić tym ludziom zbyt wiele o *la'derach*. Zresztą powinna im wystarczyć lakoniczna informacja.

– Coś, co może uratować tego sukinsyna leżącego w waszej kostnicy.

Mieszkańcy spojrzeli po sobie.

– O ile macie tu taką instytucję.

– W jaki sposób zamierzasz go uratować? – odezwał się ten, który wcześniej wystąpił z szeregu przed wahadłowcem. – On nie żyje.

– Już nie takie rzeczy robiłem.

Dija Udinowi odpowiedziało pełne konsternacji milczenie. Z jakiegoś powodu ci ludzie stanowili grupę naprawdę ufnych idiotów – nie dość, że przyjęli niemal bezrefleksyjnie całą jego opowieść o *proelium*, to jeszcze byli gotowi uwierzyć, że istnieje sposób na wskrzeszenie Lindberga. Fakt faktem, nie mijało się to z prawdą – jeśli koncha nie została uszkodzona przy katastrofie, powinna zrobić ze Skandynawem to samo, co niegdyś z Gideonem.

– Muszę tam pójść – oznajmił stanowczo Alhassan.

Tym razem nikt nie zaoponował. Ale też nikt nie otworzył mu drzwi.

– Zależy od tego wasze życie – dodał nawigator. – Jeśli moi ludzie zorientują się, że zamordowaliście jednego z nas, zgniotą was jak robaki.

– Amalgamat na to nie pozwoli – zauważył starzec. – Wyspa jest dla nich zbyt cenna. I potrzebują ludzi, którzy znają się na hodowli zwierząt i uprawie roślin.

– W takim razie pójde sam.

Dija Udin obrócił się i ruszył przed siebie spokojnym krokiem. Sądził, że szeregi tubylców się rozstąpią, ale ci trwali w bezruchu, wbijając pytający wzrok w wodza.

Alhassan zatrzymał się i zaklął pod nosem.

– Rozumiem, że nie chcecie, by was widzieli. Ale mnie mogą zobaczyć, i tak wiedzą, że tu jestem. – Obrócił się do starucha.
– I nigdzie nie ucieknę. Najbliższy ląd jest jakby poza zasięgiem, prawda?

Chwilę trwało, nim przewodniczący starszyzny wyraził aprobatę.

7

– Panie majorze – odezwała się do interkomu Ellyse. – Namierzyłam Alhassana.

Nie musiała długo czekać, aż Jaccard pojawi się w maszynowni. Był tu także Hallford, który starał się przebić czujnikami przez metamateriałowe dachy. Jego starania jednak zakończyły się fiaskiem. Technologia na Tristan da Cunha znacznie przewyższała tę na Kennedym.

– Gdzie Channary? – zapytał Loïc, podchodząc do głównego stanowiska.

– Układa plan desantowy – odparł Gideon.

– Zwariowała?

– Mówił pan, że mamy ściągnąć ich tu wszelkimi możliwymi sposobami. Chyba wzięła sobie to do serca.

Jaccard potarł nerwowo czoło, pochylając się obok Ellyse. Dziewczyna wiedziała, że miał teraz mnóstwo innych rzeczy na głowie – był dowódcą, który sprowadził do domu Kennedy’ego oraz pięć statków z misji Ara Maxima. Czuł się odpowiedzialny za odbudowę gatunku ludzkiego, bez względu na miejsce, które zajmował w hierarchii służbowej.

– Nikogo tu nie widzę – powiedział.

– Dija Udin wszedł do promu. Siedzi tam od kilku minut.

Loïc westchnął i wyprostował się. Przez moment w milczeniu wbijał wzrok w wyświetlacz.

– Co on planuje? – zapytał w końcu.

– Zapewne nic dobrego – wtrącił Gideon.

– Mam na myśli konkrety – zestrofował go Jaccard. – Został zaprogramowany, by ściągnąć nas wszelkimi możliwymi sposobami na *proelium*, tak?

Ellyse i główny mechanik kiwnęli głowami.

– Powstają więc dwa pytania. Pierwsze: jak jego program zareaguje na rozwój wydarzeń? Drugie: skoro Dija Udin był na Accipiterze, być może inni obcy znajdowali się na pozostałych statkach. A nie muszę wam przypominać, że orbitują one teraz Ziemię.

Nozomi pokręciła głową.

– Alhassan nie miał ściągnąć nas na *proelium*. Jego zadaniem było wprowadzenie wirusa do komputera pokładowego. Dalej wszystko działało się samoczynnie. Infekcja rozeszła się po flocie, a okręty same zmieniły kurs. Wątpię więc, byśmy mieli się czym przejmować.

Loïc przeczesał ręką włosy, jakby było to zupełnie oczywiste, a on ze zmęczenia sobie tego nie uświadomił.

– No dobrze... – powiedział. – Co w takim razie z jego programowaniem?

Oboje spojrzeli na Hallforda w poszukiwaniu odpowiedzi. To on nosił konchę – i jeśli kogokolwiek było stać na dotarcie do sensownej konkluzji, to właśnie jego.

– Moim zdaniem system Dija Udina jest przygotowany na taką ewentualność – powiedział. – W końcu nie my pierwsi zbiegliśmy z *proelium*. Inni musieli tego próbować, tyle że nikomu ostatecznie się nie udało.

– Bo nikt nie miał Håkona i Ev'radata – dodała Nozomi.

Kocmołuch skinął głową.

– Co sugerujesz? – zapytał Loïc, patrząc na niego.

– Są dwie możliwości. Albo zaprogramowano Dija Udina, by ściągnął zbiegów z powrotem na Rah'ma'dul, albo by ich wyeliminował.

– Do systemów ISS-ów się nie dostanie – wtrąciła Ellyse. – Nie wprowadzi kolejnego wirusa ani w żaden sposób nie zmusi nas do powrotu. Z ansibla też nie skorzysta, by ściągnąć tu swoich.

– Więc zostaje druga możliwość – powiedział Loïc. – Będzie starał się nas unicestwić.

– Jeśli dobrze założyłem – odezwał się Gideon. – Równie dobrze mógł uruchomić się jakiś program samozachowawczy.

– Nie sądzę.

– To tylko gdybanie – ucięła Nozomi. – Nie dowiemy się, póki Håkon nie wejdzie mu do głowy.

Załoganci spojrzeli na nią ze zdziwieniem, ale dla Ellyse było oczywiste, że to właśnie chciał zrobić Lindberg. Z pomocą konchy miał zamiar zajrzeć do umysłu Dija Udina, a potem dokonać w nim odpowiednich zmian. Nie wiedziała tylko, jak obcy miałby odkupić swoje winy – o czym Håkon wciąż wspominał.

– Czy to w ogóle możliwe? – zapytał Jaccard.

Gideon wzruszył ramionami i zaczerpnął tchu.

– Nie wiemy, czym jest – powiedział. – Odczyty z kriokomory potwierdziły, że leży w niej człowiek. Ktokolwiek go zbudował, zadał sobie wielki trud, by dokładnie odwzorować nasz organizm.

– Niekoniecznie – wtrąciła Nozomi.

– Słucham?

– Przypomnij sobie, co się działo, gdy po raz pierwszy spotkaliśmy Håkona i Alhassana. Przeszliśmy z Kennedy’ego na Accipitera i sprawdziliśmy odczyty z diapauzy. Wskazywały jasno, że mamy do czynienia z obcymi formami życia. Pamiętacie, jak pewna tego była Yael Dayan? Na podstawie jej diagnozy wtrąciliśmy ich obu do celi.

Pamiętali doskonale. Koniec końców okazało się, że był to błąd systemu – czy raczej celowe działanie wirusa. I wszyscy zdawali sobie sprawę, że skoro wówczas odczyty mogły być błędne, to teraz także.

– Może być idealną kopią – odezwał się Hallford. – Nie dowiemy się, póki nie...

Urwał, dostrzegając na wyświetlaczu, że Dija Udin wychodzi z promu. Ellyse rozejrzała się w poszukiwaniu Håkona, ale nikogo poza muzułmaninem nie zauważyła.

Alhassan wyszedł na zewnątrz, otrzepał mundur, a potem zadarł głowę. Trwał tak przez moment, nie poruszając się.

– Wie, że go obserwujemy – odezwał się Gideon.

– Łącz z Romanienko – rzucił Jaccard. – Niech walą w niego wszystkim, co mają.

– Tam jest osada...

– Opuszczona. Wykonać rozkaz.

Ellyse przekazała krótką wiadomość na Galileo, po czym wróciła wzrokiem do Dija Udina. Nadal stał jak słup soli, patrząc w niebo. W końcu poruszył się, unosząc coś ponad głowę.

Dwa kawałki maski. Nozomi uświadomiła sobie, że to zniszczona koncha.

– Co to ma znaczyć? – zapytał Loïc.

– Nie wiem, panie majorze.

8

Dija Udin cisnął maskę na ziemię i ruszył z powrotem do baraków, które mieszkańcy nazywali domami. Wiedział, że jeszcze chwila na zewnątrz może okazać się tym, co dzieli go od śmierci.

Kennedy wprawdzie nie miał na wyposażeniu broni orbitalnej, ale okręty klasy Accipitera jak najbardziej. Nie była zbyt precyzyjna – emitory cząstek służyły głównie do niszczenia naturalnych przeszkód, nie dokładnych ataków. Mimo to Jaccard mógł zdecydować się, by skończyć z nim raz na zawsze.

– Znalazłeś to, czego szukałeś? – zapytał go starzec, gdy wrócił do głównego budynku.

– Nie.

Pośród tubylców zapanowało poruszenie.

– A więc nie uratujesz swojego przyjaciela – rzuciła jedna z zatrwożonych kobiet.

– Zabiją nas... – dodał ktoś inny.

– Nie oszczędzą nikogo.

– Musimy powiadomić Amalgamat.

Przewodniczący starszyzny podniósł się z pomocą młodego chłopaka, po czym uniósł dłoń. Wszyscy zamilkli jak jeden mąż, a stary skupił wzrok na Alhassanie. Ten nie wiedział, co powiedzieć. Przez chwilę nie mógł zebrać myśli.

Koncha nie była uszkodzona. Była zniszczona.

Stworzono ją, by przetrwała wieki – miała też okazać się odporna na mechaniczne uszkodzenia. Pech jednak chciał, że dostała się pomiędzy dwie grafenowe belki, które złamały ją w pół.

Nie sposób było odtworzyć milionów cienkich złączy na poziomie atomu. Nawet ze specjalistycznym sprzętem żaden ziemski naukowiec nie dałby sobie z tym rady. Alhassan też nie.

– Co proponujesz, młodzieńcze? – zapytał stary, przerywając jego rozważania.

– Jeszcze nie wiem.

– A więc namyślaj się szybko, bo niebawem musimy podjąć decyzję.

Dija Udin wiedział, że powinien współpracować z tymi ludźmi. Byli jego jedyną szansą na wypełnienie misji – chyba że Amalgamat okaże się bardziej skory do współdziałania.

– Wystawcie ciało.

– Co takiego?

– Pokażcie moim ludziom na orbicie, że astrochemik nie żyje.

– Czemu miałyby to służyć?

– Rób, co mówię, a nic wam się nie stanie. Chyba że wolisz ściągać tutaj tych swoich ulubieńców.

Nikt nie odpowiadał.

– Albo ja, albo Amalgamat. Wybieraj.

Mieszkańcy Edynburga Siedmiu Mórz milczeli, patrząc na swojego wodza. Kiedy ten skinął nieznacznie głową, kilkoro z nich udało się do kostnicy. Alhassan odprowadził ich wzrokiem, a potem zbliżył się do starego.

– Potrzebuję kilku odpowiedzi – powiedział.

Wódz wskazał mu krzesło obok jego siedziska, a następnie zajął swoje miejsce. Stękał przy tym, jakby miał umierać, czym działał Alhassanowi na nerwy.

– Byłem trochę poza domem – podjął nawigator. – I przede wszystkim chciałbym się dowiedzieć, co tu się, do cholery, stało.

– Na to pytanie nie mogę udzielić odpowiedzi.

– Dlaczego nie?

– Gdyż jej nie znam.

Dija Udin przeklął zgreda w duchu.

– Nie wiesz, co wytrzebiło prawie całą populację planety?

– Niestety nie – odparł nabożnym tonem starzec. – Podania przekazywane z pokolenia na pokolenie mówią o wielkiej tragedii, ale nic poza tym. Obawiam się, że nawet nasi przodkowie nie wiedzieli, co spotkało resztę świata. Tristan da Cunha to bardzo odosobnione miejsce.

– Mhm – odbąknął Alhassan. – A te pozostałe wyspy? Mieszka tam ktoś?

– Nie dane mi to wiedzieć.

– A co dane ci wiedzieć, tetryku?

Rozmówca spojrzał na niego z zaciekawieniem, ale tylko on zdołał utrzymać nerwy na wodzy. Wśród reszty zgromadzonych zapanowało wzburzenie. Kilku mężczyzn ruszyło w kierunku gościa.

Wódz powstrzymał ich ruchem ręki.

– Nazywam się James McAllister.

– Nie wódz Chodzące Truchło?

Dija Udin ponieważświe uświadomił sobie, że stracił zimną krew. Jeden z mieszkańców złapał go za fraki i podniósł. McAllister zaoponował w ostatniej chwili, choć bez przekonania.

– Usiądź – powiedział. – I okaż szacunek.

Alhassan zrobił to, pomstując na niego w myśli.

– Jeszcze gdy istniał Poprzedni Świat, nie mieliśmy kontaktu z dużymi miastami – ciągnął dalej James. – Tylko wysłannik Korony miał dostęp do ogólnoswiatowej sieci. Mówią o niej dawne podania.

– Aha. Bardzo ciekawe.

– Nasi przodkowie żyli w błogiej nieświadomości tego, co się wydarzyło. Dopiero gdy pojawili się wysłannicy Amalgamatu, sytuacja się zmieniła. Do tamtej pory uprawialiśmy ziemię, kontrolowaliśmy populację naszej małej społeczności, hodowaliśmy zwierzęta... mogliśmy żyć w spokoju jeszcze przez długie wieki.

– Sami skonstruowaliście te maski?

– Pochodzą z Poprzedniego Świata.

Dija Udin stwierdził, że niczego nie dowie się od tych ludzi.

– Jak często macie tu wizytacje?

– Słucham?

– Kiedy wpada ktoś z Amalgamatu?

– Nigdy się nie pokazują – odparł McAllister, po czym skinął na swojego pomocnika. Ten odczepił pojemnik wielkości napastrka z maski starca, a potem umieścił tam nowy. Wódz odchrząknął. – Przysyłają tu bezzałogowe łodzie, na które ładujemy zapasy. Eksploatują Tristan da Cunha coraz bardziej... z każdym sezonem tracimy coraz więcej i musimy na bieżąco kontrolować populację. Niebawem nie będziemy w stanie podtrzymać obecnej liczby mieszkańców...

I dobrze, skwitował w duchu Alhassan.

– Co to za organizacja? – zapytał.

– Amalgamat Afrykański.

Dija Udin czekał na ciąg dalszy, ale najwyraźniej rozmówca nie miał zamiaru sam rozwijać tego tematu.

– Coś więcej? – burknął do starca.

– Niestety nic więcej nie wiem.

– Nazwa zdaje się trochę na wyrost – odparł. – Widziałem Afrykę, gdy tu lecieliśmy. Nie został tam kamień na kamieniu.

James powoli wzruszył ramionami.

– Tak czy inaczej, muszę się tam dostać – oznajmił nawigator.

– Nie mamy żadnego środka transportu.

– Oprócz łajby, która tu przypluwa, a potem wraca do portu. Kiedy się pojawi?

McAllister powiódł wzrokiem w bok, przywołując jedną z kobiet. Ta wyciągnęła papierowy kalendarz i przewróciwszy stronę, oznajmiła, że następna transza zapasów ma być gotowa do transportu za trzy dni.

– Wskoczę na pokład. I pozdrowię od was tych rzekomych Afrykańczyków.

– To samobójstwo – odezwała się kobieta. – Znamy opowieści o ludziach, którzy próbowali się wydostać z Tristan da Cunha.

– Tak, tak, z pewnością nigdy nie wrócili – odparł Dija Udin.

– Podobnie jak ci, którzy w osiemnastym wieku emigrowali z Europy do Ameryki. Też nigdy nie wrócili, co nie znaczy, że sczeźli.

Tubylcy patrzyli na niego nierozumiejącym wzrokiem. Alhassan machnął na nich ręką, po czym podniósł się i ruszył w kierunku wyjścia. Przypuszczał, że ciało Lindberga znalazło się już na zewnątrz.

Musiał je tam umieścić. W przeciwnym wypadku załoga Kennedy'ego zjawiałaby się z misją ratunkową. Znaleźliby sposób, by się tutaj zakraść i zaatakować tak, by nikt się tego nie spodziewał. Teraz jednak zobaczą i zniszczoną konchę, i martwego towarzysza. Zrozumieją, że już po wszystkim, i nie będą ryzykować. Nie po to, by zabrać w kosmos zwłoki.

A Dija Udin będzie ich miał dokładnie tam, gdzie sobie tego życzył.

9

Jaccard patrzył na Dija Udina, który stanął przy Skandynawie. Cała reszta odwróciła wzrok, Nozomi zanosila się płaczem.

Major nie wiedział, co robić. Wpatrywał się bezrefleksyjnie w Alhassana, który przykucnął obok Lindberga. Gdy wskazał na jego tors, Loïc pochylił się nad wyświetlaczem i zbliżył obraz. Dija Udin ściągnął niewielki opatrunek, ukazując ranę – niewątpliwie postrzałową, choć broń z pewnością nie była mechaniczna.

Jaccard dostrzegł kątem oka, że Ellyse zaczęła się trząść. Zbliżyła się do niej Channary Sang, która moment wcześniej pojawiła się na mostku. Objęła ją, a potem obie zamknęły oczy. Gideon stał obok, zupełnie skołowany.

Nie trzeba było wiele, by wszystko poskładać w logiczną całość – Håkon został postrzelony, a złamana koncha przekreślała jego szanse na ratunek.

To, co robił Alhassan, miało też dodatkowy wymiar. Było manifestem.

– Barbarzyńcy... – wydusił z siebie Hallford.

– Dlaczego? Dlaczego to zrobili? – jęknęła Nozomi.

Loïc dopiero teraz uświadomił sobie, że dziewczyna ledwo się trzyma. Potrząsnął głową, a potem przyjrzał się mieszkańcom, którzy opuścili niskie budynki. Wszyscy sprawiali wrażenie widm – ale widm z żołnierskim drylem. Ustawili się w równych rzędach, doskonale widocznych z góry. Trwali w bezruchu, na baczność, jakby czekali na pozwolenie, by móc w ogóle egzystować.

– Dlaczego... – załkała cicho Ellyse, kryjąc twarz w ramieniu Sang.

Nikt nie odpowiedział. Jaccard przypuszczał, że mogą nigdy tego nie odkryć. Alhassan wysłał jasny sygnał, że nie powinni podejmować ryzyka. Håkon nie żył, nie było powodu, by schodzić na powierzchnię. Samo wymierzenie kary Dija Udinowi nie było grą wartą świeczki. Zdrajca doskonale o tym wiedział, gdy wyciągał zwłoki na zewnątrz.

– Być może da się naprawić konchę – odezwał się w końcu Gideon.

W jego głosie zadrgała nuta nadziei, która sprawiła, że ponura atmosfera zaczęła rzednąć. Ellyse otarła policzki, Channary Sang wyprostowała się, skonfundowana sytuacją. Loïc spojrział pytająco na głównego mechanika.

– Miałem z nią do czynienia, jak wiecie. Długo błąkałem się po korytarzach na Rah'ma'dul.

– I? – ponagliła go Nozomi, pociągając nosem. Nie odrywała wzroku od wyświetlacza, gdzie jak na dłoni widać było pozbawioną życia twarz Lindberga.

– Niektórzy *Yan'ghati* byli wirtuozami technologii. Przypuszczam, że w pewnym momencie zaczęli znacznie przewyższać Prastarych, przynajmniej jeśli chodziło o konchę. A fakt, że Ev'radat zdołał ją zmodyfikować, mówi sam za siebie.

W oczach Ellyse pojawił się błysk.

– Potrafił kompletnie ją przeprogramować, więc równie dobrze może być w stanie ją naprawić.

– Problem polega na tym, że jest kilkaset lat świetlnych stąd – zauważyła posepnie Sang. – W miejscu, które stanie się grobowcem ludzkości, jeśli tylko się tam zjawimy.

– To jeden z problemów, tak – odparł Hallford. – Drugi polega na tym, że *la'derach* musi być użyta bezzwłocznie. Tak jak w moim przypadku. Kilka dni to górna granica.

Jaccard przysłuchiwał się temu wszystkiemu z ambiwalentnymi odczuciami. Z jednej strony pragnął, by w ogóle było co rozważać – z drugiej jednak wiedział, że to płonne dyskusje. Ev'radat z pewnością by pomógł, gdyby nie to, że nie mieli jak się do niego dostać.

Gdy ostatnia uwaga Hallforda przebrzmiała, zapadła znacząca cisza. Wszyscy uświadomili sobie daremność proponowanego przedsięwzięcia.

– Ellyse – podjął Loïc. – Przykro mi, ale...

– Nie przyjmuję tego do wiadomości – odparła, kręcąc głową.

– Nie zgadzam się na to. Możemy go uratować, panie majorze. Wymaga to tylko trochę kreatywności.

„Trochę” nie było odpowiednim słowem, uznał Jaccard.

– Ostatnim razem cudem uciekliśmy z Rah'ma'dul – zauważyła Channary. – Drugi raz nam się to nie uda. Podpisałibyśmy wyrok na cały nasz gatunek.

– Musi istnieć sposób...

– Przykro mi, Ellyse – powtórzył dowódca, wciąż patrząc na Dija Udina. Ten nie ruszał się z miejsca, spoglądając w górę. Dopiero teraz Loïc uświadomił sobie, że Alhassan czeka na jakiś znak.

– Nie godzę się na to... – powtarzała półszepem Nozomi.

Jaccard spojrział na głównego mechanika.

– Muszę nawiązać z nim kontakt – powiedział. – Czekam na pomysły.

Gideon nie musiał długo się zastanawiać. Ogarnął wzrokiem maszynownię, jakby zamiast licznej aparatury stały tu idee. Podszedł do jednej z konsol i wprowadził kilka krótkich ciągów znaków.

– Mam połączenie z wahadłowcem – powiedział. – System komunikacyjny jest sprawny. Jeśli tylko wskażemy Alhassanowi, by tam poszedł, będziemy mogli...

– Zetrzeć go z powierzchni Ziemi – weszła mu w słowo Sang.

– To lepsze niż rozmowa.

Loïc postanowił tego nie skomentować. Ciężył na nim wprawdzie rozkaz od rosyjskiej pułkownik, a także obowiązek wymierzenia kary, którą sam zasądził – teraz jednak ważniejsze było to, by się porozumieć.

– Jak mu zasugerować, żeby się tam udał? – zapytał.

Milczeli, nie mając dla dowódcy odpowiedzi.

– Pytanie, czy to w ogóle roztropne – zauważyła Channary. – Może jakimś sposobem uzyskać dostęp do naszych systemów, a potem przesłać ansiblem sygnał do Diamentowych.

Jaccard spojrział na Hallforda. Ten pokręcił głową, choć bez wielkiego przekonania.

– Zakładamy, że to niemożliwe – powiedział major. – Jak go tam ściągnąć?

– Nie ma na to sposobu – odparł Gideon.

– Zastanów się.

– Mogę zastanawiać się nawet przez eony, to nic nie zmieni. Wiatry nad tą wyspą sprawiają, że kapsuła komunikacyjna ulegnie zniszczeniu. Radia najwyraźniej tam nie mają, a...

– W porządku – uciął Loïc, trąc skronie.

– Jedyne rozwiązanie to zejście na dół.

Nozomi odwróciła się ku niemu, gotowa, by ruszać nawet teraz.

– Zwariowałeś? – zapytała Channary Sang. – Sam mówisz, że wieje tam jak pomiędzy dwiema strefami na Rah'ma'dul.

– Nie aż tak – zauważył. – Ale jeśli zdecydujemy się na zejście, nie musimy lądować na Tristan da Cunha. Możemy zwodować awaryjnie gdzieś u wybrzeży Afryki czy Ameryki Południowej. Stamtąd morzem dostaniemy się na wyspę.

Chwilę trwało, nim oswoili się z tym pomysłem. Potem przenieśli wzrok na dowódcę, a ten zrobił głęboki wdech. Wiedział, że nie może sam podjąć tej decyzji – powinien wywołać Romanienko, a potem rozpocząć żmudną procedurę przepychanek.

Korciło go, by tego nie robić. Kennedy był jego okrętem, on powinien decydować.

– Panie majorze? – zapytała gorączkowo Ellyse.

Z drugiej strony, w obliczu globalnej tragedii hierarchia wojskowa była na wagę złota. Jak zresztą każdy inny przejaw cywilizowanego życia.

– Wywołaj ISS Galileo – powiedział.

Nozomi zawahała się, ale tylko na moment. Potem aktywowała odpowiedni system na wyświetlaczu. Nie musieli długo czekać, aż na ekranie pojawi się Wieronika. Przesunęła ręką po krótkich, rudych włosach, po czym wbiła wzrok w obiektyw. Powtórka z rozrywki, pomyślał Jaccard, szybko żałując, że zdecydował się na uszanowanie hierarchii służbowej.

– Pani pułkownik, mamy pewien problem – oznajmił.

Otworzyła usta, ale nie dał jej dojść do słowa, szybko relacjonując wszystko, co miało miejsce. Gdy skończył, Romanienko przez moment milczała.

– Muszę przyznać, że kwestie związane z obcą technologią jeszcze mi umykają – powiedziała. – Czytałam twoje raporty, oczywiście, ale pewne rzeczy są tam dość mętnie wytłumaczone.

– Postaram się je rozwinąć, gdy się spotkamy.

– Naturalnie. A tymczasem rozjaśnij mi, dlaczego chcecie tam zejść, skoro ta...

– Koncha.

– Właśnie. Skoro koncha jest zniszczona i nie ma możliwości, by... uratować tego człowieka.

– Wskrzesić – poprawił ją Gideon. – Nazywajmy rzeczy po imieniu. Sam to przeszedłem, więc mogę z ręką na sercu stwierdzić, że nie trzeba stosować eufemizmów. Nie stałem się Jezusem ani żadnym innym...

– Wystarczy – ucięła Romanienko. – Czekam na wyjaśnienie, majorze.

Loïc poczuł się, jakby wrócił do akademii wojskowej.

– Przede wszystkim musimy się dowiedzieć, co się wydarzyło – odparł. – A także zabezpieczyć ciało.

Kątem oka dojrzał, że Ellyse odwróciła głowę.

– Ten człowiek na to zasługuje, pani pułkownik – dodał Jaccard. – Uratował nas wszystkich.

– Oczywiście, akurat to nie ulega wątpliwości.

– Odbierzemy także konchę. Być może nie jest z nią tak źle, jak sądzimy. Nie zapominajmy też o tym, że możemy dowiedzieć się czegoś od tych ludzi.

Wieronika milczała, ale Loïc widział w jej oczach aprobatę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, o której nie wspomniałeś, majorze. Dija Udin. Należy go ująć, przetransportować na pokład i wykonać wyrok.

– To może skomplikować całą misję.

– Mimo wszystko powinniście...

– I z pewnością zabezpieczy się na taką ewentualność – uciał Loïc.

Romanienko posłała mu wrogie spojrzenie.

– Ostatni raz mi przerwałś, majorze.

– Tak jest.

Znów zaległo pełne wyczekiwania milczenie. Jaccard widział, jak Ellyse wpatruje się w monitor zaczerwienionymi oczami.

– Postawię sprawę jasno – odezwała się Rosjanka. – Jeśli będzie taka możliwość, macie ująć tego człowieka.

– Zrozumiałem.

– Ale priorytet to odzyskanie członka załogi oraz zdobycie niezbędnych nam informacji.

Jaccard skinął głową z pozorowanym przejęciem.

– Jak zamierzacie się tam dostać?

– Drogą morską – odparł Gideon. – Nie mamy jednak promu, który zniósłby wodowanie. W hangarach pozostałych jednostek z pewnością znajdzie się niejeden.

Wieronika skinęła na jednego ze swoich podkomendnych.

- Wysyłam do was ostatniego ocalałego z Wolszczana.
 - Nie jestem przekonany, czy to aby...
 - Nie jesteście od polemizowania, majorze.
 - Tak jest.
 - Hans-Dietrich Gerling dołączy do was na wahadłowcu o odpowiednich parametrach. I nie muszę chyba dodawać, że po misji oczekuję raportu także na jego temat.
 - Nie musi pani.
 - W takim razie to wszystko.
- Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Jaccard zaklął w duchu. Jakby wszystkiego było mało, miał jeszcze stwierdzić, czy Gerling nie sfiksował przez te wszystkie lata spędzone na kosmicznym pustkowiu.
- Wywołajcie go - powiedział Loïc. - Niech się pośpieszy z tym promem.

Wszystkie posiłki w Edynburgu Siedmiu Mórz spożywało się w publicznej stołówce. Jedzenie poza jej murami było srogo karane i stanowiło przewinienie nie tylko prawne, ale i moralne. Dija Udin początkowo nie mógł w to uwierzyć, ale gdy tylko zobaczył, jakie porcje należą się każdemu mieszkańcowi, zmienił zdanie.

– Żadnego podgryzania między posiłkami, co? – zapytał siedzącego obok McAllistera.

Starzec nie odpowiedział, z pietyzmem odkrawając kawałek mięsa. Cała porcja była wielkości połowy dłoni i Dija Udin przypuszczał, że opuści tę wyspę chudy jak szczapa. Wody za to było w bród – przetworniki na nadbrzeżu na bieżąco filtrowały morską na pitną.

– Niebawem się tutaj zjawią – zapowiedział Alhassan.

Tetryk nadal nie reagował.

– Słyszysz, dziadu? Ludzie ze statków na orbicie niedługo przybędą.

– Amalgamat nas obroni. Jesteśmy zbyt cenni.

– Zobaczymy – odparł Dija Udin, dźgając szpikulcem mięso. Używano ich tutaj zamiast widelców, co było sensowne, gdy wziąć pod uwagę wielkość posiłku.

Starzec spojrział na swojego rozmówcę.

– Sugerujesz, że zamierzają wziąć pomstę?

– Na mnie na pewno.

– Co im uczyniłeś?

– W sumie nic takiego.

Przywódca starszyzny przez moment się zastanawiał, długo przeżuując skrawek baraniny. W końcu odłożył szpikulce i nóż i pociągnął łyk wody.

– Jeśli będą próbowali, mogę wezwać pomoc.

– Jak?

– Istnieje pewien kanał awaryjny. Na wypadek zagrożenia.

– Czyli co, mieliście już kiedyś gości z orbity?

– Z orbity nie – odparł James, odkładając szklanę. Oblizał spierzchnięte usta, patrząc na Alhassana. – Zdarzyło się jednak, że nieopodal na kotwicy zatrzymał się duży okręt. Jego mieszkańcy byli zaskoczeni odnalezieniem wyspy.

– Mieszkańcy?

– Owszem. Żyli na pokładzie od pokoleń, podobnie jak my tutaj.

Dija Udin ziewnęła i podrapała się po głowie. Nie obchodziła go paplanina tego spróchniałego flegmatyka, ale była lepsza niż trwanie w milczeniu. Wszyscy zdawali się odprawiać tu nabożeństwo z pomocą szpikulca i noża, działając mu na nerwy.

– I Amalgamat zareagował? – zapytał, przeciągając się.

– Zaiste. Dokonali abordażu i wymordowali wszystkich przybyszy.

– Zaczynają podobać mi się coraz bardziej.

McAllister nie odpowiedział, wracając do posiłku.

– Jak ich wezwać?

– W moim domostwie znajduje się niewielka skrzynka, w której zamknąłem urządzenie SOS. Wystarczy otworzyć i przycisnąć guzik.

– Nie mówiłeś o tym wcześniej.

– Gdyż wcześniej nie było żadnego powodu, by myśleć o wzywaniu pomocy.

– Szybko się zjawia?

– Natychmiast.

– Widzieliście ich, gdy interweniowali? Jak wyglądali? Czarni, biali? Długie brody, hełmy z rogami?

James protekcyjnie pokręcił głową, jakby było oczywiste, że nie mogli ich zobaczyć.

– Polecono nam, byśmy pozostali w domostwach.

– I żaden z was nawet nie rzucił okiem?

– Absolutnie nie.

Dija Udin mógł się tego domyślić. Ci ludzie byli jak banda wytresowanych małpisonów – kiedy tylko dostrzegli kogokolwiek spoza ich społeczności, stawali jak słupy soli, gotowi do wysłuchania poleceń. Cokolwiek zrobili z nimi ludzie z Amalgamatu, Alhassan był pod wrażeniem.

– Potrzebuję tego waszego gnata – powiedział. – Mam wprawdzie w promie berettę, ale te wiązki naprawdę robią wrażenie.

– Impulsator jest zakazany na Tristan da Cunha.

– Tak, już mi mówiliście. A mimo to jeden z nich sprawił, że mój przyjaciel tu zginął. Dajcie mi tę broń albo będziecie mieć pewne problemy z ludźmi, którzy się tu zjawiają.

McAllister zastanawiał się tylko przez chwilę. Potem posłał jednego z chłopaków po impulsator. Dija Udin z zadowoleniem wetknął go za pasek od spodni. Urządzenie nie wyglądało na trudne w obsłudze – jeden przycisk był zabezpieczeniem, drugi spustem. Dzięki niewielkiemu suwakowi ustawiało się moc. Alhassan niebawem zapewne przekona się, jak dokładnie działa.

Podniósł szpikulec, ale nie zdążył wbić go w kawałek mięsa – jeden z wystawionych obserwatorów podniósł raban, informując, że zbliża się jakiś statek.

– Ani chybi to po mojego kolegę – powiedział Alhassan, podnosząc się z krzesła.

Tubyłcy najpierw z namaszczeniem złożyli sztucce, a dopiero potem do niego dołączyli. Przeszło mu przez myśl, że jeśli zostanie tu nieco dłużej, będzie mógł pożegnać się ze zdrowiem psychicznym.

– Za mną, antyku. Czas powitać resztki ludzkości.

Kilku mieszkańców posłało mu nienawistne spojrzenia, ale McAllister zupełnie go zignorował. Szedł swoim tempem, zostając daleko w tyle. Alhassan potruczał na wybrzeże,

a potem wbił wzrok w wahadłowiec, który z impetem ciął fale. Spienione bałwany rozbryzgiwały się na boki, a rozpraszacze wody nie nadążały ze zbieraniem jej z przedniej szyby. Dija Udin nie potrafił dostrzec, kto znajduje się w środku. Stawiał jednak na Jaccarda i Channary Sang. Ellyse była zapewne zbyt roztrzęsiona, by Loïc zabrał ją na tę misję – tymczasem Sang potrafiła dobrze wycelować. Mógł towarzyszyć im też Gideon, który oceniłby, czy koncha jest jeszcze zdatna do użytku.

Nie była, to Dija Udin umiał stwierdzić z całą pewnością.

– Przygotuj się na krwawą jatkę – powiedział do obserwatora. – Ci ludzie łatwo nie odpuszczą.

Gdy reszta wioski zgromadziła się na nadbrzeżu, prom znajdował się już niedaleko. Wyhamował, wzburzając i tak niespokojne wody oblewające wyspę. Wysokie fale zalały wybrzeże, a wraz z nimi nadszedł niepokój. Alhassan obejrzał się i zobaczył, że tubylcy ustawili się w równych rzędach, karnie, jakby czekali na rozstrzelanie.

– Cudownie was wytresowano – zauważył, po czym wrócił wzrokiem do statku.

Ten właśnie dopływał do wybrzeża. W końcowym etapie podejścia przód uniósł się nieznacznie, a potem opadł na piasek. Otworzyło się boczne wejście. Dija Udin przypuszczał, że najpierw zobaczy uniesioną berettę, a potem sylwetkę któregoś z załogantów.

Na zewnątrz wyszedł wysoki mężczyzna, którego Alhassan widział po raz pierwszy. Miał dobre dwa metry wysokości i przywodził na myśl ponury strach na wróble. Berettę wprawdzie zabrał, ale znajdowała się w zamkniętej kaburze.

– Coś ty, kurwa, za jeden?

– Porucznik Hans-Dietrich Gerling – odparł beznamiętnym głosem, tocząc wzrokiem po okolicy. Gdy uznał, że jest bezpiecznie, skinął na swoich towarzyszy. Z wahadłowca

wyszła Ellyse, która nawet nie spojrzała na Dija Udina, a zaraz za nią Sang, Gideon i Jaccard.

– Cała ekipa – rzekł Dija Udin. – Jestem zaszczycony.

Channary zacisnęła usta.

– Wpadliście mnie zabić?

Nozomi dała krok w przód, rozglądając się wokół.

– Gdzie jest Håkon? – spytała, ignorując jego zaczepkę.

– Niedaleko. Zaraz go przyniosą.

– Chcę go zobaczyć.

Ruszyła ku niemu, ale Dija Udin szybko wyciągnął zza pasa impulsator i wymierzył w nią.

– Musnę to gównem palcem, a wywali dziurę w poszyciu promu – powiedział. – Wyobraź sobie, co może zrobić z twoim pięknym ciałem, Ellyse.

Nozomi spojrzała na niego z obojętnością. Sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar zignorować groźby, w ostatniej chwili Jaccard złapał ją jednak za przegub dłoni. Przez moment starała się wyswobodzić, zanim ostatecznie odpuściła.

– Matuzalem – rzucił Alhassan, obracając głowę.

Nikt nie odpowiedział.

– McAllister – przeformułował. – Każ przynieść tu mojego przyjaciela.

– Nie masz prawa go tak nazywać – odparła Ellyse.

– Dlaczego nie? Zżyliśmy się.

– Odpuść – powiedział do niej Loïc, po czym przeniósł swoją uwagę na Alhassana. – A ty powiedz im, żeby przynieśli także konchę.

Dija Udin wykonał polecenie, świadom, że działanie jest bezcelowe.

– Naprawić możecie ją wyłącznie na Rah'ma'dul – oznajmił. – Jeśli się tam wybieracie, dajcie mi zawczasu znać, też wykupię sobie bilet.

– Może nie jest z nią tak źle – wtrącił Gideon.

Dija Udin się zaśmiał.

– Jest mniej więcej w takim stanie jak ty, szkarado – powiedział. – Nawet wasz cholerny Ev'radat nie byłby w stanie jej połatać. A to oznacza, że Håkon jest martwy jak trup.

Ellyse znów starała się wyrwać majorowi.

– Wybaczcie tę bezpośredniość. Jestem tylko prostym przedstawicielem gatunku, który przerasta was o kilka poziomów świadomości.

– Jesteś marnym klonem – rzuciła Channary Sang.

Dija Udin dostrzegł, że drgnęła jej ręka. Było to do przewidzenia, wszak Khmerka nie grzeszyła cierpliwością. Tego samego z pewnością nie można było powiedzieć o nowym członku tej osobliwej trupy – Hans-Dietrich wyglądał jak mroczny zniwiarz na usługach śmierci.

– Takich jak ty muszą być tysiące – dodał Hallford. – W rękach Prastarych byliście jedynie narzędziem, którego po zużytkowaniu należało się pozbyć.

– Srał ich pies, teraz nie mają znaczenia. Gdzieś tam, w przestworze kosmosu, kończy się *proelium*, a wy jesteście na swoim marnym skrawku Ziemi. Zamknięci w swojej ograniczonej percepcji, żałośni w przekonaniu o własnej wartości. I wydaje wam się, że przetrwanie gatunku ludzkiego ma jakiegokolwiek znaczenie dla wszechświata.

Zaśmiał się i pokręcił głową. Wprost uwielbiał ludzkość.

– Nie interesują mnie twoje opinie – odezwał się Jaccard, patrząc na impulsator.

Dija Udin stwierdził, że powinien spuścić nieco z tonu. Chętnie się z nimi droczył, ale nie miał zamiaru doprowadzać do eskalacji konfliktu. Zależało mu na tym, by zabrali ciało i konchę, a potem znikli z tej wyspy. On zaś będzie mógł w spokoju rozeznaczyć się w sytuacji i skontaktować z Amalgamatem. Przy odrobinie szczęścia ci ludzie mogli mieć dostęp do ansibla – i jednocześnie nawet się nie spodziewali, do czego on go wykorzysta.

Uśmiechnął się na samą myśl.

– Chcę wiedzieć, co tu się wydarzyło, Dija Udin – odezwał się Loïc.

– Zastrzelono Skandynawa. Wielka tragedia.

Ellyse zamknęła oczy i spuściła głowę.

– Jak to się stało? – wtrącił Gideon.

– Tragiczna pomyłka. Jakiś nerwus za szybko pociągnął za spust. Możecie być pewni, że James McAllestaruch ukarze go przykładnie. A jak tylko to zrobi, ja zebzdżę się w martwe oczodoły parszywego zabójcy.

Spojrzeni na niego z konsternacją.

– No co? – zapytał. – Kochałem tego sukinsyna jak brata.

Równy rząd tubylców się rozstąpił i wyszli zza niego dwaj mężczyźni niosący Lindberga. Z obawą podeszli do przybyszy, a potem ułożyli przed nimi ciało. Nozomi natychmiast do niego przypadła, chowając twarz w dłoniach.

Dziewczyna idąca za tragarzami położyła obok Håkona połamane części konchy.

– Proszę bardzo – odezwał się Alhassan. – Macie, po co przyszliście, a teraz won. Zostawcie tych ludzi w spokoju.

By nadać większą wagę swoim słowom, Dija Udin wykonał sugestywny gest impulsatorem.

– To nie wszystko – powiedział Jaccard. – Mów, czego udało ci się dowiedzieć.

– Niczego.

– Jesteś tu od kilkunastu godzin.

– I stwierdzam ponad wszelką wątpliwość, że ci ludzie gównie wiedzą.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie.

Alhassan milczał, lustrując swoich dawnych towarzyszy. Uświadomił sobie, że ustawili się tak, by zasłonić prawą rękę Gerlinga. Zapewne nieprzypadkowo. W jego oczach Dija Udin dostrzegł nerwowe wyczekiwanie.

– Niech ten drągał się poruszy, a wywałę dziurę w głowie Ellyse – powiedział. – I odsłońcie jego prawicę. Chcę zobaczyć, co w niej dzierży, nawet jeśli to nic pięknego.

Rozsunęli się posłusznie. Najwyraźniej nikt nie był dzisiaj skory do podejmowania ryzyka.

– Ci ludzie muszą coś wiedzieć – odezwał się Hallford. – Przecież...

– Żyją w totalnym odosobnieniu – uciał Alhassan. – Nie mają pojęcia, co sprawiło, że Poprzedni Świat się skończył. Wierz mi, kocmołuchu, prawie wyrwałem im język, kiedy ich za niego ciągnąłem.

Patrzyli na siebie wyczekująco – i im dłużej to trwało, tym bardziej Dija Udin uświadamiał sobie, że odwlekają moment odejścia. Zjawili się tutaj, by go ująć, to było jasne. Mogli też planować wykonanie egzekucji na miejscu. Impulsator jednak zmieniał postać rzeczy, a dodatkowy atut stanowił tłum ludzi za Alhassanem.

– Otrzymaliśmy stąd sygnał SOS, gdy robiliśmy przelot nad Atlantykiem – zauważył Gideon. – Najwyraźniej mają radio.

– To tylko zautomatyzowany system. Jakieś stare barachło.

Znów zaległo milczenie. Dija Udin stwierdził, że finał tego spotkania nie będzie niczym przyjemnym. Najwyraźniej wbrew temu, co o nich sądził, ci ludzie byli gotowi zaryzykować, byleby wykonać wyrok.

Przygotował się, by strzelić do Ellyse. Tyle powinno wystarczyć, by stracili rezon.

Hans-Dietrich drgnął. Nieznacznie, ale wystarczająco, żeby Dija Udin odczytał jego intencje. Szybko też pomiarkował, co się wydarzyło. Gerling został wysłany przez rosyjską pułkownik, by upewnić się, że Jaccard nie skrewi.

Trudno, stwierdził w duchu Alhassan. Chciał załatwić to po dobroci, ale nie zostawili mu wyboru.

Wymierzył w głowę Ellyse.

Nozomi uniosła oczy w momencie, gdy Dija Udin na nią spojrzał. Był to wzrok, który mówił więcej niż milion słów. Zdążyła tylko zaczerpnąć tchu, nim uświadomiła sobie, co zamierza przeciwnik.

Zanim jednak zdążył wcielić plan w życie, stojący za nim tubylec wziął sprawy w swoje ręce. Zamachnął się kawałkiem metalu, a potem przywalił Alhassanowi prosto w tył głowy. Dija Udin poleciał w przód i padł na ziemię jak kłoda.

Ellyse znieruchomiała. Patrzyła na bezwładnie leżącego skazańca.

– Co, do cholery... – odezwał się Gideon.

– Nie szukamy zwady – powiedział ten, którego Dija Udin nazwał McAllisterem. Wszedł przed szereg, wyraźnie zmęczony. – Wiemy, że ten człowiek czymś wam zawinił.

Jaccard również ruszył naprzód.

– Śmierć waszego towarzysza jest dla nas wielką tragedią – zapewnił starzec. – Nie sądziliśmy, że przybył tu w pokoju. Byliśmy przekonani, że wahadłowiec został przysłany przez Amalgamat.

Ellyse dotknęła dłoni Håkona, a następnie powoli się podniosła.

– Wybaczcie nam ten tragiczny błąd – dodał przywódca, patrząc na nią. Nozomi spuściła wzrok i dostrzegła, że włosy Alhassana zabarwiły się na czerwono. Krew rozlała się po piasku, który łapczywie przyjął wilgoć.

– Oddajemy tego człowieka w wasze ręce – ciągnął McAllister, wskazując na powalonego obcego. – Przyjmijcie to, proszę, jako gest dobrej woli.

Ellyse skinęła głową. Z jakiegoś powodu to, co mówił ten starzec, budziło ufność. Loïc stanął przed nim, a potem wyciągnął do niego dłoń. Tubylec zastanawiał się przez

moment, jakby nie znał tego zwyczaju, zaraz jednak ujął jego prawicę.

Jaccard odetchnął z ulgą i obejrzał się na resztę.

– Zostańcie tu – polecił. – Załadujcie Dija Udina do promu i porządnie go unieruchomcie. Ja dowiem się, czym jest ten Amalgamat i co tu się wydarzyło.

– Obawiam się, że ten człowiek mówił prawdę – odparł szybko McAllister. – Nie wiemy wiele ani na temat Poprzedniego Świata, ani naszych oprawców.

– W porządku. Powieście mi tyle, ile wiecie.

Major oddalił się ze starcem, a reszta załogantów wykonała jego rozkaz. Potem Ellyse wyciągnęła czarny worek i z pomocą Gideona umieściła w nim ciało Lindberga. Ułożyli go w tylnej części promu, po czym przez kilka chwil milczeli.

Jaccard wrócił bez dobrych wieści. Nie udało mu się dowiedzieć, co wydarzyło się na Ziemi, a o Amalgamacie wyspiarze wiedzieli jedynie tyle, że należy być mu posłusznym.

– Obawiam się, że to tyle, jeśli chodzi o Tristan da Cunha – zakończył.

– A te maski? – zapytała Sang. – Na co im one?

– Pomagają w oddychaniu. Mieszkańcy cierpią na przewlekłą astmę spowodowaną mutacją uteroglobiny.

– Są jeszcze inne wyspy – zauważył Gideon. – I skoro już trochę wiemy, powinniśmy je zbadać.

– Nie teraz.

Główny mechanik kiwnął głową.

– Wracamy na Kennedy'ego, potem będziemy zastanawiać się, co należy zrobić. Ostatecznie zresztą decyzja należeć będzie do pułkownik Romanienko.

Zasiedli na swoich miejscach i Hallford rozpoczął procedurę odcumowania z nadbrzeża. Tubylcy stali na baczność, przywodząc na myśl komitet pożegnalny. Po chwili prom zaczął się oddalać, a następnie obrócił się i przyspieszył.

– Zastanawiam się nad tym, co pan powiedział, majorze – rzekła Ellyse, chcąc zająć czymś myśli.

– To znaczy?

– Że decyzja należy do pułkownik.

– To nie ulega najmniejszej wątpliwości.

– Nie wydaje mi się – odparła z przekonaniem Nozomi. – Waga wszystkich decyzji w sprawie ISS Challenger jest zbyt duża, by kłaść ją na barki hierarchii służbowej. Musimy ustanowić komitet, wybrać przedstawicieli i...

– W wojsku nie ma miejsca na demokrację, Ellyse.

– Nie mówię o wojsku, ale o ludzkości – odparła stanowczo. – Ci, którzy przetrwali na powierzchni planety, mają takie samo prawo do decydowania o zarodkach, jak my. To, na jakich fundamentach zbudujemy nową kolonię, zdeterminuje losy świata.

Spojrzał na nią niepewnie. Mówiła cicho, bez energii, ale jednocześnie sprawiała wrażenie, jakby rozmowa na ten temat pozwalała jej nie pogрузić się w marazmie.

– Proponujesz bunt i niesubordynację.

– Proponuję przejrzenie na oczy – poprawiła go. – Nie stać już nas na to, by funkcjonować jak niegdyś. Musimy zebrać wszystkich, którzy przeżyli, a potem wspólnie podjąć decyzję co do naszej przyszłości. Począwszy od tego, gdzie posadzimy Challengera, bo tam powstanie stolica nowej Ziemi.

Nie odezwał się, ale wiedziała, że musiał snuć podobne rozważania. Jak zapewne każdy z nich, w mniejszym lub większym stopniu.

– Czas zacząć myśleć o przyszłości – dodała, oglądając się na czarny worek.

Po chwili Ellyse uznała, że milczenie Jaccarda powinna potraktować jako poparcie swoich słów. Inaczej major zabrałby głos.

– Omówimy to, jak tylko wszyscy zbierzemy się w jednym miejscu – dorzuciła jeszcze.

Loïc spojrział na Hansa-Dietricha, ale porucznik nadal jakby znajdował się w innym świecie. Hallford poderwał wahadłowiec, rozbryzgując za nimi spienione fale. Ustawił kurs na Kennedy'ego, a potem opuścił swoje stanowisko.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał go Jaccard.

– Muszę sprawdzić konchę.

Wziął obie części i usiadł na miejscu dla pasażerów. Nozomi natychmiast do niego dołączyła. Obserwowała, jak z pietyzmem bada zniszczenia. Wyraz jego twarzy nie świadczył o niczym dobrym.

Dotarli na orbitę w milczeniu, po czym prom na autopilocie zadokował do okrętu.

– Przykro mi, Ellyse – odezwał się główny mechanik. – Alhassan miał rację. To nie do naprawy.

Wszyscy zaczęli wstawać ze swoich miejsc.

– Przecież potrafimy modyfikować geny – odparła Nozomi. – Naprawiać wady, które...

– Nie mamy już do tego sprzętu. Poza tym nie wiemy, jak skonstruowana jest *la'derach*.

– Na ISS Challenger musi być odpowiednia aparatura.

– Być może.

– W takim razie...

– Brakuje mi odpowiedniej wiedzy – uciął Gideon i na moment zamilkł, czując na sobie błagalne spojrzenie radiooperatorki. – Wszystko, co mógłbym zrobić, to działanie po omacku.

– Mimo wszystko musisz spróbować.

Westchnął, a potem lekko skinął głową.

– Nie róbmy sobie nadziei – poradził.

Zgodziła się, po prawdzie jednak, kiedy tylko zabrali Håkona z tej planety, poczuła, że jest szansa, by go uratować. Było to nielogiczne, ale coś z tyłu głowy uparcie powtarzało jej, że to nie koniec.

Przenieśli Lindberga do kostnicy, a potem umieścili jego ciało w komorze chłodniczej. Gdy podłużna taca się zasunęła i drzwiczki za nią się zamknęły, Ellyse poczuła niepokój. Nagle cała nadzieja znikła i przez głowę przemknęło jej, że nigdy więcej nie zobaczy Håkona.

12

Dija Udin ocknął się w celi. Nie zdążył jeszcze na dobre otworzyć oczu, a już przeklinał pod nosem zdradzieckiego McAllistera i jego pobratymców. Poprzysiągł sobie w duchu, że wróci tam – i zabierze ze sobą ludzi z Amalgamatu. Kimkolwiek byli, z pewnością chętnie pomogą w urządzeniu krwawej łaźni.

– Wstawaj – rozległ się nieznany głos.

Alhassan obrócił się do pola siłowego oddzielającego celę od korytarza. Zobaczył postawnego mężczyznę, który wcześniej towarzyszył załogantom Kennedy'ego. Nie patrzyło mu z oczu dobrze.

– Powiedziałem...

– Słyszałem, co z siebie wydałeś, drażalu. Ale istoty wyższego rzędu co do zasady nie reagują na komendy wydawane przez te z niższego. Poczytałbyś trochę mądrości swoich przodków, tobyś zrozumiał.

Hans-Dietrich wydawał się nieporuszony obrazą. Stał przed nim z rękoma skrzyżowanymi za plecami i patrzył na niego obojętnie. Alhassan nie miał zamiaru się podnosić – podsunął się do ściany, a potem oparł o nią plecami.

– I co teraz? – zapytał. – Wejdiesz tu i wytłumaczysz mi, że nie jesteś podwórzowym kundlem, za którego cię mam?

Gerling milczał, nie poruszywszy się ani o krok. Dija Udin spojrział na niego spode łba i ostentacyjnie westchnął.

– No? – rzekł. – Z czym do mnie przychodzisz?

Hans-Dietrich najpierw sięgnął do kabury, a potem zbliżył się do panelu kontrolnego. Dezaktywował pole siłowe i wyciągnął browninga, który musiał być standardowym wyposażeniem na ISS Wolszczan.

Milczący dryblas nie musiał się odzywać. Alhassan zrozumiał, po co przyszedł.

– W porządku, w porządku, wstaję – powiedział, podnosząc się.

– Pod ścianę.

– Nie zastrzelisz mnie chyba ot tak, co?

Hans-Dietrich nie odpowiedział. Uważnie mu się przyglądał, jakby tylko czekał na nieroztropny ruch ze strony więźnia.

– Powinienem mieć prawo do apelacji. Nie wspominając już o dobrym adwokacie.

Gerling podniósł broń i Dija Udin mógł spojrzeć w jej lufę.

– Zaraz, no...

– Decyzją sądu polowego zostałeś skazany za zbrodnię przeciwko ludzkości.

Alhassan wątpił, by ktokolwiek na pokładzie Kennedy'ego był świadomy, co dzieje się w karczerze. Gdyby było inaczej, zapewne za plecami Hansa-Dietricha ustawilby się wianuszek entuzjastów.

– Powiadom Jaccarda – odezwał się słabo Dija Udin. – Ma prawo wiedzieć, co dzieje się na pokładzie jego okrętu. To święta zasada.

Niemiec wydawał się nieprzekonany.

– Narobisz sobie problemów – dodał Alhassan.

– Działam z rozkazu pułkownik Romanienko – odparł beznamietnie Gerling i zmrużył oko, celując w głowę skazańca.

Dija Udin stwierdził, że najwyższa pora żegnać się z tym światem. Ciekaw był, co czeka go po śmierci. Jeśli islam zakłada, że istota zbudowana, a nie stworzona, może wkroczyć do nieba, to będzie przechadzać się po pięknych gajach

w towarzystwie jeszcze piękniejszych hurys. Niebo było otwarte dla wszystkich wierzących, jednak trudno było powiedzieć, czy także dla niego.

Czy była to prawdziwa wiara, czy programowanie mające na celu stworzenie wiarygodnego muzułmanina? Na to pytanie Dija Udin nie znajdował odpowiedzi. Nie był zresztą pewien, czy powinien. Może w przypadku ludzi to także była kwestia programowania.

Dostrzegł, jak Hans-Dietrich przygotowuje się do strzału.

Koniec nadejdzie szybko. Ten człowiek sprawiał wrażenie profesjonalisty – padnie tylko jeden strzał.

Chyba że...

– Poczekaj! – krzyknął Alhassan, unosząc dłonie. – Mogę się przydać! Mogę wszystko zmienić!

Dlaczego wcześniej nie pomyślał o tym, co może zaproponować? Może istniała jakaś blokada w umyśle, która puściła dopiero, gdy uruchomił się instynkt samozachowawczy? Dija Udin przeklął się w duchu, odrywając wzrok od lufy i patrząc w oczy swojego kata.

– Strzel, a zaprzepaścisz jedyną szansę.

– Na co?

– Na to, żeby wszystko naprawić. Żeby odwrócić bieg wydarzeń – powiedział już spokojniej.

Gerling spojrzał na niego, ale Dija Udin przypuszczał, że kolejnego pytania nie usłyszy.

– Chcę rozmawiać z Romanienko. Wierz mi, że nie będziesz żałować tej decyzji.

Gerling znów przymknął oko.

– Poczekaj, do kurwy nędzy! – krzyknął Alhassan, robiąc krok w jego stronę. – Daj mi pięć minut, a zobaczysz, w czym rzecz. Potem możesz dziurawić mnie do woli.

Nadal brak odzewu.

– Na pewno czytałeś raporty. Widziałeś więc, że Håkon mówił o sposobie, w jaki mogę odkupić moje winy.

W oczach oprawcy dostrzegł błysk zrozumienia. Oczywiście, z pewnością zapoznał się ze wszystkim, co spisali załoganci Kennedy'ego, gdy tylko jego okręt pojawił się na orbicie. Wszyscy musieli być na bieżąco.

– Całe to gadanie Lindberga to żadna fantasmagoria. Naprawdę istnieje coś, co mogę dla was zrobić. I jestem na to gotów, jeśli mnie oszczędzicie.

Hans-Dietrich zastanawiał się przez chwilę, ale ostatecznie musiał uznać, że nic nie stoi na przeszkodzie, by powiadomić przełożoną. Więzień i tak nie ucieknie, a jeśli miał jakieś informacje, warto było je z niego wyciągnąć.

Gerling kiwnął głową, ale broni nie opuścił. Aktywował panel przy celi i ku zdziwieniu skazańca połączył się nie z Romanienko, ale z Jaccardem.

Dowódca szybko pojawił się na miejscu. Gdy tylko przekroczył próg, machinalnie sięgnął po berettę.

- Co tu się dzieje?
- Miałem go stracić.
- Widzę – syknął Loïc. – Jakim prawem?
- Cięży na nim wyrok.
- Który ja wydałem – odparł major, zbliżając się do dryblasa.
- I w mojej gestii leży wykonanie go.
- Dostałem rozkaz.

Dija Udin z entuzjazmem obserwował nic nieznaczące przepychanki w hierarchii wojskowej. Tym razem czara goryczy się przepełniła – widział to w oczach Jaccarda. Pułkownik Romanienko przeholowała i przed konsekwencjami nie uchroni jej dyscyplina z Poprzedniego Świata. Naraz Alhassan pomyślał, że nie ma sensu z nią rozmawiać. Jeśli ma tu Loïca, może posterować nim jeszcze lepiej niż Rosjanką.

Kiedy w celi pojawiła się zdyszana Ellyse, Dija Udin był w siódmym niebie.

- Opuść broń, poruczniku – powiedział Jaccard.

Hans-Dietrich trwał w bezruchu, nie wyglądając, jakby bił się z myślami. Najwyraźniej należał do prostych ludzi. Otrzymał rozkaz, więc musiał go wykonać – tylko tyle i aż tyle.

– Opuść broń! Jesteś na moim okręcie, do cholery!

– Pułkownik...

– Gównu mnie obchodzi, co ci rozkazała – przerwał mu Jaccard. – A teraz schowaj to albo każę wyrzucić cię przez otwarty właz na zewnątrz.

Gerling oderwał wzrok od więźnia i spojrzał na majora.

– To bezpośredni rozkaz – dodał Loïc.

Niemiec westchnął, po czym niechętnie umieścił browninga w kaburze. Nie zapiąwszy jej, położył na niej dłoń. Dija Udin uznał, że dobre i to.

– Teraz możemy podejść do tego na spokojnie – kontynuował dowódca. – Mów, co się dzieje.

Alhassan pomyślał, że wyręczy niemowę.

– Dzieje się to, że możemy dobić korzystnego targu – powiedział. – Tak dla mnie, jak i dla was.

– To znaczy?

– Wiem, jak uratować tego skandynawskiego sukinsyna.

Nie patrzył na Ellyse, ale doskonale wiedział, że drgnęła.

– O czym ty mówisz? – zapytał Jaccard.

– Darujcie mi życie, a się dowiecie.

Nozomi zbliżyła się do majora i wymieniła się z nim zdezorientowanymi spojrzeniami. Gerling nie odrywał wzroku od więźnia.

– Mów, Alhassan – odezwała się.

– Tu i teraz? Zabijecie mnie zaraz potem. Nie, tak się nie będziemy bawić.

– Więc co proponujesz?

– Żebyście mi zaufali.

– Chyba sobie kpisz – odparł stanowczo Jaccard.

– W takim razie musimy wymyślić coś innego, co urządzi obie strony. Tymczasem Håkon będzie leżał w chłodni i coraz

bardziej oddalał się z tego świata.

– Oddalał? – zapytała Nozomi.

Forma niedokonana sprawiła, że w jej głosie zakołatało coś więcej niż nadzieja.

– Mhm – mruknął Dija Udin. – Jeszcze nie odszedł, przynajmniej nie w obiektywnym sensie.

– To znaczy?

– *La'derach* dba o swoich nosicieli.

– Musisz być bardziej wylewny, jeśli chcesz przeżyć – odparła, z trudem zachowując spokój.

– A ty musisz wiedzieć tylko tyle, że koncha utrzyma jego jaźń na miejscu, przynajmniej jeszcze przez pewien czas. Z waszego punktu widzenia Lindberg jest trupem, ale obiektywnie rzecz biorąc, jeszcze tak nie jest. Mamy kilka dni zapasu.

– Który chcesz wykorzystać na co?

– Wszystko wam przedstawię, jak tylko mnie stąd wyprowadzicie, dacie wygodną kabinę i będziecie traktować mnie po królewsku.

Major i Ellyse znów po sobie spojrzeli.

– Nigdzie nie ucieknę – dodał Alhassan. – Jak ostatnim razem sprawdzałem, na zewnątrz nie ma sprzyjających warunków. Zamkniecie mnie w kajucie i pozbawicie dostępu do wszystkich systemów. A ja powiem wam, jak uratować tego sukinsyna. I wiele więcej.

Zaśmiał się pod nosem.

– Co masz na myśli?

– Są we wszechświecie rzeczy, o których nie macie pojęcia. Ja mogę je wam pokazać.

Zebrałi się w maszynowni, przed głównym ekranem. Ellyse nawiązała połączenie z Wieroniką Romanienko, przekonana, że rozmowa nie pójdzie gładko. Jaccard jednak postawił sprawę jasno – potrzebował zgody na podjęcie próby współdziałania z Alhassanem.

Początkowo Rosjanka wyraziła jedynie oburzenie, że jej rozkaz nie został wykonany. Potem stopniowo się uspokajała, przynajmniej na tyle, by wysłuchać, co Loïc miał do powiedzenia.

– Rozumiem – powiedziała, gdy zdał jej całą relację. – Daliście się omamić jak dzieci. Po załodze Kennedy’ego mogłam się tego spodziewać, ale ty, Hans-Dietrich?

Gerling nie odezwał się słowem, nieustannie trzymając rękę na kaburze.

– Prześledziłam cały przebieg twojej służby i wydawało mi się, że jesteś żołnierzem z krwi i kości.

Nadal milczał.

– Nieistotne – dodała Romanienko. – Masz jeszcze szansę udowodnić, z jakiej gliny jesteś ulepiony. Weź na celownik dowódcę tego okrętu, poruczniku. Od tej chwili przejmujesz dowodzenie nad Kennedym.

Ellyse zdążyła jedynie otworzyć usta, nim Jaccard wyszarpnął swoją berettę.

Natychmiast jednak przekonał się, że zrobił to niepotrzebnie. Niemiec stał jak słup soli, nie sięgając po broń.

– Nie zrozumiałeś? – zapytała Wieronika. – Przejmujesz dowodzenie!

Hans-Dietrich się wyprostował.

– Odmawiam wykonania rozkazu, świadom konsekwencji w postaci sądu polowego oraz kary...

– Rób, co każe! – krzyknęła.

W maszynowni zaległa cisza. Nozomi uśmiechnęła się pod nosem, dochodząc do wniosku, że nie ona jedna zamierzała zrewidować hierarchię służbową. Gerling był ostatnią osobą,

którą by o to podejrzewała, ale najwyraźniej zdrowy rozsądek wziął górę nad wyszkoleniem.

Chyba że to wszystko gra pozorów.

Wiedział przecież, że wykonując teraz rozkaz, naraziłby się na niebezpieczeństwo i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa sam wylądowałby w karcerze. Channary Sang była uzbrojona, podobnie jak Jaccard. Ich dwoje dałoby mu radę bez trudności.

Ellyse spojrzała na niego badawczo, ale swoim zachowaniem nie zdradzał ukrytych zamiarów.

– Niewiarygodne... – odezwała się Romanienko. – Wszyscy skończycie na...

– Nie będzie żadnych sądów polowych – uciał Loïc, chowając broń. – Powołamy prawdziwy sąd, który zajmie się Alhassanem i nami. Nie kapturowe przedstawienie.

– Nie wiem, gdzie cię szkolono, ale...

– Teraz nie ma to znaczenia – znów wszedł jej w słowo. – Przeszkolenie miałem na Rah'ma'dul i po drodze tam. Lepiej, żeby miała to pani na uwadze. A teraz zajmijmy się Dija Udinem. – Obrócił się do radiooperatorki. – Ellyse, zakończ połączenie. Mam dosyć.

Nozomi szybko zrobiła, co polecił. Wszyscy odetchnęli z ulgą.

– Channary, przyprowadź go tutaj – dodał Jaccard. – Gideon, przygotuj mu odpowiednio zabezpieczoną kajutę. Chcę widzieć wszystko, co robi.

– Łącznie z...

– Wszystko.

– Rozumiem – odparł niechętnie Hallford.

– I upewnij się kilkakrotnie, że ze swojej nowej celi nie będzie mógł wysłać sygnału.

– Tak jest.

Gideon zasiadł przed jednym ze stanowisk na uboczu i rozpoczął znużone przygotowania. Sprawdzał każdy scenariusz, na jaki mógł wpaść Alhassan, nawet najbardziej

absurdalny. Sang tymczasem przyprowadziła więźnia, który nie krył zadowolenia. Spojrzał po towarzyszach, szeroko się uśmiechając.

– Serce rośnie, gdy widzę, że rodzaj ludzki potrafi jeszcze myśleć. Dobra decyzja.

Jaccard stanął przed nim i przez moment mierzyli się wzrokiem.

– Mów – odezwał się dowódca.

– Jak tylko ustalimy szczegóły naszej wymiany. Za informację chcę bezpieczeństwa, jednak wasze słowo na niewiele mi się zda.

– Na nic innego nie możesz liczyć.

– W takim razie Lindberg już jest martwy.

Ellyse miała ochotę wyrwać Channary broń i zakończyć tę farsę. Wzięła głęboki wdech, a potem stanęła obok Loïca.

– Więc co proponujesz? – zapytała.

– Na początek trzeba umieścić sukinsyna w komorze kriogenicznej. Bez tego możecie pożegnać się z szansą na uratowanie go. W kilka dni niczego nie zrobimy.

Jaccard skinął głową do Sang, a ta natychmiast udała się do kostnicy.

– Cała reszta jest banalnie prosta. I może sami byście na nią wpadli, gdyby nie to, że myślicie jednowymiarowo.

Uśmiechnął się, tocząc wzrokiem po zebranych i czekając, aż ktoś podejmie rzuconą rękawicę. Nikt się nie odezwał.

– Potrzebujecie Ev'radata do naprawienia konchy, tak?

– Przejdź do rzeczy – ponagliła go Nozomi.

– Na Rah'ma'dul nie możecie wrócić, bo zostaniecie wciągnięci do *proelium* i tyle będzie z przebiegłego planu Skandynawa, by uratować resztki ludzkości.

Znów zrobił irytującą pauzę.

– Mów – ponagliła Ellyse, piorunując go wzrokiem.

– Nie musicie jednak być na orbicie planety, by się na nią dostać – dodał. – Wystarczy, że odnajdziecie jedną z czternastu

spośród tych, na które prowadziły korytarze z Terminala. Przejdziecie stamtąd na Rah'ma'dul, a potem do miejsca, gdzie ukrywają się *Yan'ghati*. Dacie swojemu wybawcy maskę i *voilà*.

Milczeli, patrząc po sobie.

– Dobrze mieć Dija Udina, prawda? – zapytał z satysfakcją. – Bez niego bylibyście jak dzieci we mgle.

Gideon odsunął się od swojego stanowiska, kręcąc głową.

– To absurd – powiedział.

Alhassan wzruszył ramionami.

– Nie wiemy, gdzie znajdują się te planety.

– Wy nie – odparł nawigator, a potem westchnął i rozejrzał się wokół. – Macie tu jakiś wyświetlacz fantomatyczny?

Odpowiedziało mu milczenie.

– Chociaż przerobione socjalki? Na Accipiterze mieliśmy ich trochę. Gdyby nie to, nie przeżyłbym z tym sukinsynem interwału między diapauzami – dodał Dija Udin. Zrobił pauzę i rozejrzał się. – Ale widzę, że tu o rozrywkę trudno. Nadal zakazywano fantazmatów, gdy opuszczaliście Ziemię?

Hallford wstał ze swojego miejsca i podszedł do niego.

– Potrafisz znaleźć planetę z tunelem?

– Może. Nie wiem. Chyba tak. Jak się postaram.

Gideon spojrzał bezradnie na dowódcę, ten jednak trwał z kamiennym wyrazem twarzy.

– Fantazmaty to mój kolejny warunek – ciągnął Alhassan. – Albo dacie mi dostęp do jakichś programów z kuso odzianymi Azjatkami, albo w tej chwili kończymy te konszachty.

– Nie mamy żadnych generatorów fantazmatów, Dija Udin – odparła Ellyse, chwytając go za ramię. Obróciła go do siebie i spojrzała mu głęboko w oczy. Miała nadzieję zobaczyć cień trwogi wywołanej losem przyjaciela. Dostrzegła jednak tylko pustkę. Nawigator szybko wyswobodził rękę.

– Łże – ocenił Hallford. – Nie ma sposobu, by odnaleźć drugi koniec któregokolwiek z tuneli. Poza tym mogą znajdować się

setki, tysiące lat świetlnych stąd.

Wszyscy umilkli. Ellyse była świadoma, że jeśli tak jest, to nikt nie zdecyduje się na kilkusetletnią podróż dla ratowania jednego człowieka. Nie kiedy na Ziemi mieli odbudować cywilizację.

– Może tak, może nie – odparł Dija Udin. – Nie dowiecie się, póki nie spełnicie moich warunków.

Gideon nadal wbijał wzrok w dowódcę.

– Nawet jeśli potrafi znaleźć tunel i jakimś cudem ten będzie znajdował się niedaleko, to nigdy go od tej strony nie otworzymy – ciągnął. – Do tego niezbędna jest koncha, a nasza jest uszkodzona.

– To faktycznie pewien problem – bąknął Alhassan. – Ale można mu zaradzić, o ile jest się istotą wyższego rzędu, jak wasz skromniutki Dija Udin. – Skłonił się, rozkładając ręce. – A teraz udam się na spoczynek. Którędy do mojej kajuty?

Ruszył w kierunku wjazdu, ale Jaccard zastąpił mu drogę.

– Powoli – zaczął major. – Najpierw musisz nam coś dać.

Alhassan zrobił dzióbek.

– Kpij sobie, a wywalę ci dziurę w głowie – powiedział Loïc, na wszelki wypadek dając krok w tył. – O ile dobrze rozumiem, są trzy problemy, którym rzekomo umiesz zaradzić. Zróbmy więc tak, że za rozwiązanie pierwszego z nich trafisz do kajuty. Za zarządzenie drugiemu dam ci te socjalki, a za pomoc przy trzecim dostaniesz prom.

Dija Udin zagwizdał z uznaniem.

– Nieźle – powiedział. – Wiedziałem, że twoje milczenie to nie przelewki. Przeprowadzałeś proces myślowy, a w dodatku wyprodukowałeś całkiem sensowną propozycję.

– Więc?

Alhassan obrócił się i ruszył ku głównemu pulpitowi sterowania w maszynowni. Gideon natychmiast zareagował i ustawił się tuż przed nim.

– Nie znajdę żadnych planet, jeśli ten kocmołuch będzie mi wadził.

– Ten kocmołuch nie pozwoli, żebyś choćby zbliżył się do tej konsoli – odparł Hallford.

– W takim razie mamy pat.

– Gideon – podjął Jaccard. – Przygotuj mu jakieś stanowisko astrometryczne i upewnij się, że będzie odizolowane od komputera pokładowego.

– Brawo. Dokładnie tak jak z moją kajutą – dodał z uśmiechem Alhassan.

Załoganci spojrzeli na niego z konsternacją. Poruszył się nawet Hans-Dietrich, który do tej pory zdawał się zamienić w posąg.

– Jestem jasnowidzem – wyjaśnił Dija Udin, po czym z pietyzmem uniósł ręce. – Przejrzałem wasze zamiary.

Główny mechanik usiadł przy jednym z pulpitów i zaczął blokować dostęp do kluczowych systemów Kennedy’ego. Ellyse w tym czasie przygląda się obcemu. Jak został zaprogramowany? Była ciekawa, czy rzeczywiście traktował Håkona jak przyjaciela i czy bez tej umowy także próbowałby mu pomóc.

Muzułmanin trwał w bezruchu z bladym uśmiechem zastygłym na twarzy. Ta nie zdradzała niczego, co pomogłoby Nozomi uzyskać odpowiedzi na pytania.

W końcu Hallford skończył i machnął ręką do skazańca.

– Siadaj i niczego nie próbuj. Wszystko jest poblokowane.

– Lub tak ci się tylko wydaje – odparł Dija Udin, zajmując miejsce.

– Obserwuj wszystko, co robi – dodał Jaccard.

– Taki mam zamiar.

Nozomi również stanęła za plecami Alhassana, a potem bacznie kontrolowała każde posunięcie muzulmanina. Wyglądało na to, że nie robi niczego podejrzanego. Wyświetlił

bazę planet, a potem uruchomił edytor algorytmów pozwalających na ich przeszukiwanie.

– Tunele odchodzące z Terminala to nic innego jak deformacje czasoprzestrzeni – podjął. – Znacie to zjawisko, bo w szkole uczą was o Alcubierze i jego pomysłach związanych z bąblami czasoprzestrzennymi.

Dija Udin pracował na pełnych obrotach, a Ellyse przestawała nadażać za wprowadzaniem równaniami. Miała tylko nadzieję, że Gideon wie, co się dzieje.

– Terminal ma generator, który pozwala wytworzyć odpowiednią ilość materii o masie ujemnej.

Hallford ściągnął brwi, przyglądając się kolejnym ciągom wprowadzanych cyfr.

– Na Rah'ma'dul nieustannie więc ma miejsce odpychanie grawitacyjne w generatorze. Nie odczuwa się tego, będąc na planecie, ale gdybyście mieli odpowiednie sensory, wykrylibyście...

– Ciemną energię – dopowiedział Gideon.

– Brawo, kocmołuchu. Jednak znasz podstawy fizyki cząstek elementarnych.

– Modyfikujesz nasze sensory?

– Na tyle, na ile pozwala mi to zrobić ta prymitywna technologia – odparł Alhassan, oglądając się przez ramię i posyłając mu uśmiech. – Jeśli się uda, wykryjemy zaburzenia przyciągania grawitacyjnego w systemach planetarnych. To znak, że dociera tam tunel.

– I jakie jest prawdopodobieństwo, że to będzie gdzieś w okolicy Układu Słonecznego?

– Zerowe – rzekł Dija Udin i zaśmiał się.

Ellyse nie było do śmiechu. Nawet jeśli uda się odnaleźć miejsce, gdzie znajduje się wyjście z tunelu, nadal nie wiedzieli, jak poradzić sobie z dwoma wiążącymi się z tym problemami. Alhassan mógł mówić, co chciał, ale nie sposób było znaleźć remedium na wszystko.

– Alteracje wprowadzone – powiedział po jakimś czasie Dija Udin, przeciągając się. – Teraz wystarczy tylko uruchomić algorytm.

Wskazał na wyświetlacz, gdzie gotowy program czekał, by go włączyć.

– Jesteś pewien, że to bezpieczne? – zapytał Jaccard.

– Mniej więcej – odparł Gideon.

– No już – wtrącił Alhassan. – Nie przekonacie się, jeśli nie spróbujecie. Będzie trochę adrenaliny, prawda? Nie do końca wiadomo, co narobił Dija Udin. Mógł stworzyć algorytm, który uaktywni ansibl i rozświetli was w kosmosie jak bożonarodzeniową choinkę.

Nozomi zbliżyła się do ekranu i przeciągnęła palcem w odpowiednim miejscu. Nawet gdyby ktoś próbował ją zatrzymać, nie zdążyłby.

– Podjęliśmy już decyzję – odezwała się. – Nie ma sensu dawać mu satysfakcji.

Loïc i Hallford zgodzili się z nią, kiwnąwszy głowami. Wszyscy patrzyli na ekran, czekając na efekty poszukiwań. W bazie Kennedy’ego znajdowały się wszystkie planety, które były w realnym zasięgu podróży. Ich liczba była nieskończona i nawet przy mocy obliczeniowej komputera pokładowego przeszukiwanie banków musiało trochę potrwać. Ellyse odeszła kawałek i przysiadła na jednym z niewielkich stołków dla personelu technicznego.

Wydawało jej się, że każda minuta oczekiwania niemiłosiernie się przeciąga. Dija Udin obrócił się przez ramię i obrzucił ich wzrokiem.

– Więc gdzie te socjalki?

– Skup się na swoim zadaniu – odparł Jaccard.

– Nie ma na czym. Wprowadziłem wszystko, co trzeba, a reszta należy do komputera pokładowego. Tymczasem chciałbym dostać moje...

Urwał, gdyż algorytm wyszukiwania odnalazł potencjalną planetę z tunelem. Alhassan obrócił się do ekranu, a pozostali załoganci szybko znaleźli się obok. Nawet milczący Gerling sprawiał wrażenie zaintrygowanego.

– Proszę bardzo – powiedział Dija Udin, wskazując palcem na wyświetlacz. – Wasz magik wyczarował dla was takie чудо. Gwiazda HR 8799 w Konstelacji Pegaza, zwana także Nakamurą. Na jednej z orbitujących ją planet sensory wykryły ujemną masę.

– Jak daleko? – zapytała nerwowo Ellyse.

– Sto dwadzieścia dziewięć lat świetlnych od Ziemi. Planeta to Nakamura-Amano, temperatura trzynaście stopni Celsjusza, okres orbitalny trzydzieści siedem dni. Wewnętrzna granica ekosfery i...

– To wszystko bez znaczenia – wtrącił Hallford. – Odległość jest zbyt duża.

– Biorąc pod uwagę ogrom wszechświata, to najbliższe sąsiedztwo – zaproponował Alhassan z uśmiechem. – Teraz pozostaje wam tylko postanowić, czy jesteście gotowi zamrozić się na dobre trzysta lat, bo tyle zajmie podróż w obie strony. Ale sukinsyn jest tego warty, prawda?

Obrócił się i wyszczerzył jeszcze bardziej.

14

Dija Udin wszedł do swojej kajuty, a potem opadł ciężko na łóżko. W pomieszczeniu obok ulokował się Hans-Dietrich, któremu niespieszno było z powrotem na pusty pokład ISS Wolszczana. Trudno było mu się dziwić, biorąc pod uwagę niesubordynację, której się dopuścił.

Ledwo Alhassan zmrużył oczy, a rozległ się sygnał z korytarza. Westchnął i podciągnął się na łóżku, po czym

dotknął właściwego miejsca na węzłowi. Śluza natychmiast się otworzyła, w progu zaś stanęła Nozomi.

– Zapraszam – powiedział. – Miałem właśnie odsapnąć, ale chętnie posłucham twojego marudzenia.

Bez słowa weszła do środka i podeszła do szafki z napojami. Nalawszy sobie wody, połknęła pigułkę energetyczną i usiadła przy stoliku na środku kajuty.

– Kim ty jesteś? – zapytała.

– Dija Udin oznacza „jasność wiary”. Al- to przedrostek, a *hassan* znaczy „piękny”.

– Więc imię nie ma z tobą nic wspólnego.

– Piękny może nie jestem, ale wiara moja jaśnieje.

– Jaka wiara? – zapytała Ellyse, patrząc w okno. – Na Ziemi nie została się już żadna religia.

– Noszę ją w sercu, *inszallah* – odparł Dija Udin, kładąc rękę na piersi i pochylając głowę.

– Skończ pieprzyć.

– Mówię to, co dyktuje mi...

– Jesteś sztucznym tworem, Alhassan – ucięła. – Nie masz serca, duszy ani nawet rozumu. Wszystko, co robisz, jest wynikiem działania pewnych mechanizmów.

– Tak jak w twoim przypadku.

Nozomi wzięła łyk wody, nie odrywając od niego wzroku.

– Nie mam zamiaru dywagować o sztucznej inteligencji – odparła. – Wiem, że Håkon miał nadzieję przeprogramować cię konchą. Chciał, żebyś odkupił swoje winy.

– Naukowcy lubią czasem coś sobie ubzdurać.

– Nie zasługiwałeś na to, co chciał dla ciebie zrobić.

Dija Udin wzruszył ramionami.

– Naprawdę potrzebuję tych socjalek – odezwał się.

– Dostaniesz je, jak tylko znajdziesz sposób, byśmy dostali się na Nakamurę-Amano.

– Nieustannie o tym myślę. Układam w głowie równania, które przechytrzą Einsteina i Alcubierre’a.

Ellyse długo milczała, patrząc na niego bez wyrazu.

– Wiesz, co mi się wydaje? – spytała w końcu.

– Że się we mnie powoli zadurzasz?

– Że tak naprawdę nie masz pojęcia, jak możemy się tam dostać. I tym bardziej nie wiesz, jak sterować tunelem bez konchy – odparła ze stanowczością. – Grasz na czas, licząc na to, że uda ci się wezwać Diamentowych.

– Jeśli rzeczywiście w to wierzysz, powinnaś mnie ubić.

– Jestem tego bliska.

Alhassan doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Nie trzeba było wiele, by załoganci Kennedy'ego zorientowali się, że wodzi ich za nos. Wystarczyło, że ich początkowy entuzjazm trochę opadnie, a przejrzą na oczy. Podróż w kriostazie nie wchodziła w grę, a nie istniał napęd, który pozwalałby na zaginanie czasoprzestrzeni i poruszanie się szybciej od światła. Jediną formą takich podróży był Terminal na Rah'ma'dul.

– Spokojnie – powiedział. – Wyciągnę was z opresji i uratuję tego biednego sukinsyna, który teraz mrozi się w najlepsze.

– Gówny prawda.

– Kocham go jak brata – zapewnił.

Ellyse pokręciła głową, a potem wstała od stołu. Bez słowa opuściła jego kajutę, na odchodnym nawet na niego nie spoglądając. Dija Udin odetchnął z ulgą i ułożył się wygodnie na łóżku.

Zasnął szybko, choć w istocie snu nie potrzebował. Lata temu przestał jednak rozważać te kwestie. Został w taki sposób zaprojektowany – i tak musiało być. Podobnie rzecz miała się ze wszystkim innym.

Zbudził go sygnał alarmowy, który wzywał wszystkich na mostek. Komputer pokładowy najwyraźniej nie był przygotowany na ewentualność, że centrum dowodzenia zostanie zniszczone przy próbie abordażu.

– Co, do cholery... – burknął, podnosząc się z łóżka.

Ruszył do drzwi, ale te ani drgnęły. Uderzył w nie pięścią, mając serdecznie dosyć wyjącego sygnału dźwiękowego. Wcisnął przycisk interkomu.

– Hej! – krzyknął. – Otwierać moją kajutę!

Odpowiedziała mu cisza.

– Co się tam dzieje?

Przemknęło mu przez myśl, że Wieronika Romanienko wzięła się do roboty. Widząc, że sytuacja zmierza w niekorzystnym dla niej kierunku, musiała uznać, że lepiej zdusić bunt w zarodku. Zaatakuje Kennedy'ego, weźmie załogantów do niewoli, a potem przemówi im do rozsądku.

Statku i tak nie potrzebowała, mogła podziurawić go jak sito.

– Słyszysz mnie ktoś? – zapytał Alhassan.

Nadal nikt nie odpowiadał. Dija Udin rozejrzał się po kajucie w poszukiwaniu obiektów. Po tym, jak Jaccard kazał go obserwować, z pewnością łypało na niego nawet mechaniczne oko w kiblu.

– Hej! – krzyknął, rozkładając ręce. – Jeśli umieramy, chciałbym to wiedzieć.

Nagle za plecami usłyszał otwierające się drzwi. Natychmiast się obrócił i ujrzał wycelowanego w głowę browninga.

– *Guten Tag* – powiedział do Gerlinga.

– Za mną – polecił Hans-Dietrich, rozejrzawszy się jeszcze. Schował broń do kabury, a potem miarowym krokiem ruszył w kierunku windy. Dija Udin szybko udał się w ślad za nim.

– O co cały ten raban? – zapytał.

– Nie wiem.

– Oczywiście, że wiesz. Masz dostęp do systemów, a przejście z twojej kwatery do mojej zajęłoby ci znacznie mniej czasu. Po drodze sprawdziłeś, o co chodzi.

– Może.

– Nie jesteś specjalnie wylewnym człowiekiem.

Gerling nie odpowiedział. Prawdę powiedziawszy, Alhassanowi odpowiadał jego styl bycia. Gdyby cała ludzkość zachowywała się w podobny sposób, z pewnością udałoby się uniknąć kilku tragedii o biblijnych proporcjach.

– Idziemy do maszynowni?

– Tak.

– Twoja mrukliwość jest dla mnie wyzwaniem.

Hans-Dietrich otworzył włącz do windy.

– Za cel życiowy postawię sobie rozruszanie cię – dodał Alhassan, wchodząc za nim. – Nie zrozum mnie źle, podoba mi się to, że nie mieiesz ozorem jak poparzony.

Niemiec mruknął pod nosem.

– Chodzi po prostu o to, że traktuję to jak rzuconą rękawicę.

– Trudno.

Na niższy pokład dotarli w milczeniu, a potem przeszli do maszynowni. Sygnał dźwiękowy został wyłączony przez Gideona, który stał przy głównym pulpicie kontrolnym. Dija Udin omiół wzrokiem kilka wyświetlaczy i stwierdził, że nie dzieje się nic, co usprawiedliwiałoby cały ten hałas.

– Nudzi wam się?

W maszynowni znajdowali się już wszyscy załoganci – i wszyscy jak jeden mąż zignorowali jego pytanie.

– Co on tu robi? – zapytała Channary Sang.

– Było wezwanie stawiennictwa – odparł Hans-Dietrich.

– Ale nie dla niego.

– Dla całej załogi.

Alhassan przewrócił oczami.

– Pasujecie do siebie – ocenił. – Jak się kiedyś rozmnożycie, będą cudowne mruki. A teraz do rzeczy, co się dzieje?

Jaccard spojrział na Ellyse, najwyraźniej także czekając na wyjaśnienie. Dziewczyna wzięła się pod boki i zrobiła głęboki wdech.

– Przyszła wiadomość od Galileo. Nawiązali kontakt radiowy z Ziemią.

– Z Amalgamatem?

– Tak. Najwyraźniej to organizacja ponadnarodowa, która zrzesza wszystkich ocalałych na kontynencie afrykańskim.

– Klękajcie narody świata – bąknął Dija Udin. – Romanienko odkryła, dlaczego nazywają siebie Amalgamatem Afrykańskim.

– Zamknij się – wtrąciła Channary. – A ty mów dalej.

Nozomi opuściła ręce.

– Są gotowi przekazać nam wszystkie informacje, ale najpierw chcą spotkania na neutralnym gruncie. Zdaniem pułkownik nie są do nas nastawieni zbyt ufnie.

– Po tym, co usłyszeliśmy na Tristan da Cunha, my również nie będziemy tacy wobec nich – odparł Loïc.

– Ja tam od razu zapalałem do nich sympatią – zastrzegł Alhassan.

Załoganci udawali, że go nie słyszą.

– Romanienko twierdzi, że chcą spotkać się z trzyosobową delegacją – ciągnęła dalej Ellyse. – Żadnej broni.

Jaccard spojrział po podkomendnych, jakby już zastanawiał się, kogo wysłać.

– Zaproponowali także miejsce spotkania.

– Jakie? – zapytał Loïc.

– Port Sudan, na wybrzeżu Morza Czerwonego.

– To stamtąd odebraliśmy sygnał?

– Nie – odparła Ellyse, robiąc krok w kierunku wyświetlacza. Włączyła nagranie z przelotu, który wykonali wokół globu, a potem wybrała odpowiedni fragment. – Jedyne sygnał SOS ze stałego lądu dochodził z okolicy Morza Czarnego.

– No tak – przyznał Jaccard, a potem wbił wzrok w ekran. W miejscu wskazanym przez Amalgamat było jedynie wyjąłowane pustkowie. Brak śladów po jakiegokolwiek cywilizacji – natura zrobiła swoje z pomocą piachu i wiatru. Dija Udinowi przypominało to pogrzebaną cywilizację na Rah'ma'dul. Była to przyjemna myśl.

– Przeskanowałam ten teren jeszcze raz – kontynuowała Nozomi. – Wygląda na zupełne bezludzie. Żadnych oznak jakiegokolwiek aktywności.

– A jednak to nie neutralny teren – zauważył Hallford. – Jeśli Amalgamat rozciąga się na całą Afrykę, to także na dawne terytorium Sudanu.

– Przekazałam tę uwagę pułkownik.

– I?

– Jej rozmówca twierdził, że na północ od piętnastego równoleżnika jest wyłącznie pustynia.

– Na południe też, z tego co widzieliśmy – odparł Gideon.

Po tym, co Alhassan usłyszał od McAllistera, mógł ze stuprocentową pewnością uznać to za zasadzkę. Nie odzywał się jednak słowem, bo im mniej załogantów na Kennedym, tym większa szansa, że uda mu się skontaktować ze zwycięzcami *proelium*.

Zastanawiał się, kogo wyśle Jaccard – może Ellyse, jako że była najbardziej rozgarniętą osobą z tej grupy. Z drugiej strony Hallford miał największą wiedzę, a Channary Sang była najmniej przydatna, więc jej strata byłaby najmniej odczuwalna.

Jaccard cofnął nagranie do początku, po czym jeszcze raz skrupulatnie je przeanalizował. Gdy zwiększył kontrast, dostrzec można było ślady po uderzeniach na powierzchni. Potwierdzało to przypuszczenia o ataku orbitalnym, choć okrągłe kratery równie dobrze mogły powstać przez spadające kawałki asteroid.

– Wiemy coś jeszcze? – zapytał Loïc.

– Tylko tyle, że to ktoś z Ziemi nawiązał kontakt.

– Dlaczego akurat z Galileo?

– Nie z Galileo – odparła Ellyse. – Ustanowili połączenie z ISS Kartal, a tam szybko zapadła decyzja, by przekazać sygnał do pułkownik Romanienko.

Dija Udin z satysfakcją pomyślał, że Jaccardowi niełatwo będzie obalić hierarchię służbową. Hans-Dietrich wprawdzie szybko zmienił front, ale reszta może okazać się bardziej przywiązana do starych zasad.

Będzie co oglądać, skwitował w duchu.

– Galileo prosi o decyzję, kto od nas poleci – dodała Nozomi.

– Widzę tylko jedną możliwość – odparł Loïc, wskazując na siebie.

Dija Udin spodziewał się, że pojawią się protesty, a on będzie musiał przez kilka okrutnie długich chwil wysłuchiwać tego rzeżenia. Załoganci jednak mile go zaskoczyli. Spoglądali na dowódcę z dezaprobatą, ale nie odezwali się słowem. Musieli zdawać sobie sprawę z tego, że wysunie swoją kandydaturę – i będzie to decyzja ostateczna.

– Pułkownik podała koordynaty punktu zbornego – odezwała się Nozomi.

Jaccard skinął głową.

– Przekaż je do promu.

– Tak jest.

– I miejcie oko na to, co się tam dzieje – dodał major, ruszając ku korytarzowi. – Pod żadnym pozorem jednak nie macie pozwolenia na akcję ratunkową. Jasne?

Skinęli głowami, a potem odprowadzili go wzrokiem.

Dija Udin poniekąd mu zazdrościł. Sam chętnie przekonałby się, co wydarzyło się na Ziemi, i nawiązał kontakt z Amalgamatem. Czuł, że w jego szeregach znajdują się ludzie, z którymi szybko znajdzie wspólny język.

Jaccard posadził wahadłowiec tam, gdzie niegdyś mieściły się stłoczone na niewielkiej przestrzeni niskie budynki. Port Sudan miał wówczas półtora miliona mieszkańców – wielki

napływ nastąpił po konflikcie w basenie Morza Śródziemnego w 2093 roku. Budowano wtedy nowe blaszaki na potęgę, a miasto szybko przerodziło się w niezdatny do życia moloch.

Teraz był tu jedynie kurz. I trzy promy, które wylądowały niedaleko siebie.

Jaccard wyszedł ze swojego i skinął głową do pułkownik Romanienko. Brał pod uwagę, że to wszystko jest tylko fortem – sposobem, dzięki któremu Rosjanka pozbędzie się problemu, którym był dla niej Loïc.

Fakt, że osobiście się tu zjawiała, zdawał się świadczyć na korzyść tej tezy.

– Majorze – powitała go.

– Pani pułkownik.

Z trzeciego wahadłowca wyszedł postawny Hindus. Uśmiechnął się do Romanienko i nie ulegało wątpliwości, że dobrze się znali. Jaccard nawet go nie kojarzył – został oficerem na Kennedym dobre pół wieku po starcie Ara Maxima, a personel z tamtych statków z pewnością wcześniej miał okazję do spotkań.

– Miło cię widzieć – powitała go Wieronika, ściskając jego prawicę.

– Ciebie również. Cieszę się, że los oszczędził nas obydwójce.

Romanienko zbyła tę uwagę milczeniem, ale Jaccard bez trudu dostrzegł, że łączyło ich coś więcej niż tylko zwykła znajomość.

– Widziałeś coś po drodze?

– Sam piach i nieurodzajne ziemie.

– U mnie tak samo.

Loïc poczuł się nie na miejscu. Wreszcie pułkownik obróciła się do niego i wskazała na swojego rozmówcę.

– Sumit Gharami, oficer medyczny ISS Kartal.

Hindus wyciągnął rękę do Jaccarda.

– Loïc...

– Wiem doskonale, kim pan jest, majorze – przerwał mu Sumit. – Każdy z nas zna już prawie na pamięć biogramy wszystkich z pokładu Kennedy’ego.

– Słucham?

– Uratowaliście nas, czyż nie?

Major kiwnął głową, przemilczając to, że Romanienko najwyraźniej nie podzielała tej wdzięczności. Nie zdążyli zamienić więcej słów, gdyż usłyszeli rzeżący dźwięk, przywodzący na myśl stare silniki spalinowe. Zwróciwszy wzrok na południe, zobaczyli zbliżające się tumany kurzu.

Ustawili się w rzędzie, czekając na komitet powitalny.

– Mamy jakąś broń? – zapytał Jaccard.

– Nie – odparła Wieronika, jednak spojrzała pytająco na Hindusa.

– Ja nic nie zabrałem – zapewnił. – Stąpamy po zbyt kruchym lodzie.

W milczeniu czekali, aż pojazd się do nich zbliży. Po chwili Loïc mógł wyłowić go z chmury pyłu – był to trzyosobowy skuter, zasilany jakimś rodzajem wirnika. Unosił się kilkadziesiąt centymetrów nad ziemią i sprawiał niemal wrażenie antycznego.

W środku siedziała trójka czarnoskórych ludzi – dwaj mężczyźni i kobieta.

– Wygląda na to, że oni również są nieuzbrojeni – zauważył Sumit Gharami.

– Zobaczmy – odparł pod nosem Loïc.

Skuter zatrzymał się kilka metrów przed nimi, a tabuny kurzu pognały w ich stronę, na moment uniemożliwiając zobaczenie, co robią przybysze. Dopiero po chwili Jaccard dostrzegł, że wyszli z pojazdu.

Kobieta szła na przedzie, mężczyźni znajdowali się krok za nią. Nie spieszyło im się. Zbliżali się ostrożnie, wypatrując jakichkolwiek oznak zagrożenia. W końcu zatrzymali się przed delegacją z orbity.

– Jeśli zrobiliście coś wbrew ustaleniom, teraz jest pora, by mi o tym powiedzieć – odezwała się kobieta na powitanie. – Im dłużej będziecie zwlekać, tym boleśniejsza będzie kara.

Loïc stwierdził, że to niezbyt dobry początek spotkania.

– Nie jesteśmy uzbrojeni – odparła niechętnie Romanienko. – I w wahadłowcach nie ma innych ludzi.

– Świetnie.

Kobieta skinęła na swoich towarzyszy, a ci ruszyli w kierunku statków. Pułkownik obserwowała to z niepokojem, ale nie zaprotestowała. Zamiast tego dała krok w kierunku czarnoskórej, po czym przedstawiła siebie i podkomendnych.

– Meaza Endale – odparła przybyszka. – Pierwsza Namiestniczka Amalgamatu Afrykańskiego.

– Miło mi – odparł Jaccard i chciał powiedzieć więcej, ale pułkownik uniosła rękę. Zamilkł, wychodząc z założenia, że lepiej przełknąć tę małą zniewagę niż skompromitować się przed Namiestniczką.

Kobieta przyglądała się im z ciekawością, ale nie odzywała się słowem. Poczekała, aż jej podwładni sprawdzą promy, i dopiero wówczas zabrała głos:

– Powitanie was z powrotem na Ziemi jest dla mnie zaszczytem. – Skłoniła się lekko, ale nie było w tym geście nawet cienia sympatii. – Właściwie czuję się, jakbym miała do czynienia z zagubionymi krewnymi – dodała.

– Wzajemnie – odparł Sumit Gharami. – Sądziliśmy, że jesteśmy ostatnimi ocalałymi.

– Co tu się wydarzyło? – zapytała Wieronika.

Meaza westchnęła głęboko, spoglądając w niebo.

– Nic dobrego, jak widzicie – powiedziała. – Ale będzie czas i miejsce, by wam o tym wszystkim opowiedzieć. Z chęcią wysłucham także tych opowieści, które przybyły wraz z wami.

Loïc spojrział na oficer dowodzącą z zaskoczeniem. O ile wiedział, umowa była inna – spotkali się na neutralnym gruncie, by dokonać wymiany informacji. Nie było mowy

o żadnym innym czasie i miejscu. Tymczasem Wieronika posłusznie kiwnęła głową.

– Nie możemy pozostać tu zbyt długo – dodała Endale. – Na pustkowiach czasem krążą Padlinożercy.

– Padlinożercy? – zapytał Gharami.

– Tak ich nazywamy, jako że innej nazwy nie noszą. To grupa nomadów niepotrafiących przystosować się do życia w społeczeństwie.

– Doprawdy? – zapytał Jaccard.

Kobieta przytaknęła, jakby była to największa z oczywistości.

– Gdy podróżujemy w dużych grupach, nie ma to żadnego znaczenia – dodała. – Teraz jednak nasza liczebność pozostawia wiele do życzenia. Gdyby Padlinożercy zwiedzieli się, że stworzyliśmy im taką okazję, zaraz by się tu pojawili.

Loïcowi niespecjalnie podobał się kierunek, w którym zmierzała ta rozmowa. Przypuszczał, że za moment padnie propozycja, by zostawili swoje promy i udali się z Endale do jej... legowiska. Z jakiejś przyczyny to określenie wydało mu się odpowiednie.

– Uzyskacie odpowiedzi na wszystkie pytania, obiecuję – rzekła z pewnością w głosie.

– Ty również – odezwała się Romanienko.

– W takim razie czas, byście poszli ze mną. I zobaczyli stolicę Amalgamatu.

Meaza skinęła na swoich podwładnych, którzy zbliżyli się z pochylonymi głowami. Jeden minął ją i udał się do kolejnego wahadłowca, drugi nachylił się do niej i szepnął jej coś.

– Koordynaty zostały umieszczone w waszych systemach nawigacyjnych – oświadczyła.

– Słucham? – zapytał Jaccard. – Mieszaliście nam w komputerach pokładowych?

– Musieliśmy sami wprowadzić odpowiednie namiary.

Jeden z mężczyzn skinął głową.

– Technologia się zmieniała, ale jej podstawy pozostały – oznajmił.

– Nie podoba mi się to – mruknął major. – Wszystko to trochę mnie niepokoi, jeśli mam być szczery.

– Zapewniam, że...

– Może pani zapewniać, ile chce, Namiestniczko – przerwał jej. – Ja potrzebuję jednak gwarancji większych niż tylko słowa.

Uśmiechnęła się, jakby czekała na taki rozwój wypadków.

– Co pan proponuje, majorze? – zapytała.

Jaccard widział, że Romanienko chciała zaoponować, ale minął ją i zbliżył się do Endale. Spojrzał na nią z bliska. Miała delikatne, łagodne rysy twarzy, Loïc przypuszczał jednak, że stwarzają złudne wrażenie – w tej kobiecie drzemało zło.

– Proponuję wymianę posłów – odezwał się. – My polecimy z panią...

– Nie lubię być tak tytułowana przez przyjaciół.

Kiwnął głową.

– W takim razie polecimy z tobą, a twoi akolici udadzą się na Kennedy’ego w moim promie.

– Całkiem sensowna propozycja.

– Tylko takie formułuję.

– To się okaże – odparła z uśmiechem Meaza, a potem spojrzała pytająco na Wieronikę. – Jeśli twoja przełożona się zgadza, możemy zawrzeć układ.

Jaccard akurat przed tym zaoponowałby z wielką chęcią, ale znów zwyciężyło przekonanie, że nie warto urządzać przepychanek w obecności osoby, która wedle wszelkiego prawdopodobieństwa rządzi teraz całą Ziemią.

– Nie mam nic przeciwko – odezwała się pułkownik.

– Świetnie – odparła Endale, po czym zwróciła się do towarzyszy w języku, którego Loïc ni w ząb nie rozumiał. Najwyraźniej *lingua universalis* przestała wieść prym pośród narzeczy obecnych mieszkańców planety.

Nawet bez znajomości ich mowy Jaccard mógł jednak ocenić, że sługusi nie są zadowoleni z takiego obrotu spraw. Krzywili się, formułowali usłużnie obiekcje, ale ostatecznie puszczali głowy jak małe dzieci.

– Moi kompani niestety nie potrafią obsługiwać systemów sterowania – powiedziała z ostentacyjnym bólem w głosie Meaza. – Przedstawia to pewien problem.

– Przed chwilą radzili sobie wzorowo, wprowadzając dane do naszych komputerów – zauważył Loïc.

Romanienko posłała mu wrogie spojrzenie. Nie miał wątpliwości, że chętnie by mu przywaliła.

– Potrafią zaprogramować koordynaty, ale nie pilotować prom. Co dopiero zadokować go do jednego z waszych krążowników.

Zasadniczo trudno było odmówić jej logiki.

– Hindus poleci więc z wami – powiedział Jaccard, z zadowoleniem przekonując się, że zyskał inicjatywę w tej dynamicznej sytuacji.

Namiestniczka znów przeniosła pytający wzrok na Wieronikę – i zgodziła się na tę propozycję dopiero, gdy oficer skinęła głową. Sumit oponował, proponując, by to on zajął miejsce pułkownik, ale ostatecznie musiał wsiąść do wahadłowca razem z dwoma gośćmi.

Jaccard zasiadł za sterami jego statku, a Romanienko wróciła na pokład swojego. Po chwili oboje poderwali maszyny z piaszczystej powierzchni, rozwiewając tuman kurzu, który pozostawił po sobie odjeżdżający skuter. Loïc obserwował, jak Endale pędzi na południe, po czym uświadomił sobie, że nic tam nie ma. Absolutnie nic.

Na Ziemi nie było już żadnej cywilizowanej społeczności. Ludzkość żyła teraz jedynie pod powierzchnią planety.

Dija Udin z niedowierzaniem słuchał przekazu z wahadłowca dowódcy.

– Ten Hindus musi sobie, kurwa, żartować – powiedział, po czym prychnął śmiechem. – Ściąga tutaj dwóch żołnierzy z Amalgamatu? I to samych przybocznych jakiejś cesarzowej?

Zebrani w maszynowni byli równie skonsternowani, ale nikt się nie odezwał.

– Brzmi jak wymiana jeńców – dodał muzulmanin.

– Bez przesady – odezwała się Ellyse. – To całkiem rozsądne.

– O ile planujemy hekatombę.

Pokręciła głową, a pozostali spojrzeli na Alhassana protekcjonalnie. Łudzili się, że dokonana wymiana to gest zaufania, ale Dija Udin wiedział lepiej. Po tym, co usłyszał od McAllestarucha, był pewien, że Amalgamat jest w stanie poświęcić dwóch żołdaków, zyskując w zamian cennych jeńców.

Gdy dotarli na Kennedy'ego, nie miał wątpliwości, że tak w istocie jest. W oczach czarnoskórych dostrzegł, że są pogodzeni z losem.

Przyjęto ich w mesie ze wszelkimi honorami, ale goście nie byli zbyt wylewni – zasiadłszy na swoich miejscach, zamilkli, wbijając wzrok w gwiazdy widoczne przez iluminator.

– Dogadacie się wprost idealnie z Gerlingiem – ocenił Dija Udin i skinął porozumiewawczo do Niemca. Ten stał z rękoma założonymi na piersi i lustrował ich wzrokiem. Channary Sang ustawiła się w postawie zasadniczej obok niego, a cała reszta zajęła miejsca przy owalnym stole.

Alhassan przeniósł wzrok na Sumita Gharamiego.

– Po drodze też byli tacy komunikatywni?

– Obawiam się, że tak.

– Więc może zabijmy ich od razu i miejmy to z głowy.

Dopiero teraz jeden z przybyszów spojrzął na niego.

– W końcu i tak dojdzie do przelewu krwi, prawda? – zapytał z uśmiechem Dija Udin. – Wasza pani postara się po dobroci wydusić z naszych ludzi wszystko, co ją interesuje, a gdy jej się to nie uda, sięgnie po inne metody. Bardziej przekonujące.

Żaden z gości się nie odezwał.

– Tymczasem możecie podpowiedzieć nam, co tu się stało – ciągnął w najlepsze nawigator. – Bombardowanie orbitalne? Czy może sami na siebie sprowadziliście ten kataklizm?

– Dija Udin... – zaczęła Ellyse.

– Staram się tylko nawiązać rozmowę.

– Najwyraźniej bez skutku.

– To niech coś powiedzą. Cokolwiek, to się odczepię.

Milczeli, wpatrując się beznamietnie w bezkres kosmicznej pustki. W oddali widać było niezliczone białe punkciki, a gdzieś pośród nich znajdowała się planeta mająca dostęp do Terminala na Rah'ma'dul. Dija Udin zawiesił wzrok na najbliższym sąsiedztwie Układu Słonecznego i trwał tak przez chwilę, myśląc o tym, że prędzej czy później będzie musiał przedstawić załogantom prawdę o Håkonie.

Potem dostrzegł punkcik, który stopniowo stawał się coraz większy. Zmarszczył brwi, przyglądając mu się. Po chwili szturchnął siedzącego obok Gideona i wskazał na iluminator.

– Co to jest?

Główny mechanik również wbił wzrok w otwartą przestrzeń i przez moment nie odpowiadał.

– Wygląda, jakby gdzieś poszła supernowa – ocenił w końcu.

– Widywałem supernowe ze znacznie mniejszej odległości – odparł Alhassan. – To z pewnością nie jest jedna z nich.

– Więc co?

Dopiero teraz czarnoskórzy zaczęli sprawiać wrażenie, jakby byli czymś więcej niż tylko posągami. Wstali ze swoich miejsc, a potem popatrzyli znacząco na najstarszego stopniem oficera. Gideon nadal spoglądał na powiększający się punkt.

– Nie wygląda to dobrze – dodał Alhassan.

– Gdzie jest mostek? – odezwał się jeden z przybyszów.

– Nieczynny – odparł Dija Udin. – Co nie zmienia faktu, że dobrze byłoby rzucić okiem na odczyty z sensorów. Nie sądzisz, dowódcu?

Hallford kiwnął niedbale głową, a potem ruszył na korytarz. W ślad za nim poszła reszta.

– Może to jakiś okręt? – zapytała Ellyse.

– Z pewnością nie naturalny fenomen – odparł Alhassan. – Oprócz tego, że robi się coraz większy, sprawia wrażenie, jakby zmieniał trajektorię lotu.

– Inny ISS ocalał?

– Nie. Sam sprawdzałem, a potem śpiewałem jak poranny ptaszek na torturach, jeśli pamiętasz. Ja w każdym razie pamiętam doskonale.

Nozomi spojrzała na Hallforda.

– W takim razie Diamentowi – powiedziała.

– Nie popadajmy w pesymizm – odparł główny mechanik. – Sprawdzimy wszystko w maszynowni.

– Diamentowi? – odezwał się jeden z Afrykańczyków.

Dija Udin uniósł brwi i spojrzał na niego z uznaniem.

– Ale żeście się rozgadali. A ja powoli zaczynałem sądzić, że po tej apokalipsie cofnęliście się w rozwoju poza punkt, w którym ludzkość opanowała sztukę komunikacji.

– Kim są Diamentowi? – chciał się dowiedzieć czarnoskóry.

– Przyjazną rasą włochatych pociech.

– Dija Udin – zaapelowała do niego Ellyse, po czym zwróciła się do Afrykańczyka. – By odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba by tyle czasu, co na przedstawienie tego, co wydarzyło się na Ziemi.

– Czasu, którego nie mamy – dodał Alhassan. – Bo zaraz zginiemy.

Gdy weszli do windy, był pewien, że tak się stanie. Wszystko wskazywało na to, że w ich kierunku nadciąga statek – a w galaktycznej okolicy tylko jedna rasa wiedziała, że na

trzeciej planecie od Słońca istnieje życie. Diamentowi nie będą zadawać pytań ani wywoływać statków na orbicie. Gdy tylko Ziemianie znajdą się w zasięgu dział, oddadzą sześć salw. Po jednej na każdy ISS.

– Zmawiajcie swoje modlitwy – dodał Dija Udin, gdy winda dotarła na poziom maszynowni.

– Zamkniesz się w końcu? – zapytał Gideon.

– Nie mogę. Zawsze dużo gadam, jak się stresuję. Poza tym nie chcę odchodzić z tego świata w milczeniu.

Przeszli do maszynowni, a potem stanęli przed stanowiskiem głównego mechanika. Gideon zajął miejsce i aktywował pulpit.

– Niemożliwe... – powiedział.

– Co? Nie strzelają? – zapytał Dija Udin.

– Ellyse, sprawdź komunikację.

Nozomi dopadła do pierwszego lepszego panelu, po czym nawiązała połączenie ze swoim stanowiskiem na mostku. Przez moment wszyscy trwali w pełnej napięcia ciszy.

– Ale... – zaczęła i potrząsnęła głową.

– Masz ten sam odczyt?

– Sygnał... ta jednostka nadaje sygnał...

Dija Udin stwierdził w duchu, że się pomylił. Najwyraźniej Diamentowi mieli zamiar najpierw powiedzieć kilka słów, a dopiero potem zamienić sześć ziemskich statków w kosmiczny pył.

– Żądają, żebyśmy się poddali? – burknął.

– Niezupełnie – odparła trzęsącym się głosem Ellyse. – To nie wiadomość, ale zautomatyzowany sygnał ISS-ów.

Alhassan potrzebował chwili, żeby przyswoić tę wiadomość.

– Co powiedziałaś?

– Ktoś jeszcze przetrwał? – wtrąciła Channary Sang.

– Na to wygląda – odparła Nozomi mimochodem, skupiając się na odczytach z systemu. – Problem polega na tym, że nie mogę zweryfikować przesyłanego kodu. Coś musiało nawalić po ich stronie.

– Co? – zapytał Gideon.

– Ich tożsamość – wtrącił pod nosem Dija Udin. – Diamentowi nie potrafią zbyt dobrze udawać ludzi.

Zbyli jego uwagę milczeniem. Całkiem słusznie, stwierdził. Gdyby mieli do czynienia ze zwycięzcami *proelium*, nie mogłoby być mowy o fortelach. Diamentowi wpadliby tu przy akompaniamencie wybuchów i krzyków.

– Ellyse? – ponaglił ją Hallford. – Wszyscy czekamy na...

– Wygląda na ISS, ale nie mam potwierdzenia – ucięła. – Dopóki nie znajdą się bliżej, nic nie ustalę. – Odchyliła się i pokręciła głową, ostatecznie rezygnując z dalszych prób.

Alhassan wpatrywał się w obraz z kamery burtowej. Z tej odległości widać było jedynie refleks ze Słońca, który sprawiał, że okręt wyglądał jak jedna z gwiazd. Punktik stopniowo robił się coraz większy i Dija Udin przypuszczał, że jeśli utrzyma obecną prędkość, za kilkanaście minut będą mogli stwierdzić, kto nadlatuje.

– Nie można wykluczyć, że to inna rasa – dorzuciła Channary.

Dija Udin spojrział ukradkiem na dwóch przybyszy. Wprawdzie McAllister i reszta nie wspominali nic o kontakcie z obcymi cywilizacjami, ale przez kilkaset lat w okolicy mogło wiele się zmienić – a mieszkańcy Tristan da Cunha i tak żyli w niewiedzy.

– Hej, mruki – odezwał się. – Słyszeliście kiedyś o jakiejś pozaziemskiej cywilizacji, która urzędowałaby w sąsiedztwie?

Spojrzeli na niego ze spokojem, jakby spodziewali się tego pytania... więcej, jakby byli przygotowani, by zełgać mu w żywe oczy. Alhassan szybko odpędził tę myśl. Zadał retoryczne pytanie – oczywiście, że w okolicy nikogo nie było. Jego rasa sprawdzała takie rzeczy skrupulatnie, przeprowadzając przy tym długofalowe analizy rozwoju danych cywilizacji.

– Nie słyszeliście, o co pytał? – dodała Sang, sięgając do kabury.

Nie uszło to ich uwadze. Dwóch Afrykańczyków napięło mięśnie i przygotowało się do odparcia ataku. O ile nie mieli zakamuflowanej broni, Dija Udin nie wróżył im sukcesów.

Jeden z nich najwyraźniej był tego samego zdania, gdyż dał krok w przód i ruchem ręki uspokoił swojego towarzysza.

– Nigdy nie doszło do żadnego kontaktu – odezwał się.

– Dosyć ogłędne stwierdzenie – odparł Gideon.

– Źle się wyraziłem. Nigdy nie wykryliśmy żadnej obecności pośród gwiazd. Sam sygnał z waszych statków był dla nas nie lada wyzwaniem. Nie używamy już takiej technologii. Jak sami widzieliście, wszystkie satelity na wysokiej orbicie zostały zniszczone.

– Przez kogo? – zapytała Nozomi, nie odrywając wzroku od zbliżającego się punktu świetlnego.

– Nie mnie to oceniać – odparł czarnoskóry. – Teorii jest wiele, a wszystkie przedstawi waszym dowódcem Namiestniczka.

Dija Udin zagwizdał pod nosem.

– Pozazdrościć – powiedział. – Szkoda, że my się już niczego nie dowiemy.

Gdy wskazał na obcy statek, przekonali się, że ten zamiast zwolnić, zaczął przyspieszać. Po chwili dostrzegli kształt kadłuba, który nie przypominał Kennedy'ego ani innej jednostki jego klasy. Nie był także podobny do krążowników Diamentowych.

– Inna rasa musiała zbiec z *proelium*... – powiedziała słabo Ellyse.

– Niemożliwe – odparł Alhassan. – Ten numer z Lindbergiem i Ev'radatem mógł przejść tylko raz.

– A jednak to żadna ze znanych nam konfiguracji.

– I mimo to nadaje kod ISS?

Zaległo długie milczenie, podczas gdy obcy okręt pędził wprost na nich.

17

Jaccard posadził prom tuż obok miejsca, gdzie wylądowała Romanienko. Zerknął jeszcze na system komunikacyjny, ale najwyraźniej wahadłowiec z dwoma gośćmi nie dotarł jeszcze na Kennedy'ego. Major zrobił głęboki wdech, po czym wyłączył systemy. Teraz był zdany tylko na siebie.

Stanął przed włazem od hangaru i wcisnął kontrolkę na panelu. Gródź natychmiast się podniosła, a Loïc dostrzegł czekającą na zewnątrz pułkownik. Ruszył ku niej bez słowa.

– Wiem, co myślisz – odezwała się, gdy szli w kierunku opadającej chmury pyłu, zostawionej przez skuter. – Że piszemy się na śmierć.

– Może.

Chwyła go za ramię i zatrzymała. Jaccard zwalczył w sobie ochotę, by odtrącić jej rękę.

– Nie ma innego sposobu – powiedziała. – Albo okażemy sobie na wstępie zaufanie, albo możemy się pożegnać z pojednaniem między nami. A nie muszę ci chyba mówić, że to kluczowe dla całego gatunku ludzkiego.

– Pieprzy pani bzdury.

Przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar go spoliczkować. Ostatecznie jednak puściła jego ramię i ruszyła przed siebie. Meaza Endale już na nich czekała.

Loïc rozejrzał się po okolicy, ale nie dostrzegł wejścia do podziemnego kompleksu, który spodziewał się ujrzeć. Wiatr zawodził cicho, rozwiewając drobiny piasku, a w zasięgu wzroku nie było niczego, co wyróżniałoby się z równinnego krajobrazu.

– Dobrze się maskujecie – powiedział, gdy podeszli do Namiestniczki.

– To warunek przeżycia. Padlinożercy nie ustają w poszukiwaniu naszych miast.

– Miast? – zapytał Jaccard. – Sądziłem, że...

– Pozwólcie, że wam pokażę, zamiast opisywać.

Wyciągnęła z kieszeni niewielkiego pilota, a potem przyłożyła palec wskazujący do przycisku na środku. Odezwał się głos w nieznanym Loïcowi języku, a Endale natychmiast odpowiedziała. Wywiązała się krótka wymiana zdań – a w zasadzie hasłowych wypowiedzi, które musiały stanowić jakiś rodzaj procedury bezpieczeństwa.

Gdy Meaza skończyła, schowała urządzenie do kieszeni, a potem uśmiechnęła się do oficerów. Chwilę później rozpętała się wokół nich burza piaskowa – a raczej coś, co ją przypominało. Znajdowali się jakby w oku cyklonu, choć major nie czuł nawet lekkiego powiewu.

– Piach zakamufluje nasze pojazdy – oznajmiła Namiestniczka.

Metr dalej z ziemi wysunął się czarny panel. Endale podeszła do niego i wprowadziła kolejny kod. Po tym piaski rozstały się, ukazując wejście do kilkuosobowej windy.

– To jedno z wejść na terytorium Amalgamatu – wyjaśniła Meaza. – Mamy także szyby towarowe.

Loïc bezmyślnie kiwnął głową, gapiąc się na windę.

– Zapraszam – powiedziała Afrykanka, po czym sama weszła do środka. Dwójka oficerów stanęła obok niej, a potem kabina zamknęła się i popędziła w dół, nie czekając na jakiegokolwiek instrukcje.

– Jasna cholera – powiedział Jaccard, czując się, jakby spadał w przepaść z naprawdę wysokiej góry. – Mogliście zamontować tu jakieś stabilizatory...

– Pierwsza podróż zawsze jest najtrudniejsza. Kolejne zaczynają sprawiać przyjemność.

Majorowi trudno było w to uwierzyć. I najwyraźniej nie tylko jemu, bo gdy spojrzął na oficer dowodzącą, przekonał się, że ta zapiera się rękoma o ściany windy. Trzęsła się jak osika, zaciskając mocno powieki.

Warto było odbyć tę przejażdżkę, skwitował w duchu Loïc.

Kabina zatrzymała się z impetem na dole, a Wieronika sprawiała wrażenie, jakby miała pokazać światu, co na Galileo serwowano dziś na śniadanie.

– Witajcie w Nowym Gondarze.

Jaccard nie kojarzył nawet starego, ale przypuszczał, że to jedno z miast na niegdysiejszym terytorium Sudanu, Erytrei lub Etiopii. Nie lecieli daleko – zapewne głównie ze względu na ograniczone możliwości skutera. Winda zjeżdżała pod niewielkim kątem, więc nie mogli oddalić się zbyt od Port Sudan.

Gdy tylko Loïc przekroczył próg, zmienił zdanie. Wszystko było możliwe.

Znajdowali się na metalowym podwyższeniu, z którego roztaczał się widok na całe miasto. Nowy Gondar nie stanowił byle skupiska ludności – była to prawdziwa metropolia, rozświetlona jak Times Square w Wigilię. Major spodziewał się, że panować będzie tutaj duszna, industrialna atmosfera, ale nie mógł się bardziej pomylić. Powietrze było czyste i przejrzyste, a jak okiem sięgnąć nie widać było choćby namiastki smogu.

– Zapraszam – odezwała się Meaza, skinąwszy w kierunku metalowych schodów prowadzących w dół. – Czas, byście posilili się czymś naturalnym. Z pewnością długo funkcjonowaliście na sztucznych racjach żywieniowych.

Wieronika ruszyła we wskazanym kierunku, ale Loïc nadal obserwował miasto. Zabudowa była nienaturalnie wysoka – biorąc pod uwagę fakt, że znajdowali się pod ziemią. Budynek miały po kilkanaście pięter, część była całkowicie przeszklona. Miasto przywodziło na myśl ascetyczny, aptekarsko

zaprojektowany twór, który niewiele ma wspólnego z tym, jak można byłoby wyobrażać sobie koniec ludzkości.

– Jaccard – ponagliła go Romanienko, oglądając się przez ramię.

Skinał głową i ruszył za kobietami. W głowie kołatało mu co najmniej kilka pytań, które w świetle tego, co usłyszał od McAllistera, zdawały się na miejscu.

– Jak utrzymujecie tu porządek? – zapytał.

– Planując urbanistycznie z odpowiednim...

– Mam na myśli bezpieczeństwo.

– Ach. To robimy poprzez budowanie świadomości obywateli.

– To znaczy?

– Każdy mieszkaniec Amalgamatu zdaje sobie sprawę, że niesubordynacja wobec prawa prowadzi do chaosu i anarchii.

Spodziewał się usłyszeć coś podobnego. W rzeczywistości Nowy Gondar z pewnością dysponował wyspecjalizowanymi jednostkami odpowiedzialnymi za trzymanie mieszkańców w ryzach. Na zamkniętej przestrzeni, jakkolwiek ogromnej, w końcu musiało dojść do poważnych tarć.

– Utopia, co? – zapytał.

– W żadnym wypadku. Zdarzają się incydenty, ale...

– A powietrze? – przerwał jej, nie mając ochoty wysłuchiwać kolejnych bzdur. – Jak je filtrujecie?

Endale uśmiechnęła się, obnażając biel zębów.

– Długo was nie było – odparła wymijająco. – Wiele zmieniło się przez ten czas w technologii środowiskowej. Zresztą przy posiłku towarzyszyć nam będzie naukowiec, który odpowie na wszystkie wasze pytania. Ja nie czuję się kompetentna.

Gdy zeszli na dół, Jaccard nie mógł nie zauważyć, jak czyste są ulice. Nie miał pojęcia, co je pokrywa, ale materiał zdawał się wręcz wypolerowany.

Przechodzili między oszklonymi budynkami, a gdy tylko nawinął się jakiś mieszkaniec, natychmiast kornie chylił głowę przed Namiestniczką. Dla majora potwierdzało to wszystko, co

usłyszał w Edynburgu Siedmiu Mórz – dobrze potrafił odróżnić szacunek od strachu. Ci ludzie byli przerażeni. Być może on i Romanienko też powinni być.

– Hodujecie tutaj jedzenie? – zapytał z głupia frant.

– Nie. Od tego mamy społeczności na powierzchni.

– Mieszkańców wysp.

– Otóż to – odparła z uśmiechem Meaza, jakby była zadowolona, że Loïc wie więcej, niż sądziła.

– Odwiedziliśmy jedno z takich miejsc – dodał.

– Jaccard...

Endale uniosła dłoń, patrząc z sympatią na Romanienko.

– Tristan da Cunha – rzekła Namiestniczka. – Oczywiście byliśmy tego świadomi. Widzieliśmy także, że doszło tam do jakiegoś wypadku. Nie zarejestrowaliśmy jego przebiegu, ale wiemy, że zginął wasz załogant.

– Håkon Lindberg.

Gdy major powiedział to na głos, poczuł ukłucie winy. Był odpowiedzialny za to, co robili podkomendni – nawet jeśli wybierali się na samozwańczą misję, mając w głębokim poważaniu wszystko to, co stanowiło spoiwo załogi.

Z obecnej perspektywy wydawało się to nieco mniej szalone niż wcześniej. Dija Udin z pewnością miał większą wiedzę, niż był gotów przyznać. Skandynaw z pewnością zamierzał ją z niego wydobyć – tyle że nie poprzez tortury, ale modyfikację programowania.

Loïc pożałował, że wypadki nie potoczyły się inaczej.

– Niezwykle pechowa sytuacja – ciągnęła dalej Afrykanka. – Gdyby tylko udało nam się wcześniej nawiązać kontakt, moglibyśmy tego uniknąć.

– Bo z pewnością odradzilibyście składanie wizyt na wyspach.

– Oczywiście. Zamieszkują ją niemal dzikie plemiona.

– Mnie tamto nie wyglądało na dzikie.

Endale uśmiechnęła się pobłażliwie. Trudno było odmówić jej uroku, w dodatku jej gra była na tyle przekonująca, że major również miał ochotę odpowiedzieć uśmiechem. Zawodowa oszustka.

– Od wielu pokoleń żyjemy w symbiozie – dodała. – My zapewniamy im odpowiednią aparaturę medyczną, by mogli przetrwać na powierzchni, a oni odpłacają nam plonami i...

– Kiepski układ, skoro są zamknięci w swojej społeczności.

Romanienko posłała mu wrogie spojrzenie. Meaza zaś rozłożyła ręce i potoczyła wzrokiem wokół.

– A czyż my także nie jesteśmy? Każdy ma swoje własne okowy.

– Mimo wszystko...

– Miasta są ze sobą połączone, ale musimy uważnie kontrolować populację. Nieodpowiednie umiejscowienie danej rodziny czy błędnie wydane zezwolenie na dziecko mogą mieć katastrofalne skutki.

– Tak, tak – odbąknął Loïc. – Każda antyutopia ma to do siebie.

– Dalecy jesteśmy od antyutopii.

– W takim razie co to wszystko jest?

– Świat.

Wskazała na otwarte wejście do budynku po prawej. Wieronika natychmiast ruszyła do oszklonego holu, a Jaccard rozejrzał się jeszcze po ulicy. Wyglądało na to, że nikt ich nie śledzi ani nie pilnuje. Zadbano, by mieli złudne poczucie bezpieczeństwa.

– Zapraszam, majorze. Czeka na pana purée ziemniaczane z warzywami.

Ostatnia potrawa, jaką chciałby zjeść w tym nowym świecie. Po długich tygodniach przyjmowania papek witaminowych miał serdecznie dosyć podobnych konsystencji.

– Do tego serwujemy piwo.

– Piwo?

– Chmiel nie ma wielkich wymagań, gdy chodzi o uprawę – odparła z satysfakcją Namiestniczka. – Słońce, brak wiatru, żyzna gleba zasadowa... niewiele więcej mu trzeba do szczęścia. Na jednej z wysp występuje obficie.

Jaccard szybkim krokiem wszedł do holu. Endale zrzuciła z siebie wierzchnie okrycie, a oni zostali poprowadzeni przez dwie młode dziewczyny do sali jadalnej. Panował tutaj wystrój inspirowany chyba wszystkim, co znajdowało się na zewnątrz. Jedynymi kolorami były biel i szarość.

Zasiadłszy przy wąskim, długim stole, obserwowali, jak młodzi ludzie krzątają się po pomieszczeniu, znosząc ciemną zastawę i białe sztuce.

– Mają tu piwo – odezwał się Loïc.

Pułkownik go zignorowała.

– Przypuszczam, że zimne. Skoro potrafią filtrować powietrze, to...

– Zwariowałeś?

– Zwariuję, jak pociągnę pierwszy łyk.

– Zachowujesz się agresywnie.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Wolno mi. Przyleciałem tutaj z rubieży kosmosu.

– Tak ci wesoło?

Szczerze powiedziawszy, daleko mu było do śmiechu. Zreflektował się ze zdziwieniem, że chętniej widziałby obok siebie Dija Udina. W jakiś sposób skazaniec potrafił roztoczyć wokół siebie pozytywną aurę. Jaccard pokręcił głową, odrzucając tę myśl. Alhassan został zaprojektowany dokładnie w taki sposób. Jego celem było zjednywanie sobie sojuszników wśród ludzi.

– Nie tak buduje się zaufanie – narzeką dalej Wieronika.

– Nie?

– Ci ludzie nie okazali nam dotychczas nic poza uprzejmością.

– Czego nie można powiedzieć o tym, jak traktują mieszkańców Tristan da Cunha.

– Mają układ.

– Jednostronny.

Romanienko uśmiechnęła się do chłopaka, który podał im papkę ziemniaczaną, po czym posłała wrogie spojrzenie majorowi.

– Takie relacje wykształcili przez lata, nic ci do tego – dodała.

Widział, że chciała jeszcze go zrugać, ale do sali weszła Endale w towarzystwie podstarzałego Latynosa w drucianych okularach. Niechętnie spojrzał na gości, a potem na Namiestniczkę.

– Czy to konieczne? – odezwał się.

– Ci ludzie przeszli przez piekło, by znaleźć odpowiedzi na nurtujące ich pytania.

– Nie mogą odnaleźć ich gdzie indziej? – odbąknął starzec. – Jest tyle miejsc...

– Nie.

Stanowczość jej tonu sprawiła, że postanowił dłużej z nią nie polemizować. Westchnął, po czym zajął miejsce naprzeciwko dwójki gości.

– Juan Carlos – przedstawił się niechętnie. – Mam odpowiedzieć na wasze pytania. Ale bądźcie możliwie zwięzli w ich zadawaniu. Zostawiłem sporo rzeczy, którymi powinienem się teraz zajmować.

Jaccard patrzył na starca z niedowierzaniem. Ten poprawił okulary i spojrzał po oficerach.

– Pani jest wyższa stopniem, jak rozumiem.

– Skąd...

– Widzę oznaczenia na mundurze.

– Jest pan historykiem?

– Nie. Wystarczy, że nie jestem ślepcem. – Wskazał na czerwone patki. – Pani ma jedną gwiazdkę więcej niż pan.

A teraz bierzmy się do roboty. Co chcecie wiedzieć?

– Opowiedz im wszystko od początku – odezwała się Endale, siadając obok Latynosa. Ten spojrzał na nią z niedowierzaniem, spodziewając się, że zobaczy uśmiech.

– Nie mówi pani poważnie.

– Zabieraj się do roboty.

– *Dios mío...*

– Co spowodowało tę tragedię? – ponagliła go Wieronika.

Podciągnął rękawy, a potem położył łokcie na przezroczystym blacie. Ściągnawszy okulary, włożył je do kieszeni koszuli, a potem spojrzał na pułkownika spode łba.

– My.

– Jaśniej, Juan – skarciła go Meaza.

– Sami sprowadziliśmy na siebie zagładę – wyjaśnił. – Zresztą przypomnijcie sobie, co widzieliście przed wejściem do windy. Jak z pewnością zauważyliście, jesteśmy w stanie kontrolować warunki środowiskowe. W tym przypadku tylko lokalnie, ale...

– Terraformacja.

– Tego określenia używamy, choć chyba w waszych czasach odnoszono je do innych planet. Tak czy owak, brawo, kapitanie.

– Jestem majorem.

– Nie szkodzi. Tutaj to bez znaczenia.

Zasadniczo Jaccard był skłonny się z tym zgodzić.

– Dotarliśmy w rozwoju naszego gatunku do momentu, gdy planeta nie była w stanie dłużej spełniać naszych potrzeb – dodał Juan Carlos. – W dodatku... cóż, w końcu zbuntowała się z powodu nadmiernej eksploatacji.

Westchnął, jakby łatwo można było temu zapobiec, gdyby tylko ktoś taki jak on mógł wówczas decydować.

– Pokrywa lodowa Grenlandii zaczęła topnieć, na co oczywiście wszyscy byliśmy gotowi. Prawdziwe problemy zaczęły się, gdy musieliśmy przesiedlić gdzieś miliony ludzi

z terenów nadbrzeżnych. Nie muszę chyba dodawać, że o ile było to wykonalne fizycznie, o tyle politycznie stanowiło nie lada zagwozdkę. Implikacje przerażały wszystkich.

– I co się zdarzyło? – zapytała Romanienko.

– Przenieśliśmy ludzi z zagrożonych obszarów, ale było dla nas jasne, że jeśli nie zaczniemy terraformować naszej planety, w końcu wszystko rozegra się zgodnie ze scenariuszem, który ludzkość przerabiała już kilka razy. Wojny o każdy splotek ziemi, nienawiść, podziały i usuwanie wszystkich, którzy stają się nagle gorszym gatunkiem.

Jaccard nie był specjalnie zaskoczony. Nigdy nie uważał się za optymistę, gdy chodziło o przyszłość ludzkości. Wprawdzie nie wieszczył jej wytrzebienia w *proelium*, ale autodestrukcja wydawała mu się całkiem realną możliwością.

– Wraz z podnoszeniem się poziomu mórz znikają lądy, a w rezultacie zaczynało brakować nam surowców. Doprowadziło to do kilku międzynarodowych szczytów, na których ostatecznie zdecydowano się poszukać rozwiązania mającego zapobiec globalnemu konfliktowi. Wybrano ideę terraformacji. I skończyło się tak, jak się skończyło.

Loïc spodziewał się, że ówczesni politycy pójdą w innym kierunku. Najwyraźniej jednak byli zbyt przywiązani do swojego kawałka ziemi, by to zrobić.

– Mielście szansę na ratunek – odezwał się. – Mogliście wybrać którąś z planet Ara Maxima.

– Być może nie pamięta pan, że żaden ze statków...

– Doskonale pamiętam.

– No tak – burknął Latynos. – Był pan tam.

Jaccard uznał, że nie wymaga to odpowiedzi. Postępujące przez wieki zmiany klimatu w końcu zaprowadziły ludność Ziemi na skraj globalnej tragedii. Podjęto jedyną możliwą decyzję – należało sztucznie przywrócić poprzedni stan rzeczy. Zachwiano jednak naturalną równowagę, chciano oszukać

naturę po tym, jak latami zarzynano planetę. I widocznie ta postanowiła się zbuntować.

– Musiały istnieć inne możliwości niż zejście pod ziemię – dodał po chwili Loïc.

– Istniały – powiedział Juan Carlos. – Tylko żadna z nich nie gwarantowała przeżycia. Niech pan mnie źle nie zrozumie, ale wasza misja udowodniła nam wszystkim, że zamrożenie się i przemierzanie bezkresu kosmosu nie jest najlepszym pomysłem.

Przez chwilę jedli w milczeniu, patrząc jedynie na swoje dania.

– Rozumiem, że macie pewne wątpliwości – odezwała się Endale. – Pech chciał, że rozmawialiście najpierw z mieszkańcami Tristan da Cunha, którzy mogli dać wam błędny obraz sytuacji.

– Nie sądzę – odparł pod nosem Jaccard.

– Ci ludzie od lat nie dbają o zróżnicowaną bazę genetyczną. Wszyscy są ze sobą spokrewnieni, co nie przeszkadza im w rozmnażaniu się jak króliki. Robimy, co możemy, by to zjawisko ograniczyć, ale ma to swoją cenę. Jawimy się jako ci źli.

– Z tym nie będę polemizować.

– W odpowiednim czasie Juan Carlos przedstawi wam wszystko bardziej szczegółowo. Mamy trochę materiałów historycznych, które chciałabym, byście zobaczyli.

Loïc posłał jej błady uśmiech. Niespieszno mu było do oglądania tutejszej propagandy.

– Czego od nas oczekujecie? – zapytała Wieronika.

– Pełnej, obustronnej wymiany informacji, to jasne.

Pułkownik kiwnęła głową, odkładając sztucę.

– Tak, to akurat rzeczywiście jest jasne – wtrącił Loïc. – A co poza tym?

– Chcemy zacząć odbudowę Ziemi.

– Z naszą pomocą?

– Oczywiście. Jesteście jedyną nadzieją ludzkości – powiedziała z przejęciem Meaza. – Czekaliśmy na was od wielu pokoleń, choć nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. I wy w tej chwili chyba też sobie nie zdajecie.

– Raczej nie.

– Więc pozwólcie, że wyjaśnię – odparła, przyjaźnie się uśmiechając. – ISS Challenger może sprawić, że nie będziemy musieli dłużej kontrolować puli genetycznej. Pozostałe okręty mogą zadbać o to, by odbudowana ludzkość miała gdzie mieszkać.

– Skąd wiecie o...

– Mamy wszystkie zapisy z misji Ara Maxima. To istotne materiały historyczne.

– Oczywiście – mruknął Jaccard.

– Dzięki temu znamy też schematy statków i ich wyposażenie. Nasi technicy twierdzą, że z waszą pomocą uda im się przekształcić emitery cząstek na statkach kolonizacyjnych i...

– Znów terraformowanie?

– Nie – zaprzeczyła stanowczo. – Tym razem jedynie użyźnilibyśmy gleby i postawili domy, nic ponad to. Nie chcemy ingerować w samą planetę.

Oficerowie spojrzeli po sobie. Zasadniczo nie brzmiało to najgorzej – przynajmniej jeśli przymknąć oko na to, że według wyspiarzy w tych katakumbach mogła kwitnąć prawdziwa tyrania.

– Na koniec pierwszego etapu odbudowy świata chcielibyśmy posadzić wszystkie wasze statki na powierzchni – ciągnęła Endale. – Będą służyć nam za prowizoryczne domostwa, dopóki nie postawimy swoich.

– Sensowne rozwiązanie – odezwała się ku zaskoczeniu Jaccarda Romanienko.

– Drugi etap będzie polegał na ściągnięciu tutaj tych, którzy się zbuntowali.

Loïc wbił wzrok w oczy Namiestniczki.

– Kogo? – zapytał.

– Tych, którzy przyjęli inne rozwiązanie niż zejście pod ziemię.

– A jaśniej?

Meaza znów się rozpromieniła.

– Ależ oczywiście – odparła. – Mam na myśli tych, którzy kilkaset lat temu zdecydowali się opuścić planetę i poszukać innego miejsca dla siebie.

18

Ellyse wpatrywała się w sygnał świadczący o tym, że zbliża się do nich jednostka ISS. Kod transpondera był nieznany, ale sama technologia, a także prefiks były zgodne z systemami na Kennedym i każdym innym okręcie.

A mimo to statek przywodził na myśl raczej technologię obcej, a nie ziemskiej cywilizacji.

– Niech to kutas smagnie – ocenił Dija Udin. – Widzę oznaczenie na poszyciu.

Nozomi jeszcze nie potrafiła go dostrzec. Sam kadłub przypominał kształtem literę „V”, której otwarta część stanowić musiała przód okrętu.

– Co tam jest napisane? – zapytał Gideon.

– NISS Yorktown.

– Ale jak...

– Próbowalaś skontaktować się z pułkownik? – zapytał Sumit Gharami.

– Nie – odparła Ellyse. – Ale z majorem tak. Nikt nie odpowiada, a systemy wykryły burzę piaskową w miejscu lądowania. Cokolwiek się tam dzieje, nic nie zobaczymy.

– I co z tego? – wtrącił entuzjastycznie Dija Udin. – Mamy na czym oko zawiesić.

Nozomi nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż ze zbliżającej się jednostki doszedł sygnał świadczący o próbie nawiązania połączenia wizualnego. Ellyse otworzyła usta, a potem wskazała informację Gideonowi.

– Łącz z nimi – powiedział, prostując się.

Przeciągnęła palcem po wyświetlaczu, a potem wszyscy ujrzeli mężczyznę w grafitowym mundurze. Na jego piersi widniały białe odznaki, a wzdłuż rękawów biegło kilka jasnych linii. Oczy żołnierza przywodziły na myśl człowieka przygotowującego się do Halloween – były przenikliwie czerwone niczym u bestii.

– Kontradmirał Stephen Ingo Freed, głównodowodzący NISS Yorktown – oznajmił beznamiętnie. – ISS Kennedy, jak mniemam?

Załoga rzeczonożego okrętu milczała, wpatrując się w błyszczące czerwone ślepie.

– Gideon Hallford – wydusił z siebie główny mechanik. – Jak... jak to możliwe?

– Odpowiedź na to pytanie zajmie nam trochę czasu.

– Co ty powiesz? – mruknął Dija Udin tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

– Nasze systemy nie są kompatybilne, ale jeśli macie w hangarze prom kapitański, powinniśmy dostosować do niego procedurę dokowania. Zapraszam na pokład.

To rzekłszy, nagle się rozłączył. Ellyse machinalnie sprawdziła, czy nie nastąpiło przerwanie transmisji. W maszynowni zaległa pełna konsternacji cisza, która trwała aż do momentu, gdy pojawiła się pierwsza hipoteza. Za nią poszły kolejne i po chwili załoganci już się przekrzykiwali, usiłując wyjaśnić sytuację. W końcu Gideon uniósł dłoń i poczekał, aż reszta się uciszy.

– W ciągu kilkuset lat mogło zdarzyć się prawie wszystko – powiedział. – Czy na powierzchni, czy w kosmosie. Nie będziemy gdybać.

– Tym bardziej że odpowiedzi czekają – poparł go Hindus.

– I zamierzam się po nie udać.

– Z taką gębą? – wtrącił Alhassan, wskazując na poharatane przez konchę oblicze. – Nie zrozum mnie źle, ale przywodzisz na myśl gorgonę, a to nie nastroi nikogo dobrze przy pierwszym kontakcie.

– Więc powinniśmy wysłać ciebie? – odbąknął Hallford. – Mistrza elegancji i wirtuoza dobrych manier?

Dija Udin skłonił się w pas.

– Wystarczy tego – zabrał głos Hans-Dietrich Gerling, przypominając całej reszcie o swojej obecności. Ellyse była gotowa przysiąc, że postawny Niemiec gdzieś znikł.

– To żyje – zauważył Dija Udin.

– Czekamy na rozkazy, dowódco – odparł beznamiętnym tonem Hans-Dietrich, patrząc na Gideona. Ciężar tej uwagi był tak duży, że wszyscy poczuli go na swoich barkach. Skupili wzrok na głównym mechaniku, a ten odchrząknął.

– Ja, Ellyse i...

– Musisz tu zostać – ucięła Nozomi. – Nie możemy ryzykować.

– Czym? W tej sytuacji nie ma sensu chronić najwyższych stopniem oficerów.

– Ale jest sens w chronieniu tego, który wie co nieco na temat konchy.

– Obawiam się, że to także...

– Zrób to dla mnie, Gideon. Zostań na pokładzie.

Chwilę trwało, nim udało jej się przekonać kocmołucha. W sukurs przyszła jej Channary Sang, twierdząc, że mimo wszystko należy chronić dowódcę okrętu. Skoro jeden znajdował się na powierzchni, i to w sytuacji potencjalnego zagrożenia, drugi musiał zostać na miejscu.

– Polecę z Dija Udinem – powiedziała Ellyse.

– Co takiego? – odezwał się Alhassan. – Nie ma...

– Wykluczone – wtrącił Hallford. – Ten zbrodniarz i tak zrobił już za dużo.

– Zgadzam się – odparł Dija Udin. – Powinienem siedzieć w bezpiecznym miejscu na Kennedym i...

Ellyse podniosła się ze swojego miejsca i stanęła przed Gideonem.

– Posłuchaj – zaczęła. – Yorktown nie pojawił się tutaj przypadkiem akurat teraz.

– Nie?

– Byłby to nieprawdopodobny zbieg okoliczności.

– Takie się zdarzają.

– Mhm, jak często? – odparła, uśmiechając się pod nosem. – Wydaje mi się niemożliwe, że ten okręt pojawił się tutaj przypadkowo akurat po tym, jak wróciły ocalałe statki Ara Maxima.

– Więc twierdzisz, że co? Że osiedlili się gdzieś w okolicy? Że po prostu nas wykryli?

– Tak.

– Gdziekolwiek znajduje się ich planeta, nigdy nie dotarliby tu tak szybko. Najbliższa jest Alpha Centauri Bb, z której podróż zajęłaby im ponad pięć lat.

– Otóż to – powiedziała Nozomi. – Wiesz, co to znaczy?

Nie odpowiedział, bo pytanie było retoryczne. Jeśli Ellyse miała rację, ci ludzie mogli dysponować technologią pozwalającą poruszać się szybciej od światła. W takim wypadku planety, do których prowadziły tunele z Rah'ma'dul, byłyby na wyciągnięcie ręki.

– Ostudź entuzjazm – wtrąciła Channary Sang. – Równie dobrze mogą być czujką.

Ellyse spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Może zostawili ukryty statek, by miał oko na Ziemię.

– Nie sądzę.

– Możesz sądzić, co ci się tylko podoba, ale miej świadomość, że jesteś teraz podatna na myślenie życzeniowe.

– Przekonamy się.

– Dosyć tego – uciął w końcu Gideon. – Wszystkie odpowiedzi czekają na nas na Yorktown. Ellyse, polecisz tam z...

– Już powiedziałam, kto będzie mi towarzyszył – zaoponowała. – Jeśli na tym statku jest napęd ponadświatlny, potrzebuję Alhassana, by rzucił na niego okiem.

– Bzdura – odparł główny zainteresowany.

– Choć raz się z nim zgodzę – dodał Hallford.

Ellyse nie miała zamiaru odpuszczać.

– W takim razie wyślij kogoś innego, bo ja bez Dija Udina się nie ruszam. Cokolwiek by o nim mówić, jest najbardziej obeznany w zaawansowanej technologii. Tylko on może stwierdzić, co tak naprawdę znajduje się na pokładzie tej jednostki.

– Węszysz podstęp? – zapytała Sang.

– Nie wiem. Dlatego chcę go mieć ze sobą.

Wymagało to jeszcze trochę przekonywania, ale ostatecznie Nozomi udało się przeforsować swoją wersję. Każdy argument, który podniosła, wydawał jej się sensowny – ale żaden z nich nie był głównym powodem, dla którego chciała zabrać Alhassana. Była przekonana, że to świetna okazja, by przekonać się, z jakiej gliny został ulepiony. I jeśli odpowiednio to rozegra, być może uda jej się odpowiednio go urobić.

– Nie bierzesz jednej rzeczy pod uwagę – powiedział Dija Udin, gdy Gideon wreszcie zdawał się przekonany. – Mogę wymordować wszystkich na pokładzie, a potem skorzystać z ansibla.

– To samo mógłbyś zrobić tutaj, gdybyś potrafił. Przypuszczam, że na Yorktown będą pilnować cię znacznie skrupulatniej niż my tutaj. Z pewnością nie dopuszczą do jakichkolwiek systemów ani mnie, ani ciebie.

– Wybaczcie, że się włączę – wtrącił Sumit Gharami. – Ale wydaje mi się, że wszyscy zapominacie o winach tego człowieka.

– Taki ze mnie człowiek, jak z ciebie Chińczyk.

– Rzeczywiście. A jednak łatwo cię z nim pomylić, i do tego właśnie dążę. Wszyscy powinniśmy zastanowić się dwa razy, zanim dokądkolwiek cię wyślemy. I mam na myśli naprawdę „dokądkolwiek”.

– Słuszna uwaga – odparł Dija Udin. – Nawet w kiblu potrafię być niebezpieczny. Szczególnie po ostatnich papkach, które mi daliście.

Zapadło chwilowe milczenie, które Ellyse skwitowała pobłażliwym uśmiechem. Doceniła, że Alhassan nie pociągnął tego tematu.

– Ja postawiłam sprawę jasno – odezwała się, patrząc na Gideona. – Jeśli chcesz mnie tam wysłać, lecę z Dija Udinem.

Chwilę później siedzieli przy sterach promu kapitańskiego, czekając, aż otworzy się wjazd hangaru.

19

Po kilku godzinach rozmów Jaccard był pewien, że omówili wszystko, co mogłoby okazać się ważne w nadchodzącej przyszłości. Nadal istniało spore prawdopodobieństwo, że cała ta konstrukcja zawali się przy pierwszej oznace tutejszego totalitaryzmu, ale nie widział innego wyjścia.

Wraz z Romanienko opuścili podziemia tą samą windą, która wcześniej dostarczyła im niezapomnianych przeżyć. Pod tym względem jazda w górę nie różniła się specjalnie od podróży w dół.

Na zewnątrz nadal szalała burza piaskowa, w której środku panował spokój.

– Nie wiem, czy mądrze postępujemy – odezwał się Loïc.

– Zostaw to mnie.

– Nie zamierzam – odparł. – Nie wyglądasz mi na osobę, która potrafiłaby udźwignąć ten ciężar.

– Kiedy przeszliśmy na ty?

– W momencie, gdy wypowiedziałem ci posłuszeństwo.

Zatrzymali się przed pierwszym promem i spojrzeli na siebie.

– Będzie czas, żeby o tym porozmawiać.

– Wątpię – odparł Jaccard. – Jak tylko posadzimy statki i zabierzemy się do budowania nowego ładu, urządzimy sobie tu demokratyczne wybory. Warunek będzie jeden: wszyscy załoganci mundury zostawiają na swoich okrętach.

– To byłoby szaleństwo.

Loïc uznał, że nie ma sensu wałkować tego tematu. Ostatecznie decyzja i tak będzie należała do ogółu ludności – a on wieki temu przestał cenić wojskowych w roli przywódców politycznych.

– Tak czy inaczej, zgadzamy się, że należy lądować.

– Zgadzamy, bo nie widzę innej możliwości.

– Słusznie.

– Co nie znaczy, że jestem pełen zaufania jak ty.

Pułkownik Romanienko zbliżyła się do niego o krok, nie odrywając wzroku od jego oczu.

– Wolałabym jednak, gdybyś jeszcze przez jakiś czas szanował zasady, które cię ukształtowały jako oficera.

– A ja bym wolał, żebyśmy dali sobie spokój z tą szaradą.

Chwila mierzenia się wzrokiem wystarczyła, by zrozumieli, że nigdy się nie dogadają. Jaccard ledwo zauważalnie skinął głową Wieronice, a potem udał się do wahadłowca. Nie zatrzymywała go.

Od razu sprawdził komunikaty z Kennedy'ego. Z niepokojem zarejestrował, że Ellyse usilnie starała się z nim skontaktować. Natychmiast wywołał swój okręt, ale bezskutecznie.

Spojrzał przed siebie i szybko pomiarkował, że burza musi zakłócać komunikację. Zresztą na odchodnym mieszkańcy radzili, by nie podrywać statków, dopóki system do końca się nie wyłączy.

Teraz wir piaskowy nad pustynią powoli słabł, więc Loïc spróbował jeszcze raz skomunikować się z Kennedym. Tym razem się udało.

– Dobrze pana widzieć – odezwał się Gideon. – Spotkała nas pewna... niespodzianka.

Jakby jeszcze mało ich było, skwitował w duchu dowódca.

– O ile mogę to tak nazwać – ciągnął dalej Hallford. – Na orbicie okołozemskiej pojawił się kolejny okręt.

– Słucham?

– NISS Yorktown.

– Pierwsze słyszę o takiej jednostce.

– Nic dziwnego, bo nie wchodziła w skład Ara Maxima.

Jaccard ściągnął brwi, patrząc na głównego mechanika. Ten potrzebował chwili, by wyjaśnić mu, co działo się pod jego nieobecność. Tymczasem Loïc kątem oka dostrzegł, że kurz opadł i po zamieci nie było już śladu. Prom Romanienko wykonał pionowy start i oddalał się teraz w kierunku Galileo. Pułkownik z pewnością otrzymała te same informacje, lecz zareagowała szybciej.

Nadal słuchając Gideona, Jaccard wprowadził odpowiednie koordynaty i włączył autopilota. Gdy unosił się znad jałowej ziemi, dostrzegł w oddali kilka pojazdów przypominających motocykle. Nie jednak najnowsze znane mu modele z cienkimi oponami, ale raczej wersję retro harleya-davidsona.

Jeźdźcy mieli na sobie czarne kombinezony, a ich twarze przesłaniały chusty. Jaccard sądził, że nieomal natknął się na Padlinożerców.

– Panie majorze?

– Tak, tak – odparł bezwiednie. – Wszystko słyszałem. Niewiarygodne.

– Co najmniej. Na dole też takie dziwactwa?
– Obawiam się, że tak.
– W takim razie czekamy na pańską relację.
– Przedstawię wam ją, jak tylko ogarnę umysłem sytuację – odparł Loïc, wbijając wzrok w obiektyw. – I mówisz, że wysłaliście tam Ellyse i Dija Udina? Kto to wymyślił?
– Ona, panie majorze.
– Powinienem się tego spodziewać.
– To prawda. Dziewczyna ma nie mniejszą fantazję niż jej Skandynaw.

Jaccard wrócił myślami do poległego podkomendnego. Jeśli ten okręt rzeczywiście umożliwiał przekraczanie prędkości światła, szanse na uratowanie Håkona znacznie by wzrosły. Major nadal jednak nie był pewien, czy byłby gotów ryzykować życie kogokolwiek ze swoich ludzi – a tym bardziej, czy dowódca Yorktown będzie gotów stawiać swoją załogę w sytuacji zagrożenia.

Wiedział, że powinien choćby spróbować. Był to winny Lindbergowi.

– Macie jakiś kontakt?
– Nie, panie majorze. Ostatnia informacja mówiła, że zadokowali do Yorktown i opuścili wahadłowiec.

Loïc skinął lekko głową, głośno wzdychając. Chciałby tam być.

20

Ellyse stanęła przed włazem i zaczerpnęła tchu. Metaliczny chrzęst zwiastował, że wejście do promu automatycznie się odblokowało – po drugiej stronie była atmosfera.

– Jesteś pewna, że chcemy to zrobić? – zapytał Dija Udin. – Ci ludzie mogą nie mieć wiele wspólnego z tymi, którzy wychowali się w ciepełku waszego Słońca.

– Nie panikuj.

Alhassan spojrział na nią z niedowierzaniem.

– Widziałaś oczy tego faceta?

– Miał jakiegoś rodzaju soczewki. Może dzięki nim kontroluje systemy okrętowe.

– Z całą pewnością.

– Już mówiono o takiej technologii, kiedy opuszczałam Ziemię.

– A mnie bardziej prawdopodobne wydaje się, że to jakiś demon. Ta grupka przeżyła, bo zawiązała pakt z siłami nieczystymi. A jednym z jego punktów było wybicie nas w pień.

– Więc macie coś wspólnego.

Dija Udin zaśmiał się, a potem wcisnął kontrolkę otwierającą właz. Ten odsunął się ze świstem, ukazując futurystyczny hangar. Ściany emanowały delikatnym światłem i wszystkie zdawały się zupełnie jednolite. Żadnych paneli, pulpity, wyświetlaczy... ani drzwi. Dopiero po chwili Nozomi dostrzegła czarne linie i symbole, które musiały być nieaktywnymi systemami.

– Jestem zawiedziony – odezwał się Alhassan. – Nie dość, że mają tu jak w szpitalu, to jeszcze nie ma komitetu powitalnego. Beznadziejna sprawa.

– Widziałeś kiedyś coś takiego?

– Hę?

– Spotkałeś się z taką technologią?

– A co ja jestem, znawca kosmosu?

– O ile wiem, jesteś na tym świecie od dobrych kilku wieków.

– Ale kiblowałem na zadupiu znanego wszechświata – odparł i wzruszył ramionami. Ellyse nie zdążyła odpowiedzieć, gdyż otworzyły się drzwi prowadzące na korytarz. Zasadniczo można było powiedzieć, że ściany się rozsunęły.

Przez lukę przeszedł mężczyzna, który nawiązał z nimi kontakt.

– Witam na Yorktown, chorąży...

Urwał, gdy zobaczył Dija Udina. Mimo że Ingo Freed pochodził zasadniczo z innej cywilizacji, Nozomi bez trudu zinterpretowała wyraz jego twarzy. Uniósł brwi, mimowolnie otworzył usta, a potem cofnął się niemal niezauważalnie. Czerwone ślepia patrzyły na Alhassana z przerażeniem i nienawiścią.

– Co jest, do cholery? – zapytał Dija Udin.

Zanim Ellyse zdążyła się zastanowić, Stephen Ingo Freed wyciągnął niewielkie urządzenie i wcisnął przycisk na boku. Broń mogła się różnić od tej, którą znała Nozomi, ale była równie uniwersalna jak mimika.

Wiązka pomknęła w ich kierunku i trafiwszy Dija Udina prosto w pierś, rozeszła się pajęczyną po całym jego ciele. Alhassan wywrócił oczami i padł bezwładnie na podłogę. Ellyse uniosła ręce, sądząc, że będzie następna.

– Kim wy jesteście? – zapytał Ingo Freed.

– My...

– Ściągnęliście tutaj to... to coś? Na Ziemię?

Wycelował w nią broń, a potem pociągnął za spust.

ROZDZIAŁ 2

1

Dija Udin obudził się z bólem głowy, który normalnie wywoływała mieszanka whisky, piwa i wina. Bywało, że na początku dwudziestego wieku budził się tak co rano. Szczególnie gdy mieszkał w Seattle – prohibicja była doskonałym pretekstem do wzmożonego picia, w którym nie przeszkadzał mu nawet islam. Największy kac z tamtych czasów nie był jednak w stanie równać się z tym, jak teraz się czuł. Z trudem podniósł powieki i powiódł wzrokiem wokół. Dostrzegł, że w niewielkim pomieszczeniu znajduje się z nim Ellyse.

– Gdzie jesteśmy? – zapytał.

Wyglądała lepiej niż on – jakby pomieszała tylko whisky i piwo.

– Nie wiem.

– Odpłynęłaś zaraz po mnie?

– Nie ma sensu sięgać po eufemizmy – odbąknęła. Była nabuzowana, naprawdę nabuzowana. Dija Udin potrafił rozpoznać naprawdę nabuzowaną kobietę. Był to element instynktu samozachowawczego, który mu zaprogramowano. – Strzelili do ciebie, a potem do mnie. I dzięki temu wiemy dokładnie, kto wpędził nas w to bagno.

Alhassan wzruszył ramionami.

– Wybacz – powiedział. – Czasem takie rzeczy mi się przytrafiają.

– Skąd ci ludzie w ogóle cię kojarzą?

– A ja wiem? Pierwszy raz w życiu widziałem te czerwone gały.

Ellyse przez moment milczała, rozglądając się po celi. Podobnie jak w hangarze, ściany były tutaj jednolite. Nie rokowało to najlepiej w kwestii ucieczki.

– Najpewniej spotkali któregoś z moich braci – odezwał się pod nosem Dija Udin.

– Ilu was jest?

– Całkiem sporo.

Westchnęła, nie drażąc tematu. Musiała wiedzieć, że byłaby to jedynie strata czasu.

– I nie wiesz, dlaczego jeden z was mógłby kontaktować się z załogą Yorktown?

– Nie mam pojęcia.

– Więc pomyśl nad tym.

– Staram się, ale czuję, jakbym oberwał naprawdę porządnym obuchem. Trudno mi zebrać myśli.

– Postaraj się – odparła przez zęby.

Dija Udin z trudem się podniósł, a potem usiadł obok niej. Kręciło mu się w głowie, a w uszach szumiało. Uznał, że chyba nie jest jeszcze na etapie kaca. Dopiero trzeźwiał.

– Obawiam się, że nawet w pełni sił nic nie wymyślę – powiedział. – Jak się być może orientujesz, byłem przez kilkaset lat w kriostazie i sporo mogło mnie ominąć.

Ellyse obróciła się do niego.

– Zastanów się – powiedziała. – Co zrobiliby twoi ludzie, gdyby dowiedzieli się, że Diamentowi wygrali *proelium*, a kilka ziemskich statków zbiegło z pola walki?

– Wsparliby Diamentowych. A ci znaleźliby wszystkich i wybili co do jednego. Nikt nie wysyłałby im na spotkanie któregoś z moich braci.

Nozomi skinęła głową, po czym przeniosła wzrok na przeciwległą ścianę. Trwała tak przez moment, jakby

analizowała i odrzucała kolejne scenariusze, poszukując tego właściwego.

– Nie szarp się – powiedział Alhassan. – I tak nic nie wymyślisz.

– Możliwe, że mieli swojego Dija Udina? – zapytała, ignorując go.

– Z pewnością nie takiego jak wy. Dija Udin jest jedyny w swoim rodzaju.

– Pytam poważnie.

Przestał się szczerzyć, wychodząc z założenia, że tak będzie mu łatwiej do niej dotrzeć.

– Nie bierzesz pod uwagę rzeczy oczywistej – odparł. – Ci ludzie pojawili się już po zakończeniu *proelium*. Opuścili Ziemię, gdy ta stawała się niezdatna do życia. Żadna z prastarych ras nie mogła się nimi interesować.

– A jednak kojarzą twoją zakazaną facjatę.

– Może widzieli mnie w jakichś fantomatach grozy.

– I znienawidzili na tyle, żeby od razu walić do ciebie z broni, bez zadawania pytań?

Dija Udin wzruszył ramionami. Ellyse jeszcze przez chwilę gdybała w najlepsze, po czym zamilkła jak grób. Drzwi do celi otworzyły się bezszelestnie i pojawił się w niej Ingo Freed. Spojrzał na Alhassana z obrzydzeniem, po czym skinął na Nozomi.

– Pójdiesz ze mną, chorąży.

Ellyse spojrzała na Dija Udina, a potem podniosła się i ruszyła za kontradmirałem.

– Cokolwiek ona usłyszy, ja też powinienem – zaproponował Alhassan, z trudem wstając. Mężczyzna zatrzymał się w progu i zacisnął pięści. Dija Udin uświadomił sobie, że facet robi wszystko, by nie zabić go na miejscu. Czymkolwiek podpadł im jeden z jego braci, najwyraźniej należało to do spraw dużego kalibru.

– Postawię sprawę jasno – odezwał się Stephen. – Jeśli usłyszę jeszcze choćby słowo z twoich ust, rozerwę ci szczękę. Rozumiesz?

Alhassan nie musiał widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że ponownie odmalowała się na niej nienawiść. W milczeniu czekał, aż dwójka ludzi opuści karcer, a potem z ulgą wypuścił powietrze i opadł na podłogę.

Miał nadzieję, że Ellyse wytłumaczy im sytuację. Wyjaśni, że jest on tylko jedną z wielu podobnych mu jednostek i nie może ponosić odpowiedzialności za to, co robią inni.

– Dacie coś do jedzenia? – zapytał, tocząc wzrokiem wokół.

Nikt mu nie odpowiedział. I nikt nie odpowiadał przez następne godziny, które były dla niego katorgą. Z każdą upływającą minutą utwierdzał się w przekonaniu, że Nozomi nie uda się przekonać kontradmirała.

Wstał i zaczął przechadzać się po niewielkim pomieszczeniu. Szukał obiektywu, z którego na niego spoglądają, ale szybko uznał, że to bez sensu. Równie dobrze mogli siedzieć za którąś ze ścian i analizować jego zachowanie.

– Banda niecywilizowanych prostaków – powiedział, obracając się wokół. – Mam prawo do humanitarnego traktowania!

Jak przy każdej poprzedniej próbie, tak i teraz nikt mu nie odpowiedział. Dija Udin sklął swoich oprawców pod nosem, po czym usiadł przy ścianie i zwiesił głowę. Nie było niczego, co mógłby zrobić. Pozostawało liczyć na to, że Nozomi uda się dokonać cudu.

2

Ellyse poprowadzono długim, wąskim korytarzem na mostek. Gdy tylko otworzyła się gródź, widziała już, że tutejsze centrum dowodzenia nie może bardziej różnić się od tego,

które znała z ISS-ów. Kennedy'ego od Accipitera i reszty dzieliło pół wieku, ale przy tych systemach robił wrażenie eksponatu muzealnego. Każdy z załogantów miał przed sobą holograficzny interfejs, fotele zdawały się ich oplatać. Konsoli właściwie nie było, wszystko zdawało się sterowane siłą umysłu. Parę pulpityw znajdowało się pod ścianami, ale były całkowicie zaczernione, pewnie nieaktywne.

– Siadaj – polecił Ingo Freed, wskazując wolne miejsce przy jednym z nich.

– Podłączycie mnie do wykrywacza kłamstw czy od razu do jakiegoś systemu tortur?

– Potrzebujemy tylko wyjaśnień.

Nozomi stwierdziła, że nie ma sensu się opierać. Zajęła wskazany fotel, zaraz potem na wyświetlaczu pojawiły się miejsca, gdzie miała przyłożyć dłonie. Spojrzała pytająco na Stephena, a ten kiwnął głową.

Gdy umieściła ręce na panelu, poczuła, jakby się do niego przykleiły. Na ekranie natychmiast wyświetliło się wszystko, czego Ingo Freed potrzebował do stwierdzenia, czy będzie mówiła prawdę.

– Mam tylko kilka krótkich pytań – powiedział. – Ale odpowiadaj roztropnie, bo od tego będzie zależeć, czy podzielisz los tego... tworu.

– Rozumiem – odparła.

Kontradmirał kiwnął głową dla porządku.

– Skąd znasz Imada?

– Kogo?

– Odpowiadaj na pytania! – ryknął nagle Ingo Freed, a po rękach Ellyse przeszedł bolesny impuls, który rozlał się po całym jej ciele. Jęknęła głośno, starając się oderwać dłonie. Bezskutecznie.

Urządzenie przez kilka chwil tłoczyło w nią dotkliwie uczucie rwania mięśni. Nozomi zacisnęła usta i starała się znieść to w ciszy.

– Każdy kolejny impuls będzie mocniejszy – powiedział dowódca Yorktown.

Ellyse obejrzała się przez ramię i przekonała, że jej krzyki nie przykuły niczyjej uwagi. Znajdowało się tu kilkanaścioro ludzi, wszyscy zajęci byli swoimi sprawami.

– Gdy zadaję pytanie, musisz odpowiadać.

– Rozumiem.

– Skąd znasz Imada Rehmaniego?

– Był załogantem na okręcie ISS Accipiter.

– W jakiej roli?

– Nawigatora. Chodziło o misję...

– Jestem dobrze zaznajomiony z misją Ara Maxima – uciał Stephen, pochylając się nad nią. – Gdzie jest statek, o którym mówisz?

– Na orbicie Krauss-deGrasse-7c.

– Jak się tam znalazł?

– To długa historia.

Kolejny impuls rzeczywiście był jeszcze bardziej dotkliwy. Nozomi miała wrażenie, że pulpit przypala jej dłonie. Krzyknęła mimowolnie, gdy to palące uczucie zdawało się przejść przez jej żyły i pomknąć dalej w głąb klatki piersiowej.

– Zatrzymano go nieopodal Mi Arae w gwiazdozbiórce Ołtarza, wszyscy załoganci byli martwi – powiedziała. – Dija Udin Alhassan, bo pod takim imieniem go znamy, był jednym z dwóch ocalałych.

Ellyse nie była pewna, ile może powiedzieć temu człowiekowi. Zasadniczo wspomnienie o *proelium* nie powinno nikomu zaszkodzić, jednak Ingo Freed mógł okazać się większym szaleńcem, niż sądziła. Mógł zechcieć odwiedzić Rah'ma'dul, poszukać rozbitków czy porzuconej technologii. Niczego nie mogła wykluczyć.

– Wiecie więc, że to zło wcielone.

– Tak – potwierdziła.

Stephen wyprostował się i skrzyżował dłonie z przodu.

– Długo pozostawał w ukryciu – mruknął do siebie.

Ellyse ściągnęła brwi, patrząc na niego przez ramię.

– Pierwsze wybudzenie musiało mieć miejsce, gdy ruszyła misja Ara Maxima. Potem to samo nastąpiło na Terze.

– Słucham?

System wyzwolił kolejne ukłucie bólu. Tym razem Nozomi poczuła, jakby rozrywało jej organy wewnętrzne. Przeciągle jęknęła, pochylając głowę.

– „I pochwycił Smoka, Węża starodawnego, którym jest diabeł i szatan, i związał go na tysiąc lat” – powiedział Ingo Freed. – Wasz czas próby nadszedł wraz z misją Ara Maxima, nasz dużo później.

Ellyse nie do końca rozumiała, co sugeruje kontradmirał.

– Nie chciał, by arcykapłan Jozue uzyskać przebaczenie za grzechy. Domagał się kary dla narodu wybranego – perorował dalej Ingo Freed. – Od zarania dziejów wieszczył upadek człowieka. Uważał samego siebie za władcę tego świata, wygłodniałego lwa, który zrobi wszystko, by zniszczyć nasz gatunek. – Na moment urwał, spuszczając wzrok na Ellyse. – Jesteś świadoma walki, którą Michał stoczył z nim w niebie?

– Nie.

Do cholery, na kogo ona trafiła? I co ten człowiek w istocie sugerował?

– Został pokonany, strącony z niebios, zwyciężyła nad nim krew Baranka. Nie był to jednak ostateczny triumf Chrystusa, nie. Pan wygrał, umierając na krzyżu, ale go nie zniszczył. A on otrzymał narzędzia, którymi mógł pograżyć rodzaj ludzki. Tymi narzędziami były grzechy, rozumiesz to, prawda?

Nozomi nie wiedziała, co odpowiedzieć, więc po prostu skinęła głową. Szybko tego pożałowała, gdyż wymagano od niej bezpośredniej, zwerbalizowanej reakcji. Impuls szarpnął jej ciałem i z przerażeniem dostrzegła, że krew trysnęła jej z nosa na dłoń.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że się pojawi. Zakwestionuje ofiarę Chrystusową i omami ludzkość, by ta sama dokonała na sobie dzieła zniszczenia.

Ellyse słuchała z uwagą, spodziewając się, że prędzej czy później będzie musiała odnieść się do tego wywodu.

– Skusił nas jabłkiem – dodał Stephen. – Nieograniczonymi możliwościami, które przedstawiały podróże kosmiczne. Wąż jest za to odpowiedzialny, to on doprowadził do naszego aroganckiego przekonania, że poradzimy sobie ze wszystkim, co nas czeka. Tymczasem gwiazdy to nie miejsce dla nas. Powinniśmy to zaakceptować.

Kontradmirał na moment zamilkł, po czym znów pochylił się nad Nozomi.

– Dlaczego chronisz szatana? – zapytał.

Zwariował. Ten człowiek po prostu zwariował.

Tym razem już kompletnie nie wiedziała, jak odpowiedzieć na tak postawione pytanie. Wszystko, co przychodziło jej na myśl, niechybnie wiązałoby się z dotkliwym bólem.

– Nie chronię – odparła w końcu.

– A mimo to przybyłaś tu z nim, ramię w ramię. Jak to wytłumaczysz?

Z trudem przełknęła ślinę.

– Staram się uratować tego, który uchronił nas wszystkich przed śmiercią.

– Wytłumacz.

Zastanawiała się tylko przez moment, ostatecznie doszła do jedyne go możliwego wniosku – musiała przedstawić tym ludziom, co wydarzyło się podczas *proelium*. Najwyraźniej widzieli świat przez pryzmat religii, a zatem powinni zinterpretować zmagania na Rah'ma'dul jako jakiś rodzaj walki dobra ze złem. Przynajmniej taką nadzieję miała Ellyse.

Szybko przekonała się, że tak się stało. Ingo Freed słuchał jej relacji z rosnącym zainteresowaniem, a po chwili dołączyli do niego wcześniej obojętni załoganci. Niektórzy obrócili się na

swoich miejscach, inni powstali. Nozomi mówiła dalej, a na mostku nikt prócz niej nie odzywał się słowem.

W końcu Stephen przeciągnął palcem przed oczyma, a system wypuścił dłonie Ellyse. Obróciła je i spojrzała na krew pokrywającą wewnętrzną stronę jej rąk. Odwróciwszy się, zobaczyła, że załoganci patrzą na nią nabożnie.

– Wybacz, Nozomi Ellyse – powiedział Ingo Freed. – Gdybym był świadom, że stoisz po stronie światłości, nigdy nie... – Urwał i spuścił wzrok, zażenowany i zły. Sprawiał wrażenie, jakby był tylko o krok od fizycznego skarcenia się za ten czyn.

– Zagoi się – powiedziała, stając przodem do reszty. Wszyscy wyglądali, jakby na dłoniach miała stygmaty, a nie krew, która trysnęła jej z nosa.

Zasadniczo nie mogła się dziwić, że ocalali po apokalipsie zwrócą się w kierunku dawnych religii. Gdy Nozomi opuszczała Ziemię, wyznania stanowiły tabu. Religia mogła istnieć jedynie w wymiarze prywatnym, niemal intymnym. W sferze publicznej była zakazana nie tylko przez przepisy prawa, ale także moralność.

Ci ludzie musieli wyciągnąć jedyny logiczny dla nich wniosek – to wyrzeknięcie się Boga spowodowało na człowieka pomór. W efekcie wszyscy na powrót zaczęli wierzyć, a teraz postrzegali wszystko tak, jak przedstawiała to ich święta księga. Najwyraźniej była to chrześcijańska Biblia, a przynajmniej tak Nozomi ustaliła na podstawie słów Ingo Freeda.

– Nadal jednak nie rozumiem, dlaczego bratałaś się z diabłem – dodał kontradmirał.

Ellyse miała jakieś pojęcie na temat chrześcijaństwa. Niewielkie, ale wystarczające, by móc improwizować.

– Dlaczego tak go postrzegacie?

– Czyż to nie oczywiste? – odparł Stephen.

– Diabeł był niegdyś w niebie i został z niego strącony, nieprawdaż? – zapytała. – Znajdował się więc w zastępach

aniołów.

Wzdrygnęli się na samą myśl. Nozomi dopiero teraz dostrzegła, jak głęboka i chorobliwa jest ich wiara. Gdyby ci ludzie żyli w średniowieczu, zapewne z uniesionymi mieczami pędziliby na niewiernych – i to bynajmniej nie po to, by zagarnąć ich ziemię.

– Takich jak on było wielu – kontynuowała. – Wyglądają tak samo, co nie znaczy, że są tacy sami. Diabeł został strącony z niebios, ale inni jego pokroju tam pozostali. Dija Udin Alhassan był jednym z nich.

Przypuszczała, że Håkon przewraca się w grobie ze śmiechu.

– Pomógł nam uratować się z *proelium*. Gdyby nie on, nigdy nie mielibyśmy szansy odbudować rodzaju ludzkiego. Teraz mamy. Nie dość, że odnaleźliśmy swoich braci na powierzchni, na orbicie znajduje się ISS Challenger, statek z zarodkami. Możemy...

– In vitro? – zapytał Ingo Freed.

Ellyse skinęła głową, nie bardzo rozumiejąc, dlaczego kontradmirał się wzdrygnął.

– To dzieło szatana – powiedział. – Niegodny sposób przekazywania życia, pozamałżeński, sprzeczny z godnością rodzicielstwa...

Gdyby jego głos mógł przybrać fizyczną formę, kapałyby z niego krople obrzydzenia.

– To brak szacunku dla życia ludzkiego – dodał inny mężczyzna z czerwonymi oczyma.

– Ta metoda zabiła niezliczone rzesze ludzkich istnień – kontynuował Ingo Freed. – I zabije jeszcze więcej, gdy okaże się, że te zarodki nie zostaną przyjęte przez łono matki.

Ellyse uświadomiła sobie, że mówią o dwóch zupełnie innych rzeczach. Ci ludzie byli tak zniesmaczeni samą ideą, że sądzili, iż ma na myśli sztuczne zapłodnienie kobiet. Tymczasem na pokładzie ISS Challenger istniała aparatura, która pozwalała na rozwinięcie się zarodka w sposób

pozamaciczny. Kapsuły mogły literalnie wyhodować całą armię nowych ludzi. Ale to także chyba było dla załogi Yorktown nie do pomyślenia.

Szczerze powiedziawszy, Nozomi również obawiała się, dokąd ta droga może ostatecznie doprowadzić. Gdy posadzą Challengera na Ziemi, staną przed nie lada dylematem – czy skorzystać z okazji i ulepszyć ludzi, którzy będą stanowić bazę genetyczną przyszłych pokoleń, czy pozostawić ich w niezmiennym kształcie? Pokusa ingerencji eugenicznej była wielka, szczególnie że wiele zagrożeń można by wyeliminować.

– Nie rozumiem, jak możesz to proponować, Nozomi Ellyse.

– W tych okolicznościach...

– Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla używania narzędzi szatana.

Nagle uświadomiła sobie, że popełniła ogromny błąd.

Tak ogromny, że trudno było początkowo ogarnąć to rozumem.

– Tego świata nie stać na służenie diabłu – dodał Ingo Freed.

– Doskonale widzisz, do czego doprowadziło to poprzednio.

Kontradmirał obrócił się do głównego ekranu, a potem wyświetlił na nim Challengera. Ellyse poczuła, jak oblewa ją fala gorąca.

– Nie... – jęknęła, ale wiedziała, że nic nie będzie w stanie zrobić.

3

Jaccard z niepokojem patrzył, jak NISS Yorktown zmienia pozycję. Przez moment trudno było stwierdzić, dlaczego statek zwraca się do nich tyłem. Potem pomyślał, że wygląda to na prosty manewr wojskowy – ustawianie się do strzału.

– Gideon...

- Widzę, panie majorze. Widzę, ale nie rozumiem.
- Ku czemu się zwracają?
- ISS Challenger, panie majorze.
- Wywołaj ich natychmiast.
- Staram się.

Loïc nerwowo potarł się po brodzie, żałując, że nie ma z nimi Jeffreya Reddingtona. Dowódca był dziwakiem, owszem, ale potrafił w dobrym momencie podjąć stosowną decyzję. Miał instynkt przywódczy, który w takich sytuacjach się uaktywniał. Jaccard czekał, aż zaskoczy jego własny – nic takiego jednak się nie stało. Obserwował obracający się Yorktown i nie miał pojęcia, co robić.

- Nadal nic – powiedział Hallford. – Wywołać Romanienko?

Loïc potarł czoło, rozglądając się wokół. Potrzebował chwili, by się zastanowić, choć wiedział, że jej nie ma.

- Wprowadź kurs – powiedział. – Ustaw nas natychmiast między tymi dwoma statkami.

- Tak jest!

Gideon włączył pełną moc silników, które zareagowały w okamgnieniu. Kennedy przyspieszył i po chwili pędził już na pełnej prędkości w kierunku ISS Challenger. Pułkownik Romanienko nie musieli wywoływać, to ona zgłosiła się do nich.

- Jeśli będzie trzeba, staranuję ten okręt – powiedziała bez zbędnych wstępów. – Macie pełną moc?

- Tak – odparł Loïc. – I według mojego kocmołucha zdążymy na miejsce.

- Zablokujcie go – powiedziała. – Hans-Dietrich właśnie zadokował do Wolszczana, który jest najbliżej. Zaraz się do was przyłączy. Reszta również obrała kurs na obcy statek, okrążymy go.

- Na tyle, na ile pozwalają możliwości – odparł Jaccard. – Zdajesz sobie sprawę, że to tylko środek zaradczy?

- Oczywiście.

Powaga w jej głosie kazała mu sądzić, że nie rzucała słów na wiatr, mówiąc o taranowaniu wroga.

– Postawię sprawę jasno, Jaccard – dodała. – Nie dopuszczam możliwości, by Yorktown uszkodził Challengeera. Tam jest cała nasza przyszłość, rozumiesz?

– Rozumiem w pełni.

– W takim razie jesteś także świadom, że macie najliczniejszą załogę.

Naraz dotarło do niego, co chciała powiedzieć.

– Proponujesz, żebym wysłał kogoś z moich ludzi na Challengeera?

– Tak. I wybór pozostawiam tobie – odparła. – Należy natychmiast obsadzić ten statek, a potem skierować go w bezpieczne miejsce.

– Przyjąłem – odparł, ale Romanienko już go nie słyszała. Połączenie zostało zakończone. Gideon i Loïc wymienili się spojrzeniami, po czym przenieśli wzrok na masywny okręt widoczny przed nimi. Zanim skończy się obracać, znajdą się między nim a jednostką kolonizacyjną.

– Rosjanka ma rację – odezwał się Hallford. – Musimy tam kogoś wysłać.

– Wiem.

Tylko kogo? Na pokładzie Kennedy’ego oprócz nich pozostała tylko Channary Sang. Sumit Gharami powrócił na ISS Kartal i zapewne robił teraz wszystko, by jak najprędzej znaleźć się w centrum wydarzeń.

– Channary? – podsunął Gideon. – Ona nie da sobie rady. Nie zna się na tych systemach.

Szefowa ochrony za moment miała zaprowadzić gości do promu i zaprogramować go do powrotu na Ziemię, potem mogłaby udać się na Challengeera. Jaccard musiał jednak zgodzić się z mechanikiem – Sang była dobra do bitki, ale nie do pilotowania ostatniej nadziei ludzkości.

– Jest tylko jedna możliwość – powiedział Loïc.

– Ale panie majorze...

– Kennedy jest twój – uciął dowódca.

Hallford tylko skinął głową. Wiedział, że nie ma innej możliwości. Był potrzebny tutaj, musiał na bieżąco zmieniać położenie statku, by ten stanowił zaporę przed wrogiem.

Nie tracąc czasu, Jaccard ruszył na korytarz.

– Dbaj o niego – powiedział na odchodnym, ale nie usłyszał już odpowiedzi.

W korytarzu minął Channary Sang, która zatrzymała się jak rażona piorunem, widząc biegnącego dowódcę.

– Co się... – zaczęła.

– Nic – uciął. – Wykonuj swoje rozkazy!

Popędził dalej, nie chcąc tracić czasu. Za moment Kennedy ustawi się w odpowiedniej pozycji, a on będzie mógł niepostrzeżenie wymknąć się promem. W pewnym momencie zatrzymał się i zastanowił. Sterburta czy bakburta? Przywołał w pamięci kąt podejścia statku i ostatecznie wybrał lewą burtę. Wpadł do hangaru, a potem w pełnym biegu do pierwszego wahadłowca. Ledwo zasunął za sobą gródź, a Hallford aktywował procedurę wypuszczenia promu.

Po chwili Loïc wyszedł w przestrzeń. Skierował się ku ISS Challenger i dał pełny ciąg silników. Wywołał maszynownię Kennedy'ego.

– Melduj, Gideon.

– Ustawiliśmy się sterburtą do nieprzyjaciela, panie majorze. Na razie po prostu na nas patrzą, ale z pewnością zadowoleni nie są.

– Kontaktowali się?

– Nie.

Loïc zaklął cicho, obserwując odczyty astrometryczne. Nieprzyjaciel nie zareagował na prom, choć sensory musiały wykryć jego obecność. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Ingo Freed zastanawiał się, co dalej robić. Otworzenie ognia wywołałoby wojnę domową – i to nim ludzkość zdążyła na

powrót się skonsolidować. Z pewnością kontradmirał miał to na względzie.

– Panie majorze...

– Co się dzieje?

– Włączyło nam się ostrzeżenie o namierzaniu – odparł słabo Gideon. – Kennedy wyje wniebogłosy.

Systemy celownicze musiały nadto się od siebie nie różnić, pomyślał Jaccard. Przypuszczalnie jednak tego samego nie można było powiedzieć o arsenale okrętów. ISS-y miały wprowadzić systemy obronne, ale nadawały się one bardziej do niszczenia asteroid niż prowadzenia starć w przestrzeni kosmicznej.

– Panie majorze...

– Nie wygląda to dobrze, co?

– Bynajmniej – odparł Hallford i słysząc było, jak przełyka ślinę. – Obawiam się, że to nie jest blef.

– Po czym wnosisz? – zapytał spokojnie Loïc.

– Tak podpowiada mi intuicja.

– A więc macie jeszcze szansę. Przypominam sobie całkiem sporo sytuacji, w których grubo się myliłeś.

– To chyba nie jedna z nich, więc rzucę zupełnie luźną propozycję – odparł cicho Gideon. – Niech pan wraca na statek.

– Teraz? Nie ma mowy, widzę już mój nowy okręt i muszę powiedzieć ci, że to prawdziwe bydle.

– To jedna z najmniejszych jednostek Ara Maxima.

– Ale nadal większa od Kennedy’ego. Traktuję to jako awans.

– Jest pięćdziesiąt lat starsza od naszego gruchota – odparował kocmołuch.

– Ale nikt w nią obecnie nie celuje. Wybacz, wolę być tutaj.

Hallford ze świstem wypuścił powietrze, a Jaccard uznał, że udało się nieco rozładować emocje.

– Gdybyś jeszcze wyłączył ten sygnał alarmowy, byłbym wdzięczny. Wszystko słyszę u siebie na promie.

– Robi się.

Nagle wyjący dźwięk ustał. Loïc skupił się na podejściu do Challengeera – był już niedaleko, niebawem będzie mógł zadokować. Sprawdził odczyty z pokładu, atmosfera była w normie. Wystarczyło tylko przejść z hangaru na mostek, a potem zacząć uciekać.

– Co pan zamierza? – odezwał się mechanik.

– Jeszcze nie wiem.

– Ci ludzie mają dość przyzwoity sprzęt.

– A ja mam jeszcze bardziej przyzwoity spryt. Zobaczymy, co wygra.

Żaden z nich nie poczuł się pokrzepiony tą wymianą zdań. Jaccard w milczeniu zakończył procedurę podejścia, a potem przycumował do statku kolonizacyjnego. Gdy włącz się otworzył, aktywował komunikator na ramieniu i ruszył na korytarz.

– Słyszysz mnie, Gideon?

– Głośno i wyraźnie. Na ekranie widzę też, że pędzi pan na mostek Challengeera. Średnie tempo: pięć czterdzieści na kilometr. Mógłby pan trochę przyspieszyć.

– Wypadłem z formy.

– W to nie wątpię, ale kończy nam się tu...

Naraz połączenie zostało przerwane. Loïc mimowolnie się zatrzymał i podniósł ramię, by spojrzeć na wyświetlacz. Stuknął w niego.

– Gideon?

Nikt nie odpowiadał. Yorktown musiał zaatakować.

– Jaccard do ISS Kennedy'ego.

Gdy ponownie nic nie usłyszał, puścił się pędem w kierunku mostka. Tym razem nie był to spokojny bieg, ale szaleńczy sprint. Dotarłszy na miejsce, dopadł do fotela dowódcy i natychmiast aktywował HUD. Szklana kopuła nasunęła mu się na głowę, a potem zobaczył odczyty ze wszystkich systemów.

Wyświetlił obraz z kamer na głównym ekranie, jednocześnie uruchamiając silniki manewrowe. Najpierw musiał zmienić pozycję, potem będzie się martwił innymi rzeczami. Skierował się ku niższej orbicie.

Na ekranie widniał wygasły kadłub Kennedy'ego. Zazwyczaj świeciło się kilka punktów, oświetlone były także napis i numer rejestracyjny jednostki. Teraz okręt był dryfującą bryłą, zza której wyłaniał się V-kształtny statek.

Loïc przekonał się, że jest wywoływany. Ściągnął HUD i stanął przed jedną z konsol. Wziąwszy głęboki oddech, aktywował komunikację obustronną.

– Major Jaccard, oczywiście – odezwał się mężczyzna z czerwonymi, błyszczącymi oczyma.

– Tak jest, kontradmirał.

– Nie musisz mi salutować. Z tego co wiem, wchodzimy w szeregi dwóch zupełnie różnych armii.

– Nie tak różnych, jak...

– Mniejsza z tym – uciał rozmówca.

Loïc w tyle zobaczył Ellyse. Lekko krwawiła z nosa, ale nie wyglądało na to, by wyrządzili jej większą krzywdę. Z całą pewnością jednak biła się z myślami i sprawiała wrażenie, jakby ostatkiem sił powstrzymała się przed ruszeniem na któregoś z porywaczy.

– Ma pan na pokładzie moich ludzi – odezwał się Jaccard. – Nalegam na ich rychły powrót, co z pewnością pan rozumie.

– Oczywiście – odrzekł Ingo Freed. – Ale porozmawiamy o tym, gdy zakończymy sprawę Challengeera.

– Nie zamierzam nic kończyć.

– Więc ma pan nielichy problem – odparł czerwonoooki, wbijając wzrok w obiektyw. – Pański statek został unieszkodliwiony. Pozwoliłem sobie dokonać dość precyzyjnego ataku, z pominięciem najważniejszych systemów. Nie musi się pan obawiać o swoich podkomendnych, podtrzymywanie życia nie ucierpiało. Pozostałe układy będą

jednak wymagać sporo roboty i iskry geniuszu, jeśli mają jeszcze kiedykolwiek zadziałać.

Loïc miał ochotę splunąć na ekran. Wiele był w stanie znieść, ale nie to, że ktoś chciał zrobić z Kennedy'ego dryfujący wrak.

– Przekazałem pozostałym ISS-om, by nie zbliżały się do Yorktown. Jeśli przekroczą wyznaczony perymetr, spotka ich taki sam los, jak pańską jednostkę.

– Pierdol się.

Kontradmirał wyglądał, jakby ubodło go to, że major użył prostej obelgi. Przez moment milczał, nadal świdrując go wzrokiem.

– Takie zachowanie nie licuje z oficerskim kodeksem moralnym.

– W dupie mam kodeks. Pana zresztą też.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać.

– Zgadzam się.

– I to oznacza, że zgadza się pan również na śmierć.

– Jeśli tego będzie wymagała sytuacja, jak najbardziej.

Ingo Freed pokręcił głową, po czym obejrzał się na Ellyse.

– Ten człowiek nie rozumie, że ma na pokładzie narzędzia Szatana.

– Że co? – rzucił Loïc.

Kontradmirał znów na niego popatrzył. Tym razem przez moment przyglądał mu się w milczeniu, zanim się odezwał.

– Ma pan szansę, by to wszystko zakończyć – powiedział. – Niech pan zniszczy te diabelskie pomioty, nim będzie za późno. Oszczędzę pański statek.

Nozomi wstała ze swojego miejsca, ale jeden z załogantów natychmiast się przy niej znalazł. Spojrzał pytająco na dowódcę, a ten odprawił go ruchem ręki.

– Spokojnie tam – powiedział Jaccard, obserwując, jak mężczyzna wyprowadza szarpiącą się Ellyse. – To moja

radiooperatorka – dodał, jakby miało to dla rozmówcy jakiegokolwiek znaczenie.

– Wiem, kim ona jest. Wiem także, że mam w celi upadłego anioła.

– Przepraszam, kogo?

– My znamy go jako Imada Rehmaniego.

– O czym pan mówi?

– O człowieku, którego pańska podkomendna nazywa Dija Udinem.

Jaccard chętnie wszedłby w polemikę z dowódcą Yorktown, tłumacząc mu, że nawigator ma tyle wspólnego z jakimkolwiek aniołem, co ISS z pływaniem po morzach i oceanach. Rozmówca jednak ciągnął dalej.

– Ostatnia szansa – powiedział. – Zaraz znajdziemy się w pozycji do strzału.

– Zobaczymy.

– Widzę pańskie manewry. Sądzi pan, że ta rozmowa zajęła moją uwagę na tyle, by przymknąć na to oko?

– Nie. Co nie zmienia faktu, że niełatwo będzie pójść za Challengerem w atmosferę. Pańska kolubryna z pewnością zniesie to znacznie gorzej.

– To się okaże.

– A więc zapraszam – odparł Jaccard, a potem skierował okręt bliżej Ziemi. Nie wprowadzał kursu, nie było na to czasu. Ustawił jedynie kierunek, a potem włączył pełny ciąg silników. Gdyby nie iniektory, z pewnością poczułby mocne szarpnięcie. Challenger pomknął na niższą orbitę, a Yorktown natychmiast puścił się w pogoń.

– Dzieli nas kilkaset lat rozwoju, majorze.

– Nadrobię to bystrością umysłu.

Odbił w bok. Nie aktywował zaprogramowanych manewrów, sądząc, że są one doskonale znane systemom przeciwnika – postanowił każdą zmianę wprowadzać manualnie. Zabierało to trochę więcej czasu, ale dawało nadzieję, że Yorktown

automatycznie nie skontruje jego posunięcia. A im niżej Jaccard się znajdzie, tym lepiej dla niego.

Wpadł w dolne warstwy atmosfery, rozgrzewając kadłub do czerwoności. Języki ognia pojawiły się na głównym wyświetlaczu, a iniektory powoli przestawały spełniać swoją funkcję. Challengerem trzęsło jak liśćmi podczas wichury, ale major nie miał zamiaru zwalniać.

– Niech pan robi tak dalej – odezwał się Ingo Freed. – Zaoszczędzi mi pan roboty.

Wiązka laserowa z Yorktown liznęła sterburtę Challengeera i pomknęła w kierunku powierzchni planety. Loïc szybko zmienił kurs, choć na niewiele się to zdało – statek nie reagował już odpowiednio szybko na wprowadzane zmiany. Trzęsło nim coraz bardziej, a Jaccard zaczynał już odczuwać przeciążenie.

– Dokąd pan chce uciec? – zapytał kontradmirał. – Nie ma tu gdzie się ukryć.

– Może coś sobie znajdę.

Yorktown spróbował jeszcze raz, tym razem wysyłając kilka salw. Jedna z nich sięgnęła rufy okrętu i na moment wszystkie wyświetlacze zgasły. Potem zamrugały kilka razy, jakby systemy zastanawiały się, czy odmówić posłuszeństwa. Ostatecznie włączył się tryb awaryjny, a praca komputera pokładowego się ustabilizowała. Jaccard nadal mknął w kierunku Ziemi z zawrotną prędkością, zostawiając za sobą warkocz ognia.

Nie miał pojęcia, jak się ratować.

Liczył na to, że pomogą mu pozostałe statki, jak tylko ściągnie Yorktown z orbity. Najwyraźniej jednak Romanienko nie znalazła sposobu, by uratować zarodki, i dała reszcie rozkaz, by wycofać się w niezagrożone miejsce.

– Schodzi pan niebezpiecznie blisko lądu.

Loïc z trudem obrócił głowę i przekonał się, że rozmówca ma rację. Wyrównał lot, a potem odbił w prawo. Przemknął nad

jałowym pustkowiem i szybko wykonał kilka różniących się od siebie manewrów – byleby tylko nie popaść w schemat. Kręcił beczki, zwiększał pułap, a potem wchodził w korkociąg – wszystko na tyle, na ile pozwalały gabaryty statku. Ostatecznie jednak nie mógł liczyć na żaden cud.

NISS Yorktown mknął na wyższej orbicie, nie prowadząc ostrzału.

– Zaraz się pan zabije przez te kretyńskie manewry.

– Staram się.

– Chce mi pan odebrać tę przyjemność, tak?

– To w tej chwili jedyna możliwość, jaka przychodzi mi na myśl – odparł Jaccard i otarł pot z czoła. – Choć zastanawia mnie też, dlaczego nie strzelacie.

– Szkoda ładować dział.

– A może szkoda zabijać tych wszystkich ludzi pod powierzchnią? – zapytał, trafiając w sedno. Załoga Yorktown i pozostali uchodźcy musieli doskonale zdawać sobie sprawę z tego, co i kogo pozostawili na Ziemi.

Gdy cisza po drugiej stronie się przeciągała, Loïc utwierdził się w przekonaniu, że ma rację.

– Boicie się, że zrobię unik, a wiązka trafi w królestwo Meazy Endale.

– Byłoby to niefortunne – odparł Ingo Freed.

– Wiesz, co byłoby jeszcze bardziej niefortunne, skurwysynu? Gdybym wywalił dziurę w miejscu, gdzie znajduje się Nowy Gondar.

Rozmówca zamilkł, zapewne gorączkowo poszukując sposobu, by strącić Challengeera, nim Jaccard zdąży ustalić, gdzie w istocie znajdowało się rzucone miasto.

Major skorzystał z okazji i wyłączył system komunikacyjny. Nadal leciał nisko ponad ziemią, wykonując przypadkowe manewry. Wywołał ISS Galileo i miał nadzieję, że do tej pory ktoś wpadł na to, jak uratować embriony.

Strażnik wtrącił Ellyse do celi, a potem zamknął za nią drzwi. Dija Udin natychmiast poderwał się na równe nogi, ale nie zdążył jej podtrzymać. Nie potrafiąc złapać równowagi, wyłożyła się jak długa na podłodze.

Alhassan stanął nad nią i wyciągnął dłoń. Odtrąciwszy ją, sama się podniosła.

– Posiedli cię wbrew twojej woli? – zapytał.

– Co?

– Dwóch na raz czy po kolei?

Zignorowała jego pytanie i splunęła na ścianę, w miejsce, gdzie wcześniej pokazały się drzwi.

– Chciałbym to wiedzieć.

– Zamknij się, Alhassan.

– W porządku. Nie chcesz o tym rozmawiać, to nie będziemy.

Ellyse spojrzała na niego spode łba i przez moment sprawiała wrażenie, jakby miała zamiar go spoliczkować. Dija Udin uznał, że najwyższa pora powściągnąć dalsze komentarze. Usiadła po drugiej stronie celi, a potem wbiła wzrok w podłogę.

– Słuchaj... – zaczął.

– Nie kajaj się przede mną, Dija Udin. To do ciebie nie pasuje.

– Chciałem tylko się wytłumaczyć.

– Tym bardziej tego nie rób.

– Ja po prostu...

Nozomi westchnęła, przewracając oczyma.

– Miewam czasem pewne wizje związane z tobą – ciągnął.

– Że co proszę?

– Lubię sobie wyobrażać, że jesteśmy... bardzo sami.

– Uważaj, żebym ja sobie zaraz nie zaczęła czegoś wyobrażać

– odbąknęła. Przez moment trwali w milczeniu, tocząc

wzrokiem po ścianach, w których wedle wszelkiego prawdopodobieństwa spędzą nadchodzące dni, a może tygodnie.

– Co ci powiedzieli?

– Że jesteś złem wcielonym.

– To akurat już wiedziałaś.

– Owszem. Ale oprócz tego dowiedziałam się, że znają cię jako Imada Rehmaniego. Nie mam pojęcia, czego się dopuścił jeden z twoich braci, ale najwyraźniej mocno zaszedł im za skórę.

– Co planują?

– Nic dobrego. Otworzyli ogień do Kennedy’ego.

– Zniszczyli nasz statek?

– Unieszkodliwili, przynajmniej tak to wyglądało.

Dija Udin spojrzał w kierunku wyjścia.

– Zapłacą za to.

– Nie pozoruj lojalności, to też do ciebie nie pasuje.

– Myśl, co chcesz. Gwarantuję ci, że oberżnę rękę każdemu, kto podniósł ją na nasz okręt.

– Masz w dupie okręt – odparła Ellyse, rozmasowując ramię.

– Ale fakt, że się o niego martwisz, każe mi sądzić, że rzeczywiście nosisz się z zamiarem ratowania Håkona.

– Lindberg to mój przyjaciel.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem.

– Kiedy wyrzucali mnie z mostka, mieli zamiar zaatakować Challengeera.

Alhassan uśmiechnął się pod nosem. Najwyraźniej wcześniej źle odczytał sytuację – to nie ludzie żyjący pod powierzchnią mogli okazać się jego sojusznikami, ale ci, którzy obecnie chcieli jego głowy.

– Dlaczego? – zapytał, nie potrafiąc ukryć radości.

– Bo uważają, że embriony to dzieło Szatana. Czyli twoje, bo z tego, co zrozumiałam, tak cię postrzegają.

– Naprawdę? Jestem zaszczycony.

– Tkwi w tym ziarno prawdy?
Dija Udin cały rozpromieniał.

– Pytasz poważnie?

– Zdają się co do tego święcie przekonani. I kiedy porządnie się nad tym zastanowić, można dojść do wniosku, że twoi bracia byli na Ziemi na długo przed tobą.

– Chyba przeceniasz nasze możliwości – odparł. – Ale nigdy nie wiadomo, może teraz rżnę głupa?

Nozomi przez chwilę nie odpowiadała.

– Jaccard pilotuje Challengeera.

– Aha.

– Zginie, jeśli czegoś nie zrobimy.

– Nie bardzo wiem, co masz na myśli – odparł, rozkładając ręce. – Robię wszystko, co mogę.

– Z pewnością jest coś...

– Nie jestem cudotwórcą, Ellyse. Diabłem wcielonym może i tak, ale cuda nie należą do mojej domeny.

– Muzułmanie w ogóle wierzą w diabła?

– Oczywiście! Azazel był dżinnem, który odmówił złożenia pokłonu Adamowi. Nazywamy go Iblīsem, czyli tym, który przynosi rozpacz. Ale nie czuję wielkiej potrzeby, by się na ten temat rozwodzić.

– Ja tym bardziej – odparła Nozomi, podnosząc się. – A teraz myśl nad tym, jak się stąd wyrwać.

– Niestety nie widzę żadnego...

Urwał, gdyż drzwi ze świstem się rozsunęły. Stał w nich czerwonoooki dowódca statku, a za nim dwóch mężczyzn. Wyrazy ich twarzy normalnie kazałyby sądzić, że przybłąkali się tutaj zupełnie przypadkiem. Nie mogli wyglądać na bardziej obojętnych.

Alhassan powoli podniósł się z podłogi i stanął obok Ellyse.

– Jestem, który jestem – burknął.

Naraz dostrzegł błysk w oczach stoickich oficerów. Wiedział już, że będzie żałował tej zaczepki – i nie pomylił się. Ingo

Freed dopadł do niego, podczas gdy drugi żołnierz rzucił się na Ellyse.

– Czekaaj, przecież...

Kontradmirał dobył zza pasa niewielki przedmiot przypominający kostkę do gry. Zaciśnął go w pięści, a potem wziął niewielki zamach i przywalił Alhassanowi w skroń. Ten poczuł, jakby oberwał obuchem. Siła uderzenia była niewspółmierna do przeprowadzonego ataku.

Dija Udin padł na ścianę, a Ingo Freed natychmiast schwycił go za kark i cisnął nim na ziemię.

– Daj mi też taką kostkę, to będziemy...

Nie dokończył, bo kolejny cios spadł mu na głowę. Tym razem przeciwnik trafił w nos – rozległ się głośny chrzęst, a Alhassan poczuł, jakby coś wbijało mu się w zakończenia nerwów oczu. Impuls przeszedł mu przez głowę, na moment zupełnie go otumaniając.

Dopiero po chwili przekonał się, że z nosa cieknie mu krew. Wlewała się do ust, Dija Udin czuł jej metaliczny smak. Wiedział, że aby przeżyć, musi zacząć się bronić. Agresor jednak nie dał mu na to szansy – kolejny cios trafił go w głowę. Zaszumiało mu w uszach, a zaraz potem poczuł rozrywający ból w okolicach brzucha.

Przetoczył się ku ścianie, ale kolejne kopniaki zaczęły sypać się na niego jak grad. Do Ingo Freeda dołączył drugi żołnierz, który nie przytrzymał Nozomi. Zaczęli zapamiętale okładać go po całym ciele, metodycznie, zachowując przy tym milczenie. Przywodzili na myśl dwóch robotników wykonujących rutynowe zadanie.

Gdy nie widział już na oczy i ledwo mógł się poruszyć, przerwali.

Dija Udin zaniósł się kaszlem. Ledwo otworzywszy jedno oko, dostrzegł, że podłoga spływa jego krwią.

– To nie koniec – powiedział zaspany kontradmirał. – Jedynie przerwa.

Alhassan chciał odpowiedzieć, ale z jego ust wydobył się jedynie cichy, niezrozumiały charkot. Obrócił się do napastników, czując, że cały się trzęsie. Zdołał zobaczyć tylko żołnierski but, który trafił go w głowę. Potem przestał cokolwiek czuć.

5

Kilka prób nawiązania kontaktu z Galileo nie przyniosło skutku. Jaccard nadal krążył nad ziemią, starając się, by trajektoria pozostawała nieprzewidywalna. NISS Yorktown wciąż rzucał na niego cień, przesłaniając nieboskłon. Gdzieś nad centralną Afryką Loïc otrzymał sygnał ze statku Romanienko. Natychmiast wyświetlił połączenie na głównym ekranie.

- Łąduj, majorze – zaczęła bez ceregieli Wieronika.
- Słucham?
- Doszłam do porozumienia z kontradmirałem.
- Obawiam się, że nie rozumiem. Jeszcze chwilę wcześniej...
- Rozważyłam wszystkie możliwości – ucięła. – Jeśli chcesz przeżyć, posadź ten statek na powierzchni.
- Nie ma mowy.
- Otrzymałam gwarancję, że z zarodkami nic się nie stanie.
- Bzdura. Jak tylko Ingo Freed zyska stacjonarny cel, wywali w niego cały swój arsenał.
- Nie rozumiesz.
- Najwyraźniej.
- Osiągnęliśmy porozumienie – powiedziała Wieronika. Jej głos kazał Jaccardowi sądzić, że rzeczywiście udało się uzyskać solenne zapewnienie. Sposób, w jaki Romanienko mogła to zrobić, był tylko jeden.
- Nie chcesz chyba powiedzieć, że...
- Złożyłam na jego ręce naszą kapitulację.

– Jaką kapitulację?! – uniósł się Loïc, szybko mitygując się, że powinien pilnować odczytów z sensorów. Sprawdził, czy wszystko jest w porządku, po czym wbił wzrok w pułkownik. – Jaką kapitulację? – powtórzył. – Nie zauważyłem, żeby ktokolwiek wypowiedział komuś wojnę.

– Więc przegapiłeś co najmniej kilka salw.

Jaccard pokręcił głową, nie dowierzając.

– Zwariowałaś – ocenił. – Nie wykorzystaliśmy jeszcze wszystkich możliwości.

– Nie bądź śmieszny.

Dostrzegł w jej oczach, że czuje się upokorzona i pokonana. Uświadomił sobie, że decyzja, którą podjęła, była najtrudniejszą w jej życiu. Przez moment patrzył na nią, myśląc o tym, co sam począłby na jej miejscu. Rozważyła wszystkie za i przeciw i ostatecznie doszła do wniosku, że lepiej zawczasu wywiesić białą flagę niż pozwolić, by zginęli kolejni ludzie. Zdawała sobie sprawę, że nie mają zbyt wielkiego pola manewru – każdy zarodek był teraz na wagę złota.

– Yorktown obróciłby nas wszystkich w gwiazdny pył – dodała po chwili. – Musisz być tego świadomy.

– Jestem.

– W takim razie popierasz moją decyzję?

O ile pamiętał, po raz pierwszy pytała go o zdanie.

– Nie popadajmy w skrajności – odparł, zmuszając się do bladego uśmiechu.

Znów zapadło milczenie. Loïc z chęcią by je przerwał, jednak nie bardzo wiedział jak. Romanienko wydawała się zupełnie zbita z pantałyku, jakby przed momentem usłyszała wyrok śmierci.

– Podam ci koordynaty – odezwała się w końcu. – Wylądujesz tam?

– Pod jednym warunkiem – odparł bez wahania.

– Chcesz dowodzić tą...

– Nie – uciał. – Chcę wiedzieć, że jesteś pewna.

– Na tyle, na ile mogę być.

– To nie wystarczy, żebym pozostawił ten statek bezbronny.

Wieronika westchnęła, jakby jej poświęcenie samo w sobie mogło stanowić gwarancję, że Yorktown nie otworzy ognia.

– Znaleźliśmy rozwiązanie, majorze. Korzystne dla obu stron.

– Chętnie poznam szczegóły.

Skinęła głową.

– Posadzisz statek w wyznaczonym miejscu, na terytorium Amalgamatu, a potem sprowadzimy na ziemię wszystkie inne jednostki znajdujące się teraz na orbicie. Ingo Freed robi to samo ze swoim krążownikiem.

– I?

– I naradzimy się nad tym, co dalej robić. Wstępnie udało mi się osiągnąć konsensus polegający na tym, że on nie zniszczy Challengeera, a my nie wykorzystamy zarodków.

– To absurd.

– Zgadzam się, ale jednocześnie jedyna możliwość.

– Każdy układ będzie zakładał pozbycie się embrionów.

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Ingo Freed nie czuje przymusu, by niszczyć zarodki. Chce jedynie gwarancji, że nie będziemy ich rozwijać.

– To wielka szkoda, bo mamy taki zamiar.

– Już nie.

– To jedyna nadzieja ludzkości – powiedział stanowczo.

– W tej chwili to także droga do naszej zguby.

Jaccard przez moment milczał, a Romanienko skorzystała z okazji i przesłała mu koordynaty miejsca, gdzie miał posadzić okręt. Wpatrywał się w nie, wiedząc, że nie ma żadnego wyboru. Nie było to najgorsze rozwiązanie. Wprawdzie zdawali się na łaskę tego człowieka, ale jakie było inne wyjście?

– Nie mamy wiele czasu, majorze.

Nie odpowiadał, nadal wlepiając wzrok we współrzędne.

- Dostaliśmy ultimatum, którego termin szybko upływa.
- Rozumiem.

Zastanawiał się gorączkowo nad tym, czy istniała alternatywa. W końcu uznał, że nie. Przeciwnik dysponował przewagą we wszystkich aspektach. Jeśli chcieli uratować sześć statków, które przetrwały *proelium*, musieli się poddać.

- Lądujesz, majorze?
- Tak - odparł. - Choć nadal uważam, że nie do ciebie należy decyzja w tym względzie.
- Odniosłam wrażenie, że razem ją podjęliśmy.
- Nawet to nie wystarczy.
- Znow zaczynasz tę błazenadę o demokracji?
- Ktoś musi.
- Niekoniecznie oficer, który powinien szanować łańcuch dowodze...

Jaccard zakończył transmisję. Zrobił głęboki wdech, a potem wprowadził koordynaty do systemu i ustawił automatyczny kurs. ISS Challenger uruchomił silniki manewrowe na bakburcie i obrócił się ku swojemu celowi. Nie znajdował się daleko.

Gdy statek obniżał pułap, Loïc obserwował pustynię, poszukując śladów motocykli. Nigdzie ich nie dostrzegł, ale przypuszczał, że pojawią się dość szybko. Padlinożercy nie opuściliby okazji do tak wielkiej uczty, a on krążył nad tym obszarem dostatecznie długo.

Major wywołał Kennedy'ego, ale systemy statku nadal pozostawały nieaktywne. Pożałował, że nie zapytał Romanienko o stan swojego okrętu. Uznał jednak, że gdyby coś było nie w porządku, sama by o tym wspomniała.

Challenger przyziemiał powoli, aż w końcu osiadł lekko na piachu.

Loïc trwał przez moment w bezruchu, patrząc na główny ekran. Szerokokątny obiektyw ukazywał wszystko, co działo się wokół. Ani śladu po innych statkach, wysłannikach

Amalgamatu czy pustynnych bandytach. Jaccard ruszył korytarzem ku hangarowi.

Wyszedł głównym włazem, osłaniając twarz przed kurzem, który uderzył w niego niczym fala. Starał się dojrzeć przez palce, który z okrętów jako drugi zjawił się w punkcie zbornym – mógł jednak przypuszczać, że był to ten znajdujący się najbliżej.

Gdy chmura pyłu i piasku opadła, przekonał się, że miał rację. Kilka kilometrów dalej wylądował V-kształtny Yorktown.

Potem major dostrzegł zbliżającego się Galileo. Kadłub również ciężko znosił wejście w atmosferę, przywodząc na myśl kulę ognia. Gdy statek schodził do lądowania nieopodal Yorktown, Jaccard dostrzegł pojazd mknący ku niemu z pierwszej jednostki.

Upewnił się, że ma berettę w kaburze. Wydawało mu się, że każda upływająca sekunda przeciąga się w nieskończoność. Starał się wypatrzyć, kto znajduje się w pojeździe, ale udało mu się to dopiero chwilę później. Dija Udin był przytrzymywany przez jednego z podkomendnych Ingo Freeda, Ellyse zaś siedziała obok.

Alhassan sprawiał wrażenie ledwo żywego.

Major odpiął kaburę, obawiając się, że przyjdzie mu użyć broni. Nadciągający żołnierze byli uzbrojeni po zęby – nie musiał znać tej technologii, by to wiedzieć. Broń dużego kalibru mogła wyglądać inaczej w zależności od okresu w historii, ale w każdym przypadku budziła niepokój.

Kiedy pojazd zatrzymał się kilka metrów przed nim, Nozomi skinęła mu głową.

– Dobrze pana widzieć – powiedziała.

Nie odpowiadając, Jaccard zbliżył się do czterokołowego łazika. Spojrzał na Dija Udina, a potem na kontradmirała. Postarał się, by jego wzrok mówił więcej niż słowa. Ingo Freed wyszedł z wozu, po czym rozejrzał się uważnie.

– Wygląda na to, że postąpiliście roztropnie – powiedział.

– To się dopiero okaże, prawda?

Stephen kiwnął głową. Major przeszedł na drugą stronę pojazdu i upewnił się, czy z Ellyse wszystko w porządku. Alhassan siedział ze zwieszoną głową, a zaschnięta krew na jego twarzy nie pozostawiała wątpliwości, że się z nim nie cackali. Po chwili Jaccard dostrzegł czerwień także między włosami nawigatora.

– Nieomal go zabili – powiedziała Nozomi.

– Z tego... co pamiętam... on też chciał to... zrobić... – wydukał Dija Udin.

– Ale nie zrobił – odparł Jaccard.

– Mimo wszystko...

– Oszczędzaj siły – uciał major, po czym zwrócił wzrok w górę. Kolejny statek schodził do lądowania, choć Loïc nie potrafił skojarzyć który. Być może Kartal lub Sahamiso, bo obydwa były nieco mniejsze od Wolszczana.

Kilka chwil później wszystkie ocalałe okręty Ara Maxima wróciły na Ziemię. Kennedy'ego nadal nie było nigdzie widać. Do punktu zbornego zaczęli zjeżdżać się kolejni oficerowie, a w końcu pojawiła się także pułkownik.

– Wiem, wiem – powiedziała do Jaccarda, unosząc ręce. – Nie ma się o co martwić, majorze. Kennedy odzyskał już częściową sprawność systemów i zmierza do nas.

– Oby.

Ingo Freed spojrzał na niego z dezaprobatą.

– Dałem słowo, że ten statek nie został zniszczony.

– A ja nie mam pojęcia, ile jest warte pańskie słowo – odparł major.

– Jestem człowiekiem honoru.

Loïc wskazał na pobitego Dija Udina.

– Wygląd mojego podkomendnego zdaje się temu przeczyć.

– To nie pański podkomendny, ale demon.

Jaccard uznał, że najlepiej będzie nie kwitować tego żadnym komentarzem. Patrzył w nieboskłon, czekając na Kennedy'ego.

W końcu statek się pojawił, a jemu z serca spadł niemały ciężar. Chwilę później wokół okrętów rozpętała się burza piaskowa, którą Loïc dobrze pamiętał. Gdy Kennedy siadł bezpiecznie na ostatnim z miejsc, otworzyły się drzwi do windy prowadzącej ku Nowemu Gondarowi.

Z podziemi wyjechała Meaza Endale, a wraz z nią Latynos, który wcześniej udzielał im mniej lub bardziej wylewnych wyjaśnień. Skinęli do siebie głowami, a potem pozostało im poczekać jedynie na załogę z Kennedy'ego.

Jaccard czuł się nieswojo, widząc wszystkich w jednym miejscu. Miał wrażenie, że sytuację tę ukartowali Diamentowi – i teraz pozostało im tylko zadać ostateczny cios ludzkości.

– Nie wygląda pan najlepiej, majorze – odezwała się Ellyse.

– I tak też się czuję – odparł, poluzowując kołnierz.

– Będzie lepiej, jak osiągniemy porozumienie.

Nachylił się do niej.

– Myślisz, że to realne? – zapytał cicho. – Wydaje mi się, że miałaś okazję, by z pierwszej ręki zobaczyć, do czego są zdolni ci ludzie.

– Uważają go za samego Szatana, panie majorze. Jakkolwiek dziwnie by to brzmiało.

– Wcale nie brzmi dziwnie – odparł.

– Dzięki... – zdołał wydusić Alhassan.

Po chwili w oddali pojawił się łazik z dwójką załogantów Kennedy'ego. Nie oszczędzali wysłużonej maszyny, pędząc ku nim z pełną prędkością. Za sobą zostawiali skotłowany piach, który natychmiast wciągała ściana burzy.

Gdy dojechali do Jaccarda, ten dostrzegł ulgę na ich obliczach.

– Podobno wykręcał pan niezłe akrobacje tym latającym inkubatorem – rzucił Gideon.

– Staralem się.

– A my siedzieliśmy tam jak kołki i odchodziliśmy od zmysłów – dodała Channary Sang.

Uścisnęli sobie dłonie, a potem obrócili się do organizatora całego spotkania. Ingo Freed wymieniał się jeszcze uwagami z Endale i dopiero po chwili zreflektował się, że wszyscy są na miejscu.

– Padła propozycja, byśmy zeszli pod ziemię – powiedział. – Uważam, że to niepotrzebne.

Kilka osób kiwnęło głowami.

– W tej chwili znajdujemy się na zasadniczo neutralnym gruncie i moim zdaniem powinno tak pozostać. Przynajmniej na razie.

– A Padlinożercy? – spytał Loïc.

– W takiej burzy nikt nas nie znajdzie – odparła Endale. – I nikt nie będzie nawet się do niej zbliżał.

– Świetnie – odparł Jaccard. – Zaczynamy więc tę naradę.

Stephen Ingo Freed wyprostował się i uniósł lekko podbródek.

– Pierwszym postulatem jest to, by pod groźbą kary zakazać wstępu na okręt ISS Challenger – powiedział. – Jedyne dwie upoważnione osoby będą mogły...

– Jezus Maria! – krzyknął nagle Gideon, przerywając kontradmirałowi.

Wszyscy zwrócili się w jego kierunku, a potem potoczyli wzrokiem wokół.

– Co się dzieje? – zapytała Romanienko.

Hallford przywodził na myśl zagubione dziecko. Rozglądał się panicznie, jakby niewidzącym wzrokiem. Zdawał się nie dostrzegać nikogo z zebranych, a jego grdyka nerwowo chodziła w górę i w dół. Czoło natychmiast pokryło się potem, a cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Gideon? – zapytał Jaccard, robiąc krok ku niemu.

Główny mechanik nie odzywał się, nadal z przestraczem się rozglądając.

– W końcu... mu odbiło... – wydukał Dija Udin.

Loïc i Ellyse podeszli do Hallforda i przez moment starali się go uspokoić. Ledwo jednak wyciągnęli do niego rękę, ten z impetem ją odtrącał. Nie pozwolił nikomu się dotykać, rzucając głową na boki.

Jaccard pomyślał, że to nie rokuje najlepiej dla żadnego z nich.

6

Dija Udin powoli dochodził do siebie, czego nie można było powiedzieć o Gideonie. Ułożono go na jednym z łazików, a potem w ruch poszła aparatura medyczna, którą zabrał ze sobą jeden z załogantów Kartala.

– Wszystko w porządku – ocenił Sumit Gharami, przeglądając odczyty. – System nie wykrywa żadnych nieprawidłowości.

– Najwyraźniej się myli – powiedział Alhassan, podnosząc się do pozycji siedzącej. Nadal wszystko bolało go, jakby ktoś przypalał mu organy rozżarzonym metalem, ale przynajmniej potrafił zebrać myśli. I wyartykułować je w sensowny sposób.

Romanienko patrzyła po pozostałych zebranych. Podzielili się na trzy grupy, co było do przewidzenia. Dija Udin powiódł wzrokiem ku Namiestniczce, a potem ku swojemu oprawcy. Oboje sprawiali wrażenie, jakby nie wiedzieli, co się dzieje. Dobrze grali, uznał.

– To ten skurwiały knur. – Wymierzył palcem w Ingo Freeda.
– On coś kombinuje, możecie być tego pewni.

– Nie panikuj – odparła Ellyse. – Gideon po prostu...

– Co? Gorzej się poczuł?

Jaccard zestrofował go wzrokiem.

– Nie łyp tak na mnie, bo ci oczy wykolę – powiedział Alhassan, z trudem schodząc z pojazdu. Skrzywił się, a potem podparł o niego. – A teraz zacznijmy zachowywać się jak

rozsądni ludzie, bo widzę, że pod moją nieobecność zapomnieliście, że można nimi być. – Spojrzał na wijącego się na łaziku Hallforda. – Ten idiota umiera na naszych oczach.

Channary Sang teatralnie westchnęła.

– Zdycha w najlepsze. Nie widzicie tego? – Dija Udin znów wymierzył w Ingo Freeda. – Ten przebrzydły kutasina wpuścił coś na pokład Kennedy’ego, gdy do nich strzelał.

– Opowiadasz bzdury – zaoponowała Nozomi. – Byłam na mostku i...

– I nie miałaś najbledszego pojęcia, co tam odchodzi, dziecino.

– Dziecino?

Alhassan wzruszył ramionami i szybko tego pożałował. Rozrywający ból rozszedł się dotkliwymi impulsami po jego trzewiach. Miał ochotę zgiąć się wpół, ale tylko jęknął i pochylił się nieco.

– Gideon miał ciężką przeprawę – dodała. – A pamiętaj, że długo błąkał się po tunelach w czasie i przestrzeni. Przypuszczam, że sam nie wie, ile lat upłynęło, od kiedy wszedł do Terminala.

– Kogo to obchodzi? – zachnął się Dija Udin.

Przez chwilę wszyscy milczeli, obserwując, co robią pozostałe grupy. Obie pogrążone były w rozmowach.

– Każdy z nas swoje przeszedł – dodał po chwili Alhassan. – Tylko to mam na myśli.

– Mhm – mruknęła Sang.

– Ale żadne z nas nie doświadczyło tego, z czym męczy się kocmołuch. To powinno wam uświadomić, że coś jest nie w porządku.

Dija Udin obrócił się do Gideona z wyciągniętą ręką. Potem zamarł, widząc, że główny mechanik stoi tuż obok, wpatrując się w niego niewidzącym wzrokiem.

– Hallford? – zapytał Alhassan.

Gideon zignorował pytanie i ominąwszy Dija Udina, ruszył dalej w kierunku kontradmirała. Wbijał wzrok przed siebie, jakby nie widział nawet, dokąd zmierza. W pewnym momencie Ingo Freed obrócił się i z ciekawością spojrzął na mechanika.

– Gideon – odezwała się Ellyse, ruszając za nim.

– Co to ma znaczyć? – zapytał kontradmirał.

Dija Udin obserwował sytuację z zaciekawieniem, spodziewając się, że zaraz wszyscy będą mieli okazję zobaczyć nie najgorsze mordobicie. Hallford zatrzymał się jednak przed Ingo Freedem, gdy ten dobył z kieszeni znaną Alhassanowi kostkę. Przez moment stali naprzeciw siebie, nie odzywając się słowem.

– Ten człowiek oszalał – ocenił Stephen.

Załoganci Kennedy'ego ustawili się za kocmołuchem, nie bardzo wiedząc, jak należy postąpić. Jaccard chwycił Hallforda za ramię, ale ten szybko strącił jego dłoń, nawet na niego nie patrząc.

Mierzyli się wzrokiem niczym dwaj zawodnicy przed walką. Ingo Freed dał krok w kierunku mechanika, przygotowując się do zadania wyprzedzającego ciosu. Nie trzeba było geniusza, by stwierdzić, że sytuacja zmierza ku konfliktowi.

– „I zapłonął gniew Pana przeciwko Uzzie” – odezwał się nagle Gideon.

– Co on pieprzy? – zapytał Alhassan.

Nikt mu nie odpowiedział, ale Dija Udin przekonał się, że kontradmirał najwyraźniej od razu zrozumiał, w czym rzecz. Otworzył szerzej oczy i lekko rozchylił usta, po czym machinalnie zrobił krok do tyłu, wypuszczając z ręki kostkę.

– Halo? – domagał się uwagi Alhassan.

Ingo Freed zupełnie pobladł. Cofnął się do swoich towarzyszy, którzy wyglądali na równie zszokowanych. Wszyscy wbijali wzrok w Hallforda – i każdy wyglądał, jakby miał paść z wrażenia. Cokolwiek znaczyło wypowiedziane przez mechanika zdanie, zrobiło na nich niemałe wrażenie.

– „I Dawid uląkł się Pana w owym dniu” – dodał mechanik. Zaległo ciężkie, pełne napięcia milczenie. Nikt się nie poruszał.

– Czekaliśmy... – powiedział słabo Stephen. – Czekaliśmy na twe powtórne przyjście.

Nagle padł na kolana, a w jego ślady poszła cała reszta załogi Yorktown. Ku niewymownemu zdziwieniu pozostałych przeżegnali się i skłonili głowy przed Hallfordem.

– Co to, kurwa, za hucpa?

– Gideon? – zapytała niepewnie Ellyse.

Główny mechanik obrócił się ku nim, ale jego twarz nadal przywodziła na myśl maskę bez wyrazu. W jego oczach Alhassan widział jedynie pustkę. Hallford obrócił się do grupy klęczących mężczyzn.

Ingo Freed podniósł wzrok.

– „Jakże przyjdzie do mnie Arka Pańska?” – powiedział i nagle jakby coś w jego głowie przeskoczyło. Krew z powrotem napłynęła mu do twarzy, gdy podnosił się, patrząc na Gideona. Reszta żołnierzy znów się przeżegnała, a potem wstała.

Zanim ktokolwiek zdążył sformułować pytanie, Hallford ruszył w kierunku Yorktown, a kontradmirał i jego podkomendni poszli w ślad za nim.

– Co tu się odstawia? – bąknął Dija Udin, patrząc po towarzyszach. Wydawało mu się, że są bardziej skonsternowani niż on. – Mam wrażenie, że jestem w jakimś fantomacie, a kiedy ostatnio sprawdzałem, trudno było o dostęp do socjalek.

Ellyse potrząsnęła głową.

– To jakiś absurd – powiedziała.

– Może nie powinienem się dziwić – dodał Alhassan. – Całe moje życie nim jest.

– Cisza – uciął Jaccard, ruszając za oddalającymi się ludźmi. Pozostali nie czekali na zaproszenie.

Jeden z załogantów Yorktown obejrzał się przez ramię, a potem zwrócił uwagę dowódcy na idących za nimi przybyszów. Ingo Freed dał znak, by się zatrzymać. Hallford zdawał się tego nie zauważyć i szedł dalej w kierunku okrętu.

– Może mi pan wytłumaczyć, co się dzieje? – zapytał Loïc.

– Zbawiciel powrócił.

– He? – wypalił Dija Udin.

– Nie mam zamiaru tłumaczyć rzeczy oczywistych.

– To wytłumacz chociaż te nieoczywiste – odparł Alhassan. – Co to wszystko ma znaczyć?

Stephen nabrał tchu, wodząc wzrokiem po zebranych. Dołączyli do nich członkowie innych załóg, na czele z Romanienko. Wszyscy pytająco patrzyli na kontradmirała.

– Czekaliśmy na jego powtórne przyście – oznajmił. – Nasi prorocy wieszczili, że niebawem będzie to miało miejsce.

– Jego? – zapytał Dija Udin, wskazując na oddalającego się Gideona. – Przecież to kocmołuch z naszej maszynowni!

– Licz się ze słowami – odparł dowódca Yorktown i Alhassan nie miał wątpliwości, że niewiele dzieli go od powtórki z celi.

– Czekam na wyjaśnienia – odezwała się Wieronika, wychodząc przed szereg. – Zawarliśmy umowę – dodała, wskazując na statki znajdujące się w okolicy. – Mieliśmy podjąć wiążące decyzje na temat przyszłego kształtu ludzkości i...

– Doskonale wiem, jaki będzie ten kształt. Nasze ustalenia nie są wiążące. Zbawiciel powrócił i nas poprowadzi.

– Musi pan to rozwinąć – dodał Jaccard przez zaciśnięte zęby.

Ingo Freed przez moment się zastanawiał. Potem obejrzał się przez ramię na Hallforda wchodzącego na pokład Yorktown.

– Prorocy zapowiadali, że pewnego dnia pojawi się człowiek, który wypowie te słowa.

– Te o Uzzie? – zapytał Loïc.

– Te i kolejne. To passus z Księgi Samuela, który nawet u nas znany jest tylko nielicznym. Każdy, kto ma do niej dostęp, składa śluby wierności, by dochować tajemnicy. Ja jestem jedną z tych osób.

– I? Co te słowa oznaczają?

– Że przybyła Arka Pańska – odparł Stephen. – Nikt z nas nie wiedział, jak interpretować ten ustęp. Teraz otrzymaliśmy wskazówkę. Być może myliłem się co do tego okrętu. – Potrząsnął głową i spojrzął na Challengeera. – Wszystko w rękach Zbawiciela. On nas poprowadzi.

Obrócił się na pięcie i szybkim krokiem udał ku swojemu statkowi. Dija Udin i reszta odprowadzili go wzrokiem, nie zatrzymując. Mieli wrażenie, że powiedział już wszystko, co miał do przekazania.

Przez moment wszyscy trwali w bezruchu, skonsternowani i niepewni, co ich czeka. Po tym spotkaniu mieli uzyskać gwarancje bezpieczeństwa i ustalić, jak zaczną odbudowywać ziemską cywilizację. Tymczasem Ingo Freed zostawił ich z całą masą absurdalnych pytań.

– Jak to możliwe? – jęknął Jaccard.

– Pytanie powinno brzmieć: co tu się, kurwa, właśnie stało?
– poprawił go Dija Udin.

– Najwyraźniej Hallford znał jakąś formułkę, która zadziałała na nich jak kod aktywujący – wtrąciła Channary Sang.

– To akurat zauważyłem – odparł Alhassan. – Co niewiele wyjaśnia.

– Obawiam się, że więcej się nie dowiemy – powiedział Loïc. – Przynajmniej nie teraz. Pozwólmy im ogarnąć te kwestie, a potem skontaktujemy się z Ingo Freedem.

– Zgoda – dodała Romanienko. – Najważniejsze, że na razie jesteśmy bezpieczni.

– Bezpečni? – zapytał rozbawiony Alhassan. – Chyba w rosyjskim rozumieniu tego słowa, znaczy kiedy ma się gnata przy potylicy.

– Nie widzę, by ktokolwiek brał nas na celownik.

– Więc cierpisz na ślepotę umysłową – ocenił, wskazując Yorktown. – Bo na tym po zęby uzbrojonym statku znajduje się cała banda postrzelenców, którzy właśnie modlą się do naszego kocmołucha.

– Nie widzę w tym niebezpieczeństwa.

– Utwierdzam się więc w przekonaniu o ślepcie.

Wieronika spojrzała na Jaccarda w poszukiwaniu ratunku, ten jednak zawiesił wzrok na kadłubie nowoczesnego okrętu i nie zwracał uwagi na prowadzoną dyskusję.

– To szaleńcy – dodał Dija Udin. – Sądzą, że spełniła się jakaś przepowiednia, a Gideon jest kolejnym wcieleniem Chrystusa. Nie słyszysz, jak to brzmi, kobieto?

– Ostrożnie – powiedziała Romanienko. – Chyba, że chcesz skończyć ten dzień z większą liczbą blizn.

– Zastanów się – odparł, zbliżając się do niej. – Coś ewidentnie wstąpiło w naszego głównego mechanika. To nie on będzie sterował tą bandą kretynów, tylko to coś.

Wszyscy przez moment patrzyli z obawą na Yorktown. Każdy z nich chciałby mieć wgląd w to, co działo się na pokładzie.

7

Następnego dnia Alhassan znów obudził się z przemożnym bólem głowy. Klnąc pod nosem, zwałókł się z łóżka i poszedł pod prysznic. Kennedy nadal znajdował się na powierzchni planety, wraz z innymi statkami. Meaza Endale zapewniła, że dopóki tak liczna grupa żołnierzy pozostanie w jednym miejscu, Padlinożercy nie zaatakują, nawet gdyby dezaktywowali kamuflaż.

Dija Udin szczerze w to wątpił. Byli idealnym celem, a do tej pory burza piaskowa z pewnością ściągnęła na nich uwagę wszystkich w okolicy.

Orzeźwiwszy się nieco, stanął przed drzwiami i wcisnął przycisk interkomu.

– Tutaj wasz pan i władca – odezwał się. – Domagam się wypuszczenia mnie z moich komnat.

Czekał przez chwilę, ale nikt mu nie odpowiedział. Westchnął, siadł przy stoliku i włączył na datapadzie ostatnio czytaną książkę. Socjalek nie chcieli mu dać, ale przynajmniej miał dostęp do literackiej bazy danych. Znalazł beletryzację czwartej czy piątej trylogii Gwiezdných Wojen i zaczął czytać.

Przypuszczał, że do tej pory w maszynowni zgromadzili się wszyscy, którzy mieli coś do powiedzenia w sprawie budowy nowego ładu. Zapewne żywo dyskutowali i żonglowali pomysłami, może z wyjątkiem Hansa-Dietricha Gerlinga z Wolszczana, dla którego trybem domyślnym było milczenie.

Mimo usilnych prób Dija Udin nie mógł się skupić, a kolejne, coraz to nowsze kształty mieczy świetlnych stawały się trudne do wyobrażenia. Oprócz tego coś nieustannie dzwoniło mu z tyłu głowy, jakby sygnał alarmowy przypominający o wcześniej zaplanowanym zadaniu. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że przez natłok wszystkich innych obowiązków odłożył na później rzecz najważniejszą.

Proelium. Zasady gry wymagały, by rasa, która zbiegła z pola walki, została zniszczona.

Ale jak to osiągnąć? Wystarczyłoby wysłać jeden sygnał ansiblem, Diamentowi z pewnością szybko załatwiliby sprawę – o ile oczywiście wiadomość nie trafiłaby do zdrajców z *Yan'ghati*. Nie, tym Dija Udin nie musiał się przejmować. W tym okresie jeszcze nie działali, a jedynym zdrajcą był Ev'radat, który musiał teraz odegrać swoją rolę przed resztą świata.

Tak czy inaczej, ansibl nie wchodził w grę. Jaccard kazał zablokować każdą możliwość nawiązania kontaktu – i Dija Udin widział, że Hallford zrobił to z najwyższą starannością.

Na Kennedym z pewnością nie uda się niczego osiągnąć. Za to Yorktown stanowił prawdziwą kopalnię możliwości.

Z tą myślą Dija Udin odłożył datapada, a potem wrócił na łóżko. Miał zaległości po przeprawie z Ingo Freedem i zamierzał je nadrobić. Jego umysł wyłączył się natychmiast i Alhassan po chwili spał.

Gdy zbudził się kilka godzin później, ujrzał stojącą nad sobą Nozomi.

– Odezwali się – powiedziała.

Dija Udin z trudem skupił na niej wzrok, przeciągając się.

– Weszłaś bez pytania?

– Gideon nawiązał z nami kontakt – dodała.

– Udało mi się domyślić, że chodzi o niego – odparł, podnosząc się. – Co nie zmienia faktu, że władowałaś się do mojej sypialni. Szczerze mówiąc, mogłaś pójść na całość i...

– Wstawaj.

Kilka chwil później szli korytarzem w kierunku hangaru.

– Rozumiem, że Hallford chce się spotkać?

– Na to wygląda.

– Co powiedział?

– Niewiele. Połączył się z nami tylko na moment i oznajmił, że o dziewiętnastej czasu pokładowego Kennedy'ego będzie czekał na nas między statkami. Zastrzegł, że mamy być sami. Bez Romanienko i innych.

– Lubię rodzinne spotkania.

– Zaznaczył też, że masz się stawić.

Dija Udin nie był pewny, jak to traktować. W zależności od tego, co opętało Gideona, mógł to być znak, że czeka go rozgrzeszenie lub tragiczny koniec.

Opuścili Kennedy'ego i dostrzegli w oddali dwóch mężczyzn, którzy zmierzali ku nim z Yorktown.

– Jest ta łachudra – powiedział Alhassan, wskazując Ingo Freeda. – Bądź świadoma, że jak tylko będę miał okazję, wypatroszę go do resztek treści jelitowej.

– Liczę na to.

Skinął głową, dostrzegając, że na zewnątrz czekają już pozostali członkowie załogi. Wszyscy ruszyli na spotkanie Hallfordowi.

Kiedy zatrzymali się naprzeciw siebie, Alhassan wbił wzrok w oczy mechanika i starał się stwierdzić, czy drzemie w nim jeszcze osoba, którą znali.

– Zostaw nas – powiedział Gideon, obracając się przez ramię.

– Wezwę cię, kiedy zajdzie taka konieczność.

Ingo Freed z namaszczeniem skinął głową, po czym się oddalił. Hallford odczekał, aż odejdzie wystarczająco daleko, i nabrał tchu. Trwała pełna wyczekiwania cisza, a Gideon trwał w całkowitym bezruchu.

W końcu zmrużył oczy.

Kąciki jego ust lekko drgnęły.

– Nieźle, co? – szepnął, patrząc po towarzyszach.

Połowa z nich odetchnęła.

– Cokolwiek masz na myśli, nie określiłbym tak tego – odparł Dija Udin.

– Co tu się dzieje? – zapytał Jaccard.

Channary Sang skrzyżowała ręce na piersi, patrząc na mechanika podejrzliwie. Ellyse ściągnęła brwi.

– Przede wszystkim powinniście wiedzieć, z kim rozmawiacie.

– Co? – zapytał Alhassan.

– Nie „co”, ale „słucham”, sukinsynu.

8

Niełatwo było wytłumaczyć im, że to naprawdę on.

Håkon sam początkowo tego nie rozumiał. Potem jego myśli zaczęły układać się w logiczną całość, spychając na drugi plan jaźń, która nadal była obecna w tym ciele. Teraz potrafił

panować nad sytuacją, choć była dla niego równie niespodziewana, jak dla nich.

– Nie rozumiem – powiedziała nieobecny głosem Ellyse, kręcąc głową.

– Zabijcie go, póki jeszcze nie cierpi – dodał Dija Udin. – Zróbmy to z litości, bo niedługo będzie za późno.

– Zapewniam was, że nie zwariowałem – powtórzył po raz któryś Håkon. – I zapewniam was, że to ja.

– Jak to możliwe? – zapytał Jaccard.

– Koncha musiała wytworzyć między nami jakąś więź.

Przez moment wszyscy patrzyli na poranione oblicze Hallforda.

– Przypuszczam, że była wyposażona w jakiś mechanizm obronny, który w sytuacji zagrożenia przerzucił mój umysł do...

– Ty leżysz zamrożony w komorze, sukinsynu.

– Najwyraźniej znajduje się tam tylko moje ciało.

– Nie wierzę.

– A jednak tak jest. Zapytaj mnie o cokolwiek.

– Nie mam zamiaru cię o nic pytać, bo to nie ty.

– Ja.

– Jak cholera.

– Sprawdź. Spytaj o coś, co tylko ja wiem. Żyliśmy razem przez pół roku na Accipiterze, więc...

– Jak tak to ujmujesz, brzmi to co najmniej dziwnie.

Lindberg wzruszył ramionami.

– Dziwnie to mi się robi, kiedy przypominam sobie twoje fantomaty.

– Które?

– Dobrze wiesz. Te erotyczne, z jakiejś tam wyspy na Karaibach – odparł Håkon. – Ale błagam, nie każ mi przywoływać szczegółów.

Dija Udin wydał usta i potoczył wzrokiem po reszcie.

– Cóż... – zaczął. – To może być on. Znany mi sukinsyn-
naukowiec.

Reszta załogantów nie wyglądała na przekonanych.

– Nie wiem, jak to możliwe, ale gada jak on i wkurza jak on –
dodał Alhassan, obchodząc przyjaciela. Lindberg uśmiechnął
się pod nosem. – Moim zdaniem to on – dodał nawigator.

Håkon patrzył na Nozomi, ale dziewczyna omijała go
wzrokiem.

– Skoro Dija Udin mi wierzy, wy tym bardziej powinniście.

– Nie sądzę – odparła Channary Sang, patrząc na Jaccarda.

Ten nadal trwał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Jak mam to udowodnić?

– Pogadaj z Ellyse sam na sam – zaproponował Alhassan. –
Tylko ona wie o tobie... rzeczy, których nikt inny nie chciałby
wiedzieć.

– To chyba nie najlepszy pomysł – odparł Lindberg.

– Może masz rację – przyznał Dija Udin. – Trzeba byłoby
później publicznie słuchać, gdzie masz pieprzyk i tak dalej.
Może w takim razie powiedz, jak Ellyse lubi być...

– Wystarczy tego – uciał Håkon. – Najprościej będzie, jeśli
wprowadzę swój kod do komputera pokładowego, prawda?

Każdy z nich miał własny ciąg znaków, którego nie powinien
znać nikt inny. To dzięki kodom niegdyś na Rah'ma'dul udało
się Lindbergowi ustalić, kto siedział przy którym stanowisku
na wraku Accipitera. Teraz mogło mu to pomóc
w udowodnieniu, że jest tym, za kogo się podaje.

Polecił Ingo Freedowi, by został na swoim statku, a potem
udał się z resztą na Kennedy'ego. Próbę przeprowadzili już
w korytarzu, przy pierwszym z brzegu pulpicie. Skandynaw
wprowadził swoje dane, a potem podał hasło. System
zaakceptował jego logowanie.

Nozomi cofnęła się, a Jaccard pokręcił głową.

– Gideon musiał znać inne kody... – powiedział.

– Żartujesz? Nie byłby w stanie wyciągnąć ich z systemu. Jeśli jest cokolwiek, czego komputery pokładowe ISS-ów strzegą jak oka w głowie, to właśnie kodów.

– Mówiłem, że to Lindberg – odezwał się Dija Udin. – Wszędzie poznam to nieboskie stworzenie.

Håkon spoglądał po ludziach, których uważał za przyjaciół – i którzy teraz patrzyli na niego, jakby pochodził z innego świata. Z ulgą przyjął, że Alhassan nadal żyje. Mimo że zapewne kombinował, jak nawiązać kontakt z Diamentowymi, Lindberg wciąż mógł go uratować.

– Håkon? – zapytała Nozomi.

Na jej twarzy malował się jedynie ból, nie było ani śladu ulgi.

Skandynaw rozłożył ręce i uśmiechnął się blado. Spojrzawszy na swoje dłonie, poczuł się dziwnie – choć przypuszczał, że najbardziej osobliwego uczucia doświadczy, gdy stanie przed lustrem lub będzie brał prysznic. Wzdrygnął się na samą myśl.

– Jak to się stało? – zapytała.

– Nie do końca wiem.

– Więc chociaż nie do końca wytłumacz.

– *La'derach* jest potężnym narzędziem – powiedział, patrząc na Dija Udina. – Najwyraźniej potężniejszym, niż sądziliśmy. Choć na dobrą sprawę mogliśmy spodziewać się wszystkiego. Ta maska wskrzesiła przecież Hallforda.

– I wskrzesi ciebie – powiedziała z przekonaniem w głosie Ellyse.

– Co do tego nie jestem przekonany – odparł i zauważył, że nie takiej odpowiedzi oczekiwała. Postanowił czym prędzej zmienić temat, ale Loïc go wyręczył.

– Byłeś cały czas świadomy? – zapytał. – Od tego incydentu na Tristan da Cunha?

– Nie. Ocknąłem się dopiero w ciele Gideona. Początkowo mogłem jedynie patrzeć, i to wyłącznie tam, gdzie akurat spoglądał Hallford. Potem sytuacja powoli zaczynała się

zmieniać. Zupełnie jakby ustępował paraliż, choć stopniowo, powoli. Ostatecznie wróciło czucie w nogach, ale daleki byłem od możliwości nawiązania z wami kontaktu. I wtedy stało się coś przedziwnego.

– Przypomniałeś sobie, że padłeś trupem na wulkanicznej wyspie – dodał Dija Udin.

– Nie, tego byłem świadomy od początku. Ale kiedy przejąłem władzę nad ciałem Gideona, usłyszałem głos, który mnie instruował.

– Bóg do ciebie przemówił – rzekł Alhassan, unosząc otwarte dłonie.

– Myślę, że to znacznie bardziej prozaiczna rzecz. Ktoś poprowadził mnie za rękę, jak dziecko we mgle. Wiedziałem, co mam robić, do kogo się zwrócić i jakimi słowami.

Lindberg patrzył na zebranych w korytarzu załogantów. Nadal nie obejmowali umysłem tego, co się działo – może z wyjątkiem Alhassana. On doskonale zdawał sobie sprawę, do czego zdolna jest koncha. Nie był zaskoczony – i dlatego on jako pierwszy dał wiarę jego słowom.

Håkon głowił się nad tym, co tak naprawdę wie jeszcze Dija Udin. I co zachowuje dla siebie.

– Założmy, że masz rację – odezwała się Channary Sang. – Jesteś tym, za kogo się podajesz, i rzeczywiście słyszałeś jakiś głos.

– Założmy – bąknął Lindberg.

– Czemu miałoby to służyć?

– Najwyraźniej temu, żebym zyskał władzę nad Ingo Freedem.

Na dźwięk tego imienia Dija Udin splunął na podłogę. Załoganci popatrzyli na niego z dezaprobatą, ale nikt się nie odezwał.

– I komu miałoby na tym zależeć? – zapytała Sang.

– Nam – odparła Ellyse.

Skandynaw kiwnął głową.

– Otóż to – powiedział. – Cokolwiek się wydarzyło, miało sprawić, że uzyskam kontrolę nad Yorktown. Teraz ją mam. Ingo Freed traktuje mnie jako inkarnację Zbawiciela, twierdząc, że od pokoleń mnie wyczekiwali. Rzekomo wieść o moim powtórным przyjsciu krążyła wśród proroków od dość dawna.

– I jak się z tym czujesz? – zapytał Alhassan. – To duże brzemię.

– Goń się.

– Pytam poważnie. Niełatwo być Wybrańcem.

– Pozwolę im wierzyć w tę bzdurę, póki może nam to pomóc.

– Myślisz?

– Dzięki temu mogę skierować Yorktown tam, gdzie mi się podoba. I miałaś rację, Ellyse, okręt dysponuje napędem nadświetlnym.

– Ale skąd...

– Korzystają też z innych dobrodziejstw – wszedł jej w słowo.

– Dzięki niektórym mieli wgląd we wszystkie komunikaty, jakie między sobą wymienialiście. Stąd wiem, co się działo pod moją nieobecność. Resztę przybliżył mi sam Ingo Freed, gdy już się przemógł, by swobodnie mówić w moim towarzystwie.

– Widzę, że ci się to podoba – rzekł Alhassan.

– Bynajmniej.

– Czerpiesz z tego satysfakcję, ty próżny sukinsynu.

– Przeciwnie, jestem po części zażenowany, a po części zmęczony ich upierdliwością. Tak czy inaczej, możemy to wykorzystać.

Jaccard westchnął głęboko, trąc skroń. Podkomendni skupili na nim wzrok, czekając, aż zabierze głos, a on przez moment się zastanawiał.

– Sprawdźmy, czy dobrze rozumiem – odezwał się. – Sugerujesz, że doszło do jakichś machinacji w czasoprzestrzeni?

– Tak przypuszczam – odparł Håkon.

- Jakim cudem? Nie ma tutaj tunelu.
- Tego nie wiemy.
- Słucham?
- Nigdy nie sprawdziliśmy wszystkich korytarzy w Terminalu. Jeden z nich może prowadzić na Ziemię.
- Nie ma mowy – odparł Dija Udin. – Dawno roiłoby się tu od brylantowych łachudrów.
- Może – odparł Lindberg. Jedyne, czego mogli być pewni w kwestii tuneli na Rah'ma'dul, to to, że niczego nie mogli być pewni.
- Alhassan ma rację – zabrała głos Ellyse. – Tym razem najprostsze wyjaśnienie może nie być właściwe.
- Otóż to – dodał Dija Udin.
- Bardziej prawdopodobne wydaje mi się to, że w jakiś sposób sami sobie pomogliśmy.
- To miałem na myśli od początku – wtrącił Håkon. Jaccard spuścił wzrok.
- Nie żartujcie...
- Proszę się nad tym zastanowić i przez chwilę nie rozważać czasu linearnie. Loïc westchnął.
- Jeśli skorzystaliśmy z napędu nadświatelnego Yorktown, wszystko jest możliwe – powiedziała Nozomi. – Być może za tydzień lub miesiąc od dziś dotarliśmy do któregoś z tuneli, a potem udało nam się go uaktywnić. Jeśli dostalibyśmy się boczną furtką do Terminala na Rah'ma'dul, możliwości byłyby nieograniczone.
- Mogliśmy cofnąć się w czasie i sprawić, że wiedziałem, co powiedzieć Ingo Freedowi.
- Zaraz... – powiedział Alhassan. – Błagam, nie zaczynajmy znowu. Jeszcze kręci mi się w głowie od ostatniego.
- Sam proponowałeś tę wersję – odparł Lindberg.
- Ale nie byłem świadomy, co macie na myśli. Wycofuję się z tego. Może rzeczywiście istnieje tunel na Ziemi.

Håkon zastanawiał się przez moment, ale bynajmniej nie nad gadaniną Alhassana. Ellyse miała rację – wszystko, co się działo, musiało być wynikiem ingerencji z przyszłości. Głowa rozboleła go na samą myśl o teorii samospójności Nowikowa, która ostatecznie zdawała się wygrać w starciu z innymi liniami czasu. Wszystko, co zrobili na Rah'ma'dul, okazało się tożsame z tym, co zastali w przyszłości. Tyle tylko, że wówczas udało im się oszukać Prastarych i samych siebie. Teraz trudno było powiedzieć, kto i dlaczego zmieniał ciąg zdarzeń.

– I co w związku z tym wszystkim? – zapytała Channary Sang. – Co teraz mamy niby zrobić?

– Kontynuujemy plan Nozomi – powiedział Lindberg bez zastanowienia.

– Nawet nie wiesz, na czym polegał.

Håkon popukał się w czoło.

– Wszystko jest tutaj – oznajmił. – Gideon dał mi dostęp, czy tego chciał, czy nie.

– Wyczuwasz go? – zapytał Dija Udin. – Powiedz, czujesz go w sobie?

Zignorował pytanie przyjaciela i spojrzał na Jaccarda, czekając na decyzję dowódcy.

– Mamy do dyspozycji Yorktown – powiedział. – Lećmy do najbliższego tunelu, przejdźmy na Rah'ma'dul, a stamtąd do kryjówki *Yan'ghati*. Bez trudu odnajdziemy Ev'radata i damy mu konchę do naprawy. Wrócimy, wskrzesimy mnie i...

– Nie brzmi to jak gadanie normalnego człowieka – wtrącił Alhassan.

– Trudno. Świat nie należy do normalnych.

– Nie przesadzaj.

Håkon odchrząknął.

– Potem wrócimy na Ziemię i zajmiemy się zarodkami. Oficjalna doktryna Kościoła Lindberga powiada, że to Arka Pańska.

– Będziesz się za to smażył w piekle – ocenił Dija Udin.

– Tylko jeśli nie zrobię z tym nic dobrego. A zamierzam sprawić, że ludzkość znów zasiedli tę planetę.

Patrzyli w milczeniu na głównego mechanika i starali się dostrzec w nim Håkona. Przez kilka chwil panowała pełna wyczekiwania cisza, którą w końcu przerwał Loïc.

– Potrzebuję dokładnego planu – powiedział. – Jeśli Ingo Freed ma być naszym taksówkarzem, nie może być tego świadomy.

– Bez obaw. O wszystkim zdążyłem już pomyśleć – odparł z pewnością w głosie Lindberg, choć pewien wcale nie był.

9

Dija Udin z uwagą obserwował przyjaciela, gdy ten stanął przed dowódcą Yorktown i zaczął swoje przemówienie. Mówił nabożnym tonem, jakby przelewał na rozmówcę mądrość usłyszaną bezpośrednio od Boga.

W pewnym sensie Alhassan brzydził się myślą, że Håkon podszywa się pod proroka – bo tym w przekonaniu Dija Udina było to, co wyczyniał Skandynaw. Nie miał jednak zamiaru choćby zająknąć się o tym słowem. Zburzyłoby to jego image, na który tak długo pracował.

– Bóg przemówił przeze mnie – perorował dalej Lindberg. – I ukazał nam kierunek, który powinniśmy obrać.

Ingo Freed patrzył na niego wyczekująco.

– Konieczne dla przetrwania naszej rasy jest, byśmy odnaleźli planetę, którą wskazał mi Pan.

– Jaką planetę? – zapytał kontradmirał.

Lindberg zamknął oczy i uniósł głowę, jakby odbierał przekaz od Wszechmogącego. Dija Udin znowu poczuł zgrzyt – jakkolwiek rzecz nie dotyczyła bezpośrednio Allaha, nadal sprawiała, że chętnie przywaliłby Skandynawowi.

– Nie jest to dla mnie do końca jasne – powiedział Håkon. – Bóg zamierza nas pokierować, ale nie chce, bym znał wszystkie odpowiedzi już na początku tej wędrówki. Rozumiesz, Stephen?

– Oczywiście – odparł Ingo Freed i skłonił się.

– Pan życzy sobie także, byśmy się zjednoczyli.

– Rozumiem.

– Chciałby, by bracia i siostry wyruszyli w tę podróż razem.

– Yorktown nie pomieści wszystkich – zauważył jeden z załogantów, patrząc na grupę ludzi stojących za Lindbergiem.

– Nie szkodzi – odparł astrochemik. – Wystarczy, że pojednamy tych najbardziej zwaśnionych. Właśnie dlatego ich tutaj przyprowadziłem. Załoganci Kennedy’ego i Yorktown wspólnie wypełnią wolę bożą.

– Amen – powiedział Ingo Freed.

Dija Udin miał ochotę zabrać głos i przemówić tym wszystkim ludziom do rozsądku, ale w porę ugryzł się w język.

– Pan będzie rad – oznajmił Håkon.

Dowódca Yorktown spojrzał na przybyszów.

– Kwater powinno wystarczyć – powiedział. – Moi ludzie zadbają o to, byście zostali odpowiednio przyjęci. Pokażą wam także, jak korzystać z systemów. Różnią się nieco od tych, do których jesteście przyzwyczajeni.

Jaccard kiwnął głową, Alhassan zaś z niedowierzaniem patrzył na człowieka, który nie tak dawno temu okładał go bez pamięci. Przypuszczał, że niebawem jego temat zostanie poruszony. I tak też się stało.

– Czy obecność tego... tworu jest konieczna? – zapytał Ingo Freed.

– Przede wszystkim musisz powiedzieć mi, pod jaką postacią go znacie i co wam uczynił.

– Wiele złego, Zbawicielu.

Lindberg obejrzał się przez ramię i na chwilę zawiesił wzrok na Dija Udinie. Ten pomyślał, że przyjaciel czerpie z tej sytuacji nielichą przyjemność. Zaklął w duchu, po raz kolejny poprzysięgając mu zemstę.

– Muszę to wiedzieć, nim wyruszymy – powiedział Håkon.

– Sądziłem, że wiesz o wszystkim, nauczycielu.

Lindberg uśmiechnął się pobłaźliwie.

– Nie o wszystkim – odparł. – Nie było mnie z wami, gdy mieliście z nim do czynienia.

Ingo Freed przez moment się zastanawiał.

– Kim on jest tak naprawdę, nauczycielu?

– Istotą zasługującą na przebaczenie – odparł natychmiast Håkon. – Tylko tyle musisz wiedzieć, a teraz powiedz, co wam uczynił.

– Pojawił się na Terze.

– Na nowej Ziemi?

– Tak, Zbawicielu. Zwaliśmy go Imadem Rehmanim i ufaliśmy, że przynosi Dobrą Nowinę.

– I co się zdarzyło?

– Ściągnął na nas śmierć.

Dija Udin dał krok do przodu, a potem teatralnie powstrzymał ziewnięcie. Spojrzał na przyjaciela, następnie głęboko westchnął.

– Jeśli ten facet będzie mówił w takim tempie, nigdy nie dowiemy się, jakich okropnych zbrodni dopuścił się jeden z moich braci.

– Spokojnie – odparł Lindberg, dostrzegając irytację kontradmirała. Znow przywołał na twarz sympatyczny uśmiech, co zdaniem Alhassana nie robiło najlepszego wrażenia. Poharatane oblicze głównego mechanika nadawało się jedynie do ponurych grymasów.

– Imad Rehmani przybył do nas na własnym statku – powiedział ze spokojem Ingo Freed. – Twierdził, że udało mu się odkryć uszkodzony pojazd na Ziemi, naprawić go i nas

odnaleźć. Jednostka nie przypominała niczego, co znaleźliśmy, ale w końcu wiele czasu upłynęło, od kiedy opuściliśmy naszą planetę.

Kontradmirał spojrział na Håkona, jakby oczekiwał przyzwolenia, by kontynuować swoją relację. Ten skinął głową.

– Przekazał nam wieść, że na Ziemi ponownie kwitnie życie, choć jedynie pod powierzchnią.

– Nie brzmi jak zbrodniarz – wtrącił pod nosem Dija Udin.

– Wygłaszał płomienne przemowy, a my słuchaliśmy z przejęciem – dodał Ingo Freed, spuszczać wzrok. – Głosił prawdy, na które czekaliśmy. Prawdy, które teraz głosisz ty, nauczycielu. Wybacz to porównanie.

Lindberg machnął ręką.

– Utrzymywał, że przybył na Terrę, by zjednoczyć rodzaj ludzki. Chciał, byśmy wrócili do domu.

– I co się zdarzyło? – zapytał Håkon, chcąc przyspieszyć opowieść.

– Wysłaliśmy okręty, które nigdy nie wróciły. Potem misje ratunkowe, a później... – kontradmirał urwał, podnosząc wzrok na Skandynawa. – Później pojawili się oni.

Dija Udin nadstawił ucha.

– Kto? – zapytał.

– Nie nawiązali kontaktu. Zaczęli ostrzał z orbity, nie dając nam szans na obronę. Zanim zdołaliśmy zmobilizować odpowiednie siły, z powierzchni Terry zniknęło kilka największych miast. Potem rozpoczęła się rzeź w kosmosie.

– Zniszczyli wasz świat? – zapytał Håkon.

– Nie. Udało nam się odeprzeć atak, wycofali się. Na jednym ze straconych statków odkryliśmy technologię, która pozwoliła nam przemieszczać się z prędkością nadświatłą. Było to kilka pokoleń temu. I wówczas zapadła decyzja, by pozostać na Terze. Ostatecznie porzuciliśmy plan zjednoczenia się z naszymi braćmi na Ziemi, a Rehmani stał się synonimem

wszelkiego zła. Ściągnął na nas tragedię i widmo eksterminacji.

– Obcy nigdy nie wrócili?

– Nie. Byliśmy gotowi na ich powrót, ale nigdy się nie pojawili.

– Jak wyglądali? Odkryliście jakieś ciała na tym wraku?

– Owszem – odparł niechętnie Ingo Freed. – Wynaturzone, diamentowe twory, które przywodziły na myśl raczej posągi niż istoty żywe.

Załoganci Kennedy'ego wymienili spojrzenia.

– Jak dawno to się wydarzyło? – zapytał Lindberg.

– Około dwustu lat temu.

Dija Udin przeprowadził w głowie szybką kalkulację. Najwyraźniej Diamentowi musieli trafić na Terrę, zmierzając ku Rah'ma'dul. Accipiter i reszta byli już w trakcie *proelium*, więc najpewniej chciano zadbać o to, by ciążył na nich imperatyw przetrwania. Gdyby wówczas wiedzieli, że ludzkość przeżyła na innej planecie, nigdy nie narażaliby się, by chronić zarodki na Challengerze.

– Wciąż jesteśmy gotowi na kolejny atak z ich strony – odezwał się po chwili Ingo Freed.

– Nie musicie – odparł Dija Udin. – Diamentowi już nie wrócą.

– Skąd ta pewność?

– Bo wiem, jak działają.

Stephen uniósł brwi.

– Chcieli was wybić tylko dlatego, by uczestnicy *proelium* musieli walczyć o przetrwanie gatunku. Nie zależy im na eksterminacji ludzkości dla samej zasady.

Kontradmirał spojrział na Lindberga, a ten potaknął.

– I skoro już tak wymieniamy się informacjami, może oświecisz mnie i powiesz, skąd się wzięliście na orbicie okołozemskiej? – dodał Alhassan.

– Obserwowaliśmy tę planetę.

– Jak?

– Pozostawiliśmy boję komunikacyjną na ciemnej stronie Księżyca. Ansiblem przekazywała nam dane. Gdy zobaczyliśmy, że okręty pojawiły się w Układzie Słonecznym, natychmiast zareagowaliśmy. Byliśmy przekonani, że wrócili obcy.

– A tu niespodzianka – odparł Dija Udin. – Tylko jeden się pojawił. Plus zmartwychwstały Skandynaw do kompletu.

Ingo Freed spojrział na niego spode łba i przez moment wyglądał, jakby miał zamiar ukarać go za bluźnierstwo. Ostatecznie jednak skierował pytający wzrok na Håkona i gdy przekonał się, że nauczyciel zachowuje spokój, sam spasował.

– To będzie ciekawa podróż – powiedział Alhassan.

– Nie dla ciebie – odburknął Lindberg, po czym zwrócił się do dowódcy Yorktown. – Jakkolwiek ta istota zasługuje na przebaczenie, musimy mieć ją na oku.

– Oczywiście.

– Zadbaj o to, by nie uzyskała dostępu do systemu komunikacyjnego i nie przemieszczała się swobodnie po okręcie. Cały czas musi jej towarzyszyć przynajmniej jeden uzbrojony członek załogi.

Ingo Freed kiwnął głową.

– Gdyby coś było nie w porządku, niezwłocznie mnie poinformuj.

– Tak, Zbawicielu.

Alhassan z niemającym zdziwieniem obserwował poddaństwo, jakie w każdym słowie i geście przejawiał Stephen Ingo Freed. Działo to na niego niepokojąco.

Håkon wydał jeszcze kilka poleceń, które zostały przyjęte z czcią, po czym skinął na Dija Udina i ruszył korytarzem w głąb statku. Alhassan udał się za nim. Przeszli przez korytarz, mijając wejścia do kajut, które widoczne były jedynie dzięki cienkim obwódkom zastępującym framugi.

– Dokąd mnie prowadzisz, nauczycielu?

- Zamknij się.
- Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.
- Przestaniesz?
- Nie. Muszę się z tym jakoś oswoić.
- Rób to w myśli.

Dija Udin skłonił się w pas, gdy zatrzymali się przed jedną z kajut.

- Wybacz, Zbawicielu – powiedział. – Nie chciałem obrazić twego majestatu.

- Do środka – odparł Håkon, otwierając drzwi.

Gdy przekroczyli próg, Alhassan uświadomił sobie, że to nie kajuta, ale jego nowa cela. Pomieszczenie było puste – nie było tu nawet pojedynczego bibelotu, mebla czy iluminatora.

- Świetnie. Mam miejsca w klasie VIP.

- Siadaj – odparł Lindberg, zajmując miejsce na podłodze. Drzwi zasunęły się ze świstem, a Dija Udin spoczął obok przyjaciela. Skrzyżowawszy nogi, spojrzał na niego ponaglająco.

- Mów, co masz do powiedzenia – rzekł.

- Koncha może mnie uratować, Dija Udin.

- Wiem. Wskrzesała kocmołucha, którego ciało zajmujesz, to wskrzеси i ciebie.

Håkon skinął głową, świdrując go wzrokiem.

- W dodatku *la'derach* może pomóc nie tylko mnie.

- Nie?

- Jestem przekonany, że będę w stanie użyć jej na tobie.

- Tak, tak... marzy ci się, żeby mnie przeprogramować.

- Uważam, że to możliwe.

- O ile ci na to pozwolę – odparł Alhassan, patrząc na przyjaciela surowo. – A musisz wiedzieć, że zrobię wszystko, żebyś zostawił moją głowę w spokoju. Nie będę miał oporów, żeby roztrzaskać ci czerep, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Lindberg podniósł się, stał przez moment bez ruchu, a potem kiwnął głową i skierował się do wyjścia.

- Hej, sukinsynu.
 - No?
 - Wiesz, że ładują teraz twoje ciało na statek?
 - Mhm – odparł Håkon, przekraczając próg.
 - I jak się z tym czujesz?
- Nie odpowiedział, oddalając się korytarzem.

10

Håkon nie mógł powstrzymać ciekawości. Udał się do hangaru, gdzie podłączono komorę kriogeniczną z Kennedy'ego do systemów statku. NISS Yorktown dysponował napędem nadświetlnym, przez co na jego pokładzie nie było nawet jednej kapsuły do diapauzy.

Stanąwszy nad swoim ciałem, spojrzał na nie z góry.

- Przypuszczałam, że cię tu znajdę.

Obejrzał się przez ramię i zobaczył Ellyse. Natychmiast odwrócił się do niej tyłem.

- Gdyby cię tu nie było, pomyślałabym, że to może jednak nie ty.

- Dociekliwość naukowca, co?

- Raczej chorobliwa ciekawość Lindberga.

Uśmiechnął się, gdy stanęła obok i również spojrzała na przeszkloną osłonę. Przez chwilę żadne z nich się nie odzywało. Håkon nie miał pojęcia, jak się zachować, a Nozomi z pewnością podzielała jego odczucia.

- Myślisz, że to wszystko da się odkręcić? – zapytała w końcu.

- Z pewnością.

- Jak?

- Wystarczy, że znajdziemy Ev'radata.

- I wszystkie nasze problemy znikną jak ręką odjął?

Lindberg zaśmiał się cicho.

– Problemy dopiero się zaczną, ale przynajmniej pozbędziemy się kilku przeszkód.

Ellyse nie wyglądała na przekonaną. Położyła dłonie na kapsule, oparła się o nią i wbiła wzrok w pobladłe zwłoki, które znajdowały się w środku. Håkon wzdrygnął się na samą myśl o tym, że jest to jedynie pusta skorupa.

– Jak znajdziemy tunel? – zapytała.

– Dija Udin zmodyfikował sensory na Kennedym i znalazł cel, prawda?

Pokiwała głową.

– Mamy planetę, ale do odnalezienia korytarza długa droga – dodała. – Nie mówiąc już o otwarciu go z tej strony.

– To prawda.

– Nie masz pojęcia, jak to osiągnąć, co?

– Błatego.

– W takim razie odnalezienie Ev'radata jest równie prawdopodobne jak to, że naprawdę jesteś Zbawicielem.

Lindberg uśmiechnął się i wzruszył ramionami. Obrócił się do niej, ale gdy tylko ujrzał, jak na niego patrzy, wrócił do poprzedniej pozycji. Po prawdzie chciał uniknąć spotkania z nią sam na sam, przynajmniej dopóki nie znajdą się na planecie. Sprawa była zbyt skomplikowana, by dokładać im trosk.

– Coś wymyślę – powiedział.

– Wiem.

Znów zamilkli, a po chwili Ellyse obrzuciła go ukradkowym spojrzeniem i oznajmiła, że musi wracać na mostek, bo oficer łącznościowy Yorktown instruował ją, jak korzystać z komputera pokładowego. Lindberg nie sądził, by była to nagląca sprawa, ale skinął głową, a potem odprowadził Nozomi wzrokiem.

Kiedy został sam na sam ze swoim ciałem w kriokomorze, opadły go wątpliwości.

Miał sporo czasu do namysłu i dotychczas powtarzał sobie, że ktokolwiek to wszystko zaplanował, zadbał o to, by każdy element układanki idealnie do siebie pasował. Teraz jednak nie był tego taki pewien. Wyruszył w drogę bez najmniejszego pojęcia o tym, jak dotrzeć do celu. Odnalezienie tunelu wydawało się co najmniej kłopotliwe, a sterowanie nim można było zaliczyć do kategorii cudów.

Poklepał osłonę kabiny, a potem wyszedł z hangaru. Przez moment zastanawiał się nad tym, ile z tych wydarzeń jest w stanie zobaczyć Gideon. Jeśli chociaż trochę, to do tej pory zapewne poprzysiągł sobie, że jak tylko odzyska kontrolę nad własnym ciałem, zrobi porządek z Lindbergiem.

– Wybacz, przyjacielu – bąknął Håkon, ruszając korytarzem w kierunku mostka. Do startu pozostało jeszcze trochę czasu, ale nie zaszkodziło sprawdzić, czy wszystko jest dopięte na ostatni guzik. Być może jakieś znaczenie miało także to, że Ellyse się tam znajdowała.

Wszedłszy na mostek, Lindberg poczuł na sobie wzrok wszystkich zebranych. Kilku wstało ze swoich miejsc, zanim zdążył się rozejrzeć. Dopiero teraz Håkon uzmysłowił sobie, że ktoś naprawdę się postarał, by zrobić z niego mesjasza.

– Mogę w czymś pomóc, nauczycielu? – zapytał Ingo Freed.

– Nie. Chciałem po prostu zobaczyć, jak odrywamy się od Ziemi.

– Obawiam się, że dzieli nas od tego jeszcze pół godziny.

– Poczekam tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko.

– Będziemy zaszczyceni.

Lindberg czuł się co najmniej nieswojo, ale starał się to zignorować. Nie patrzył na załogantów, doskonale zdając sobie sprawę z ukradkowych spojrzeń, jakie mu posyłali. Jedynie Nozomi była skupiona na swoim zadaniu.

Powiódł wzrokiem wokół, szukając wolnego fotela. Ingo Freed natychmiast wyłowił jego spojrzenie i cały się spiął.

– Wybacz, nauczycielu – powiedział. – Zaraz przygotuję dla ciebie miejsce.

– Nie kłopotz się – odparł czym prędzej Håkon. – Chętnie postoję.

– To niegodne.

Lindberg miał ochotę powiedzieć, żeby nie przesadzał, ale szybko się zmytygował, że nie pasowałoby to do wyobrażenia, jakie mieli o nim ci ludzie. Ostatecznie poczekał, aż dowódca wygospodaruje dla niego wolne stanowisko, a potem zasiadł za pulpitem. Systemy różniły się od tych na pokładzie Accipitera i Kennedy'ego, ale wciąż opierały się na *lingua universalis*. Lindberg zaczął z ciekawości przeglądać mapę nieba.

Dija Udin wykrył tunel na jednej z planet orbitujących gwiazdę HR 8799 w Konstelacji Pegaza. Nakamura-Amano znajdowała się sto dwadzieścia dziewięć lat świetlnych od Ziemi i wyglądała na typową planetę skalistą. Håkon przypuszczał, że obecnie nie zamieszkiwała jej żadna zaawansowana cywilizacja – inaczej dawno podjęto by próbę kontaktu z Ziemią.

Obserwując, jak załoganci przygotowują systemy do drogi, myślał o tym, w jaki sposób uaktywnić korytarz – i co czynić dalej. Bez *la'derach* nie dało się sterować Terminalem, chyba że było się jednym z Diamentowych.

Kwadrans upłynął w okamgnieniu, a kolejny minął Lindbergowi na przyglądaniu się Ellyse. Widział, że wkłada w naukę całe serce, ale przypuszczał, że gdyby nie było go na mostku, zapewne łatwiej byłoby jej się skupić. Robiła wszystko, by nie nawiązać z nim kontaktu – i Håkon bynajmniej się jej nie dziwił.

– Jesteśmy gotowi – powiedział w końcu kontradmirał, podnosząc się z fotela dowódcy. Spojrzał pytająco na Lindberga, a ten uświadomił sobie, że Ingo Freed czeka na oznakę aprobaty.

– Świetnie – powiedział więc. – Bierzmy się do roboty.

– Kurs na Nakamurę-Amano ustawiony, generator cząstek w gotowości.

Håkon wstał z miejsca i podszedł do Stephen’a.

– Jak działa ten napęd? – zapytał.

– Nie mnie to wyjaśniać – odparł dowódca. – To obca technologia, na której znają się mechanicy.

– Ale bezpieczna?

– Oczywiście. Testowaliśmy ją wielokrotnie, nim wprowadziliśmy ją do NISS-ów.

– Zagina czasoprzestrzeń?

– Tak, nauczycielu. Niestety nie znam prawideł jej działania, ale wiem, że emitory cząstek generują promień elektromagnetyczny, który zagęszcza przestrzeń wokół statku. Jest ona ściągana z obu stron, przez co prędkość potrzebna do wyrwania się z tej gęstej materii staje się większa niż światła.

Håkon przypuszczał, że w ten niespecjalnie opisowy sposób Ingo Freed starał się oddać to, co zaproponował Alcubierre w końcu dwudziestego wieku. Lindbergowi ta koncepcja była znana bardzo dobrze – może nawet zbyt dobrze.

– Rozumiem – powiedział.

– Podróż nie potrwa długo.

Håkon kiwnął głową, a potem wrócił na swoje miejsce. Załoganci znów powiedli za nim wzrokiem – i przypuszczał, że podobny stan rzeczy będzie trwał w najlepsze przez najbliższy czas.

Obce silniki NISS Yorktown wygenerowały zagięcie czasoprzestrzeni – skurczyły ją przed statkiem i rozszerzyły za nim. Lindberg poczuł, że serce zaczęło bić mu coraz szybciej. Zaraz potem wszystkie gwiazdy znikły, a zastąpiły je poziome, białe linie. Okręt wszedł w nadświatłą, a on nawet tego nie poczuł.

Spojrzał na Ellyse. Radiooperatorka była równie podekscytowana jak on. Pożałował, że nie ma z nimi reszty

załogantów. Mógł ich tutaj ściągnąć, ale nie chciał nadwerężyć usłużności, jaką okazywał mu kontradmirał.

Ingo Freed sprawdził, czy wszystkie systemy pokładowe działają należycie, po czym zbliżył się do stanowiska zajmowanego przez Lindberga.

– Zbawicielu – odezwał się. – Czułbym się lepiej, gdybym wiedział nieco więcej.

– Ja również.

– Więc...

– Ale nasze samopoczucie jest sprawą drugorzędną – wszedł mu w słowo Håkon. – Komfort nie ma znaczenia. Wiem tyle, ile musimy, Stephen.

Pokiwał głową w zamyśleniu, a Lindberg po raz pierwszy zaczął zastanawiać się nad tym, jak daleko będzie sięgała ufność tych ludzi. Ktoś odpowiednio ich urobił kilka pokoleń wstecz, ale nie mogła przecież całkowicie ich zaślepić. Prędzej czy później zorientują się, że coś jest nie w porządku.

– Wola boża pozostaje dla mnie nieprzenikniona – dodał Håkon. – Ale nie uzurpuję sobie prawa, by wszystko wiedzieć.

– Tym bardziej nie uczyni tego żaden z nas.

– Nie wiem, dlaczego Pan kieruje nas na tamtą planetę – ciągnął w najlepsze Lindberg, próbując przybrać wyraz twarzy świadczący o tym, że ta niewiedza rzeczywiście go mierzi. Nie miał pojęcia, na ile mu się udało, ale rozmówca wyglądał na przekonanego.

Astrochemik zasiadł na swoim stanowisku, a potem obserwował postępy podróży. Czuł się jak dziecko, które trafiło do całkiem nieźle skonstruowanego fantomatu. Na ekranie wyświetlił się pasek postępu i Lindberg mógł na bieżąco śledzić, ile dzieli ich od Nakamury-Amano.

Podróż mu się dłużyła, mimo że Yorktown pokonywał trasę z niebotyczną prędkością. Håkon musiał przed sobą przyznać, że w pewnym stopniu budzi to jego wewnętrzny sprzeciw. Wprawdzie napęd ten stwarzał nieograniczone możliwości

badania kosmosu, ale był elementem technologii Diamentowych. Technologii, która zdawała się przeczyć naturze wszechświata. Kiedyś ktoś mądrzejszy od niego powiedział mu, że zaginanie czasoprzestrzeni – choć wykonalne – jest niczym innym jak oszustwem. Coś w tym było.

– Håkon?

Lindberg obrócił się przez ramię i spojrzał na Ellyse. Stała przy jego stanowisku z rękoma za plecami. Popatrzyła na ekran i uśmiechnęła się.

– Obijasz się? – szepnęła.

– Przez moment myślałem, że uda mi się zrobić coś konstruktywnego, ale... chyba nie ma sensu nawet próbować. Nie pozwolą mi ubrudzić sobie rąk.

– Przecież nie masz pojęcia o tych systemach.

– To też prawda.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała jedynie niewyraźnym grymasem. Przez moment trwała niezręczna cisza.

– Chciałam tylko powiedzieć ci, że niebawem będziemy na miejscu. Ale skoro śledzisz postępy na bieżąco...

Zawiesiła głos, a Lindberg skinął głową. Po chwili odeszła, a on został z nieprzyjemnym uczuciem niedokończonej rozmowy. Zrobił głęboki wdech, a potem spojrzał na wyświetlacz.

Obserwował pasek aż do momentu, gdy gwiazdy przestały zlewać się w linie. NISS Yorktown wyszedł z nadświetlnej, a Håkon natychmiast przywołał na wyświetlaczu obraz z kamery dziobowej.

Interesująca ich planeta była jedną z pięciu w systemie. Gwiazda HR 8799 świeciła kilkakrotnie mocniej od Słońca i była półtora raza większa. Należała do klasy Lambda Boötis, co oznaczało, że w wyższych warstwach jej atmosfery brakuje ciężkich elementów. Jej barwa nie różniła się od Słońca.

Ale to nie ona była celem. Yorktown wyszedł z zagięcia czasoprzestrzennego na orbicie planety Nakamura-Amano – świata przywodzącego na myśl Ziemię, mimo że było tu jeszcze więcej oceanów. Håkon nie dostrzegł choćby jednego dużego kontynentu, za to łatwo zauważalne były grupy wysp, każda wielkości Skandynawii.

- Raport – powiedział Ingo Freed, podnosząc się z fotela.
- Brak sztucznych satelitów – powiedział jeden z załogantów.
- Nie odbieram też żadnych sygnałów z powierzchni.
- Monitorowanie przestrzeni?
- Nie wykrywam – odparł ktoś inny. – Brak aktywnych systemów namierzających.
- Wygląda na prymitywną cywilizację – powiedział Stephen, obracając się do Lindberga.
- O ile w ogóle jest tam cywilizacja.
- Dowódca Yorktown długo patrzył na Skandynawia.
- Mamy tam zejść, nauczycielu?
- Owszem – odparł z pewnością w głosie Håkon.
- W takim razie potrzebuję dokładnych koordynatów, by posadzić tam Yorktown.
- Wystarczy wahadłowiec.

Ostatnim, czego chciał Lindberg, było zabieranie ze sobą całej świty Ingo Freeda. Wprawdzie zaakceptowali Alhassana na tyle, by go nie zabić, ale dalecy byli od obdarzenia go sympatią. Nie miał wątpliwości, że niewiele było trzeba, by ponownie zaczęli tortury.

- Nie mogę pozwolić na takie ryzyko, Zbawicielu – odezwał się po chwili Stephen.
- Słucham?
- Nie wykryliśmy rozwiniętej cywilizacji, ale to nie oznacza, że na tej planecie nie ma niczego, co mogłoby ci zagrażać.
- Poradzę sobie – zapewnił go Håkon.
- Dla bezpieczeństwa posadzę Yorktown.

Lindberg spojrzał mu prosto w oczy, starając się stwierdzić, czy dowódca jest w stanie ustąpić. Do tej pory nie było z tym problemu, ale teraz sprawiał wrażenie zdeterminowanego. Håkon zaś za wszelką cenę chciał uniknąć sytuacji, w której jego autorytet straci na znaczeniu.

– W porządku – powiedział. – Jeśli dzięki temu poczujesz się pewniej, nie mam nic przeciwko.

Ingo Freed pochylił przed nim głowę.

– Więc wskaż, gdzie wylądować, nauczycielu.

Lindberg zerknął w kierunku drzwi.

– Właśnie do tego będziemy potrzebować pomocy naszego więźnia – odparł.

11

Dija Udin wiedział, że prędzej czy później po niego przyjdą. Spodziewał się, że zrobią to, kiedy będą potrzebować jego pomocy. Gdy tylko drzwi się otworzyły, wstał z podłogi i posłał uśmiech strażnikowi. Ten z marsową miną chwycił go za mundur i wyciągnął na zewnątrz.

– Zapowiada się ciekawie.

– Milcz – rzucił załogant.

Poprowadził go do windy, a nią dotarli na mostek. Alhassan przyjął taktykę rozsądnego milczenia, sądząc, że niewiele trzeba, by którykolwiek z tych ludzi zaczął go okładać.

Wyszędłszy z windy, puścił oko do Ellyse i skłonił się w pas przed Håkonem.

– Jak tam twoje nauczanie? – zapytał. – Przelałeś już na nich wiedzę o tym, jak nie być bandą tępych kutasów?

– Licz się ze słowami – powiedział Ingo Freed, a kilku członków załogi poderwało się ze swoich stanowisk. Dija Udin szybko uniósł otwarte dłonie.

– Wybaczcie – powiedział. – Moja szczerść to też moja największa bolączka.

Håkon minął dowódcę, kładąc mu dłoń na ramieniu. Ten spotulniał jak za dotknięciem magicznej różdżki.

– Potrzebujemy twojej pomocy – odezwał się astrochemik.

– Chcecie otworzyć się na Allaha?

Dostrzegł, że pośród załogantów zapanowała konsternacja. Najwyraźniej nie mieli pojęcia o islamie. Dziwne, biorąc pod uwagę, że chrześcijaństwo najwyraźniej przywędrowało do nich z Ziemi.

– Potrzebujemy pomocy w zlokalizowaniu anomalii – dodał Håkon.

– Masz na myśli ujemną masę.

– Owszem – odparł oficjalnym tonem.

Słyszając to, Alhassan z trudem utrzymywał powagę.

– To nie pomogę – powiedział. – Wasze sensory nie mają wiele wspólnego z aparaturą, która mogłaby coś zdziałać. Byłem w stanie namierzyć odpowiedni system planetarny, ale to wszystko.

– Namierzyłeś znacznie więcej. Konkretną planetę.

– Tę? – zapytał, wskazując na Nakamura-Amano. – Nie, to był tylko strzał.

– Co takiego?

– Intuicja podpowiedziała mi, że to tutaj może znajdować się korytarz, ale równie dobrze może być to jakakolwiek inna egzoplaneta w tym systemie.

Dija Udin przeciągnął się, patrząc po zebranych. Lindberg najwyraźniej trzymał ich w niewiedzy, bo nie mieli bladego pojęcia, o czym mowa. Na dobrą sprawę mogli spodziewać się, że rozprawiają o korytarzu do nieba.

Alhassan pociągnął nosem i wzruszył ramionami.

– Przykro mi – powiedział. – Ale nie pomogę. Chciałbym, bo czuję, że mam wobec was dług do spłacenia, ale cóż poradzić?

– Dług? – zapytał Ingo Freed, zbliżając się do niego.

– Wejście do tuneli to samobójstwo, więc właściwie...

– Wystarczy – uciał Håkon.

– Twoje zdanie nas nie interesuje.

– Nie? – Alhassan rozejrzał się. – Może i ciebie nie, ale ich?

Z pewnością chętnie przekonaliby się, dlaczego ich tutaj przywlokłeś.

Widział, że ożywili się na samo wspomnienie o tunelach, a wzmianka o niebezpieczeństwie i potencjalnie samobójczej misji tylko dodatkowo pobudziła ich ciekawość.

Dija Udin był świadomy, że nie będzie miał wiele takich okazji jak ta. Håkon sporo ryzykował, wzywając go na mostek. Ufał, że nie podważy jego pozycji – tymczasem Alhassan miał zamiar zrobić właśnie to.

– Jak widzicie, wiem więcej niż wy – dodał, rozkładając ręce.

– O czym to waszym zdaniem świadczy?

– Uspokój się, Dija Udin.

Alhassan zupełnie go zignorował. Teraz albo nigdy, pomyślał.

– Wydaje wam się, że ten człowiek jest tym, za kogo się podaje?

Lindberg zbliżył się do dowódcy, który wbijał wzrok w oczy nawigatora.

– Wyprowadźcie go stąd – powiedział Håkon. – Wystarczy już tego mącenia.

– Nikomu nic nie mączę – odparł Dija Udin, ale dwóch oficerów natychmiast do niego doskoczyło i złapało go za ręce. Szarpnął, jednak bez skutku, uścisk był zbyt mocny. – Otwórzcie oczy na prawdę! – krzyknął. – Ten człowiek nie jest żadnym Zbawicielem!

Mimo szarpaniny, która natychmiast się wywiązała, Alhassan zdołał jeszcze dostrzec emocje na twarzy przyjaciela. Z pewnością był zawiedziony, ale na pierwszy plan zdecydowanie wysuwała się wściekłość.

– Sprowadził was tu, bo zamierza uciec jednym z tuneli, o których mówił!

– Milcz, demonie! – krzyknął ktoś.

– Ten człowiek nazywa się Håkon Lindberg, był astrochemikiem na...

Urwał, gdy jeden z załogantów zamachnął się i przywalił mu w brzuch.

– Macie dane z Ara Maxima, sprawdźcie je...

Kolejny cios sprawił, że odechciało mu się dalszej rozmowy. Mimo to zebrał się w sobie i ciągnął dalej:

– Håkon szuka portalu, przejścia na planetę Rah'ma'dul...

Jeden go podniósł, drugi schwycił za głowę i pociągnawszy ją z impetem w dół, wyrzucił w górę kolano. Gdy spotkało się z czołem Dija Udina, muzułmaninowi zadudniło w uszach.

– Planetę, która jest w rękach Diamentowych – dodał, spluwając krwią. – Róbcie dalej, co wam każe, a ściągniecie na siebie zagładę.

Tym razem nie oberwał. Wyprostował się i potoczył wzrokiem po zebranych. Zdecydowana większość patrzyła pytająco na Lindberga, czekając na jego reakcję.

– On wie, że mówię prawdę.

Håkon zbliżył się do muzułmanina, patrząc na niego zupełnie bez wyrazu. W środku zapewne się gotował, ale umiejętnie trzymał nerwy na wodzy.

– Teraz już za późno, sukinsynu – odezwał się Dija Udin. – Zasiałem ziarno prawdy.

Lindberg zatrzymał się przed nim i zmierzył go wzrokiem. Dopiero teraz Alhassan zorientował się, że widzi w oczach przyjaciela współczucie, nie gniew.

– Jak zaczniesz gadać o tym, że nie wiem, co czynię, uderzę cię – zastrzegł szeptem Dija Udin.

– Mhm.

– Wiesz, że potrafię to zrobić.

– Oberzną ci rękę zaraz potem.

– Jestem gotów się poświęcić.

Lindberg zbliżył się jeszcze bardziej.

– Po co ta cała hucpa? – zapytał, nie odrywając wzroku od jego oczu.

– Stwierdziłem, że mogę wyciągnąć z tego wymierne korzyści.

– Jakie?

– Wprowadzę chaos. Nie ukrywam, że po prostu go lubię.

– Do niczego to nie doprowadzi – odparł Håkon nieco ciszej.

– Ci ludzie wierzą mi bezgranicznie.

– Tak? A nie zauważyłeś, z jakim przejęciem słuchali poczciwego Dija Udina?

– Z tak wielkim, że aż musieli pokazać to za pomocą zaciśniętych pięści.

– To tylko potknięcie po drodze do celu – odparł Alhassan, po czym otarł krew z kącika ust. Znosił dużo gorsze bicie, więc niespecjalnie przejmował się tym, co się wydarzyło.

Zerknął na Ingo Freeda i przekonał się, że ten spogląda na niego badawczo.

– Nawet ten psychopata zdaje się otwarty na prawdę.

Håkon obejrzał się przez ramię, a potem objął wzrokiem pozostałych zgromadzonych. Nie wyglądali na poruszonych czy oburzonych – a powinni, wszak Alhassan porządnie sobie pofolgował.

Dija Udin uśmiechnął się pod nosem.

– Powinieneś mnie zabić, kiedy mogłeś, o wielki nauczycielu.

– To prawda.

Alhassan odetchnął, dał krok w tył, a potem wymierzył palcem w Håkona.

– Sprawdźcie, kim naprawdę jest! Przekonajcie się, czy rzeczywiście drzemie w nim boży pierwiastek!

– Błuznierstwa... – odparł ktoś.

– Niech mówi – zaprotestował inny mężczyzna.

Håkon powoli odwrócił się do Ingo Freeda. Najprawdopodobniej szukał w pamięci formułki, która mogła mu pomóc – Alhassan dobrze ją kojarzył. Był na Ziemi w czasach, gdy chrześcijaństwo grało pierwsze skrzypce

w duszach ludzkich. „Błogosławieni ci, którzy nie widzieli, a uwierzyli”. Gdyby nie ateizm uchwalony na Pierwszym Szczycie Planetarnym w Bazylei, Skandynaw zapewne znałby tę frazę.

Wiedziałyby zresztą dużo więcej. Tymczasem na długo przed początkiem misji Ara Maxima religia na Ziemi stała się tabu – praktykowanie w zaciszu własnego domu było jedyną możliwością, a rozmowy na ten temat prowadzono niechętnie. W sferze publicznej milczano, a wspólnoty religijne stały się homogenicznymi środowiskami, niedopuszczającymi do siebie osób z zewnątrz. Miało to swoje plusy – religijny ekstremizm przybrał zupełnie inną formę i nie promieniował na zewnątrz. Wadą było to, że kolejne pokolenia wiedziały o danych wierzeniach coraz mniej i mniej.

Teraz miało to zebrać plony w życiu Lindberga.

– Przepytajcie go – powiedział Dija Udin. – Dowiedzcie się, ile wie o waszej religii. Jako mesjasz powinien ją doskonale znać, nieprawdaż?

Kilku pokiwało głowami, reszta trwała w rozsądnej ciszy, czekając, aż głos zabierze dowódca. Alhassan widział, że nawet przelotna wątpliwość przyniesie zamierzony efekt. Ci ludzie byli tak wyczuleni na punkcie swojego wyznania, że o innowierstwo mogli podejrzewać nawet tego, który miał ich poprowadzić.

– Zapytajcie go o podstawy.

Håkon znał wprawdzie passus z jakiejś księgi, którego użył jako wytrycha w rozmowie ze Stephenem, ale Dija Udin przypuszczał, że na tym jego wiedza się kończyła. Kwestią otwartą pozostawało, skąd Lindberg w ogóle wiedział, co powiedzieć.

– No już – dodał. – Wasz Zbawiciel z przyjemnością uświadomi wam, że się mylę. – Spojrzał na Skandynawa z uśmiechem. – Prawda, nauczycielu?

– Nie mam zamiaru niczego udowadniać.

Ton głosu Lindberga zdradzał, że ten czuje, iż grunt usuwa mu się spod nóg.

Ingo Freed podszedł do nich i skłoniwszy się przed Håkonem, czekał. Nie musiał się odzywać, by w głowie Skandynawa rozbrzmiało głośnie ultimatum. Albo udowodnisz, że jesteś tym, za kogo się podajesz, albo zaczną się problemy.

Alhassan czuł, jak rozpiera go radość.

– Zadań proste pytanie – odezwał się do Stephena. – Zapytaj, gdzie znajduje się centrum religijne waszej Terry... Ile wyznań jest praktykowanych w waszym świecie, ile soborów się odbyło, gdzie znajduje się największy kościół i czy wasi kapłani żyją w celibacie. Zapytaj o cokolwiek.

Ingo Freed milczał.

– Ten człowiek nic nie wie, ponieważ jest oszustem.

Za to powinien oberwać znacznie mocniej niż za wszystkie poprzednie uwagi. Tymczasem nikt nawet go nie ruszył. Dija Udin odtrąbił w umyśle sukces, a dodatkowe fanfary rozległy się, gdy dowódca nieśmiało zapytał Lindberga o miejsce na Terze, które jest najważniejsze dla wszystkich chrześcijan.

– Wybacz, że o to pytam, nauczycielu.

– Nie mam czego wybaczać, jednak sam fakt, że potrzebujesz potwierdzenia, każe mi podać w wątpliwość twoją wiarę.

Mocne słowa. Stanowczo za mocne, stwierdził z satysfakcją Dija Udin. Teraz sukinsyn zapędzi Ingo Freeda w kozi róg, z którego będzie tylko jedna droga ucieczki – na przestrzal.

– To nie ja potrzebuję potwierdzenia, Zbawicielu – odparł kontradmirał, mrużąc oczy. – Pytam jako dowódca tego okrętu. Jeśli ludzie mają pójść za twoim rozkazem, muszą być pewni, że prowadzisz ich do Światłości.

– Mogą być tego pewni.

– Będą, jak tylko odpowiesz na moje proste pytanie.

Ale Lindberg nie znał odpowiedzi. Miał o Terze tak wielkie pojęcie, jak o konstrukcji dział kinetycznych, które znajdowały się w arsenale Yorktown. Przez moment próbował wykaraskać

się z tragicznej sytuacji, ale z każdą kolejną minutą pograżał się coraz bardziej.

Podczas gdy Håkon chwycił się ostatniej deski ratunku, Dija Udin spojrział na Ellyse. Patrzyła na niego z wściekłością i sprawiała wrażenie, jakby miała włączyć się do dyskusji. Ostatecznie jednak nie odezwała się słowem, świadoma, że może pogorszyć sprawę.

– Na którym soborze zakazano innych wyznań? – zapytał Stephen.

– Nie będę...

– Ile lat należy skończyć, by zostać kapłanem?

– Jestem tutaj, by was prowadzić, nie zaś...

– Jak brzmi nasze wyznanie wiary?

Håkon widział, że czas na rozmowę się skończył. Dija Udin splunął krwią na bok, a potem głęboko westchnął.

– No – odezwał się. – Widzę, że jednak nie jest z wami tak źle, jak sądziłem. A teraz czas, byście zamknęli go w celi, a mnie umieścili w jakiejś przytulnej kajucie.

12

Lindberg i Dija Udin siedzieli w celi, robiąc wszystko, by na siebie nie patrzeć. Kręcili głowami na boki, lustrowali podłogę, a Lindberg ostatecznie przysunął się do ściany i zamknął oczy. Nie był aż tak zmęczony, ale uznał, że pozorowanie senności będzie najlepszym rozwiązaniem. W przeciwnym wypadku jedno słowo mogłoby rozpętać burzę, która niczego dobrego by nie przyniosła – a trwałaby przez kilka kolejnych godzin.

– Nie udawaj, że śpisz, sukinsynu.

– Zamknij się.

– Dziwisz mi się, że cię wycyckałem?

– Nie mam zamiaru z tobą rozmawiać.

– Obrażasz się praktycznie za nic.

Håkon otworzył oczy i spojrzał na niego z powątpiewaniem.

– To вина mojego programowania – powiedział Dija Udin. – Nic na to nie poradzę. Tak jak ty czułeś imperatyw, by ocalić gatunek, tak ja czuję imperatyw, by rodzaj ludzki wytrzebić.

Wyszczrzył się do niego, a Lindberg tylko pokręcił głową.

– Jesteś wrażliwy jak panienka.

– Zamkniesz się?

– Nie. Chcę o tym porozmawiać.

– Ja niespecjalnie.

– Rozmowa jest kluczem do udanego związku. Jeśli pozwolimy, żeby problemy zostały przemilczane, będą się gromadzić, narastać i w końcu...

– Zamknij, kurwa, japę.

– O, teraz uciekamy się do wulgaryzmów? Nie cierpię ich.

Håkon znów zamknął oczy i oparł głowę o ścianę. Naszła go absurdalna myśl, że mimo wszystko Alhassan może mieć trochę racji. Wszystko zależało od tego, jak go postrzegać – jeśli jak istotę żywą, obdarzoną duszą, sytuacja była wyłącznie jego winą. Jeśli zaś jako twór którejś z prastarych ras, należało uznać, że został zaprogramowany w taki sposób, by szukać nadarzającej się okazji. I nie miał w tym względzie wolnej woli.

Tak czy inaczej, Lindberg nie chciał teraz o tym myśleć.

– Ranisz mnie tym milczeniem.

– Goń się, Alhassan.

– Nie zapytasz nawet, czy naprawdę nie potrafię wykryć tuneli.

Håkon podniósł powieki i wbił wzrok w oczy przyjaciela. Ten ponownie się wyszczrzył, ochoczo kiwając głową.

– Wiedziałem, że to może cię zainteresować, sukinsynu.

– Mów.

– Powiem, jak mi wybaczysz.

– Przestaniesz się zgrywać?

– Wybaczyłeś mi, że zamordowałem wszystkich na Accipiterze, więc mógłbyś...

– Nikogo tam nie zabiłeś, Dija Udin.

– Zabiłem. I patrzyłem, jak umierają. Lubię, gdy umierają.

– Wprowadziłeś wirusa do systemu.

Alhassan na moment zamilkł, patrząc na niego bykiem. W końcu machnął ręką, jakby uznał, że nie warto kopać się z koniem.

– Co z tym tunelem? – zapytał astrochemik.

– Jest gdzieś tu.

– Więc nie strzelałeś?

– Strzelałem, ale gdybym teraz uzyskał dostęp do systemów Yorktown, mógłbym stwierdzić, gdzie konkretnie znajduje się to dziadostwo. Wystarczy namierzyć koncentrację ujemnej masy.

– A promieniowanie Czerenkowa?

– Pojawi się, jeśli ktoś skorzysta z tunelu. W przeciwnym wypadku nie wystąpi.

Håkon przypomniał sobie, jak wspominała o tym Ellyse. Jeszcze zanim na dobre zaczęła się cała sprawa z Terminalem, wykryła promieniowanie. Jej wniosek był wówczas bezbłędny – wykryta emisja świadczyła o przesunięciu w czasie.

Astrochemik pomyślał, że istnieje hipotetyczny sposób, by dzięki temu wykryć otwarty korytarz. Konieczne byłoby pilnowanie planety przez kilkadziesiąt, a może kilkaset lat – rzecz osiągalna, gdyby byli na pokładzie Kennedy’ego i mogli znaleźć się w diapauzie. Czas i tak nie miał dla nich żadnego znaczenia – mieli tylko siebie, nie musieli obawiać się, że ich rodziny i przyjaciele zestarzeją się i umrą. Wystarczyło tylko zabezpieczyć Challenger’a i inne statki, a potem możliwości były nieograniczone.

– Nad czym myślisz?

– Wyobrażam sobie sto piąty sposób na twoją śmierć w męczarniach.

- I co teraz przyszło ci do głowy?
 - Jak powoli ściągasz kombinezon w próżni kosmicznej.
 - Wspaniały sposób, by odejść – odparł Dija Udin. – Ale nie sądzę, byś marzył o uśmierceniu twojego najbliższego przyjaciela.
 - Nie przeceniaj swojej roli w moim życiu.
 - Wydaje mi się raczej, że układasz plan, jak odnaleźć tunel
 - dodał Alhassan, ignorując uwagę. – I to skłania mnie do pewnej refleksji. Chcesz ją usłyszeć?
 - Nie.
 - Ale i tak powiem: weź się, kurwa, zastanów.
 - Cały czas to robię.
 - Widać nie wystarczająco dobrze.
- Lindberg głośno westchnął.
- Co masz na myśli? – zapytał niechętnie.
 - Chcesz wejść do tunelu na nieznanym planecie, a potem błąkać się po korytarzach rozchodzących się z Rah'ma'dul.
 - Mówiłem już kiedyś, że twoja przenikliwość nie zna granic?
- Alhassan skrzywił się i kontynuował:
- Wyobrażasz sobie, co się stanie, jeśli trafisz na Gideona, mnie albo siebie? Zniszczysz wszystko, co zbudowałeś od początku *proelium*.
 - Więc powinienesz mnie do tego zachęcać.
 - Nie.
 - Nie?
 - Przyszłość, którą tam stworzyłeś, to moja terażniejszość. Nie znam innej.
 - Bo innej nigdy nie było.
 - Być może – przyznał Dija Udin głosem nad wyraz poważnym jak na niego. – Nie zmienia to faktu, że twoje działania były immanentną częścią całych zawodów. Zawodów, w których zwyciężyli Diamentowi. Nie wiem, na ile na to wpłynąłeś, ale nie mogę ryzykować zmiany linii czasu. Rozumiesz?

– Mniej więcej.

Myśl, że w jakiś sposób przysłużył się Diamentowym, była niepokojąca. Mimo to nie mógł tego wykluczyć. Czas był delikatną konstrukcją, a jej skomplikowania nie oddawały nawet kalkulacje, które Ev'radat przeprowadzał przez całe swoje życie i spisywał w jaskini.

– Niebezpieczeństwo namieszania w linii czasu jest zbyt duże, sukinsynu.

– Nie sądzę.

– Nie sądzisz? – zaśmiał się nawigator. – Widziałeś już odpowiednio dużo, by wiedzieć, że cała ta gadanina z efektem motyla to święta prawda. O tym powinienes nauczać, Zbawicielu.

Lindberg milczał.

– Niepotrzebnie przypominam o twoim utraconym statusie – powiedział Dija Udin, unosząc ręce. – Znowu się obrazisz, a już udało mi się trochę cię rozkręcić.

– Rozkręcę się na twoim pogrzebie.

– Będziesz tam wylewał łzy.

– Krokodyle.

Alhassan prychnął pod nosem, ale nie zdążył zripostować, gdyż otworzyły się drzwi. Jeńcy natychmiast zerwali się na równe nogi i stanęli obok siebie. W progu pojawiła się Ellyse, trzymana pod rękę przez Ingo Freeda.

Cisnął ją do przodu, a Lindberg natychmiast ruszył, by ją złapać.

– No to pięknie – odezwał się Dija Udin. – Jesteśmy tam, gdzie zaczęliśmy naszą znajomość. – Urwał i spojrzał na Nozomi. – Tym razem dobrali się do ciebie?

Kontradmirał popatrzył na niego z obrzydzeniem, jakby na samą myśl poczuł abominację.

– Kobieta zaczynała sprawiać problemy – oznajmił. – Posiedzi z wami, dopóki nie zbierze się konsylium i nie postanowi, co dalej począć.

Håkon puścił Ellyse i ruszył ku niemu, ale Stephen natychmiast zatrzymał go ruchem ręki.

– Żyjesz tylko dlatego, że nie wszyscy są przekonani, że jesteś uzurpatorem.

Ingo Freed z pewnością nie należał do tej grupy i Lindberg uznał, że lepiej będzie się nie odzywać. Kontradmiral cofnął się, a potem zamknął za sobą drzwi.

– Ani chybi zawrócą na Ziemię albo na Terrę – odezwał się Alhassan. – Nici z twoich przenosin do starego ciała. Przyzwyczaj się do tej mordy.

– Nie sądzę, żeby zawrócili – odparła Ellyse, siadając pod ścianą. – Wydawali się żywo zainteresowani tym, dlaczego ich tu sprowadziłyśmy.

– A co z resztą naszych? – zapytał Håkon.

– Przypuszczam, że umieścili Jaccarda i Channary w podobnej celi.

Dija Udin klasnął głośno.

– Będą przesłuchania – powiedział. – Nic przyjemnego, jeśli byście mnie spytali. Wiem to z pierwszej ręki. Wasi odlegli kuzyni z Terry stosują iście barbarzyńskie metody.

– Niczego się nie dowiedzą – odparła Ellyse. – Nie będą nawet próbować, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że Jaccard i Sang o niczym nie mają pojęcia.

Håkon chciałby usłyszeć w jej głosie przekonanie, ale go nie wychwytał. Znów zamknął oczy, starając się stwierdzić, co postanowi gremium, które miało zadecydować o ich losie. Nie spodziewał się niczego dobrego. I przez to w tej chwili wszystkie rozważania na temat tuneli wydawały się zupełnie płonne. Nie pożyją dostatecznie długo, by spróbować czegokolwiek.

Zwiesił głowę i trwał tak przez chwilę.

– Jakoś sobie poradzimy – odezwała się Ellyse. Håkon podniósł na nią wzrok, ale gdy uciekła spojrzeniem, szybko skarcił się w duchu.

– Ja tam przygotowuję się na śmierć – odparł Dija Udin. – Choć w sumie...

– No? – rzucił Lindberg.

– Jeśli was wezmą za tych złych, może ja awansuję na tego dobrego. W końcu zwróciłem ich uwagę na cokolwiek istotny fakt, że są oszukiwani.

– Z pewnością – odparła Ellyse.

– Może chociaż pozwolą mi odejść.

– Po tym, jak jeden z twoich braci zaszedł im za skórę? Wątpliwe.

Lindberg przysłuchiwał się temu z obojętnością. Zmagał się z myślą, że cała odpowiedzialność spoczywa na jego barkach. To on zabrał Alhassana na planetę, przez co wprowadził w ruch ciąg zdarzeń, który doprowadził ich tutaj. Ponadto to chęć ratowania jego życia popchnęła Jaccarda, by zabrał w tę podróż swoją załogę.

Siedzieli w milczeniu przez większą część dnia, a potem ułożyli się na podłodze i zasnęli. Håkon nie mógł uspokoić myśli, ale ostatecznie zmęczenie wzięło górę nad poczuciem winy i zapadł w płytki sen. Budził się, gdy któreś z towarzyszy przewracało się na drugi bok, więc ostatecznie zrezygnował z odpoczynku.

Potem czekał, aż Ellyse i Alhassan się obudzą.

Miał wrażenie, że minęły przynajmniej dwadzieścia cztery godziny, od kiedy w celi pojawił się na moment Ingo Freed. W końcu Ellyse przeciągnęła się i otworzywszy oczy, powiodła przerażonym wzrokiem wokół. Dopiero po chwili uświadomiła sobie, gdzie jest.

Alhassan wstał moment później, leniwie ziewając.

– Przegapiłem coś? – zapytał.

– Moją walkę z samym sobą, by nie zabić cię we śnie.

Dija Udin wzruszył ramionami, a potem strzelił karkiem.

– Nadal nas nie osądzili?

– Najwyraźniej – odparł Håkon.

Jak na zawołanie drzwi się otworzyły i do celi wszedł Ingo Freed w towarzystwie dwóch żołnierzy. Lindbergowi przeszło przez myśl, że nie widział tu jeszcze ani jednej kobiety w mundurze.

– Na zewnątrz – odezwał się jeden z nich.

– Po co tak obcesowo? – zachnął się Dija Udin. – Nie można powiedzieć normalnie?

– Już.

Wyszli na korytarz, dostrzegając, że są trzymani na muszce przez dwóch mężczyzn. Skandynaw starał się wyczytać cokolwiek z twarzy kontradmirała, ale bezskutecznie. Ingo Freed jak zawsze nosił beznamiętną maskę.

– Ruszać – powiedział jeden z nich, a potem popchnął Håkona.

Przeszli kawałek w milczeniu, głośno oddychając.

– Dokąd nas prowadzicie? – zapytał Alhassan.

– Czeka was proces.

– Proces? To dla mnie coś nowego.

– Będziecie mieli prawo do obrony.

Dija Udin i Lindberg wymienili się zdezorientowanymi spojrzzeniami. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak miałoby się w tej sytuacji bronić. Z jednej strony brzmiało to co najmniej absurdalnie, z drugiej stanowiło oznakę cywilizowanych praktyk. Może nie powinni się dziwić. NISS Yorktown wszak nie był ostatnim ocalałym z apokalipsy, ale jednostką wchodzącą w skład floty – elementem większego świata. Świata, w którym obowiązywały zasady.

Zaprowadzono ich do przestronnej, owalnej sali. Pośrodku znajdował się podest, wokół niego wznosiły się rzędy krzeseł. Najwyraźniej przedstawieniu miała przyglądać się widownia. Håkon pomyślał, że zazwyczaj w tym miejscu musiały odbywać się jakieś wojskowe ceremonie.

– Jest major – zauważyła Ellyse. – I Channary.

Skandynaw skierował wzrok na dwójkę załogantów stojących w centralnym miejscu, a potem powiódł nim wokół. Kilkunastu oficerów Ingo Freeda zajęło miejsca na krzesłach. Reszta sali pozostała pusta.

Wprowadzono ich na podest, a potem kontradmirał oznajmił, że nadszedł czas, by wybrali swojego przedstawiciela.

– Tylko on będzie miał prawo głosu podczas procesu – dodał, po czym się oddalił.

Członkowie załogi Kennedy’ego przywitali się, z ulgą stwierdzając, że żadne z nich nie zostało poddane torturom.

– W porządku – odezwał się Loïc. – Wygląda na to, że nie wszystko jeszcze stracone.

– Wszystko może nie, ale prawie – zauważyła Nozomi. – Ta rozprawa będzie zwykłą farsą.

– Jakież szanse zawsze są.

– Bez znajomości praw, które rządzą tym społeczeństwem?

– Kto będzie nas bronił? – wtrąciła Channary Sang.

Oczy wszystkich zwróciły się na Håkona, ale ten pokręcił głową.

– To niezbyt dobry pomysł – powiedział. – Ci ludzie wiążą ze mną zbyt duży ładunek emocjonalny.

– Ja wystąpię – odezwał się Dija Udin, którego Jaccard i Channary Sang zupełnie ignorowali. – Potrafię wygłaszać płomienne mowy.

– O czym przekonaliśmy się na mostku – bąknął Skandynaw.

Alhassan skłonił się, jakby otrzymał komplement.

– Proponuję Ellyse – dodał Lindberg. – Przynajmniej ją kojarzą, bo uczyła się ich systemów. I rozmawiała z nimi... czego nie można powiedzieć o kimkolwiek innym.

– Zgoda – odparł Jaccard, nim dziewczyna zdążyła zaproponować. – Teraz pozostaje nam tylko wykoncypować linię obrony.

Jedyną odpowiedzią na tę uwagę mogło być milczenie. Patrzyli na siebie z nadzieją, że któreś wpadnie na cudowne rozwiązanie wszystkich ich problemów. Potem dostrzegli, że siedzący na trybunach oficerowie zaczęli między sobą rozmawiać. Najpewniej to oni stanowili konsylium, które miało postanowić o losie oskarżonych.

– Żadnych pomysłów? – zapytał Loïc. – Nawet jednego, choćby miernego?

– Wydaje mi się, że nie ma sensu robić z Lindberga mesjasza – zabrała głos Channary. – Wiedzą już, że to bzdura. Nie udowodnimy tego.

Håkon skinął głową.

– W takim razie pozostaje nam załagodzić sytuację, znajdując dobry powód, dla którego zastosowaliśmy ten fortel – odparł Jaccard.

– Nie – odezwał się Lindberg. – Oni zbyt poważnie traktują swoją religię, by odpuścić. Ukarzą winnego, jakkolwiek świetnej argumentacji byśmy użyli. Widzę, niestety, tylko jedną możliwość.

– Nie ma mowy – zastrzegła Nozomi.

– Nie mam złudzeń, że w tej chwili wisi nad nami wszystkimi kara śmierci – kontynuował Håkon. – Przyznam się do winy i postaramy się udowodnić, że nie mieliście nic wspólnego z moimi planami. Alhassan zapewne zostanie skazany wespół ze mną za grzechy jednego ze swoich braci, ale to właściwie bez znaczenia.

– Zaraz, moment...

– Wy odejdziecie wolno i wróćcie na Ziemię.

Nozomi kręciła głową, nie przyjmując tego do wiadomości. Håkon dostrzegł jednak, że Jaccard i Channary Sang byli gotowi przystać na jego wersję. Zrozumiały – przez cały ten czas spędzony w celi musieli rozważyć wszystkie możliwości. Ta była jedyną sensowną.

– Spójrzcie na to z tej strony – dodał. – Nie będziecie musieli szukać tunelu.

Ingo Freed odczytał akt oskarżenia, który zdawał się nie kończyć. Dija Udin sądził, że w Koranie i Sunnie znajduje się dużo przepisów zakazujących obrażania Boga i jego wyznawców – tymczasem kodeks kanoniczny tych ludzi zdawał się dwa razy bardziej rozbudowany.

Karą oczywiście była śmierć. Alhassana pozytywnie zdziwił sposób, w jaki miała zostać wykonana – nieszczęśnika wyrzucało się w przestrzeń kosmiczną.

– Håkon... – odezwała się cicho Ellyse, gdy kontradmirał dalej odczytywał ich przewinienia.

– Nie ma innej możliwości – odparł Skandynaw.

– Zgadzam się z nim – poparł go Dija Udin. – Rzadko to robię, ale kiedy już...

– Nie poświęcasz tylko siebie – ucięła Nozomi. – Wraz z tobą zginie także Hallford.

– Jestem tego świadom.

– Kocmołuch chętnie zakończyłby swoje męki z tym ryjem – wtrącił Alhassan.

Wprawdzie niechętnie widziałby przyjaciela zamrożonego w przestrzeni, ale rzeczywiście nie było innej możliwości. Liczył także na to, że gdy Håkon zostanie skazany, jego rozgrzeszą ze wszystkich win. W końcu gdyby nie on, nigdy nie dowiedzieliby się o oszustwie.

– Nie możemy decydować za niego – odpowiedziała.

– Jak to nie? Pod jego nieobecność ktoś musi.

– Zamkniesz się? – zapytał go Håkon, obracając się do Ellyse.

Alhassan nie słyszał dalszej wymiany zdań, ale niespecjalnie go interesowała. Sukinsyn będzie starał się przekonać Nozomi, że nie ma innego wyjścia – i w końcu mu się powiedzie.

Dziewczyna uroni kilka łez, przytaknie, a potem będzie siedziała cicho. Resztę życia spędzi w smutku, może przedawkuje jakieś leki, które w zamierzeniu miały jej pomóc.

Dija Udin urwał rozważania, dostrzegając, że zbliża się ku nim jeden z oficerów. Niósł urządzenie przypominające cienkiego, przezroczystego datapada. Gdy aktywował się wyświetlacz, załoganci ujrzeli kodeks prawa karnego zapisany w *lingua universalis*.

– Ile mamy czasu na przeczytanie tego? – zapytał Jaccard.

– Dwie minuty.

Major kaszlnął, jakby się czymś dławiał.

– Więc jak mamy się bronić?

– Powinniście znać tylko jeden przepis – odezwał się z mównicy Ingo Freed. – Zapoznajcie się z nim, rozważcie go, a potem oddam głos waszemu przedstawicielowi.

Dija Udin od niechcenia rzucił okiem na wyświetlacz. Niespecjalnie interesowały go szczegóły – Håkon przyzna się do winy, a to była rzecz uniwersalna w całym wszechświecie. Żaden sąd nie będzie kłócił się z człowiekiem, który sam twierdzi, że dokonał czynu, o który został oskarżony.

– Może jest inny sposób... – powiedziała Nozomi, przeglądając kolejne artykuły. – Może jakiś sprawdzian boży wchodzi w grę...

– Jak średniowieczne ordalia? – zapytał Håkon. – Wątpię.

Sprawdzili i okazało się, że nie ma żadnej możliwości, by dać Bogu okazję do bezpośredniego zadecydowania. Wszystko pozostawało w rękach ludzi przekonanych, że działają w jego imieniu.

– Czas się skończył – powiedział po chwili Ingo Freed.

– Jak na rozwiniętą cywilizację, za którą się uważacie, wasze standardy prawne pozostawiają trochę do życzenia – odezwał się Jaccard. – Nie mieliśmy nawet okazji...

– Mieliście nadto okazji – uciął kontradmirał. – A teraz słucham tego, który przemówi w waszym imieniu.

Loïc przez moment trwał w bezruchu, po czym wycofał się o krok. Jego miejsce niechętnie zajęła Ellyse. Pośród zgromadzonych natychmiast rozszedł się szum dezaprobaty.

– Chyba nie wzięliście pod uwagę, że to patriarchalne społeczeństwo – powiedział z uśmiechem Dija Udin.

– Cisza! – krzyknął Ingo Freed, mierząc palcem w Alhassana. – Jeszcze jedno słowo nieuprawnionego uczestnika procesu, a zakończę to natychmiast.

Dija Udin przewrócił oczami.

– Słucham, co ma do powiedzenia reprezentant oskarżonych – dodał kontradmirał.

Nozomi wzięła głęboki wdech i znów spojrzała na Lindberga.

Ten w końcu musiał uznać, że Ellyse nie robi tego, co według niego było jedynym rozwiązaniem. Wziął sprawę w swoje ręce. Wszedł przed kobietę, a potem uniósł ręce.

– Przyznaję się! – krzyknął.

Pośród zgromadzonych rozległ się nerwowy szum.

– Przyznaję się do winy – dodał, kładąc rękę na ramieniu Nozomi i delikatnie ją odsuwając.

Była tak zdezorientowana, że mu się poddała.

– Oświadczam, że celowo oszukałem zarówno załogę NISS Yorktown, jak i ISS Kennedy’ego. Ponadto przyznaję się do działania w zamiarze bezpośrednim, z premedytacją i w sposób przemyślany.

Dija Udin sądził, że nastąpi masowe podniecenie, jednak zebrani zamilkli.

– Świadom grożącej mi kary podkreślam, że działałem sam – kontynuował słabym głosem Håkon. – Nie współdziałałem z żadnym członkiem załogi Yorktown ani Kennedy’ego. Nikt nie miał pojęcia o fortelu, do którego się posunąłem. Oszukałem wszystkich.

Nadal panowała niczym niezmacona cisza i Alhassan zaczął myśleć, że jest ona zwiastunem czegoś pozytywnego. Być może ci ludzie cenili sobie szczerą nawet ponad największą winę –

albo docenili fakt, że Håkon wziął na siebie całą odpowiedzialność. Tak czy inaczej, nie wyglądało to najgorzej.

Ingo Freed patrzył na Lindberga, a ten na Nozomi.

– Chyba wystarczy – odezwała się. – Wszystko zrozumieli.

Skandynaw wstrzymał oddech, gdy sędzia uniósł dłoń. Alhassan słyszał, z jakim trudem przyszło przyjacielowi przełknąć ślinę. Wszyscy skupili uwagę na Ingo Freedzie, kiedy ten się wyprostował.

– Musimy się naradzić – powiedział.

Wstał ze swojego miejsca, a potem ruszył ku pozostałym członkom tego niezbyt wesołego konsylium. Dija Udin przyglądał się ich naradzie. Wymieniali między sobą ciche uwagi, raz po raz spoglądając w kierunku oskarżonych.

– Trochę to potrwa – zauważył.

– Nie jest źle – odezwał się Jaccard. – Nie spodziewali się przyznania do winy.

– Niewiele to zmienia. I tak ubiją Lindberga.

– Zobaczymy.

W milczeniu czekali na rozwój wydarzeń. Po kwadransie Alhassan przeciągnął się, z niepokojem stwierdzając, że dyskusje nadal trwają w najlepsze. Najwyraźniej pojawili się tacy, którzy byli gotowi sympatyzować z fałszywym mesjaszem, inaczej nie byłoby o czym rozprawiać.

– Jest gorzej, niż myślałem – powiedział.

– To znaczy?

– Wygląda na to, że mają dylemat i że trochę tu posiedzimy.

Nikt nie odpowiedział – załoganci Kennedy'ego nawet na niego nie spojrzeli. Minęła niecała godzina, nim Ingo Freed i jego ludzie doszli do porozumienia. Dowódca z zadowoleniem skinął głową, a potem zostawił swoich podkomendnych i wrócił na miejsce sędziego.

Håkon i Ellyse wymienili się zaniepokojonymi spojrzeniami.

– Przyznam, że zaskoczyła nas ta deklaracja – podjął Stephen. – Spodziewaliśmy się, że będziecie iść w zaparte,

twierdząc, że ten człowiek to zbawca, na którego czekaliśmy.

Dija Udin na ich miejscu poszedłby tą drogą. Skoro ktoś w przeszłości zdołał przekonać tych ludzi, że powtórnie pojawi się ich nauczyciel, trzeba było to wykorzystać. Wprawdzie niełatwo byłoby obalić argumenty, które przedstawił Alhassan, ale powinni chociaż spróbować.

– Przyznam także, że niełatwo było nam podjąć decyzję. Byliśmy podzieleni, mniej więcej po połowie.

Lindberg nerwowo przestąpił z nogi na nogę. Wcześniej zachowywał spokój, zdając sobie sprawę, że nie może mieć wielkich nadziei na korzystne rozwiązanie tej sytuacji. Teraz, gdy pojawiła się szansa, wraz z nią przyszły nerwy.

Pół na pół to naprawdę niezły układ. Wszystko mogło się wydarzyć.

– Jestem przekonany, że zważyliśmy wszystkie za i przeciw – kontynuował Ingo Freed. – Było ich więcej, niż pierwotnie przypuszczałem, ale właśnie z tego względu decydujemy kolegiально. Jeden człowiek potrafi być omylny, a mnie zdarza się to równie często, jak każdemu innemu. Nie będę twierdził, że jest inaczej.

Dija Udin miał ochotę odezwać się i zaapelować, by kontradmirał przyspieszył nieco wydawanie wyroku.

Ingo Freed znów się wyprostował, nabierając tchu.

– Wziąwszy pod uwagę wszystkie okoliczności, zgromadzone tutaj konsylium w imieniu Międzyplanetarnego Rządu Terry orzeka, co następuje...

Alhassan dostrzegł, że Ellyse złapała Håkona za rękę. Przemknęło mu przez myśl, że musi czuć się dziwnie, trzymając równocześnie kocmołucha.

– Astrochemik Håkon Lindberg, załogant na ISS Accipiterze, zostaje przez to gremium uznany za winnego zarzucanych czynów. I skazany na karę śmierci.

Przez moment trwała absolutna cisza, jakby zgromadzeni nawet nie oddychali. Przerwała ją dopiero Nozomi, ze świstem

nabierając tchu. Obróciła się do Lindberga i wlepiła wzrok w jego oczy.

– Szkoda – powiedział Dija Udin.

Jaccard otworzył usta, robiąc krok w kierunku sędziego. Channary Sang natychmiast ruszyła za nim.

– Pozostali członkowie załogi zostają uznani za niewinnych zarzucanych im czynów – dodał Stephen. – Nie współdziałali z oskarżonym i nie mogą być pociągnięci do odpowiedzialności, tak jak i my nie możemy być obwiniani za to, że pozwoliliśmy, by skazany nas omamił.

Alhassan uświadomił sobie, że podział składu orzekającego nastąpił według innej linii, niż przypuszczał. Dylematem nie było to, czy uniewinnić Skandynawa, ale czy wyrzucić ich wszystkich razem z nim w przestrzeń kosmiczną.

Spojrzał na Håkona z rozrzewnieniem. Tyle wspólnych chwil, żartów i przytyków, które wprowadzały nieco światła w szary żywot. Szkoda, wielka szkoda. Prawdę mówiąc, Dija Udin powinien być już oswojony z tą stratą – przerabiał ją na Tristan da Cunha. Wtedy jednak liczył na to, że konchę da się naprawić, a Håkona uratować. Teraz nie mogło już być o tym mowy.

Sędzia znów zrobił głęboki wdech, więc nawigator skupił na nim uwagę. Sądził, że teraz dowie się, co dalej z nim poczną.

– Dija Udin Alhassan zostaje uznany za byt odrębny od Imada Rehmaniego. Podobizna czy nawet identyczność fizyczna nie może świadczyć na jego niekorzyść. Za to, co uczynił załodze ISS Kennedy’ego, zostanie osądzony na Ziemi, gdy ukonstytuuje się nowy rząd.

Dija Udin odetchnął. Do tego czasu zdąży wszystkich urobić, a jeśli nie, to może uda mu się wysłać sygnał do Diamentowych. Tyle będzie z ukonstytuowania się nowego rządu.

– Orzeczona kara zostanie wykonana niezwłocznie – dodał Ingo Freed, a potem podniósł się z fotela sędziowskiego. Gdy

odwrócił się do nich plecami, Ellyse rzuciła się na szyję Håkonowi. Alhassan słyszał, jak lamentuje, ale nie miał zamiaru się na tym skupiać.

Spojrzał na Jaccarda – ten pobladł jak ściana, a Sang sprawiała wrażenie, jakby miała za moment rzucić się na członków składu orzekającego, którzy gratulowali sobie nawzajem dobrej decyzji.

Nozomi odkleiła się od Lindberga i zwróciła ku nim.

– Barbarzyńcy!

– Spokojnie – powiedział Skandynaw. – Wiesz, że niewiele trzeba, żeby zmienili zdanie.

– Banda tępych, prymitywnych...

– Ciii... – powtórzył Lindberg, lecz w jego głosie nie było kategoryczności. Spojrzała na niego, a on zmusił się do bladego uśmiechu. Zaraz potem podeszło do niego dwóch strażników. Wykręcili mu ręce za plecami, a Håkon jęknął z bólu.

– Oho – powiedział pod nosem Alhassan. – Teraz dopiero zacznie się burdel...

I rzeczywiście tak było, choć mużułmanin spodziewał się większej rozróby. Ellyse krzyczała, młóćąc rękoma, a Channary Sang szybko przysła jej w sukurs. Loïc ruszył, by uspokajać kobiety, Alhassan zaś przyglądał się temu z ciekawością.

Gdy się miotali, kątem oka dostrzegł, że Håkon na niego patrzy. Strażnicy nadal nim szarpali, ale naukowiec robił wszystko, żeby mużułmanin zwrócił na niego uwagę.

– No co? – zapytał Dija Udin. – Płakać przecież nie będę.

– Goń się, Alhassan.

– Powiem ci za to, że będzie mi cię brakowało, sukinsynu.

Było to ostatnie, co Håkon zdołał usłyszeć. Potem zaciągnęli go do korytarza.

Lindberg stanął przed służą prowadzącą do jednego z kołnierzy, którymi załoganci przedostawali się na pokład innych statków bądź stacji kosmicznych. Widział, że zewnętrzny właz jest jeszcze zamknięty.

Wprowadzą go do środka, zamkną ten za nim, a potem otworzą drugi. Nie miał pojęcia, jak długo będzie umierał.

– Wiedz, że to kara niewspółmierna do przewinienia – odezwał się Ingo Freed.

– Aha.

– Dopiero po śmierci spotka cię zasłużony los.

– Doprawdy?

– Będiesz cześć w piekle. I nie zmieni tego nawet fakt, że twoim ostatnim dziełem na tym świecie było uratowanie towarzyszy.

– Myślę, że za to Bóg spojrzy na mnie jednak przychylniej.

Stephen zatrzymał się i chwycił go za mundur. Przyciągnąwszy astrochemika do siebie, spojrzał mu głęboko w oczy.

– Nie wierzysz w żadnego boga, teraz to widzę.

– Wierzę, nie wierzę, co za różnica?

– W twoim przypadku sprowadza się do życia lub śmierci – odparł Ingo Freed, wypuszczając skazańca. Popchnął go do przodu. – Gdybyś wierzył, nigdy byś nie zbluźnił... nie zbrukałbyś się najohydniejszym z kłamstw.

Håkon milczał, usilnie poszukując ratunku. Chodziło o niego, ale także o Gideona, który zginie wraz z nim, być może zupełnie nieświadomy tego, co się dzieje. Została jedna jedyna deska ratunku.

– Oby to wszystko zostało wam wybaczone – powiedział.

– Nie próbuj nawet – odparł zirytowany Ingo Freed. – Nikt już nie wierzy w twoje słowa.

– Nie wiesz nawet, co chcę powiedzieć.

– Wiem doskonale. Spróbujesz znów nas omamić, twierdząc, że to wszystko było próbą, której nie przeszliśmy.

– Nie będę niczego...

– Oszczędź sobie gadania, a nam słuchania.

A więc to by było na tyle, jeśli chodziło o ostatnią deskę ratunku. Håkon zamierzał zrobić z siebie męczennika, niewłaściwie osądzonego i pomyłonego z uzurpatorem, ale najwyraźniej ci ludzie byli na to gotowi.

Jeden z załogantów otworzył służbę, a potem Ingo Freed wepchnął go do środka. Bez słowa, bez żadnych emocji.

– Przydałby się ostatni posiłek – powiedział Lindberg, obracając się. Gródź się zasunęła, a na swoich oprawców mógł spojrzeć jedynie przez niewielką szybkę. Nie miał pojęcia, czy słyszą, co mówi. – Robicie z siebie takich cywilizowanych ludzi, a nie pomyśleliście o tym, co?

– Nie – odparł kontradmirał, lekko się uśmiechając.

– Nie bagatelizuj tego – odezwał się Lindberg, przylegając do szyby. – To zwyczaj kultywowany już w pierwszych społeczeństwach. Przyjęcie posiłku było aktem szacunku, pogodzenia się z tym, który przynosi jedzenie. Stanowiło symbol wybaczenia, które skazaniec okazywał swojemu sędziemu, katowi i...

– Nie potrzebuję twojego wybaczenia – uciął Ingo Freed, a potem z impetem uderzył w konsolę po prawej stronie drzwi.

Håkon poczuł szarpnięcie.

Potem jego ciało nagle nabrzmiało jak balon. Woda stanowiąca siedemdziesiąt procent jego ciała natychmiast zmieniła stan skupienia. Z płynnego zmieniła się w parę.

Poczuł, jak skóra go pali, a gdy spojrzął na widniejącą w oddali gwiazdę, w okamgnieniu stracił wzrok.

Wiedział, że ma jeszcze kilka sekund, zanim się udusi.

Przeliczył się.

Niedługo potem NISS Yorktown obrał kurs z powrotem na Układ Słoneczny. Ingo Freed utrzymywał, że nadszedł czas, by ci, którzy wrócili na Ziemię, zaczęli z ich pomocą odbudowywać cywilizację. W jego oczach Dija Udin dostrzegał dobrze znane szaleństwo – szaleństwo, jakie widział u każdego tyrana czującego dziejowe powołanie do sprawowania rządów.

Nie zapowiadało to niczego dobrego dla jego towarzyszy, ale niespecjalnie go to interesowało. Jeżeli czyjś los nie był mu całkowicie obojętny, to jedynie Lindberga.

Gdy dotarli na orbitę okołoziemską, Ellyse sprawiała wrażenie widma dawnej siebie. Oczy miała przekrwione, a pod nimi pojawiły się napuchnięte cienie. Umieszczono ich w oddzielnych kajutach na Yorktown, toteż Alhassan zobaczył ją dopiero, gdy zebrali się w hangarze, tuż przed lądowaniem.

Ingo Freed stał na środku, wodząc wzrokiem po załogantach.

– Przed nami świt nowej ery – powiedział donośnym głosem.
– Dziś stawiamy pierwszy krok na drodze, która zaprowadzi nas do przyszłości.

Zamiast wznieść entuzjastyczne okrzyki, ludzie trwali w bezruchu, wlepiając wzrok w dowódcę.

– Bóg będzie nas prowadził, jako że jesteśmy jego dziećmi.

Załoganci przeżegnali się jak jeden mąż. Dija Udin westchnął, czekając, aż ich wypuszczą. Wiedział, że niczego nie wskóra na pokładzie Yorktown. Systemy powiązane z ansiblem były pilnie strzeżone, a jego nie spuszczano z oka.

Jedynym sposobem na nawiązanie kontaktu z Diamentowymi było cierpliwe czekanie. Za jakiś czas zaangażują go w proces budowy nowego społeczeństwa, stopniowo zaczną mu ufać. Kiedy to się uda, prędzej czy później uzyska dostęp do systemu komunikacyjnego.

A potem ściągnie na ludzkość zagładę.

Z tą myślą – i uśmiechem na ustach – opuszczał hangar Yorktown. Osłonił oczy przed słońcem, dostrzegając, że komitet powitalny już na nich czeka. Meaza Endale była ubrana w obcisły kombinezon, na który zupełnie niepotrzebnie narzuciła luźny płaszcz.

Skinęła głową do Ingo Freeda, ale ten ledwo odnotował jej obecność.

– To będzie także nasz nowy dom – powiedział do swoich ludzi, unosząc ręce. – Nowy, a zarazem stary, gdyż powracamy do kolebki ludzkości. I tym razem nie zamierzamy jej opuszczać.

– Zaszczycem jest dla mnie... – zaczęła Endale, ale natychmiast urwała, gdy podkomendni Stephena wyciągnęli impulsatory. Sam kontradmirał wymierzył w Namiestniczkę.

Jeden z załogantów obrócił się z bronią ku Alhassanowi i reszcie. Zatrzymał ich, po czym nieustannie lustrował ich kontrolnie.

– Wygląda na to, że będzie niezła zabawa – odezwał się Dija Udin.

– Najwyraźniej.

Meaza powoli uniosła ręce, nie odrywając spojrzenia od Ingo Freeda. Ten zrobił krok w jej stronę i Alhassan musiał oddać mu należne uznanie – kontradmirał nie tracił czasu. Nie miał też zamiaru dyskutować o tym, kto powinien kierować dziełem odbudowy rodzaju ludzkiego.

– Na kolana – odezwał się nagle.

– Słucham? – zapytała Endale.

Stephen westchnął i potoczył wzrokiem po zebranych.

– Jak widzisz, twoje życie wisi na włosku – odparł bez zbędnych ceregieli. – Jedyнным sposobem, byś je uratowała, jest okazanie mi pełnej uległości. Teraz.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami, po czym spojrzała po załogantach Kennedy'ego w poszukiwaniu ratunku. Wszyscy

milczeli, nie wiedząc, jak się zachować. Wymierzone w nich impulsatory skutecznie zniechęcały do udzielenia jej pomocy.

– Jak sobie to wyobrażasz? – zapytała Endale. – Zabijesz mnie, a potem ot tak zaczniesz sprawować rząd dusz? Obawiam się, że to tak nie działa.

– Przekonamy się.

– W tej sytuacji masz przewagę liczebną, ale gdy zejdziesz pod ziemię, wszystko się zmieni.

– Niezupełnie. Nadal będę miał atut w postaci Yorktown – powiedział, po czym zrobił pauzę. – I innych statków, gdy przybędą.

– Innych?

– Przesłałem raport na Terre, rząd podjął decyzję. Kwestią czasu jest pojawienie się kolonizatorów. Ziemia jest ogromna, nieprawdaż? Ma przestronne połączenie niezagospodarowanej przestrzeni, która aż woła, by ponownie zakwitło na niej życie.

– Jałowej przestrzeni – sprecyzowała.

– Nie szkodzi, zmienimy to.

– Terraformacją? To było narzędzie naszej zguby – odparła Endale. – I tym razem nie będzie inaczej.

– Pozostaw to nam.

Znów zbliżył się o pół kroku.

– A teraz padnij przede mną na kolana.

– Nie.

Nie miał zamiaru tego tolerować. Dija Udin nie musiał widzieć jego twarzy, by wiedzieć, że pociągnie za spust. Zdażył już się przekonać, jak impulsywny potrafi być ten człowiek.

Nie pomylił się. Ingo Freed aktywował impulsator, który natychmiast wypuścił wiązkę. Alhassan spodziewał się, że będzie to jedyny, ostateczny strzał, tymczasem okazało się, że stanowił jedynie początek.

Pierwszy promień trafił Endale w kolano. Namiestniczka przeciągle zawyła i padła na ziemię, wznecając tuman kurzu.

Jej towarzysze natychmiast do niej doskoczyli, ale wówczas Stephen po raz kolejny pociągnął za spust.

Druga wiązka trafiła w głowę jednego z ludzi Meazy. Czaszka pękła z chrzęstem, a gdy ciało się przechyliło, mózgowie wylało się na piasek razem z krwią. Dija Udin spojrział z uznaniem na rozbryzg. Musiał przyznać, że Ingo Freed podobał mu się coraz bardziej.

Trzeci strzał trafił kolejnego podwładnego Endale i rozrył mu brzuch – musiał trafić w aortę, gdyż z trzewi nieszczęśnika trysnęła fontanna posoki. Alhassan był coraz bardziej uradowany tym, co się działo. Z trudem powstrzymał się od zagrzewania Ingo Freeda do następnych strzałów.

– Klęknij – powiedział do leżącej na ziemi Meazy.

– Chyba teraz to niemożliwe – odparł Dija Udin. – Brakuje jej kolana.

Stephen spojrział na dwóch mężczyzn stojących za Endale. Obaj cofnęli się, unosząc otwarte dłonie, a kontradmirał obejrzał się przez ramię.

– Ty – powiedział do Alhassana. – Pomóż jej.

– Muszę?

– Już!

Dija Udin uznał, że najroztropniej będzie robić, co tamten mówi. Podszedł do Meazy, a potem spojrział na nią z góry.

– Boli? – zapytał.

W odpowiedzi kobieta wydała z siebie jęk.

– Najlepiej będzie, jak klękniesz – dodał. – I miej nadzieję, że na tym się skończy.

– Nie... mam... zamiaru... – zdołała wydukać, walcząc z bólem.

– Nie? To przygotuj pozostałe kończyny.

Alhassan złapał ją pod ręce, a potem podniósł. Nie miała siły wyswobodzić się z uchwytu, choć próbowała. Ustawił ją na kolanach, a wówczas wydała z siebie ryk niczym ranne zwierzę. Dija Udin nie chciał sobie wyobrazić bólu, który

musiała odczuwać, gdy drobiny piasku wbiły się w otwartą ranę. Spojrzał w dół i przez zakrwawiony materiał kombinezonu dostrzegł wystające białe kawałki kości.

– Jeśli chwilę tak wytrzymasz, to przeżyjesz – powiedział, nachylając się. Poczł przyjemny zapach perfum i pomyślał o tym, kiedy ostatni raz miał kobietę. Prawdziwą, nie sztucznie wygenerowaną w fantomatach. Uznał, że upłynęło stanowczo za dużo czasu. Zmieni to, jak tylko Ingo Freed zasiądzie na tronie i ustawi trochę swoje królestwo.

– Nigdy... nie...

– Zamknij się – szepnął jej do ucha. – Chcesz żyć, to milcz.

Stephen uniósł jedną rękę, a drugą wymierzył w kobietę.

– Oto rządca tych ziem! – zagrzemiał. – Na waszych oczach Namiestniczka Meaza Endale oddaje mi pokłon!

Dija Udin złapał ją za włosy i pochylił jej głowę mimo oporu, jaki stawiała. Uznał, że było to jak najbardziej na miejscu.

– Wszyscy jesteście świadkami hołdu, który mi składa! – perorował dalej Ingo Freed. – Oto pierwotny szczep ziemski uznaje wyższość nowego społeczeństwa Terry! Oto mieszkańcy Ziemi oddają się w nasze ręce, a my przyjmujemy ich z otwartymi ramionami! Pod egidą Boga Jedyneego będziemy iść razem ku świetlanej przyszłości!

Znów zamiast okrzyków nastąpiło masowe żegnanie się. Alhassan puścił włosy Endale i znów nachylił się do jej ucha.

– Mogło być gorzej – powiedział. – Mojego przyjaciela ten skurwysyn wyrzucił przez otwarty właz w przestrzeń kosmiczną.

Obróciła się do niego z trudem i dostrzegł w jej oczach niedowierzenie.

– No co? – zapytał. – W porównaniu z tym twoje roztrzaskane kolano to nic.

Meaza splunęła mu prosto w twarz.

– I po co to? – zapytał, ocierając ślinę wierzchnią stroną dłoni. – Chcesz się zabawić, to powiedz. Znam lepsze sposoby.

Gdy ją wypuścił, padła na twarz. Ingo Freed skinął z uznaniem do Alhassana, jakby to on wyreżyserował upadek. Potem zbliżył się do kobiety i spojrzął na nią z góry.

– W imię Boga przyjmuję na siebie odpowiedzialność za los tego świata! – dodał, po czym zaczął rozwodzić się nad tym, że jest Bożym pomazańcem. Dija Udin kiwał głową z uznaniem, choć starał się nie słuchać tych banialuk.

Gdy Stephen skończył, przywołał dwóch ocalałych towarzyszy Endale i kazał im zabrać ją do ambulatorium na Yorktown. Dija Udin uznał to za błąd – jeśli kontradmirał naprawdę zamierzał zrobić z siebie pana i władcę tej planety, powinien zawczasu pousuwać potencjalnych buntowników.

Odprowdziwszy wzrokiem Meazę, Alhassan spojrzął na Ellyse i resztę. Stali jak słupy soli, zupełnie skołowani. Nozomi sprawiała wrażenie, jakby miała osunąć się na ziemię.

– Co z nami? – odezwał się Dija Udin, obracając się do Stephen.

Ten zmierzył go wzrokiem.

– Jesteście wolni.

– Tyle wiem, ale...

– Zamieszkacie w jednym ze wskazanych przeze mnie miast.

– A Kennedy? I zarodki?

– Wasz statek będzie stanowił centrum kolonizacyjne dla którejś społeczności. Podobnie Challenger, gdy już usuniemy cały szatański miot.

Dija Udin nie mógł nie zauważyć, że nowy władca Ziemi odnosi się do niego w miarę neutralnie. Najwyraźniej przeszedł do porządku nad tym, że Alhassan jest upadłym aniołem, czy co tam sobie wymyślili.

– A ja?

– Będiesz ze swoimi ludźmi.

– To bynajmniej nie moi ludzie.

Ingo Freed przez moment milczał, przyglądając mu się, jakby szukał dla niego odpowiedniej roli w nowym

społeczeństwie. W końcu pokiwał lekko głową.

– Potrafię zajrzeć w duszę – odezwał się.

– Nie wątpię – odparł Dija Udin.

– W twojej widzę chęć odkupienia... nie, nie chęć. Potrzebę, przymus.

– Wewnętrzny imperatyw zadośćuczynienia za swoje winy – potwierdził Dija Udin, pochylając głowę. Ku jego zaskoczeniu Ingo Freed zbliżył się z wyciągniętą dłonią, a potem położył mu ją na czole.

– Bóg wybacza – powiedział.

– Chwalmy go i wysławiajmy jego imię.

– Jest miłościwy.

– Amen.

– Jeśli tylko okażesz skruchę i uderzysz się w pierś, doznasz przebaczenia.

– Biję się... biję się po stokroć – odparł Alhassan, nadal czując rękę kontradmirała na głowie. – Chcę odkupić swoje grzechy. Od samego początku niczego innego nie pragnę.

– Wiem, synu. Wiem.

16

Jaccard stał przed kajutą Ellyse, po raz kolejny przyciskając panel po prawej stronie. Od dawna nie opuszczała pomieszczenia – a on przez cały ten czas przychodził tutaj codziennie i próbował zamienić z nią kilka słów. Za każdym razem ignorowała nieproszonego gościa.

Ingo Freed posadził Kennedy'ego na wybrzeżu Zatoki Botnickiej, która niegdyś wchodziła w skład Federacji Skandynawii. Proces terraformacji został zakończony z pomocą trzech innych okrętów, które pojawiły się na orbicie okołozemskiej na wezwanie Yorktown. Efektów nie było

jeszcze widać, ale kontradmirał zapewniał, że to jedynie kwestia czasu.

Codziennie rano wygłaszał płomienne przemówienia przez systemy komunikacyjne statków – w założeniu każdy członek nowej ziemskiej społeczności miał rozpoczynać dzień od wysłuchania tego, co Ingo Freed ma do powiedzenia.

Ustanowił także nowy ustrój – Teokrację Ziemską, która swym zasięgiem miała obejmować całą planetę. Zasady polityczne były jasne, Bóg sprawował rządy w społeczeństwie, a ludzka władza pochodziła bezpośrednio od niego – i każdy, kto ją wykonywał, był jedynie pośrednikiem.

Siebie Stephen ogłosił Przewodniczącym Prezydium Planetarnego, co było eufemizmem oznaczającym dyktatora. Jaccard sądził, że w skład prezydium wejdzie kilka osób z Terry i nikt z Ziemi czy misji Ara Maxima.

– Ellyse – powiedział, aktywując panel. – Naprawdę mam dość przychodzenia tutaj dzień w dzień, ale będę to robił, dopóki nie wyjdiesz.

Także tym razem odpowiedziała mu cisza. Loïc poczekał chwilę, nim stwierdził, że nie pozostaje nic innego jak spróbować następnego dnia. Zawrócił i ruszył na zewnątrz.

Opuściwszy Kennedy'ego, zobaczył, że pierwsze nasiona zaczęły już kiełkować z niegdyś jałowej ziemi. Ingo Freed zapewniał, że na Terze znacznie udoskonalono sposób dokonywania terraformacji, ale Jaccard nie był przekonany. Teraz na własne oczy widział, że się mylił.

W oddali dostrzegł Channary Sang palącą papierosa.

Podszedł do niej, a potem wyciągnął rękę. Bez słowa podała mu metalowe opakowanie, a on się poczęstował.

– Nie wiedziałam, że pan pali.

– To i tak symulacja, prawda?

– Niestety – odparła Sang. – Kiedyś znałam miejsce w Hajdarabadzie, gdzie można było kupić autentyczne papierosy. Z tytoniem w środku, owinięte bibułą.

Niesamowita sprawa, choć nietania, jak może się pan domyślać.

– Dajmy spokój temu formalizmowi, Sang.

– Obawiam się, że nie przełknę mówienia do pana na ty.

Loïc machnął ręką, po czym aktywował papierosa. Wypuścił dym przed siebie i westchnął. Przez kilka chwil trwali w milczeniu, wciągając do płuc parę wodną. W końcu odezwała się Channary:

– Niewielu nas zostało.

Skinął głową. Ostatnim, czego chciał, była rozmowa o tym, ilu ludzi stracili od zakończenia *proelium*. Wszystko poszło nie tak. Kennedy miał wrócić na Ziemię, bezpieczny i nienękany przez obce siły. Mieli zacząć odbudowę, dać początek nowej cywilizacji, zbudowanej dzięki embrionom na Challengerze.

Jaccard uświadomił sobie, że mimowolnie skierował myśli w niepożądaną stronę. Na powrót skupił się na paleniu, oczyszczając umysł.

– Dija Udin już kombinuje, jak ściągnąć tu Diamentowych – dodała Sang.

– Wiem.

– Informował pan o tym naszego Hitlera?

– Próbowałem – odparł Loïc na wydechu. – Ale zdaje się, że zupełnie sobie wszystko przeformułował. Jest przekonany, że Alhassan został zesłany przez Boga na Ziemię, by zyskać szansę na odkupienie swoich grzechów.

– Wierutna bzdura.

– Oczywiście. Zbudowała go... czy raczej wygenerowała obca, prastara rasa. Ma to tyle wspólnego z Bogiem, ile sam Ingo Freed. Dał się omamić.

– Odnoszę wrażenie, że większość tych ludzi tylko czeka, by ktoś nimi posterował.

– Nie zamierzam polemizować.

Przez moment znów panowała cisza.

– Sami na to wszystko zapracowaliśmy – dodał po chwili Jaccard. – Wyeliminowaliśmy religię z naszego świata, a ona po czasie samorzutnie wróciła ze zdwojoną mocą.

– Chyba pan przesadza.

– Nie. Ateizm doprowadził do religijnego ekstremizmu, tak jak wcześniej religijny ekstremizm do ateizmu. Tak się dzieje, gdy w grę wchodzi skrajności. Nigdy jako gatunek nie potrafiliśmy znaleźć właściwego balansu. I teraz mamy to, co widzisz.

Channary Sang westchnęła, chowając papierosa do kieszeni w mundurze.

– Ma pan refleksyjny nastrój.

– Dziwisz się? – zapytał z bladym uśmiechem. – Co innego mi pozostało? Straciłem statek, niemal całą załogę, a teraz nawet wolność.

– Zostanie pan liderem społeczności, która tu wyrośnie – odparła szefowa ochrony, zataczając ręką krąg.

Jaccard zdawał sobie sprawę, że zapewne właśnie to zaplanował dla niego Ingo Freed. Gdy tylko terraformacja zacznie przynosić wymierne efekty, wyciągnie ludzkość z podziemi. Część zostanie ulokowana tutaj, w Zatoce Botnickiej. Miejsce, gdzie teraz znajdował się Kennedy, stanie się centrum regionu.

Rola, jaką Przewodniczący Prezydium miał zamiar powierzyć Jaccardowi, była dla niego nieco frapująca. Abstrahując od wszystkiego innego, Ingo Freed musiał zdawać sobie sprawę, że major zrobi wszystko, by nie dać rozwinąć się dyktaturze. A mimo to miał zamiar okazać mu zaufanie.

– Zobaczmy, jak będzie – odparł Loïc. – Nie spodziewam się, że pożyję długo.

– Nie?

– W żadnym wypadku. Jeśli Ingo Freed nie usunie mnie prewencyjnie, zrobi to od razu po tym, jak wywołam rewoltę.

– A ma pan taki zamiar?

– Prędzej czy później tak.

– W takim razie może pan na mnie liczyć – zapewniła Channary Sang, obracając się do niego. – Wprawdzie przypuszczam, że Herr dyktator jest na to gotowy, ale nie zaszkodzi spróbować.

Oczywiście, musiał być. Za zaufaniem, jakie okazał, z pewnością szedł także szereg zabezpieczeń. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Ingo Freed tylko czekał, by stłumić bunt.

– Ellyse nadal nie wychodzi? – zapytała Sang.

– Niestety.

– A pan nadal co dzień próbuje ją stamtąd wyciągnąć?

Kiwnął głową, również chowając papierosa.

– Równie dobrze mogłaby położyć się do komory kriogenicznej.

Tuż obok Håkona, dodał w duchu Loïc.

Ciało Lindberga nadal było zamrożone w kapsule. Wprawdzie nie było już ku temu powodu, ale Ellyse uparła się, że Skandynaw ma znajdować się w diapauzie. Stanowiło to duże niedomówienie – człowiek, o którym mówiła, był już martwy.

– Myśli pan, że on tam jeszcze jest? – zapytała Channary Sang.

– Nozomi jest przekonana, że tak.

– A pan?

Jaccard nie odpowiedział.

– Jego jaźń mogła wrócić do ciała, gdy organizm Gideona przestał funkcjonować – dodała Sang.

– Mogła.

– Ale nie wydaje się to panu prawdopodobne.

– Wolałbym na ten temat nie gdybać – odparł Loïc, obracając się do niej. – Jakkolwiek by było, to płonne rozważania. Nawet jeśli świadomość Lindberga wróciła do jego ciała, nigdy nie będziemy w stanie go wskrzesić. Koncha jest zniszczona i nie mamy sposobu, by dostać się do tunelu.

Channary skinęła głową, tym samym stawiając ostatnią kropkę. Usiedli na piasku i przez długi czas w milczeniu wodzili wzrokiem po horyzoncie. Loïc spodziewał się, że prędzej czy później pojawią się Padlinożercy. Może nie dziś, nie jutro, ale niebawem. Ingo Freed wprawdzie zapewniał, że rozprawi się z nimi bez litości, z pewnością jednak nie mogło to przeszkodzić im w podejmowaniu prób odbicia swojej ziemi. Mieli do tego prawo.

– Czas na mnie – odezwał się w końcu Jaccard, wstając z piachu.

– Ma pan coś do roboty?

– Potrafię pomyśleć co najmniej o kilku rzeczach, które są lepsze od siedzenia z tobą na ziemi i kontemplowania przyrody.

Uśmiechnęła się, a on ruszył z powrotem ku Kennedy'emu. Przeszedł przez puste korytarze, w których cicho zawodził wiatr, a potem dotarł do maszynowni. Gródź była otwarta, co wraz z szumiącym odgłosem stwarzało nienaturalne wrażenie.

Sprawdziwszy na radarze okolicę, Loïc złożył codzienny raport Ingo Freedowi, a potem wrócił do kajuty.

Przed zaśnięciem myślał o tym, że niebawem przyjdzie pora, by odłączyć komorę kriogeniczną Håkona. Rozumiał, że Ellyse chce zachować resztki nadziei, choćby irracjonalnej, ale ostatecznie i tak rozbiorą Kennedy'ego, podobnie jak resztę statków. Na orbicie pozostaną tylko jednostki z Terry.

Nawet nie wiedział, kiedy zapadł w sen. Osunął się na łóżku i odpłynął w koszmary, które ostatnio męczyły go coraz częściej.

Zbudził go głośny dźwięk, którego początkowo nie mógł zidentyfikować. Dopiero potem uświadomił sobie, że ktoś uderza w ścianę jego kajuty. Podniósł się i zamglonym wzrokiem spojrzał na Nozomi stojącą w progu.

– Co, do cholery...

– Pozwoliłam sobie wejść.

Przypomniął sobie, że nie zamknął drzwi. Rzadko to robił, od kiedy wylądowali na Ziemi.

– Pora wstawać, majorze.

Potań czy, po czym zwłóknął się z łóżka i przyjrzał się Ellyse. Nie sprawiała już wrażenia widma.

– Jak długo spałem?

– Kilka godzin, jak przypuszczam.

– Byłem dziś u ciebie.

– Dziś i wczoraj. A także przedwczoraj i...

– I nagle ty odwiedzasz mnie? – zapytał, przeciągając się.

– Mam sprawę.

– Widzę, że przepelnia cię energia, więc mów.

– Wiem, jak uratować Håkona.

17

Jaccard wiedział, że musi uważać na każde wypowiedane słowo. Nozomi patrzyła na niego z nadzieją, która bynajmniej nie była krucha. Radiooperatorka przywodziła na myśl fanatyczkę gotową udusić każdego, kto się z nią nie zgadza.

– Siadaj – zaproponował, wskazując niewielki stolik przy iluminatorze.

Kiedy zajęli miejsca, spojrzął na nią gotów wysłuchać wszystkiego, co chciała powiedzieć.

– Więc?

– Rozwiązanie istniało od dawna, tylko nikt z nas go nie przyjmował.

Loïc sięgnął po koszulę mundurową i narzucił ją na siebie. Skinął głową do Ellyse, zachęcając, by mówiła dalej.

– Wszyscy byliśmy skupieni wyłącznie na misji, bo była możliwa do realizacji. Mogliśmy uratować ludzkość, więc dla każdego z nas był to priorytet. Teraz sytuacja się zmieniła.

– Polemizowałbym.

– Ingo Freed zawłaszczył Ziemię, panie majorze. Nie ma sposobu, by z nim wygrać. Ma zaawansowaną technologię, zasoby ludzkie oraz w odwodzie siły wojskowe, które dzięki silnikom nadświatlnym mogą znaleźć się tu, zanim zdążymy okrążyć Yorktown.

– Więc sugerujesz, że wszystko stracone.

– Nic nie sugeruję, tylko oznajmiam fakt.

Jaccard mruknął pod nosem, sięgając do kieszeni po papierosa.

– Wszystko, co chcieliśmy osiągnąć, zostało zaprzepaszczone – dodała.

– Myślę, że stać nas jeszcze na zryw, który...

– Łudzi się pan tylko.

– Być może – odparł, wydechając na bok dym. – Ale przejdź do konkretów. Co proponujesz?

– Zabrać konchę i obrać kurs na Nakamurę-Amano.

– Kennedym?

– Tak jest.

– To ponad sto lat kriosnu – zauważył Jaccard.

– Około stu pięćdziesięciu.

Loïc spojrział na nią bykiem.

– Chcesz mnie przekonać czy zniechęcić?

– Wydaje mi się, że jak tylko przedstawię panu wszystko, nie będzie potrzeby żadnego przekonywania.

– Zobaczymy.

Nozomi nachyliła się nad stolikiem.

– Wie pan, że nic nie wskóra tutaj, na Ziemi.

– Wiem, że spróbuję.

– I Ingo Freed urządzi panu publiczną egzekucję.

– Jeśli uda mu się mnie złapać.

– Oczywiście, że się uda. Ma do dyspozycji nieograniczone środki.

Poprawił się na krześle, niechętnie przyznając jej w duchu rację. Dużo można było powiedzieć o kontradmirałce, ale

z pewnością nie to, że lubił niepotrzebnie ryzykować. W sprawach religijnych być może dał się omamić, ale przy strategiczno-politycznych kwestiach z pewnością ubezpieczył się na wszystkie możliwe sposoby. Być może tylko czekał na to, aż Loïc zacznie działać.

– Na czym konkretnie polega twoja propozycja? – zapytał.

Nozomi uśmiechnęła się do niego – i po raz pierwszy od długiego czasu zrobiła to szczerze. Jej entuzjazm był przedwczesny, Jaccard bowiem był wprawdzie gotów wysłuchać, co ma do powiedzenia, ale daleki od tego, by po raz kolejny porzucić Ziemię.

– Uważam, że możemy niepostrzeżenie opuścić planetę Kennedym.

– To byłby cud. Ale w porządku, założmy, że to możliwe. Co dalej?

– Wejdziemy w diapauzę, ustawimy kurs na Nakamurę-Amano, a potem dokończymy to, co zaczęliśmy.

– Nie znajdziemy tunelu.

– Moim zdaniem znajdziemy – odparła stanowczo. – W komputerze pokładowym są jeszcze odczyty promieniowania Czerenkowa, które odebraliśmy, gdy Håkon i Dija Udin po raz pierwszy użyli Terminala na Rah'ma'dul.

– I na tej podstawie możesz cokolwiek stwierdzić?

Skinęła głową, kompletnie zaaferowana przedstawianą wizją.

– Przez ostatnie kilka dni pracowałam nad algorytmem, który pomoże nam zlokalizować źródło promieniowania.

– Tyle tylko, że tunel będzie musiał być aktywny.

– To także da się osiągnąć.

– W jaki ludzko pojęty sposób?

– Zbombardujemy planetę odpowiednim ładunkiem cząstek.

Jaccard spojrzał na nią z powątpiewaniem.

– Wiemy, jakie efekty dla ośrodka ma promieniowanie Czerenkowa – ciągnęła dalej. – Polaryzuje atomy, które znajdują się na drodze poruszających się elektronów. Moim zdaniem

pozostawia to ślad, który przy odpowiednim natężeniu pola magnetycznego można wykryć. I właśnie to zamierzam zrobić.

Loïc podrapał się po głowie.

– Załóżmy, że ci się uda – powiedział, nie do końca rozumiejąc, w jaki sposób chciała to osiągnąć. – Co dalej? Koncha jest niesprawna i żadne z nas nie ma pojęcia, jak inaczej sterować tunelem. Gdyby był choć Gideon...

– On także nie wiedział.

– Więc?

– Na to pytanie nie mam jeszcze odpowiedzi.

– Świetnie, Ellyse.

– Ale być może ma ją Dija Udin.

– Szczerze w to wątpię. A nawet jeśli, zabierze tę wiedzę do grobu.

Nozomi niechętnie skinęła głową, a potem zawiesiła wzrok na iluminatorze. W oddali widać było zachodzące słońce, rzucające długie promienie na kiełkującą florę. Z korytarza dobiegało ciche wycie wiatru – i nic ponadto. Jaccard poczuł się w tej ciszy nieswojo.

– Pomijasz także to, że Ingo Freed będzie doskonale wiedział, dokąd się udaliśmy – dodał. – Pogoń ruszy natychmiast.

– Nie pomijam tego.

– Więc masz rozwiązanie?

Czy raczej wydaje ci się, że je masz? – chciał dodać w myśli.

– Tak.

Loïc rozłożył ręce i skinął głową.

– Chętnie je usłyszę.

– A ja chętnie zobaczę nieco zaufania.

– Słucham?

Ellyse podniosła się i z kamiennym wyrazem twarzy ruszyła ku wyjściu. Przed progiem zatrzymała się i obejrzała przez ramię.

– Nigdy pana nie zawiodłam, majorze. I nigdy nie mam zamiaru tego zrobić. Zasłużyłam sobie chyba na to, by okazał

pan trochę wiary w to, co mówię. Nie jestem roztrzęsioną osobą, która po stracie ukochanego jest gotowa chwycić się najostrzejszej brzytwy. Przeanalizowałam wszystkie dostępne dane i na ich podstawie stwierdziłam, że misja ratunkowa jest możliwa. Rozumie pan?

Również się podniósł, a potem zbliżył do niej.

– Rozumiem, ale...

– Jeśli jest pan gotów uratować człowieka, dzięki któremu przeżyliśmy *proelium*, proszę za mną.

Przeszli w milczeniu do maszynowni.

18

Dija Udin siedział pod gołym niebem, obserwując miriady gwiazd ponad sobą. Przypominało mu to czasy, gdy po raz pierwszy pojawił się na Ziemi. Wówczas ciała niebieskie były podobnie widoczne, bez utrudniających obserwację światła miast i zanieczyszczenia atmosfery.

– Wasza planeta się odchwaściła – odezwał się do Stephena.

– Słucham?

– Trzymam się rolniczej nomenklatury. Tak mnie nastraja całe to odrodzenie.

– Nie rozumiem.

– To zrozum, że nadchodzi lato. A wraz z nim spulchnianie, okopywanie i gracowanie.

Ingo Freed spojrzał na niego wrogo, a Alhassan upomniał się, że nie ma do czynienia z Håkonem. Tego człowieka łatwo było urazić i należało nieustannie się pilnować. Zbyt luźny ton rozmowy mógł sprawić, że wszystko to, na co pracował przez ostatni czas, obróci się wniwecz.

Teraz siedzieli przed Yorktown, w ogródku urządzonym naprędce dla Przewodniczącego Prezydium. Za nimi powiewał niewielki baldachim, a pod stopami mieli miękką, soczyście

zieloną trawę. To od tego miejsca rozpoczęto terraformację i to tu natura odrodziła się najprędzej. Po prawdzie Dija Udin sądził, że „terraformacja” to za mocne słowo – jedyne, co zrobili przybysze z Terry, to zasianie odpowiednich nasion i nawodnienie gruntu. Resztę Ziemia przygotowała im sama przez kilkaset lat nieskrępowanego przez człowieka rozwoju.

Planeta była bezpieczna i rozwijała się w swoim tempie, co teraz miało ulec zmianie. Drastycznej, jeśli cokolwiek będzie zależało od Dija Udina. Wiedział, że jest już tylko o krok od uzyskania dostępu do ansibla.

– Nie interesują mnie twoje spekulacje – odezwał się Ingo Freed, wyrrywając go z przemyśleń.

– Wybacz.

Przewodniczący Prezydium skinął miłosiernie głową, a potem się podniósł.

– Zmówmy modlitwę – powiedział.

Chcąc nie chcąc Alhassan również wstał ze swojego miejsca, a potem przyklęknął obok kontradmirała. By zdobyć jego zaufanie, musiał wyrzec się swojej wiary, dopuścić się *ridda* i stać się *murtadd*, apostatą. Groziła za to kara śmierci, ale wiedział, że Allah wybaczy mu ten grzech – o ile tylko weźmie pod uwagę, że jako jego sługa Alhassan dąży jedynie do tego, by nastał Jaum ad-Din, dzień Sądu Ostatecznego.

Przeżegnali się, a potem zaczęli na głos zmawiać modlitwę, która ledwo przechodziła przez gardło Dija Udinowi. Kilka minut później z ulgą się podniósł, a Ingo Freed z zadowoleniem poklepał go po plecach. Zmianę wyznania przez muzułmanina traktował jako osobisty sukces i powód do wielkiej dumy.

– Usiądźmy – rzekł. – Czas się posilić.

Jakbyśmy się, kurwa, zmęczyli, skwitował w duchu Alhassan.

Jak na komendę pojawiła się smukła dziewczyna służąca Przewodniczącemu Prezydium za kogoś w rodzaju gospodyni

i dziwki. Organizowała życie w domostwie Ingo Freeda, a sposób, w jaki była traktowana ona i pozostałe kobiety, przywodził Alhassanowi na myśl ich pozycję w szariacie dawno, dawno temu.

Stephen zwrócił się do niej, nie odrywając wzroku od horyzontu:

– Daj memu przyjacielowi świeże warzywa.

– A tobie?

– Chleb razowy.

Dija Udin nie wiedział, czy gorsze dla niego były modlitwy, czy ascetyczny tryb życia. Nie pamiętał już, kiedy ostatnim razem miał coś porządnego w gębie, i zaczynał czuć się jak więzień obozów, które w końcu dwudziestego pierwszego wieku wykwitwały na południu Afryki.

Kobieta szybko się uwinęła, a oni zjedli w milczeniu.

Zanim udali się na spoczynek, Alhassan dostrzegł prom zbliżający się do nich z północy. Wskazał go towarzyszowi.

– Nie wydałem zgody na żadne loty – odezwał się Ingo Freed.

– W takim razie domyślam się, że to jeden z niepokornych.

– Major Jaccard?

– Najprawdopodobniej. Zaraz będzie widać oznaczenia na kadłubie.

– Przypuszczałem, że prędzej czy później będzie chciał się rozmówić. Jeśli to on, chciałbym, żebyś był przy tej rozmowie.

– Oczywiście, panie Przewodniczący.

Dija Udin zaśmiał się w duchu, widząc, ile satysfakcji sprawia rozmówcy, zwracając się tak do niego. Gdyby Alhassan był w podobnej sytuacji, wymyśliłby sobie lepsze określenie. Cesarz, król, władca, emir, to rozumiał. Przewodniczący brzmiał jak kpina.

Może to i dobrze, uznał w duchu. Ingo Freed nie był przywódcą, który miał rządzić długo.

Gdy wahadłowiec przyziemiał, Dija Udin przekonał się, że pochodzi z Kennedy'ego. Właz się otworzył i wyszedł z niego

spodziewany gość.

– Przynieś jeszcze warzyw – rzucił przez ramię Stephen, a kobieta skinęła głową.

Alhassan obserwował zbliżającego się Loïca, zastanawiając się, czego może chcieć. Możliwości negocjacji zostały wyczerpane, więc...

– Proponuję sięgnąć po broń – odezwał się Dija Udin.

– Sądzisz, że przyszedł tu, by dokonać zamachu?

– Może.

– Bóg nas chroni.

– Oczywiście – odparł niemal urażonym tonem Alhassan. – Ale nie zaszkodzi mu pomóc.

– Zaufaj Bożej opatrności – rzekł Ingo Freed, a potem skłonił się nieznacznie.

Poczekali, aż Jaccard do nich dołączy, a potem wskazali mu miejsce przy stole. Major powitał kontradmirała ze wszelkimi honorami i usiadł, ignorując zupełnie Dija Udina.

– Zniszczyłeś Przewodniczacemu trawnik – odezwał się Alhassan.

Loïc obejrzał się przez ramię.

– Rzeczywiście.

Kobieta podała mu warzywa, ale major nawet nie spojrzał na swój talerz. Wbijał wzrok w oczy Ingo Freeda, jakby rzeczywiście zamierzał go zabić. Dija Udin miał go za zasadniczo rozsądnego człowieka, ale być może pozbawienie jakiegokolwiek mocy decyzyjnej odcisnęło na nim swoje piętno.

– W jakim celu nas odwiedzasz, majorze? – zapytał Ingo Freed, odrywając kawałek chleba.

– W gruncie rzeczy tylko po to, żeby oznajmić, że opuszczamy Ziemię.

– Co takiego?

Dija Udin zaśmiał się pod nosem.

– Zabieramy nasz okręt i skierujemy się na Nakamurę-Amano.

- To... cóż, zwyczajnie bezczelna deklaracja.
- Bezczelne jest raczej to, co pan tutaj wyprawia.

Alhassan uznał, że to i tak spokojna reakcja. Przez kilka ostatnich dni uczestniczył w spotkaniach Stephena z Meazą Endale i lokalnymi rządcami sprawującymi władzę nad poszczególnymi rejonami podziemnego świata. Ingo Freed traktował ich gorzej niż robaki, zmuszając do zupełnej uległości. Po tym, co spotkało Namiestniczkę, reszta jednak posłusznie współpracowała, wykonując każde jego polecenie co do słowa.

A teraz jeden z niepokornych okazał mu skrajny brak szacunku. Mimo to Ingo Freed spojrział na niego ze spokojem, a potem oderwał kolejny kawałek pieczywa. Milczał, czekając, aż przybysz się wytłumaczy.

- Zagrajmy w otwarte karty – odezwał się po chwili Loïc.
- Jak najbardziej.
- Doskonale zdajesz sobie sprawę, że jeśli tu zostaniemy, będziemy działać przeciwko tobie.
- Oczywiście.
- I przypuszczam, że czekasz na to, by przykładowie nas ukarać. W ramach prewencji.

Stephen skinął głową, najwyraźniej biorąc sobie do serca deklarację o szczerości prowadzonej rozmowy.

- Załatwmy to więc od razu – powiedział Jaccard. – Wygnaj nas stąd.

- Dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał Ingo Freed, odkładając jedzenie. – Nie czerpałbym z tego żadnej przyjemności i nie przyniosłoby mi to żadnej korzyści.

- Miałbyś nas z głowy.
- I straciłbym jeden ze statków.
- Który i tak ci już niepotrzebny. Terraformacja została zakończona i możecie zacząć wznosić budynki. Kennedy zostanie rozebrany na części, które niewiele pomogą.

– Dadzą dach nad głową niejednemu członkowi nowej społeczności.

– Bzdura – odparł Loïc, po czym urwał, widząc, że kobieta przyniosła coś do picia. Postawiła szklankę najpierw przed Stephenem, a potem przed resztą. Gdy rozlewała z dzbanka niebieski napój, Jaccard świdrował wzrokiem Ingo Freeda.

– Dlaczego chcecie opuścić Ziemię? – zapytał Przewodniczący.

– By ratować przyjaciela.

– Håkona? – zaśmiał się Dija Udin. – Ten sukinsyn już dawno przebywa w Walhalli. Dajcie spokój jego duszy.

Poczuł na sobie karcące spojrzenie Ingo Freeda, więc szybko się przeżegnał i spuścił wzrok. Jaccard nadal traktował go jak powietrze.

– Jesteśmy mu to winni.

– I naprawdę zamierzacie wrócić na tę planetę?

– Tak.

Szczerść Loïca bynajmniej nie dziwiła Alhassana. Mówił tylko to, co było oczywiste, ale Stephen wydawał się usatysfakcjonowany otwartością prowadzonej rozmowy. Cenił ludzi szczerych, a Jaccard właśnie zgrywał takiego człowieka. Dija Udin nie miał złudzeń, że tak naprawdę realizuje jakiś przebiegły plan.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego pomyślałeś, że pozwolę wam odbyć tę podróż.

– Na nic się tu nie zdamy.

– Przeciwnie. Jesteście jednymi z nielicznych, którzy wiedzą, jak wygląda świat. Ci, którzy kryli się tutaj od pokoleń, nie są świadomi kosmosu, nigdy nie podróżowali pomiędzy gwiazdami... i nigdy nie doświadczyli bezpośrednio ogromu Stworzenia.

– Z pewnością szybko się to zmieni.

– Może. Ale nie mogę pozwolić, byście w tak newralgicznym momencie rozwoju nowej cywilizacji po prostu odeszli.

– I tak to zrobimy.

– Więc będziecie szybko żałować – odparł bezwiednie Ingo Freed, podnosząc szklankę. – Nie muszę chyba przypominać ci, że dysponuję znacznie bardziej zaawansowaną technologią.

– Nie. Doskonale pamiętam, jak uciekałem na pokładzie Challengera i nie potrafiliście mnie strącić.

Dija Udin przysłuchiwał się temu z rosnącym zaciekawieniem. Do czego zmierzał major? Co chciał osiągnąć? Musiał wiedzieć, że nie uzyska zgody. Ingo Freed wprowadzenie nie potrzebował Kennedy'ego i jego załogi, ale nie miał zamiaru pozwolić im odejść, bo to zachwiałyby jego absolutystycznym wizerunkiem.

– Obawiam się, że ta rozmowa dobiegła końca – odezwał się Przewodniczący Prezydium.

– W takim razie następną odbędziemy przez systemy komunikacyjne naszych statków, gdy spotkamy się w przestrzeni kosmicznej.

Stephen spojrział na Alhassana i rozłożył ręce.

– Wydaje mu się, że zdąży opuścić atmosferę – powiedział, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Loïca. – Nie bądź naiwny, majorze.

Jaccard się podniósł.

– Ty też, kontradmirał – odparł. – Musisz wiedzieć, że zrobimy wszystko, by uratować tego człowieka.

– Ten człowiek jest martwy.

– Moja radiooperatorka twierdzi inaczej.

Dija Udin również wstał.

– A czego się spodziewałeś? – zapytał. – Że zaakceptuje stratę ukochanego, gdy istnieje isierka nadziei? Absurdalnej, ale jednak? Gdzieś tam kołacze w tym kobiecym sercu.

Loïc patrzył na Stephena, a ten wsparł się o stół i podniósł.

– To wszystko? – zapytał Ingo Freed.

– Prawie. Chciałem jeszcze raz ostrzec cię przed Dija Udinem.

– Halo – wtrącił Alhassan. – Jestem tutaj, nie trzeba mówić o mnie w trzeciej osobie.

Jaccard zrobił krok w kierunku kontradmirała, a potem przybrał koncyliacyjny wyraz twarzy.

– Srogo pożałujesz, że mu zaufałeś.

– Nie ja mu zaufałem, ale Bóg.

– W takim razie obaj będziecie żałować. Ta istota nie ma duszy, Ingo Freedzie. Jest zaprogramowana, by siać zniszczenie i mordować.

– Miód na me serce – odparł Dija Udin.

– Jedynym sposobem, by zmienić jej postępowanie, jest przeprogramowanie pierwotnych wytycznych. I Håkon zamierzał to zrobić, zanim koncha została zniszczona.

– Ach tak. Mój przyjaciel opowiadał mi o tej masce – odparł Stephen, z wdzięcznością patrząc na Dija Udina. Ten chętnie się skłonił. – Jak widzisz, nie ma przede mną tajemnic. A ja ufam Bogu, który dał mu szansę na odkupienie swoich win. To znacznie więcej niż możliwość zmiany programowania.

Loïc trwał przez moment w bezruchu, a potem na jego twarzy odmalowała się rezygnacja.

– Rób, jak uważasz, ale przypomnisz sobie kiedyś moje słowa.

– Bóg zadba o to, by tak nie było.

Jaccard obrócił się, a potem powoli zaczął oddalać. Alhassan patrzył za nim do momentu, aż ten stanął na trapie prowadzącym do hangaru wahadłowca. Nadal nie rozumiał, jaki był cel tej szopki. Major wiedział, że nie przekona Ingo Freeda. Mimo że miał absolutną rację.

Nozomi nerwowo wyczekiwała powrotu Jaccarda. Gdy wraz z Channary zobaczyły prom na horyzoncie, obie wyszły mu na

spotkanie. Loïc posadził pojazd nieopodal Kennedy'ego, a potem opuścił go ze skwaszoną miną.

– I jak? – zapytała Sang.

– Dali mi do jedzenia surowe warzywa.

– A cała reszta? – dopytała Ellyse.

– Wygląda nie najgorzej. Tak jak przypuszczaliśmy, nie ma tam wielu żołnierzy. Ingo Freed przebywa w prowizorycznej dobudówce do Yorktown, wraz z nim jest Dija Udin, którego nasz wódz uważa za apostatę i swojego pupila.

Nozomi nie była tym zaskoczona. Alhassan był stworzony do tego, by aklimatyzować się w nowym środowisku, pośród nowych ludzi. Proces socjalizacji w jego przypadku był efektem sprawnie napisanego programu.

– Zdobył jego zaufanie? – zapytała Sang.

– Jeszcze nie, ale jest na jak najlepszej drodze ku temu.

– A więc ściągnie tu Diamentowych.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Ellyse miała świadomość, że to zmienia postać rzeczy – Jaccard poczuł obowiązek, by zapobiec temu, co zamierzał zrobić Alhassan. I trudno było mu się dziwić.

– A więc chce pan zostać.

– Tak.

– Ale panie majorze...

– Nie ma żadnego „ale”, Ellyse – uciął. – W takiej sytuacji muszę zadbać o to, by Dija Udin został unieszkodliwiony. Zależy od tego los nas wszystkich.

Skinęła głową. Oczywiście miał rację.

Cały jej plan rozpadł się nagle jak domek z kart, a najgorsze było to, że powinna się tego spodziewać. Zamierzała skontaktować się z ludźmi pustyni, Padlinożercami. Wiedziała, że będą bardziej niż chętni, by podnieść rękę na nową władzę. Zamierzała wraz z nimi napaść na obóz Ingo Freeda, a potem porwać Przewodniczącego.

Planowała umieścić go w komorze kriogenicznej Kennedy'ego jako zakładnika, a potem wyruszyć w drogę. Yorktown ani żaden inny statek nie otworzyłby do nich ognia.

– Przykro mi, Ellyse – odezwał się Jaccard, ruszając ku okrętowi. – Po prostu musimy tu zostać.

Nie polemizowała. Widziała także, że Channary Sang podziela zdanie dowódcy. Odprowadziła ich wzrokiem, a potem obróciła się i spojrzała w gwiazdy. Świeciły znacznie jaśniej, niż kiedy była na Ziemi ostatnim razem.

Po jakimś czasie wróciła do kajuty z rezygnacją. Pulpit nadal był aktywny i widniały na nim obliczenia, których dokonywała przez ostatnie dni. Wykresy pokazywały, jak promieniowanie Czerenkowa wpływa na ośrodek, w którym rozchodzą się fale.

Teraz Nozomi miała ochotę wszystko wykasować.

Usiadła przy biurku i oparłszy łokcie o blat, schowała twarz w dłoniach. Trwała tak przez kilka chwil, po czym stwierdziła, że nie może poddać się tak łatwo. Håkon Lindberg był wart tego, by walczyć o niego do samego końca.

Wstała i wyciągnęła niewielki plecak z szafki. Wrzuciła do niego kilka rzeczy, a potem założyła przewiewny płaszcz. Przypuszczała, że noc będzie chłodna. Opuściwszy pokład Kennedy'ego, skierowała się do promu.

Potem obrała kurs na północną Afrykę.

Nie wiedziała, czy ktokolwiek monitoruje przestrzeń, ale przypuszczała, że sama niebawem się przekona. Jaccardowi nikt nie przeszkodził, zaraz po jego powrocie Ingo Freed mógł jednak polecić, by włączono radar.

Mimo wszystko dotarła do celu bez problemu. Wylądowała w miejscu, gdzie niegdyś był Trypolis, na wybrzeżu Morza Śródziemnego. Wyszła z wahadłowca, aktywując światło na rękawicach. Snopy jasności rozwiały mrok, ale nie wyłowiły z niego nawet pojedynczego kształtu. Jak okiem sięgnąć ciągnęła się jedynie pustynia.

Nozomi zapamiętała interesujące ją współrzędne, zamknęła wahadłowiec, po czym ruszyła przed siebie.

Wydawało jej się, że idzie bez końca, przemierzając pustkowie. Nie słyszała najmniejszego dźwięku, nawet wiatr chyba przestał wyc. Poruszała się powoli, świadoma, że musi oszczędzać siły.

Nie wiedziała, jak skontaktować się z Padlinożercami, ale przypuszczała, że punkt świetlny pośrodku pustyni powinien przyciągnąć ich uwagę.

Pomyliła się. Szła aż do świtu, nie trafiając na żadnego z ludzi pustyni.

Dopiero gdy słońce weszło wysoko nad horyzont, zauważyła w oddali kilka pojazdów podobnych do motocykli. Mimowolnie sięgnęła do komunikatora na ramieniu, ale zaraz przypomniała sobie, że wyłączyła go, by nikt nie mógł się z nią skontaktować. Nie miało to wielkiego znaczenia – Jaccard i Sang do tej pory musieli już pomiarkować, że zamierzała zrealizować swój plan. Z pewnymi modyfikacjami.

Zatrzymała się i czekała cierpliwie, aż Padlinożercy się zjawią.

Ryk silników działał na nią paraliżująco, a jej nozdrza wypełnił ostry zapach spalin – rzecz, którą można było poczuć jedynie podczas muzealnych pokazów. Padlinożercy okrążali ją, wzniecając tumany kurzu i skupiając na niej wzrok, jakby była zwierzyną.

W końcu zatrzymali się, a potem przechylili motory i jedną nogą oparli się na ziemi. Mieli ciemne kaski, przez które Ellyse nie mogła dostrzec ich twarzy. Motocykle przywodziły na myśl stare harleye, choć kierownice były jeszcze bardziej podwyższone, a zbiorniki paliwa znacznie masywniejsze. Pobieżny rzut oka wystarczył, by stwierdzić, że są to prawdziwe mechaniczne potwory.

Ellyse pamiętała, co Meaza Endale mówiła o tych ludziach – bezwzględni, brutalni, nieskorzy do rozmowy. Zabijali bez

słowa. Namiestniczka twierdziła, że nikt nigdy nie przeżył na tyle długo, by opowiedzieć innym, jak brzmiały ich głosy.

– Coś ty za jedna? – zapytał jeden z nich, stawiając motocykl na bocznej nóżce.

Nozomi poczuła ciarki na plecach.

– Nie lubię się powtarzać – powiedział. – Szczególnie gdy o coś pytam.

– Chorąży Nozomi Ellyse – wypaliła. – ISS Kennedy.

Padlinożerca obrócił się do swoich towarzyszy, a radiooperatorka usłyszała stłumiony śmiech kilku mężczyzn.

– Znam wielu samobójców – odezwał się ten, który wysforował się do przodu. – Ale oni zazwyczaj nie wybierają długiej i bolesnej śmierci.

– Nie zamierzam ginąć.

Motocyklista rozłożył ręce.

– Teraz decyzja nie należy już do ciebie.

Ellyse z trudem przełknęła ślinę, po czym ruszyła w jego kierunku. Musieli wiedzieć, że jest uzbrojona, ale żaden ani nie drgnął. Mężczyzna z przodu skrzyżował ręce na piersi.

– Mam dla was propozycję – powiedziała.

– Ja mam dla ciebie nawet dwie – odparł. – Jedną od przodu, drugą od tyłu. Którą wybierasz?

Kilku facetów znów zaśmiało się rubasznie.

– Posłuchaj, co mam do powiedzenia, a nie pożałujesz – powiedziała.

– O, sądzę, że w najbliższych kilku godzinach niczego nie będę żałował...

Nozomi wyszarpała zza pleców berettę, a potem niemal bez przymierzania wypaliła pod nogi rozmówcy. Ten natychmiast odskoczył w bok, dobywając broni, i to samo zrobiła reszta zamaskowanych jeźdźców. Wymierzyli w Ellyse, a dobre humory natychmiast ich opuściły.

– Jesteś bardziej szalona, niż sądziłem.

– Zaczniemy od nowa – poradziła Nozomi. – Ja już się przedstawiłam.

Mężczyzna przez chwilę trwał w bezruchu, a potem ściągnął kask. Miał koło trzydziestki, blond włosy i ciemną karnację. Pod obfitą, jasną brodą Nozomi ledwo mogła dostrzec jego usta.

– Newman Egesi – przedstawił się. – Teraz lepiej?

– Przeszkadzają mi jeszcze te wszystkie gnaty wycelowane we mnie.

– A mnie ten, którym ty celujesz we mnie.

– On zniknie jako ostatni.

Newman potoczył wzrokiem po swoich towarzyszach, po czym schował broń i skinął do nich, by uczynili to samo. Szybko wykonali rozkaz.

– Mów, co masz do powiedzenia, a potem módl się, żebym uznał to za coś istotnego.

– Uznasz to za uśmiech losu.

Ponaglił ją ruchem ręki.

– Wiem, że Ingo Freed zawłaszczył wasze ziemie.

– W takim razie wiesz też, że wcześniej to samo próbowała zrobić Namiestniczka i jej poprzednicy. Daliśmy sobie z nią radę i tak samo poradzimy sobie z... jak mówisz, że się nazywa ten skurwysyn?

– Stephen Ingo Freed.

– Brzmi nie najlepiej.

– I oddaje istotę rzeczy – odparła. – Ale mniejsza z tym. Chcę wam zaproponować prosty układ.

– Jeśli nie dotyczy dzikiego pierdolenia, lepiej zejdz mi z oczu.

Zawiesił kask na manetce, a potem spojrzał na nią z niezadowoleniem.

– Widzę, że taka propozycja nie padnie.

Uznała, że nie będzie nawet na to odpowiadać.

– Nie szkodzi, mogę przecież wziąć cię siłą.

Nozomi poprawiła chwyt pistoletu, mimowolnie wracając myślami do informacji, które przekazała im Meaza. Nie wyglądali na tak krwiożerczych barbarzyńców, ale z pewnością nie potraktują jej łagodnie. Szybko odegnała te myśli i skupiła się na rozmówcy.

– Masz życiową szansę, Newman.

– Ta?

– Polega ona na tym, byś potraktował mnie serio.

– Możesz być pewna, że potraktuję cię najpoważniej, jak tylko potrafię. – Złapał się za krocze i nieznacznie zbliżył. Ellyse natychmiast wyprostowała rękę trzymającą berettę.

– Zrób jeszcze pół kroku, a przestrzelę ci dłoń i jaja za jednym zamachem.

Zatrzymał się, uśmiechając szeroko. Uznała, że czas na zabawę się skończył. Albo wyłoży mu teraz wszystko od początku do końca, albo ci ludzie niebawem się do niej dobiorą.

– Mogę wam pomóc zniszczyć tego człowieka.

– Ta?

– Wiem, gdzie znajduje się jego obóz. Wiem też, że w tej chwili nie jest dobrze chroniony.

Egesi patrzył na nią przez moment w milczeniu, a jego uśmiech stopniowo bladł. Powoli uświadamiał sobie, że nie ryzykowała przybycia tutaj tylko po to, by zobaczyć, czy opinia o Padlinożercach jest prawdziwa.

– Znam liczebność i rozmieszczenie jego ludzi – ciągnęła. – A w dodatku dysponuję wahadłowcem, którym mogę was tam zabrać. Moglibyście skorzystać z niego sami, gdyby nie to, że zablokowałam systemy. Potrzeba nie tylko odcisku mojego palca, ale także kodu, który znajduje się wyłącznie w mojej głowie.

Newman Egesi milczał.

– To jak? – zapytała. – Zainteresowani?

– Co ci po tym? – zapytał jeden z nich.

- To transakcja wiązana. Ja pomogę wam, wy mnie.
- W jaki sposób mielibyśmy ci pomóc? – zapytał Newman.
- W bardzo prosty. Kiedy pozbędziemy się Ingo Freeda, pomożecie mi odbić statek, który znajduje się w Zatoce Botnickiej. Potem każdy pójdzie w swoją stronę.
- Takie to proste?
- Dzięki mojej wiedzy i waszej liczebności, tak.

Ellyse nie miała złudzeń, że plan ten może się powieść. Był z góry skazany na fiasko, ale wystarczyło przekonać Padlinożerców, że jest inaczej. Do szczęścia potrzebne było jej tylko małe zamieszanie w dwóch miejscach jednocześnie – na pokładzie Yorktown i Kennedy’ego. Jeśli uda jej się zdobyć kontrolę nad drugim z tych statków, uratuje Håkona. Nikt nie powinien ruszyć w pogoń za załogantką na samozwańczej misji. Szkoda zasobów.

Szczególnie że tymczasem będzie trzeba uporać się z palącym problemem motocyklistów – uzbrojonych w nowoczesną broń i gotowych podbijać kolejne tereny.

Przez następny kwadrans starała się zarysować przed nimi tę wizję. Początkowo słuchali z rezerwą, ale potem dostrzegła, że raz po raz któryś kiwa głową. Egesi nadal milczał, nie odrywając od niej wzroku choćby na moment. Odezwał się dopiero, gdy skończyła.

- Wszystko to brzmi cudownie – ocenił. – Jeśli przymknąć oko na to, że możesz być szpiegiem Endale lub tego skurwiela.

- Żartujesz? Gdybym była tu z czyjegoś polecenia, na niebie dawno pojawiłyby się inne okręty.

Trudno było z tym polemizować. Teokracja Ziemska nie planowała przesłuchiwać tych ludzi, nie miała ku temu powodów. Chciała wyeliminować ich z nowego krajobrazu planety. Musieli być tego świadomi, bo w końcu przestali agresywnie lustrować Ellyse.

- Powiedzmy, że jestem gotów uwierzyć – odezwał się po chwili Newman. – Ale żebyśmy mogli porozmawiać

o konkretach, muszą stać się dwie rzeczy. Pierwsza: oddasz mi się.

– Śnij dalej.

– Druga: chcę znać całą historię.

– Poznasz ją w swoim czasie.

– Nie – odparł, uśmiechając się przebiegle. – Żle mnie zrozumiałaś. Przedstawiłaś mi swoją ofertę, a ja daję ci ultimatum. Albo je spełnisz, albo będziemy tak stać, aż zmęczy ci się ręka.

Beretta nie była ciężka, ale rzeczywiście najchętniej by ją opuściła. Ciężka jej świadomość, że gdyby przyszło co do czego, musiałaby wywalić temu człowiekowi dziurę w głowie – a potem pewnie sama skończyłaby podobnie.

– Trudno – powiedziała. – Zjawiłam się tu w poszukiwaniu rozsądnych partnerów, ale widzę tylko bezmyślne małpy.

Zrobiła krok w tył, nie spuszczając go z muszki.

– Nie chcecie wysunąć się na prowadzenie w tym wyścigu, wasza sprawa – dodała. – Gnijcie sobie powoli pod butem Ingo Freeda albo Meazy, w zależności od tego, komu uda się wygrać.

Oddaliła się o kilka kroków, zanim Newman uniósł rękę.

– Poczekaj.

– Twoje ultimatum właśnie zmieniło się w umowę do negocjacji?

– Być może.

Nozomi zatrzymała się z duszą na ramieniu. Wiedziała, że teraz nie pozostanie jej nic innego, jak zaufać temu człowiekowi. On zapewni ją, że nic jej nie grozi, a ona schowa broń. Innej możliwości nie było.

Zrobiła głęboki wdech.

– Jeśli jest tak, jak mówisz, potrzebuję dowodu – powiedział Newman.

– W takim razie zapraszam na mój wahadłowiec.

Kiwnął głową, ale jego twarz była pozbawiona wyrazu. Ellyse nie mogła nic z niej wyczytać.

– Daleko stąd?

– W miejscu niegdysiejszego Trypolis.

Rozmówca najwyraźniej nie kojarzył nazwy, bo obejrzał się przez ramię na jednego ze swoich towarzyszy. Ten wyjaśnił, że to dawna stolica Libii – i że znajduje się zbyt daleko, by dotrzeć tam na piechotę.

– Użycz jej dziabary – powiedział do niego Newman.

– Nie ma mowy.

Egesi spiorunował go wzrokiem.

– Żadna z niej amazonka. Rozpierniczy mi...

– Nic się nie stanie z motocyklem – uciał Newman, po czym odwrócił się do dziewczyny. – Umiesz utrzymać pion, prawda?

– Wątpię – odparła. – Nigdy nie jeździłam na niczym, co ma dwa koła.

Motocyklista rozłożył ręce i teatralnie westchnął.

– Trudno. Pojedziesz ze mną.

– Nie mam zamiaru. Przejdziemy się.

Przez moment patrzyli sobie w oczy, czekając, które pierwsze spuści z tonu.

– Ja okazałem ci już trochę zaufania – odezwał się w końcu Egesi. – Teraz pora na ciebie. Opuść broń, usiądź na harym, a potem oddaj się przyjemności, jaką zaserwują ci Newman i jego bestia.

Ellyse wiedziała, że pora trochę ustąpić. Jeszcze przez moment trwała w bezruchu, po czym skinęła głową i wreszcie schowała berette. Ich przywódca podał jej kask, a chwilę później usiadła na motocyklu za plecami Egesiego, bacznie obserwując pozostałych.

– Bezpiecznie jest się tu poruszać? – zapytała.

– Ze mną? Nie.

Westchnęła, niechętnie obejmując go w pasie. Ruszył ostro przed siebie, wyrzucając spod kół drobiny piachu. Reszta

grupy pojechała za nimi.

Ellyse była dobrej myśli. Mimo początkowej buty motocykliści zdawali się pójść po rozum do głowy – zresztą nawet w przeciwnym wypadku ostatecznie powinni zdać sobie sprawę, że zyskali niebywałą okazję, by zagrozić nowemu porządkowi.

Do wahadłowca dotarli szybko, nie napotykając żadnych problemów. Nozomi ściągnęła kask i zawiesiwszy go na kierownicy harleya, ruszyła w kierunku wjazdu. Newman poszedł za nią, a reszta zsiadła z maszyn, rozglądając się wokół.

Ellyse wprowadziła kod w panelu przy wejściu.

Ostatnim, co zapamiętała, było przyłożenie palca do czytnika.

20

Dziewczyna padła na brzuch, uderzona w tył głowy przez Egesiego. Motocyklista przykucnął obok niej i przyglądał się jej tyłkowi. Gdy towarzysze ruszyli w jego kierunku, schwycił pośladek, a potem przesunął dłonią po jej lędźwi.

– Niezła – powiedział jeden z jego kompanów.

– Wezmę ją sam – odparł Newman, patrząc na otwarty wjazd.

– Potem was zawołam.

– Ale szefie...

Egesi obrzucił go agresywnym spojrzeniem. Dziewczyna rozochociła go już na samym początku, a potem z każdym kolejnym słowem podniecał się coraz bardziej. Wiedział, że prędzej czy później ją dostanie – kwestią otwartą pozostawało, czy będzie przytomna. Pech chciał, że nie.

– Sprawdźmy najpierw, co jest w systemach tego...

– Nie – uciął Newman. – Chcę ją mieć.

Podniósł Ellyse, a potem ruszył do promu. Rozmówca uniósł otwarte dłonie i dał krok w tył, a chwilę później za Egesim zamknął się właz.

Ułożywszy Nozomi na plecach, znów się jej przyjrzał. Jej lekko rozwarte usta i zamknięte oczy kusiły, by zacząć od wstępnych pieszczot. Był jednak zbyt pobudzony, by to robić. Położył się na niej, przyciskając przyrodzenie do jej łona, a potem chwycił jej piersi. Ścisnął mocno, wiedząc, że może sobie pozwolić na wszystko.

Rozerwał biały mundur i jego oczom okazał się stanik w takim samym kolorze.

– I co teraz, suko? – wysapał, gryząc ją w szyję. – Nie jesteś już taka odważna, co?

Rozerwał zapięcie biustonosza i odrzucił go na bok, a potem zaczął gryźć jej piersi. Jedną rękę zacisnął na szyi Ellyse, a drugą przesunął niżej, między jej nogi.

– Masz to, o co się prosiłaś – wysapał. – Mną chciałaś sterować, ty kurwo? Mną?

Poczuł, że nie może już dłużej powstrzymać swojego podniecenia. Zerwał z niej spodnie, a potem szybko zrzucił swoje.

21

Dija Udin oddałby królestwo za porządny wysokoprocentowy napitek. W nowym świecie nie było jednak miejsca dla żadnych używek – Przewodniczący zakazał nawet palenia symulowanych papierosów. O fantomatach Alhassan wolał nie myśleć.

Jego dziwkosłużka pozbierała wszystko po kolacji – i określenie to zdaniem Dija Udina było w sam raz.

– Co zamierzasz zrobić z Jaccardem? – zapytał w końcu. – Łatwo nie odpuści.

– Zabiję go.
– Słuszna decyzja.
– Ale w swoim czasie. Na razie potrzebuję kogoś takiego jak on.

– Do czego? – bąknął z powątpiewaniem Alhassan.

– Nie stanowi zagrożenia, a jednocześnie łatwo będzie zrobić z niego przykład.

Wymijająca odpowiedź, jak znaczna część tych, które ostatnio słyszał Dija Udin. Do cholery, wolałby mieć Loïca z głowy jak najszybciej. Wprawdzie nie stanowił dla niego bezpośredniego niebezpieczeństwa, ale był elementem, bez którego ta układanka byłaby znacznie pewniejsza.

– Zastanawia mnie inna rzecz – dodał Ingo Freed.

– Jaka?

– Czy ci ludzie naprawdę wierzą, że mogą uratować swojego towarzysza?

– Nie wiem.

– Przebywałeś z nimi długo, żyłeś pośród nich. Zdążyłeś poznać ich na tyle, by móc odpowiedzieć na to pytanie.

Alhassan mógł to zrobić, ale nie miał zamiaru dzielić się z tym człowiekiem całą swoją wiedzą. Przekazał mu tyle, ile było absolutnie konieczne. Słowem nie zająknął się o tunelach czasoprzestrzennych – i nawet na torturach nie puściłby pary. Ingo Freed był mu potrzebny tylko po to, by uzyskać dostęp do ansibla.

– Wierzą – odparł po chwili. – Gdyby nie wierzyli, nie zadawaliby sobie tyle trudu.

– Ta ich wiara ma jakieś poparcie w rzeczywistości?

– A jaka nie ma? – odparł Dija Udin, zdając sobie sprawę z tego, że pobudzi rozmówcę do refleksji. A gdy tylko się to stanie, temat ratowania Lindberga szybko odejdzie w zapomnienie.

Ingo Freed milczał przez moment, wpatrując się w gwiazdy na niebie. W końcu pokiwał głową, jakby dotarł do jakiejś

konkluzji. Spojrzał na Alhassana.

– Co jest na tej planecie?

– Nie wiem.

– Słyszałem, jak rozmawialiście o promieniowaniu Czerenkowa. Znam ten termin.

– Mhm.

– Chodzi o podróże w czasie, nieprawdaż?

– Najwyraźniej. Niestety nic więcej nie wiem.

– Szczerze w to wątpię – odparł Stephen, wbijając wzrok w oczy rozmówcy. Alhassan po raz pierwszy od długiego czasu poczuł niechęć ze strony Ingo Freeda i uświadomił sobie, że Przewodniczący również starał się go urobić. Obaj zamierzali wzajemnie się wykorzystać.

– Twoje powątpiewanie mnie nie interesuje – odparł Dija Udin. – Chyba że wątpisz w Boga Jedyne.

– Nie interesuje cię? To ciekawe, bo odniosłem wrażenie, że robisz wszystko, by dogłębnie mnie poznać. I zdobyć moje zaufanie.

Alhassanowi przemknęło przez myśl, że sytuacja nie rozwija się w dobrym kierunku.

– Staram się tylko postępować zgodnie z...

– Gówno prawda – uciął Stephen. – Urabiasz mnie od samego początku i masz czelność sądzić, że jestem na tyle naiwny, by tego nie widzieć.

Dija Udin popatrzył na rozmówcę z uznaniem i szeroko się uśmiechnął.

– Nie wiedziałem, że stać cię na względnie wulgarne słowo – powiedział.

– To wszystko było przecież oczywiste – odparł Ingo Freed, jakby nie słuchał. – Jesteś tak owładnięty strachem o własne życie, że byłeś gotów nawet stać się apostatą.

– Myślałem, że to dobra rzecz, nie żaden grzech.

Ingo Freed podniósł się z miejsca i spojrzał na niego z góry. Alhassan uniósł lekko głowę.

– Oczywiście, że dobra – powiedział kontradmirał. – Bez względu na to, jakie motywacje ci przyświecały, stanąłeś po stronie Światłości. To się liczy. Reszta przyjdzie później, a Bóg napełni twoje serce miłością.

– Z pewnością.

– A teraz, skoro zmierzamy do zakończenia tej szarady, wstawaj.

Dija Udin wykonał polecenie z nieblednącem uśmiechem na twarzy. Rozmówca wskazał mu wejście do Yorktown, a Alhassan bez słowa ruszył w tamtym kierunku.

– Rozumiem, że nie będziemy już odgrywać naszych ról? – zapytał pod nosem Dija Udin, gdy szli korytarzem w stronę mostka.

Stephen milczał. Odezwał się dopiero, kiedy przeszli kawałek korytarzem.

– Wszystko, co mówiłem ci o wierze i religii, płynęło prosto z serca. I wiem, że kiedyś to wszystko zrozumiesz, przyjmiesz do siebie.

– Amen.

– Nie drwij, bo pożyczysz krócej, niżbym chciał.

Alhassan zatrzymał się przed grodzią na mostek i obejrzał przez ramię.

– A ile czasu mi dajesz? Jaka jest diagnoza?

– Jakkolwiek mógłbyś myśleć inaczej, chciałbym, byś dożył w spokoju sędziwego wieku.

Dija Udin i bez tego wiedział, że tak było. Przewodniczący być może przejrzał jego motywacje, ale nie zmieniało to faktu, że nadal uważał konwersję muzułmanina za osobisty sukces. Poza tym był przekonany, że to Bóg go prowadzi – i Bóg chce, by nawrócił niewiernego.

– Wchodź – powiedział.

Alhassan wiedział także, że to wszystko może zmienić się w okamgnieniu. Ingo Freed miał w kieszeni impulsator – i nie

potrzebował wiele, by go użyć. Wystarczy, że wyczuje zagrożenie, a cała ta religijna misja zejdzie na drugi plan.

Posłusznie wszedł na mostek, a Ingo Freed ruszył w ślad za nim.

– Pokażesz mi, co jest na tej planecie – powiedział.

– Nie wydaje mi się, żebym...

– Słyszałem, jak kobieta mówiła, że to ty dokonałeś zmian w systemie Kennedy'ego.

– Może się przesłyszałeś.

Stephen bez słowa wskazał mu stanowisko astrometryczne. Dija Udin podszedł do niego, kwitując w duchu, że powinien był się tego spodziewać. Tak łasy na władzę człowiek prędzej czy później musiał zainteresować się tym, co mogło dać mu nieograniczoną moc rządzenia innymi.

Gdyby rzeczywiście uzyskał możliwość sterowania tunelami, byłaby to katastrofa w skali kosmicznej. Zaawansowana technologia na Terze mogła dać odpór siłom Diamentowych. Przy odpowiednio ułożonej strategii Dija Udin mógł wyobrazić sobie, jak zmienia się historia.

Szczęśliwie to on był na posterunku i trzymał rękę na pulsie. Nigdy nie pozwoli, by systemy tego statku wykryły ślady po tunelach prowadzących na Rah'ma'dul. A nawet jeśli zmuszą go do tego torturami, nigdy nie przekaze im wiedzy o tym, jak sterować korytarzem od drugiej strony.

– Wprowadź stosowne dane. Chcę to zobaczyć.

– Naprawdę nie wiem, o czym...

– Oszczędź sobie bólu, a mnie roboty, Dija Udin.

– Gdybyś tylko mógł bardziej precyzyjnie określić, co mam zrobić, to...

– Chcę zobaczyć, co jest na tej planecie – uciął Ingo Freed. –

Chcę wiedzieć dokładnie, czego szukali załoganci Kennedy'ego. Chcę wiedzieć, jak zamierzali użyć tego do uratowania człowieka, który nie żyje... i chcę wiedzieć, dlaczego egzystował on w innym ciele.

– Krótko mówiąc, chcesz wiedzieć wszystko.

– Także to, dlaczego powiedział mi to, na co czekaliśmy od niepamiętnych czasów.

– Masz na myśli ten cytat z czyjejs tam księgi?

Ingo Freed spojrział na niego z dezaprobatą.

– Z Księgi Samuela.

– Tak, tak. – Dija Udin machnął ręką. – W tym temacie jednak ci nie pomogę, bo sam nie mam pojęcia.

– Uwierz mi, że pomożesz.

Alhassan obrócił się do niego.

– Znów będą tortury? – zapytał z uśmiechem. – Ostatnio przyniosły tyle wymiernych korzyści, że uznałeś, iż warto je powtórzyć?

– To była jedynie próbka tego, na co nas stać.

– Więc mam na co czekać.

– Tylko jeśli nie wprowadzisz do systemu odpowiednich danych, a mnie nie powiesz wszystkiego, co wiesz.

Dija Udin obrócił się z powrotem do wyświetlacza, namyślając nad kłopotliwością tej sytuacji. Najwyraźniej trochę nie docenił tego człowieka.

– Moi naukowcy od samego początku starają się znaleźć odpowiedzi na te pytania – ciągnął dalej Stephen. – Te i szereg innych.

– Bezskutecznie, jak przypuszczam.

– Brakuje im kilku elementów układanki, które pozwoliłyby zebrać wszystko w logiczną całość.

– Brakuje im raczej kilku szarych komórek.

Ingo Freed zmrużył oczy.

– I skoro tacyście mądrzy, dlaczego nie sprawdzicie systemów Galileo, Kennedy’ego czy innych jednostek?

– Sprawdziliśmy.

– I niczego nie znaleźliście? – zapytał ze zdziwieniem Dija Udin, a rozmówca pokręcił głową. Najwyraźniej Romanienko i reszta również okazali się nie w ciemę bici. Wiedzieli, co

mogą pokazać, a co dobrze byłoby ukryć. Informacje o *proelium* były powszechną wiedzą, ale sposób, w jaki Håkon i Ev'radat ograli Diamentowych, pozostawał dla Ingo Freeda tajemnicą.

Alhassan uśmiechnął się w duchu.

– Masz jeszcze tylko chwilę, by się zdecydować – powiedział Stephen. – Moja cierpliwość powoli...

– Goń się, ty pierdolony imbecylny – wpadł mu w słowo Dija Udin.

Kontradmirał raptownie schwycił go za kark i szarpnął w przód. Alhassan uderzył czołem o wyświetlacz i poczuł ból oplatający całą czaszkę. Wiedział, że ma tylko jedną okazję, by zareagować.

Uderzył łokciem w zgięcie wyciągniętej ręki Stephena. Gdy uścisk na karku zelżał, Dija Udin natychmiast obrócił się i złapał za ramię przeciwnika, po czym przycisnął je do pulpitu. Wziął zamach i z impetem uderzył w kość przedramienia. Rozległ się trzask, a Ingo Freed zawył z bólu.

Alhassan poprawił, waląc go mocnym podbródkowym tuż pod szczękę. Gdy przeciwnik zatoczył się w tył, a krew wylała się z jego ust, Dija Udin natychmiast zerwał się ze swojego miejsca i ruszył na niego.

Kolejne dwa proste wyprowadził w krtań Ingo Freeda. Ten złapał się jedną ręką za gardło, tę złamaną próbował bezskutecznie unieść. Dija Udin chwycił za nią i pociągnął mocno. Przeróżliwy krzyk Przewodniczącego był dla niego najcudowniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek usłyszał.

Szarpnął za dłoń przeciwnika i sprowadziwszy go do parteru, ułożył rękę na mocowaniu krzesła.

Czas poprawić.

Wyprostował się, uniósł nogę i z impetem opuścił ją na przedramię Ingo Freeda. Ten znów zawył. Tym razem tak głośno, jakby chciał zedrzeć sobie gardło.

Alhassan spojrział na swoje dzieło. Z zakrwawionej ręki wystawały kawałki białych kości, widok poszarpanej skóry dostarczał mu jeszcze więcej satysfakcji. Dija Udin schylił się i wyciągnął impulsator z kieszeni oszołomionego Stephena.

Nie musiał się obawiać, że ktokolwiek ich usłyszy. Mostek był zamknięty, izolacja dźwiękowa działała bez zarzutu. A poza tym na Yorktown nie było wielu załogantów. Ingo Freed rozesłał swoich ludzi po podziemnych miastach, by tam trzymali rękę na pulsie.

Alhassan trącił nogą zwijającego się na ziemi kontradmirała.

– Panie Przewodniczący – odezwał się. – Co pan tak się wijesz jak piskorz?

– Ty...

Dija Udin zamachnął się i z całej siły kopnął w szczękę przeciwnika. Ten wziął paniczny oddech, jednocześnie wypluwając kawałki ułamanych zębów. Zakaszłał, rzucając się na bok.

– Chciałeś coś powiedzieć?

Ręka leżała bezwładnie na podłodze, jakby ledwo trzymała się reszty ciała. Dija Udin spojrział na nią z nieskrywaną dumą, a potem jeszcze raz podniósł nogę. Chrząst pod jego butem był wprost cudowny.

– Chyba coś złamałeś – powiedział muzułmanin, nachylając się nad Ingo Freedem.

Stephen milczał, oddychając ciężko i chrapliwie. Alhassan obrócił go na plecy, chcąc mu się przyjrzeć.

– Będę miał do ciebie prośbę – powiedział.

Ingo Freed zaczął dławić się kawałkami zębów, więc Dija Udin szybko położył go na boku i uderzył kilkakrotnie w plecy. Gdy przeciwnik wykrztusił wszystko, znów obrócił go na wznak.

– Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale możesz jeszcze przeżyć.

Stephen wyrzucił coś w odpowiedzi.

- Co tam charkoczesz?
- Ty przs... ebrzydły...
- Nie przeklinaj. Ja ci przebaczę, ale Bóg chyba nie.
- Ty...

Dija Udin westchnął, po czym kilkakrotnie przywalił mu w twarz. Nie mógł pozwolić sobie na spowodowanie większych obrażeń – Ingo Freed i tak balansował już na granicy omdlenia, mamrocząc pod nosem. Alhassan wiedział, że przesadził, ale było to silniejsze od niego. Czekał na to od momentu, gdy skurwysyn po raz pierwszy podniósł na niego rękę.

Kopnął go w podbrzusze.

- Wybacz – powiedział. – Przypomniałem sobie, że poprzysiągłem ci zemstę.

- Hrrrrmpfff...

- A teraz powiedz: chcesz żyć?

Przykucnął obok niego i jeszcze kilka razy go spoliczkował. Gdy stwierdził, że nie przynosi to zamierzonego efektu, rozejrzał się. Na Accipiterze mostek był dobrze wyposażony w artykuły pierwszej pomocy. Tutaj zapewne nie było inaczej, wystarczyło znaleźć odpowiednią szafkę.

Dija Udin uderzył Stephena po twarzy nieco mocniej.

- Skup się, przebrzydła kreaturo. Gdzie trzymacie medykamenty?

Ingo Freed wskazał mu nieprzytomnym wzrokiem ściankę pod jedną z konsol. Nie widać było tam żadnego schowka, ale gdy Alhassan położył dłoń we wskazanym miejscu, drzwiczki się uaktywniły i rozsunęły.

Wyjął apteczkę i pigułki energetyczne. Wrzucił kilka do gardła kontradmirała, a potem pomógł mu je przełknąć. Następnie wstrzyknął mu środki cucące i przeciwbólowe bezpośrednio do krwiobiegu. Tylko chwilę trwało, nim oczy Ingo Freeda rozszerzyły się w przerażeniu.

– Teraz lepiej – powiedział Alhassan, poklepując go po złamanej ręce. Uniósł ją tak, by znalazła się przed oczyma przeciwnika. Ten krzyknął jak małe dziecko, ku niewypowiedzianej radości Dija Udina.

– Jezus Maria!

– Na razie tylko Dija Udin. Ale resztę niebawem spotkasz, bez obaw.

– Panie wszechmogący na niebiosach, jedyny i wszechpotężny!

– Tak też czasem do mnie mówią.

– Ojcie nasz, któryś jest...

Dija Udin nie chciał nikomu odmawiać prawa do modlitwy przed śmiercią, ale zwyczajnie nie miał czasu na wysłuchiwanie tego wszystkiego. Uderzył Ingo Freeda w podbródek, a potem poprawił ciosem w nos. Krew obficie z niego popłynęła, zalewając kołnierz.

– Rób, co mówię, a przeżyjesz – zełgał.

– Ja... jak...

Urwał i zaczął łkać. Alhassan przypatrywał się temu bez cienia satysfakcji. Lubił łamać ludzi, ale nie cenił tych, którzy ulegali zbyt szybko. Stephen najwyraźniej nie miał zbyt dużej tolerancji na ból. Cała ta zasadnicza fasada, którą zbudował, runęła jak domek z kart.

Płynęły z tego także plusy. Dija Udin szybciej załatwi to, co zamierzał.

– Słuchaj... – zaczął spokojnie. – Daruję ci życie i nigdy więcej mnie nie zobaczysz, musisz zrobić tylko jedną, prostą rzecz.

– Tak... tak... – mamrotał cicho kontradmirał.

– Potrzebuję kodu do systemu komunikacyjnego.

– Nie, nie mogę...

Dija Udin rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś ostrego. Niestety niczego takiego nie znalazł, co trochę komplikowało

sprawę. Westchnął, uznając, że musi odwołać się do tradycyjnych argumentów.

Zaczął okładać Ingo Freeda – i robił to tak długo, aż ten zaczął przysięgać, że powie mu wszystko. Do tej pory Alhassanowi udało się wybić wszystkie przednie zęby kontradmirała, rozciąć mu łuk brwiowy, złamać nos, a także poranić sobie ręce. Prawdopodobnie zmiażdżył mu też klejnoty i pozbawił go wzroku przynajmniej w jednym oku.

– Już... proszę... – wyrzeźbił Stephen. – Błagam...

Dija Udin z ulgą wypuścił powietrze, ocierając dłonie o spodnie.

– Kod.

Podał mu go, a Alhassan szybko wprowadził właściwy ciąg do systemu. Uśmiechnął się, widząc, że uzyskał kontrolę nad ansiblem. Obrócił się do Ingo Freeda, który starał się wykastać krew. Dija Udin podszedł do niego i stanąwszy nad jego głową, wyciągnął impulsator.

– Hej – powiedział. – Popatrz no tutaj.

Gdy Ingo Freed podniósł mętny wzrok, Dija Udin wypalił. Czaszka pękła, jakby była z tektury, a mózgowie i krew wylały się z dziury w głowie. Alhassan przez moment patrzył na pozbawione życia ciało kontradmirała, po czym schował broń i zasiadł przy pulpicie.

22

Jaccard odetchnął z ulgą, ale tylko na moment.

– Tam jest, panie majorze – powiedziała Channary, wskazując prom na wybrzeżu Morza Śródziemnego.

Siedzieli w wahadłowcu, tnącym powietrze z zawrotną prędkością. Gdy tylko Loïc zorientował się, że Ellyse opuściła pokład Kennedy'ego, natychmiast skierował się do hangaru. Jednego z promów brakowało i Jaccard nie miał wątpliwości,

że transponder na nim został wyłączony od razu po odlocie. Nie oznaczało to jednak, że nie można było namierzyć jednostki. Z pomocą przyszła Romanienko. Radary ISS Galileo – mimo że nieco starsze – dysponowały znacznie większą mocą. Na przepastnych, jałowych przestrzeniach nietrudno było odnaleźć statek.

– Jest tam kilkudziesięciu ludzi – zauważyła Sang.

– Padlinożercy.

– Najwyraźniej. I już nas zobaczyli.

Loïc potoczył wzrokiem po okolicy, ale nigdzie nie mógł dostrzec Nozomi. Upewniwszy się dwa razy, że nie ma tam jego podkomendnej, włączył baterie dziobowe.

– Co pan zamierza?

– To, co widzisz.

– Nie lepiej wylądować i...

– Zwykle to ty jesteś pierwsza do bitki.

– Bo zwykle mamy przeciwko sobie ludzi, którzy nie nadają się na potencjalnych sojuszników. Ci mogą okazać się przydatni.

– Nie za bardzo, skoro przetrzymują Ellyse.

Jaccard nie miał zamiaru dłużej polemizować. Gdy tylko aktywowała się kontrola baterii, oddał kilka serii w motocyklistów. Pociski trafiły kilkunastu z nich, rozrywając ich ciała i rozchlapując wokół ich krew. Reszta natychmiast rzuciła się do ucieczki.

Loïc posłał za nimi jeszcze kilka salw, trafiając w maszyny i ludzi.

– Chyba już wystarczy – odezwała się Sang.

Jaccard beznamiętnie kiwnął głową, a potem zwiększył ciąg silników przy podejściu. Opadli z impetem na piach tuż obok drugiego promu.

– Bierz broń.

Chwycili za beretty i ruszyli do wyjścia. Ledwo włąz się otworzył, a rozległ się huk i pociski poszybowały w ich

kierunku. Natychmiast odskoczyli na bok, kryjąc się za ścianą. Spojrzeli po sobie niepewnie.

– Ktoś musiał być w wahadłowcu – powiedziała Channary.

– Widzisz ilu?

– Nie – odparła, po czym wychyliła się i oddała strzał.

Pocisk przemknął obok niej i trafił w jeden z pulpity promu. Sypnął iskrami, rozległ się dźwięk alarmowy. Dwoje załogantów machinalnie się skuliło, spodziewając się, że sprzęt eksploduje. Dopiero po chwili uświadomili sobie, że nic im nie grozi.

Przeciwnik kontynuował ostrzał – kolejne pociski z hukiem trafiały w poszycie. Jaccard padł na podłogę, po czym wystawił rękę i wypalił kilkakrotnie.

– To daremne – powiedziała Channary Sang. – On chowa się za progiem tak samo jak my.

– On?

– Słysząc, że strzela jedna osoba. A kobiet jakoś nie spodziewam się tu zastać.

Loïc musiał się z nią zgodzić. Wystrzelił jeszcze raz, po czym wycofał się za próg i oparł plecami o ścianę.

– Co robimy? – zapytał.

– Pan dowodzi, majorze.

– Nie rób sobie jaj, Sang.

– Tak jest – odparła, a potem na ułamek sekundy wychyliła głowę. – Nie wygląda to najlepiej – oceniła.

– Co ty powiesz?

– Gdyby Ellyse żyła, wyprowadziłby ją jako zakładniczkę.

Jaccard spojrzał na nią szeroko otwartymi oczyma.

– Nawet tak nie żartuj.

– Nigdy nie żartuję, panie majorze.

Loïc wyjrzał zza osłony i musiał przyznać podkomendnej rację. Najlepszym rozwiązaniem dla człowieka po drugiej stronie było wyprowadzenie zakładniczki i oddalenie się z nią na bezpieczną odległość.

– Może jest nieprzytomna – rzucił Jaccard.

Przeciwnik znów oddał strzał w poszycie wahadłowca.

– Miejmy nadzieję – powiedziała Channary, starając się wyrzeć na zewnątrz. – Jeśli chcemy przełamać ten pat, proponuję stąd wyjść.

– Słucham?

– Musimy opuścić...

– Chcesz wejść prosto na linię strzału tego szaleńca?

– Pan popędzi w prawo, ja w lewo. Mamy przeciwko sobie motocyklistę, a nie wyszkolonego snajpera.

– Padlinożercy, z tego co słyszałem, są dość dobrze obyci z bronią.

Channary Sang wzruszyła ramionami.

– Albo zrobimy tak, jak mówię, albo czekamy, aż dotrą tu posiłki. Czas działa na jego korzyść.

Znów rozległy się strzały, a Jaccardowi przemknęło przez myśl, że facet zabrał ze sobą gigantyczny zapas amunicji. Z drugiej strony mógł dysponować technologią znacznie bardziej zaawansowaną od tej, którą miał Kennedy.

– W porządku – odparł Loïc. – Udzielił mi się twój samobójczy nastrój.

– Wyśmienicie, panie majorze. Proszę się przygotować.

– Na trzy?

– Nie. Niech pan rusza natychmiast po następnym strzale. Byle szybko.

Jaccard skinął głową, po czym przygotował się do wyskoczenia na zewnątrz. Nie musiał długo czekać – zaraz po tym, jak rozbrzmiał głos Sang, przeciwnik wypalił po raz kolejny. Oboje raptownie wypadli z wahadłowca i popędzili w swoje strony.

Loïc dostrzegł adwersarza. Miał skórę czarną jak smoła, a zarost jasny niczym słońce. Wycelował w niego, ignorując zupełnie Channary Sang. Nie był to najgorszy rozwój wypadków – szefowa ochrony z pewnością łatwiej w niego trafi.

W pełnym biegu Jaccard pociągnął za spust, ale chybił. Kula pomknęła obok przeciwnika i utknęła gdzieś w ścianie za nim. Ten nadal nie oddał strzału – przymierzał.

Gdy jego broń wypaliła, Loïc również wystrzelił.

Nie miał pojęcia, czy trafił, bo poczuł przeraźliwy ból w klatce piersiowej i runął na ziemię jak kłoda. Słyszał swój krzyk, ale wydawało mu się, jakby głos należał do kogoś innego. Próbował obrócić się na plecy, ciało jednak odmówiło posłuszeństwa.

Rozległ się kolejny wystrzał, rozdzierając powietrze. Jaccard nie wiedział, kto strzelał – Channary czy Padlinożerca. Jeśli ten drugi, to najwyraźniej chybił, bo Loïc wciąż pozostawał na tym świecie. Znosił niehumanitarne katusze, ale żył.

Ból promieniował na całe ciało, a w ustach major poczuł metaliczny posmak. Pomyślał, że oberwał mocno. Na tyle, że doszło do krwotoku wewnętrznego.

Szarpnął nim spazm i z trzewi wypłynęła porcja krwi. Wziął oddech, ale usłyszał jedynie rżenie – powietrze nie dotarło do płuc. Próbował zawołać Sang, lecz z jego ust doszedł tylko chrapliwy, niepokojący odgłos. Potem znów wykaszłał krew.

– Majorze!

Rozpoznał głos Sang. Niejasno uzmysłowił sobie, że musiała posłać motocyklistę w zaświaty. Była to jego ostatnia spójna myśl. Potem zaczął szybko odpływać, czując, jak ból ustępuje. W jego głowie rozpoczęła się gonitwa myśli. Przypomniały mu się przypadkowe epizody z życia – pierwsza służba na Kennedym, dziewczyna, którą zostawił w Paryżu, pierwsze wejście w diapauzę. Wszystko to unosiło się jak mgła nad realnym światem, który stopniowo przestawał mieć dla niego znaczenie.

W końcu ogarnęła go błogość.

– Majorze! – krzyknęła jeszcze raz, nie zwalniając kroku.

Wiedziała, że unieszkodliwiła przeciwnika i nie musiała się nim przejmować. Pędziła teraz ile sił w nogach ku otwartemu włazowi promu. Musiała sprawdzić, co z Ellyse, a dopiero potem będzie mogła zająć się Jaccardem.

– Majorze, kurwa mać! – krzyknęła jeszcze, zanim wpadła do środka.

Nie musiała się rozglądać, by zobaczyć Nozomi. Leżała naga na podłodze, kawałek za mężczyzną z rozłupaną czaszką. Channary udało się odstrzelić mu dobrą ćwierć głowy.

Rzuciła się do Ellyse, starając się nie zważać na jej rozłożone nogi i nagość. Przytknęła palce do tętnicy szyjnej, drugą ręką narzucając na nią rozszarpane ubranie. Żyła – tylko to w tej chwili się liczyło.

Sang natychmiast zerwała się na nogi i pognąła do dowódcy. Potknęła się na wyjściu, ale udało jej się utrzymać równowagę. Potem dopadła do Loïca i natychmiast sprawdziła puls.

– Kurwa mać! – krzyknęła i od razu przystąpiła do resuscytacji. Położyła dłonie tuż poniżej linii mostka, a potem wykonała trzydzieści ucisków i dwa wdechy. Powtórzyła to kilka razy, słysząc świst powietrza, który dobywał się z przedziurawionego płuca.

Uciskała z impetem i po chwili poczuła, jak żebra ustępują pod naciskiem. Trudno, przeszło jej przez myśl, potem będzie się tym przejmować. Tymczasem wykonała już któreś powtórzenie, a efektu nadal nie było.

Podniosła rękę, po czym z całej siły przywaliła w miejsce, gdzie znajdowało się serce Jaccarda.

– No dawaj! – krzyknęła i zaczęła tłuc jeszcze mocniej.

Rozległ się trzask, ale nie zważała na to. Nie liczyła ciosów. Po kilkudziesięciu wykonała dwa wdechy, a potem wróciła do uciskania klatki piersiowej.

Nie miała pojęcia, ile czasu minęło, od kiedy rozpoczęła akcję reanimacyjną. Dopiero teraz jednak uświadomiła sobie, że przy każdym uciśnięciu z trzewi Jaccarda wypływało coraz więcej krwi.

W końcu przestała.

Ciężko oddychając, oderwała dłonie od piersi dowódcy i spojrzała na jego beznamiętne oblicze.

– Nie... – powiedziała cicho, opuszczając głowę.

Trwała tak przez kilka chwil, po czym znów podjęła próbę ratunku. Pracowała ze zdwojoną mocą, ale efekty nadal były opłakane. Po którejś serii, gdy pot ściekał już z niej strumieniami, usłyszała odgłos kroków.

– Channary?

Sang nachyliła się nad Jaccardem i zrobiła dwa wdechy. Gdy się wyprostowała, dostrzegła, że Ellyse przyklękła obok z apteczką. Otworzyła ją, a potem wyjęła opaskę uciskową i polowy laser, który pozwalał zszyć niegroźne rany. Radiooperatorka naciągnęła na siebie bieliznę, widoczną pod rozerwanym mundurem.

– Poczekaj – powiedziała. – Pozwól mi...

Channary oderwała dłonie od ciała dowódcy i przekonała się, że cała się trzęsie. Nozomi szybko zszyła miejsce, gdzie trafiła kula, a potem założyła opaskę. Materiał przylgnął do świeżo zasklepionej rany.

Sang znów przystąpiła do resuscytacji i kontynuowała przez dobry kwadrans, zanim w końcu opuściła ją nadzieja. Przestała uciskać klatkę piersiową i spojrzała na Ellyse. Wiedziała, że dziewczyna już jakiś czas temu stwierdziła zgon. Doceniała, że nie próbowała jej powstrzymać.

– Kurwa mać, Ellyse...

– Zabierzmy go na prom – odparła słabo Nozomi.

Channary spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Zaraz dotrze tu reszta Padlinożerców. Jeśli zostaniemy, podzielisz mój los.

Sang spojrzała na krwawy ślad, który biegł od jednej piersi w dół.

– Czy on...

– Byłam nieprzytomna.

Przez moment obydwie milczały.

– Sprawdzimy to na Kennedym.

– Wiem. A teraz zabierzmy go na prom.

Channary kiwnęła głową, a potem obie wsunęły ręce pod Loïca i podniosły go ostrożnie.

– Co z drugim wahadłowcem? – zapytała Sang, gdy ruszyły do pierwszego.

– Włączę zdalnie autopilota.

Ułożyły ciało Jaccarda w tylnej części maszyny, po czym Ellyse zasiadła za panelem kontrolnym. Czym prędzej zamknęła śluzę, a potem poderwała prom. Po chwili obie jednostki zmierzały z powrotem do Zatoki Botnickiej.

Załogantki milczały przez większą część podróży. Dopiero gdy Nozomi skierowała wahadłowiec ku hangarowi Kennedy’ego, Channary się odezwała:

– Co planowałaś?

Ellyse spojrzała na nią z obawą, a Sang uświadomiła sobie, że jej głos zabrzmiał bardziej agresywnie, niż zamierzała.

– Nie będę obarczać cię winą – zastrzegła. – Po prostu...

– Chciałam wykorzystać ich jako zasłonę dymną – odparła Nozomi.

– W jaki sposób?

– Mieli zaatakować Yorktown, podczas gdy ja zabrałabym Kennedy’ego w przestrzeń kosmiczną.

Channary pokiwała głową. Prawdę powiedziawszy, słuchała piąte przez dziesiąte, a pytała jedynie dlatego, by zająć czymś umysł. Jej myśli nieustannie wracały do leżącego z tyłu Jaccarda. I tego, że tyle razy jej usta przylgnęły do zimnych, martwych warg dowódcy.

Wzdrygnęła się, orientując, że Nozomi coś dodała.

- Co mówiłaś?
- Że chciałam skorzystać z zamieszania i...
- Nigdy byś nie uciekła - weszła jej w słowo Sang. - Przecież wiedzieliby, dokąd się udałaś.

Ellyse wprowadziła prom do hangaru.

- Niezupełnie.
- Co to ma znaczyć?
- Że istniał sposób, by nie wiedzieli, gdzie poleciałam.
- Jaki?
- Najprostszy z możliwych, Channary. Zamierzałam wybrać inną planetę.

Prom opadł delikatnie na lądowisko, a zaraz za nim wleciał drugi. Załogantki odpięły pasy bezpieczeństwa i podniosły się. Sang patrzyła badawczo na towarzyszkę, zastanawiając się, czy zupełnie oszalała.

Ellyse ruszyła w kierunku wyjścia, ale Channary powstrzymała ją ruchem ręki.

- Inna planeta? - zapytała. - Jakim cudem?
- Dija Udin dokonał zmian jedynie w systemach Kennedy'ego. Uznałam, że dzięki temu sama zdołam odnaleźć kolejne miejsce z tunelem, ale nikt inny nie będzie w stanie tego powtórzyć. Dotychczas największą przeszkodą była odległość, tyle że...

- Byłaś gotowa zamrozić się na znacznie dłużej.

Nozomi skinęła głową, a potem minęła Sang i podeszła do majora. Po chwili w milczeniu przenieśli go do kostnicy. Gdy stół wsunął się do wnęki, obie spojrzały na siebie niepewnie. Z całej załogi pozostały tylko one - a Channary była świadoma, że gdy Ingo Freed zorientuje się w sytuacji, pozbędzie się Nozomi.

- I wszystko to dla martwego chłopaka - powiedziała szefowa ochrony.

- Wszystko po to, żeby udowodnić, że nie jest martwy.
- Opowiadasz bzdury jak zawsze.

Spojrzała na nią spode łba, ale się nie odezwała. Przynajmniej nie od razu. Gdy przeszły do medlabu i obmyły ręce, Ellyse podjęła temat:

- Wciąż zamierzam zrealizować ten plan.
- Świetnie, ale najpierw połóż się i rozszerz nogi.
- Możemy z tym poczekać.
- Na co?

- Aż oswoimy się z myślą, że... - Urwała, spoglądając w kierunku korytarza.

Sang była przeciwnego zdania. Chciała zająć się czymkolwiek, by tylko nie myśleć o martwym obliczu, które zdawało się powracać jej przed oczy przy każdym mrugnięciu. Wskazała Ellyse łóżko, a potem zaczęła szukać laserowego wziernika. Nozomi położyła się i ściągnęła majtki.

- Chyba powinnam czuć, jeśli to zrobił - odezwała się słabym głosem.

- Nie wiem.

- Może brak przytomności jakoś wpłynął na...

- Nie gdybajmy - odparła Sang, odnajdując narzędzie. Obróciła się i wzięła głęboki wdech.

- Wiesz, co robisz? - upewniła się Nozomi.

- Niespecjalnie.

- W takim razie uważaj, żeby mi czegoś nie spieprzyć.

- Co za różnica? I tak jesteśmy martwe.

Użyła liczby mnogiej, ale powinna spodziewać się, że nic jej nie grozi. Ingo Freed nie miał powodu, by odbierać jej życie. Z drugiej strony był to człowiek zupełnie nieobliczalny. Kiedy zjawi się tu ze swoimi ludźmi, rozpęta piekło.

- Po prostu uważaj.

Channary skinęła głową, a potem podeszła do Ellyse.

Nozomi już od pierwszej chwili wiedziała, że bez względu na wynik badania nic już nie będzie takie samo. Zamknęła oczy i czekała. Przypuszczała, że niczego nie poczuje, ale w pewnym momencie pojawił się lekki ból.

- Już? – zapytała, krzywiąc się.
- Czekaj, system pobiera informacje.
- Nie jesteś przesadnie delikatna.
- Staram się, jak mogę.

Po chwili komputer w medlabie dał znać, że badanie zostało zakończone, a Channary wycofała wziernik. Ellyse odetchnęła, ale tylko na moment. Teraz nadszedł czas, by zmierzyć się z rzeczywistością.

- I? – zapytała.
- Nie ruszył cię.
- Polemizowałabym z tym.
- Nie wszedł w ciebie, to mam na myśli – odparła Sang.

Nozomi zamknęła oczy, czując, jak serce powoli wraca do normalnego rytmu. Nie pamiętała niczego ze spotkania z Newmanem Egesim, ale gdy się przebudziła, nie miała wątpliwości, że została zgwałcona. Czuła ból emanujący z pogryzionej piersi, ale także z krocza. Najwyraźniej jednak Padlinożerca zdążył jedynie rozpocząć swoją makabryczną zabawę.

- Pokaż mi te odczyty – powiedziała.
- Myślisz, że cię oszukuję?
- Po prostu pokaż.

Channary Sang westchnęła, a potem obróciła ekran do Ellyse. Ta powiodła wzrokiem po automatycznie wystawionej diagnozie i tym razem odetchnęła na dobre. Jeden kryzys zażegnany, skwitowała w myśli. Teraz należało uporać się z kolejnym.

- Muszę się stąd zabierać, Sang.
- Musimy.

Nozomi skinęła głową z wdzięcznością i zeskoczyła z łóżka.

– Przypuszczam, że ludzie Ingo Freeda na bieżąco monitorują sytuację w Afryce. Niebawem ktoś go obudzi i przekaże mu wieść o tym, co się stało.

– Nie musisz mi tego mówić.

– Więc co tu jeszcze robimy? – zapytała Ellyse, sięgając po kitel wiszący na ścianie. Narzuciła go na siebie, a potem ruszyła w kierunku korytarza. Channary poszła za nią. Dotarli do maszynowni, po czym Nozomi zajęła miejsce Gideona przy głównym pulpicie.

– Co zamierzasz? – zapytała Sang.

– Uciekać.

– Tyle wiem. Nurtuje mnie to, w jaki sposób zamierzasz to zrobić.

Ellyse nie odpowiadała, uruchamiając astrometrię pokładową. Musiała wiedzieć, gdzie dokładnie znajdowały się wszystkie inne jednostki.

– Wcześniej liczyłeś na zamieszanie, ale teraz...

– Potrzebujemy pomocy, to jasne – odparła. – I zamierzam poprosić o nią Romanienko.

Channary oparła się jedną ręką o jej fotel i pochyliła nad nią.

– Niespecjalnie dobry pomysł.

– Innego nie mam. Albo ktoś nam pomoże, albo możemy czekać tu na Ingo Freeda.

– W porządku, ale...

Sang nagle urwała, dostrzegając, że do komputera pokładowego nadeszło powiadomienie o zbliżającej się transmisji. Kod był zastrzeżony dla Przewodniczącego Prezydium, ale on wygłaszał swoje płomienne przemowy każdego ranka, a nie w środku nocy. System natychmiast aktywował pokładowe głośniki, z których dobiegł powtarzający się gong.

– Możesz wyłączyć tę pieprzoną fonię?

– Mogę – odparła Nozomi, po czym wyciszyła dźwięk alarmowy.

– Co to jest, do cholery?

– Najwyraźniej już zorientowali się w sytuacji.

– Zobaczymy.

Patrzyły na ekran, gdzie wyświetliło się godło Teokracji Ziemskiej. Informacja na dole informowała, że niebawem przemówi Przewodniczący.

– Ogłosi, że sezon polowania na nas jest otwarty – zauważyła Sang.

– Po co miałyby się fatygować?

– Dla przykładu. Chce zrobić z nas materiał propagandowy.

Ellyse musiała przyznać, że była to realna możliwość. Oznaczała także, że gdzieś w okolicy czaić się już może oddział mający je wyeliminować.

Gdy tylko włączył się przekaz z Yorktown, zmieniła zdanie.

– Dija Udin? – zapytała, wbijając wzrok w jego uśmiechniętą facjatę.

– Moi drodzy! – zaczął entuzjastycznie. – Wybaczcie, że ogłosiłem planetarny alarm, ale uznałem, że to, co mam do powiedzenia, zasługuje na zbudzenie was w środku nocy. Obiecuję, że nie zajmę wam wiele czasu.

Ellyse szybko się otrząsnęła.

– Startujemy – powiedziała.

– Co? Poczekaj, on...

– To jest nasza szansa, Sang.

Nie czekając na odpowiedź, natychmiast aktywowała silniki i zignorowała wszystkie procedury bezpieczeństwa, podrywając Kennedy'ego z ziemi. Kilka włączników było jeszcze otwartych, ale zanim wejdą w wyższe partie atmosfery, powinny się zamknąć. Obróła kurs na orbitę.

Tymczasem Dija Udin uniósł do kamery zakrwawione ręce.

– Obawiam się, że ubiłem Przewodniczącego Prezydium – powiedział. – Doszło między nami do sporu doktrynalnego,

co nie jest niczym nowym. Przed naszą... moją... naszą moją starą erą Samarytanie oddzielili się od głównego nurtu judaizmu, szyici i sunnici podzielili się wkrótce po śmierci Mahometa, a Wielka Schizma w chrześcijaństwie nastąpiła kilkaset lat później. Oczywiście moim faworytem w tym wyścigu zawsze był anglikanizm, odłam, który powstał dlatego, że papież nie chciał dać Henrykowi VIII rozwodu. A ten naprawdę chciał zbrzuchać nową kobietę.

ISS Kennedy wspinał się w zawrotnym tempie, a Alhassan ciągnął dalej:

– Teraz doszło do rozbieżności między Dija Udinem Alhassanem a facetem, który leży tutaj obok mnie jako truchło. – Nawigator sięgnął w dół i na chwilę znikł z wyświetlacza. Potem uniósł połamaną rękę, która ledwo trzymała się reszty ciała. – Oto kawałek.

– Nie wierzę... – wydukała Channary.

Nozomi nadal skupiała się na tym, by silniki otrzymały jak najwięcej mocy, a Kennedy był zdolny do wejścia na orbitę okołozemską. Przebiły się przez chmury, na moment tracąc obraz z kamery dziobowej.

– Sprawy przybrały niespodziewany obrót – kontynuował Dija Udin. – Nie chciałem go potraktować tak zasadniczo, ale upierał się, że mnie zabije. Rozumiecie zatem, moi drodzy, że nie miałem innego wyjścia.

Kennedy przemknął przez mezosferę jak pocisk.

– Nie twierdzę, że nie sprawiło mi to przyjemności. Gdy zacząłem, trudno było mi przerwać... dlatego na pogrzebie nie będzie otwartej trumny. Przepraszam wszystkich tych, którzy chcieli ostatni raz zobaczyć tego skurwysyna. – Alhassan urwał, spuścił wzrok i uniósł dłonie. – Wybaczcie. Przecież o tych, którzy odeszli, powinno się mówić dobrze albo wcale.

Przez moment się zastanawiał, po czym splunął na bok.

– Ale jego to nie dotyczy. Był to kawał chuja.

Kennedy mknął ku przestrzeni kosmicznej, przekraczając umowną granicę kosmosu. Temperatura na zewnątrz niebawem miała w mgnieniu oka spaść do niemal trzystu stopni Celsjusza na minusie.

– Nie jest mi przykro – dodał Alhassan. – Wiem, że dzięki temu, co zrobiłem, Ziemia będzie lepszym miejscem do życia. Ja sam oczywiście przyjmę na swoje barki ciężar rządzenia tym światem. Należy mi się to jak koniowi owies.

Kadłub nagrzewał się do ponad tysiąca sześciuset stopni, ale nie stanowiło to problemu dla Kennedy'ego. Tym, co mogło przeszkodzić w ucieczce, był tylko sam Dija Udin. Szczęśliwie w tej chwili był zajęty czymś zgoła innym – i najwyraźniej sprawiało mu to niewypowiedzianą radość.

– Nie lękajcie się – powiedział, przyglądając się swojej zakrwawionej dłoni. – Nie mam zamiaru obwoływać się emirem i wprowadzać islamskiego reżimu na Ziemi. Będę przewodził wam jako dobry i miłosierny ojciec. Na królową wezmę Meazę Endale, z którą spłodzę całą dynastię małych Dija Udinów.

Kennedy wyszedł wreszcie w przestrzeń kosmiczną. Nozomi ustawiła kurs na Epsilon Eridani, pierwszą lepszą gwiazdę, która przyszła jej do głowy. Pomarańczowy karzeł znajdował się niewiele ponad dziesięć lat świetlnych od Ziemi, ale nie stanowił celu podróży. Ellyse chciała jak najprędzej nabrać dystansu pomiędzy planetą a statkiem.

Połączenie zaczęło przerywać.

– I zaprawdę powiadam wam... lepszy świat... Dija Udin poprowadzi was...

– Wyłącz tego idiotę – zaproponowała Channary.

Nozomi przesunęła palcem po wyświetlaczu, a Alhassan znikł z ekranu.

– Nie wykryją nas? – zapytała Sang, spoglądając na obraz z kamery rufowej. Ziemia nie jawiła się już jako krzywizna, ale

owalny kształt. Oddalały się coraz bardziej – i coraz szybciej. Nie widziała, by ktokolwiek ruszył w pogoń.

– Nie wiem – odparła Nozomi.

– Nie wiesz?

– Przypuszczam, że wszyscy są dość zajęci, ale pewna być nie mogę.

– A ślady? Może Yorktown...

– Nie ma sposobu, by wykryli naszą trajektorię po tym, jak zmienię kurs. Jeśli cokolwiek zarejestrowało odejście z powierzchni, będą mogli jedynie ekstrapolować naszą ścieżkę... a ta zaraz ulegnie zmianie.

Ellyse odczekała jeszcze chwilę, a potem zwróciła okręt w innym kierunku. Po kwadransie powtórzyła ten manewr i uznała, że jeśli do tej pory nie dostrzegły żadnego pościgu, powinny być bezpieczne.

Sang siedziała na miejscu obok niej, lustrując obraz z kamery rufowej. W końcu wypuściła z ulgą powietrze, po czym się odchyliła. Spojrzawszy na Nozomi, zapytała:

– Zdajesz sobie sprawę, co to znaczy?

– To przemówienie Dija Udina?

Channary skinęła głową.

– Zdaję – odparła Ellyse. – Ziemia przepadła.

– Kompletnie i bezapelacyjnie. Alhassan wezwie Diamentowych i...

– Wiem, Channary – ucięła, nie chcąc słuchać tego, co było oczywiste.

Śmierć Ingo Freeda przypieczętowała los ludzkości. Nie było czasu się nad tym zastanawiać, gdy w pośpiechu opuszczały Ziemię, ale innej możliwości nie było. Dija Udin musiał już skorzystać z ansibla.

– Mogłyśmy chociaż...

– Nie było jak uratować Challengeera – ucięła Nozomi. – Gdybyśmy poczekały jeszcze chwilę, byłoby po wszystkim.

Sang skinęła głową bez przekonania.

– Więc co teraz? – zapytała.

– Uruchamiam algorytm, którego użył Dija Udin. Znajdziemy tunel, skontaktujemy się z Ev’radatem, a potem przywrócimy Håkona.

– Ale...

– Co?

– Sądzisz, że istnieje jeszcze jakaś szansa? Że możemy jeszcze wszystko zmienić?

Ellyse obróciła się do niej gwałtownie.

– Nie – odparła stanowczo. – Jeśli spróbujemy dokonać zmian w linii czasu, wszystko przepadnie. Cały plan z Rah’ma’dul może się zawalić, jeśli przypadkowo usuniemy choćby jeden niewielki element.

Channary Sang przez moment trwała w milczeniu.

– Ale jakie to ma znaczenie? – zapytała, wyłączając obraz z kamery. – Wszystko i tak doprowadziło do zniszczenia Ziemi. Jeśli zmienimy bieg zdarzeń i zapobiegniemy naszej ucieczce z *proelium*, nigdy nie zjawimy się na orbicie. Nigdy nie przykujemy uwagi Ingo Freeda i nigdy nie ściągniemy tu Dija Udina.

Ellyse otworzyła usta, ale się nie odezwała. W natłoku wszystkiego, co się działo, nie pomyślała o tym w ten sposób. Od początku trwali w przekonaniu, że ISS Challenger jest ostatnią nadzieją ludzkości – tak jednak nie było. Gdyby nie wrócili do domu, życie pod powierzchnią Ziemi rozwijałoby się dalej.

– Jakkolwiek to absurdalne, masz rację – odparła, patrząc na Sang.

– Wiem.

– Choć to, co proponujesz, jest samobójstwem.

– Raczej poświęceniem – odparła słabo. – I chyba nie ma się nad czym zastanawiać. Załoga Kennedy’ego i statków Ara Maxima to nic w porównaniu z liczbą ludności, która żyje w Amalgamacie.

Ellyse spuściła wzrok. Oczywiście, miała rację. Dotychczas jej celem było uratowanie Håkona, ale teraz wszystko nabrało zupełnie nowego wymiaru.

– Nie sądzisz? – zapytała Channary, poszukując wsparcia.

Nozomi skinęła głową.

– Musimy spróbować – dodała. – Ale nie wiem, czy to, co proponujesz, jest w ogóle możliwe...

– Teoria samospójności Nowikowa?

– Otóż to. Jeśli dobrze interpretujemy wszystko, co miało dotychczas miejsce, nie jesteśmy w stanie niczego zmienić. Wszystko już się wydarzyło i wydarzy się po raz kolejny.

– No tak – przyznała Sang. – Miejmy więc nadzieję, że źle interpretujemy.

Milczały przez kilka chwil, starając się oczyścić myśli ze wszelkich wniosków, które płynęły z ucieczki z Rah'ma'dul. Potem Nozomi potrząsnęła głową i zabrała się do roboty. Wprowadziła odpowiedni algorytm, po czym rozpoczęła poszukiwania planety. Channary przyglądała się temu przez chwilę, aż w końcu stwierdziła:

– Dija Udin będzie wiedział, że zmierzamy do planety z tunelem.

– Wiem.

– I nie martwi cię to?

– Bynajmniej.

– To może przypomnę ci, że Diamentowi, którzy zaatakowali Terrę, mieli napęd nadświatłny. Mogą w okamgnieniu nas ująć.

– Nie, jeśli nie wiedzą, gdzie szukać. Kosmos to spore miejsce, Sang.

– Zachowaj takie uwagi dla siebie.

– Poza tym Alhassan jest przekonany, że nie mamy możliwości wykrycia tunelu, ani tym bardziej sterowania nim. Nie stanowimy zagrożenia, a przynajmniej nie w takim stopniu, by nas poszukiwać. Ostatecznie wyślą za nami

pościg, ale jak mieliby nas znaleźć? Nie namierzają nas w przestrzeni kosmicznej.

– Mogą czekać na planetach z tunelami.

– Pewnie – odparła z uśmiechem Nozomi. – Ale zapewniam cię, że wybiorę taką, która oddalona jest od Ziemi co najmniej o kilkaset lat świetlnych. Myślisz, że poczekają na nas tak długo?

Channary otworzyła usta, ale się nie odezwała. Powoli na jej twarzy zaczął pojawiać się uśmiech.

ROZDZIAŁ 3

1

Kennedy wszedł do systemu Epsilon Coronae Borealis, oddalonego o dwieście trzydzieści lat świetlnych od Ziemi. Znajdowało się tutaj kilka gwiazd, z których największa była pomarańczowym olbrzymem o niemal dwukrotnej masie Słońca. Wokół niej orbitowało parę planet o różnej wielkości, znacznie oddalonych od centrum układu. Największa z nich była siedmiokrotnie większa od Jowisza, mniejsze przywodziły na myśl Ziemię lub Wenus.

Systemy pokładowe rozpoczęły procedurę wybudzania załogi z diapauzy – z jednym wyjątkiem. Komora, w której leżał Håkon, nadal pozostawała aktywna. Z dwóch pozostałych po chwili podniosły się Ellyse i Channary.

Obie kaszlnęły kilkakrotnie, patrząc na siebie niepewnie.

– Już? – zapytała Sang.

Nozomi z trudem opuściła kapsułę, po czym zrobiła krok i wsparła się o ścianę. Spojrzała kontrolnie na komorę, w której leżał Håkon. Wszystko było w porządku.

– Najwyraźniej – odparła, po czym obie wzięły pigułki energetyczne i ruszyły do maszynowni.

– Jesteś pewna, że zdołamy wykryć ten korytarz? – zapytała Sang, przeciągając się.

– Nie jestem. Wszystko zależy od tego, jak dawno był aktywowany. Rezydualne ślady mogły zwyczajnie zaniknąć.

Ellyse nie miała pojęcia, jak długo po ostatnim połączeniu z Terminalem będzie w stanie wykryć obecność korytarza. Przypuszczała, że efekt w polu magnetycznym utrzyma się jeszcze trochę, ale tunele istniały od niepamiętnych czasów i możliwości było zbyt wiele.

Przeszły do maszynowni, a potem Nozomi zajęła swoje miejsce. Wszystko wokół sprawiało wrażenie, jakby dopiero wczoraj wyruszyły z Ziemi.

– Sprawdź najpierw, czy nikogo tu nie ma – zaproponowała Sang.

– Właśnie to robię.

Nozomi wyświetliła obraz z kamer na kadłubie i włączyła radary. Nie spodziewała się żadnych nieproszonych gości, bo systemy wczesnego ostrzegania do tej pory byłyby na alarm.

– Jesteśmy tylko my – powiedziała po chwili.

– Obyś miała na myśli tylko najbliższą okolicę.

– Co?

– Nic. Pomyślałam o tym, że możemy być jedynymi ocalałymi z gatunku ludzkiego. I przypuszczam, że taki stan może trwać od niemal trzystu lat.

Ellyse skinęła głową.

– Tylko tyle masz do powiedzenia? – bąknęła Sang.

– A co byś chciała usłyszeć?

– Nie wiem, cokolwiek.

– Może na Terze ktoś przeżył – odparła Nozomi bez przekonania.

– Wątpliwe. Diamentowym wcześniej nie zależało na zniszczeniu tamtego świata, ale gdy tylko Dija Udin przekazał im wieści, zapewne załatwili sprawę od ręki.

– O ile Terra nie stawiała oporu.

– Może i stawiała, ale co z tego?

– Sama chciałaś jakiegoś pocieszenia.

– Nie pocieszenia, tylko wymiany myśli.

– Więc je wymieniliśmy.

Sang usiadła na stanowisku obok i obie zamilkły, zajmując się swoimi sprawami. Ellyse wprowadziła do systemu zmiany, które wcześniej przygotowała. Wszystko, co powiedziała niegdyś Jaccardowi, zdawało się przynosić rezultat – każdy element algorytmu zostawał przyjęty przez system, a sensory stopniowo zmieniały spektrum analiz. W końcu Nozomi skończyła ich modyfikację i wzięła głęboki wdech.

– Dobra – powiedziała. – Wszystko ustawione, czas poszukiwać spolaryzowanych atomów.

– I to zadziała?

– Oby – odparła, aktywując skaner. Na ekranie natychmiast wyświetlił się ciąg znaków, a potem kolejny i jeszcze jeden. Zaczęły napływać tak szybko, że obraz przewijał się już w tempie, za którym ludzkie oko nie było w stanie nadążyć.

– I? – zapytała Sang. – Wynika coś z tego?

– Poczekaj.

Podczas gdy emitory Kennedy'ego bombardowały powierzchnię planety odpowiednimi cząstkami, Ellyse łyknęła pigułkę energetyczną. Najchętniej zwilżyłaby czymś usta, względnie wrzuciła coś do żołądka, ale obie chciały najpierw sprawdzić, czy nie odbyły tej podróży nadaremno.

Szybko okazało się, że nie. Sensory wykryły rezydualne promieniowanie po wiązce elektronów. Nozomi spojrzała z zadowoleniem na Sang i nie musiała dodawać nic więcej.

– Brawo – odparła Channary. – Przybliżyliśmy się o krok do pięknej śmierci. Co teraz?

– Czas odwiedzić naszych towarzyszy.

– Co?

– Tych, którzy lecą z nami, od kiedy trafiliśmy na okręt Ev'radata.

– Masz na myśli te trupy na mostku?

Ciała Diamentowych nie ulegały rozkładowi. Jeszcze na planecie Nozomi upewniła się, że znajdują się w identycznym stanie jak wtedy, gdy doszło do abordażu.

– Tak. Ale nie znajdują się już na mostku.
– Nieważne. Co nam po nich? – zapytała Sang.
– Ta rasa potrafi kontrolować tunele, prawda?
– Niby tak.
– Ev’radat i inni *Yan’ghati* nie mogli poruszać się swobodnie po korytarzach tylko dlatego, że były nieustannie obserwowane.

– Tak, tak, pamiętam.
– Ale techniczną zdolność korzystania z Terminala mieli – kontynuowała Ellyse. – Na Håkona i konchę czekali tylko po to, by przeprowadził ich niezauważenie na odpowiednią planetę.

Nozomi podniosła się i skinęła na towarzyszkę. Ruszyły do hangaru, gdzie niedługo po посадzeniu Kennedy’ego przenieśli z Jaccardem ciała.

– Pytanie, jak zamierzasz ich użyć.
– Jeszcze nie wiem.
– Ale potrafisz jakoś... wejrzeć w nich?
– Tego też nie wiem. Nie miałam czasu, by spróbować.
– Czuję, że nadchodzi fala pesymizmu.
– Chyba u ciebie.
– Żebyś wiedziała, że u mnie. Do tej pory zdawałaś się mieć wszystko pod kontrolą, a teraz dotarliśmy do momentu, gdy zaczynasz improwizować.

– Nie martw się na zapas.
Dotarli do hangaru. Diamentowi leżeli w równych rzędach niczym powalone posągi. Ellyse pochyliła się nad jednym z nich i dotknęła brylantowej osłony. Pod nią znajdowały się bryły, w których załamywało się i niknęło światło z pokładowych lamp.

– Co teraz?
– Rozwalimy jednego.
Channary uniosła brwi.
– Teraz zaczynasz gadać do rzeczy.

Przeniosły pierwszego z Diamentowych do medlabu, a potem zaczęły rozbierać go na części pierwsze z pomocą laserowego skalpela. Posiliły się naprędce awaryjnymi racjami żywnościowymi, jakby czas naglił.

– Teraz mnie naszło – odezwała się Sang. – Sprawdziłaś, co jest na tej planecie?

– Brak jakichkolwiek sygnałów, jeśli o to ci chodzi.

– Miałam na myśli bardziej precyzyjne badanie.

– Będzie na nie czas – odparła Ellyse. – Teraz powinno interesować nas jedynie tyle, że nie ma tutaj nikogo, kto mógłby wykryć naszą obecność.

– No tak – odparła Sang i wróciła do krojenia Diamentowego.

Sekcja trwała przez kilka godzin i nie przyniosła pożądanych efektów. Ciało obcych zdawały się zbudowane w zupełnie nielogiczny sposób. Nie było żadnych łączeń ani spoiw, a jednocześnie bryły przylegały do siebie szczelnie. Musiały ulegać silnemu wzajemnemu przyciąganiu.

Po mozolnej sekcji obie załogantki doszły do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli odpoczną. Czas w istocie przecież nie naglił – cokolwiek wydarzyło się po ich ucieczce z Ziemi, miało miejsce niemal trzysta lat temu.

Z tą świadomością pracowały spokojnie dzień za dniem. Poddawały Diamentowych wszystkim badaniom, jakie mogły wymyślić. Naświetlały ich ciała promieniowaniem, badały skład każdej odkrojonej części ciała, wystawiały je na impulsy elektromagnetyczne i podłączały bezpośrednio do komputera.

Dopiero po tygodniu udało im się osiągnąć przełom. Jeden z Diamentowych po podłączeniu do komputera wygenerował słaby impuls.

– Ożeż kurwa, to żyje – zauważyła Channary, natychmiast odrywając od niego ręce i cofając się.

– Nie sądzę.

– To spójrz na monitor!

– Spokojnie – odparła Nozomi. – To tylko coś w rodzaju powidoku. Jego umysł działa podobnie do ludzkiego. Ich odpowiednik dendrytów przyjmuje impulsy od pozostałych neuronów i przekazuje je do jądra komórki, a potem...

– Okej, okej – przerwała jej Sang. – Wierzę ci na słowo, że to nie żyje... o ile jesteś pewna.

– Jestem.

Channary zbliżyła się do zwłok.

– Coś nam to daje?

– Bardzo wiele – odparła Nozomi. – Najwyraźniej można pobudzić umysł tego Diamentowego, by zachowywał się tak, jakby żył.

– Nie brzmi to najlepiej.

– Ale może pomóc w otworzeniu tunelu.

– Jak?

Ellyse wzruszyła ramionami.

– Naprawdę? – zapytała z powątpiewaniem Channary. – To jest twoja odpowiedź?

– Nie mam lepszej. Liczę na to, że gdy umieścimy jednego z nich przy wejściu do korytarza i aktywujemy mechaniczne procesy w ośrodkowym układzie nerwowym, zaskoczy jakaś procedura awaryjna z Terminala.

– I sam się włączy.

– Taką mam nadzieję.

– Jest alternatywa?

– Obawiam się, że nie – odparła Nozomi, patrząc na odczyty na monitorze. – Ale to zaawansowana rasa i jeszcze bardziej zaawansowana technologia. Wydaje mi się prawdopodobne, że zadbali o jakąś procedurę awaryjną.

– Albo o wysłanie SOS do pozostałych.

– Taka możliwość też istnieje – przyznała Ellyse.

Niczego nie mogła być pewna, ale nie było innej metody.

Channary Sang przygotowała łązik, a Nozomi zajęła się ładunkiem. Ułożyła na nim Diamentowego oraz cały

przenośny sprzęt, który będzie potrzebny do stymulowania jego mózgu. Potem przyniosła pojemnik z konchą.

Gdy wszystko było gotowe, pozostało posadzić Kennedy'ego na planecie, a potem modlić się o to, by metoda prób i błędów przyniosła jakiś rezultat.

Ellyse na powrót zasiadła za sterami, po czym uznała, że ostatni raz upewni się, czy nie napotkają na powierzchni żadnej niespodzianki. Wprawdzie kilkakrotnie przeprowadzała skanowanie, ale potrafiło ono wychwycić jedynie technologię – nie ludzi. Jeśli na planecie istniała jakaś nierozwinięta cywilizacja, Nozomi by jej nie wykryła.

– Zróbmy jeszcze przelot wokół równika, zanim go posadzimy – zaproponowała.

– Wyłapałaś coś?

– Nie, ale chcę być pewna.

– W porządku – odparła Sang, spoglądając na wyświetlacz. – Gdzie jest tunel?

Ellyse zaznaczyła na mapie właściwe miejsce. Znajdowało się na jednym z trzech dużych kontynentów, nieco na północ od równika. Teren był górzysty i przywodził na myśl Alpy lub Pireneje. Szczyty i zbocza były pokryte śniegiem, a temperatura wynosiła trzydzieści pięć stopni Celsjusza na minusie. Nie był to przyjazny teren.

– Możesz ustalić dokładną lokalizację? – zapytała Sang, zbliżając obraz z kamery.

– O tyle, o ile.

– Hm?

– Błąd wynosi plus minus pięć kilometrów, więc...

– Pięć kilometrów? – ofuknęła ją Channary. – W tym terenie nie przejdziemy nawet pięciuset metrów! Widzisz te zawieje?

– Widzę.

– I zamierzasz coś z tym zrobić?

– Tak.

– Więc może mnie oświecisz?

– Jak tylko dasz mi dojść do słowa.

Spojrzała na nią znacząco, a Sang odebrała niezwerbalizowaną sugestię, by ostudzić nieco swój temperament. Skinęła głową do Nozomi.

– Posadźmy Kennedy’ego w tej dolinie – powiedziała Ellyse, wskazując miejsce pomiędzy trzema wysokimi szczytami. – Potem udamy się wahadłowcem w rejon, gdzie powinien być tunel.

– I?

– Będziemy oceniać wizualnie, gdzie konkretnie może się znajdować.

– Słucham? – zapytała nerwowo Sang. – Liczysz na to, że będzie tu jakiś terminal, jak na Rah’ma’dul?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc?

– Po prostu odpowiadam głupio na głupie pytanie.

Channary spiorunowała ją wzrokiem, ale zaraz potem lekko się uśmiechnęła i wróciła do analizowania obrazu z kamery. Kennedy przelatywał nad cieplejszą, równinną strefą. Powierzchnia porośnięta była tutaj żółtą roślinnością, spod której trudno było cokolwiek wyłowić. Jeśli istniały tu jakieś rozwinięte formy życia, nie opuszczały gęstych lasów.

Sprawdziwszy pas równikowy, Ellyse posadziła okręt we wcześniej ustalonym miejscu. Potem załogantki skierowały się do promu i gdy zajęły swoje miejsca, spojrzały na siebie badawczo.

– Jesteś pewna? – zapytała Sang.

– Bynajmniej.

– Więc ruszajmy raczej szybciej niż później.

– Pełna zgoda – odparła Nozomi, włączając silniki.

Szybko przekonali się, że zawierucha śnieżna skutecznie uniemożliwiała dostrzeżenie czegokolwiek. Ellyse z trudem obniżała pułap, mocując się z wolantem. Warunki nie były tak tragiczne jak nad Tristan da Cunha, ale daleko było im do idealnych.

– Nie rozlecimy się? – spytała Sang.

– Raczej nie.

– Nie żeby miało to wielkie znaczenie. I tak niczego nie znajdziemy.

Ślad po spolaryzowanych atomach był dość słaby i Ellyse trudno było ustalić, skąd rozchodziła się fala, którą w wyższych warstwach atmosfery mogła wychwycić bez trudu. Im niżej, tym bardziej zagięta się stawała, więc nie sposób było wskazać jej źródła.

– Nie możesz zwiększyć natężenia pola elektrycznego?

– Magnetycznego.

– No, przecież mówię.

– Nie mogę – odparła machinalnie Nozomi, ale naraz ją olśniło. – Chyba że...

– Chyba że co?

Zamilkła, oddając stery Sang.

– Hej! – krzyknęła Channary. – Jakies uprzedzenie by się przydało!

– Poczekaj – odparła Ellyse, wywołując odpowiedni ekran na wyświetlaczu i wprowadzając szereg zmian. Gdyby emitory cząstek na promie zdołały odchylić promień światła choćby o dwa procent w odległości pięciu kilometrów, udałoby się zawęzić obszar poszukiwań. Ślad po pierwotnym promieniowaniu mógłby nawet wskazać konkretne miejsce.

Nozomi szybko przekonała się, że komputer pokładowy przyjmuje nowy algorytm, i klasnęła głośno, dekoncentrując Sang. Ta na moment poluzowała chwyt wolantu, a wahadłowcem szarpnęło w bok.

– Udało się?

– Zobacz sama – odparła Ellyse, wskazując na punkty świetlne widoczne na wyświetlaczu. Prowadziły wprost do niewielkiej buli pod jednym ze szczytów. Było tam zimniej, niż Nozomi się spodziewała – temperatura wynosiła czterdzieści stopni poniżej zera.

– Chłodno – skwitowała.

Channary posłała jej pełne niedowierzania spojrzenie.

– Pierdolony mróz – odparła. – Ot co.

Sang posadziła prom we wskazanym miejscu, a potem obie włożyły grube kombinezony. Wyciągnąwszy Diamentowego z luku, ruszyły na zewnątrz. Gdy tylko wąż się otworzył, Ellyse miała wrażenie, jakby wiatr miał zerwać jej konchę z paska. Natychmiast chwyciła za *la'derach* i przekonała się, że nadal tam jest – bezpieczna w niewielkim pojemniku. Ruszyły na zewnątrz, zabierając ze sobą niewielki wózek, na którym ułożyły ciało.

Przez chwilę przebijały się przez ścianę śniegu, ostatecznie dotarły jednak do miejsca, gdzie musiał znajdować się tunel. Spojrzały na siebie, machinalnie osłaniając się rękoma od zawiei.

– Co teraz? – zapytała Sang.

– Rozstaw wiatrochron.

Channary skinęła głową, zrzuciła plecak przez ramię i ustawiła kilka emitorów wokół skrawka terenu, gdzie zatrzymała się Ellyse. Chwilę później generatory podniosły niezauważalną kurtynę cząsteczek.

Nozomi przetarła szybkę kasku i rozłożyła sprzęt, a potem podpięła go do obcego.

– Włączam impuls – powiedziała.

– W porządku. Mam się przygotować na coś konkretnego?

– Tak.

– Na co?

– Na niespodziewane.

Jeśli procedura awaryjna zadziała, tunel może się otworzyć, a potem wciągnąć je do środka i natychmiast się zamknąć. Może też wykryć, że niepowołane osoby zamierzają przejść na Rah'ma'dul. Prastarzy dbali o środki bezpieczeństwa – z pewnością można było się po nich spodziewać tego, że przewidzieli taką ewentualność.

Ellyse nabrała głęboko tchu, a potem posłała impuls do ciała Diamentowego. Efekt był natychmiastowy.

Podniosła oczy i zobaczyła, jak przestrzeń przed nią zafalowała.

– Udało się? – zapytała Channary.

Nozomi podniosła się niepewnie, patrząc na zniekształcony obraz.

– Najwyraźniej.

– Więc wchodzimy?

– Po to przyszliśmy, prawda?

Sang skinęła głową bez przekonania.

– Ale... – zaczęła. – Co potem?

– Będziemy się tym przejmować na Rah'ma'dul.

– Ten plan jakoś podoba mi się coraz mniej.

Ellyse też się nie podobał, ale nie miało to żadnego znaczenia. Fakt, że udało im się otworzyć tunel z tej strony, był ogromnym osiągnięciem – o sterowaniu nim nie mogło być mowy. Nozomi upewniła się po raz kolejny, że maskę ma przytroczoną do pasa.

– Idziemy – powiedziała.

– A Håkon?

Obejrzała się przez ramię.

– Wrócimy tutaj z naprawioną konchą, jeśli będzie... jeśli będzie do czego wracać.

Bardziej prawdopodobne wydawało jej się, że nie będzie. Jeżeli uda im się dokonać zmian w linii czasu, wszyscy na Accipiterze i Kennedym zginą podczas *proelium* i żadne z nich nie dotrze na Ziemię.

– Nie mamy innego wyjścia, Sang – dodała Ellyse, a potem zrobiła krok w kierunku korytarza.

3

Przeszła na drugą stronę i poczuła, jak oplata ją ciemność. Choć oko wykol, nie mogła niczego dostrzec.

– Sang? – zapytała.

– Jestem za tobą.

– Dlaczego nie aktywowały się diody?

– Nie wiem. Tunel musiał zakłócić sensory.

Channary włączyła oświetlenie na kasku i rękawicach. Ellyse szybko zrobiła to samo. Mrok natychmiast ustąpił zimnemu światłu, a oczom kobiet ukazały się diamentowe bryły w Terminalu.

– Jesteśmy na Rah'ma'dul – powiedziała z niedowierzaniem Sang.

– Najwyraźniej.

– Masz pojęcie kiedy?

– Najmniejszego. Wydaje mi się, że przez większość czasu ten budynek był pogrążony w ciemności.

– Nie ma łązika – zauważyła Sang, omiatając wnętrze snopem światła.

Ellyse z trudem przełknęła ślinę. Zasadniczo mogły trafić w jakikolwiek moment w historii tej planety. Kennedy i Accipiter mogły znajdować się na orbicie, ale równie dobrze mogły dotrzeć tutaj dopiero za pół wieku albo więcej. Z drugiej strony *proelium* dawno mogło się zakończyć, co ostatecznie przekreśliłoby jakiejkolwiek szanse na ratunek.

– Chodźmy – powiedziała Nozomi, kierując się na zewnątrz.

– Poczekaj – zaoponowała Channary. – Rozejrzyjmy się.

– Nie ma po czym.

Dla Ellyse było to zupełnie oczywiste, ale Sang nadal nie ruszyła się o krok.

– Co jest? – spytała Nozomi.

– Nie wiemy, co czeka na zewnątrz. Możemy wyjść prosto na oddział Diamentowych.

– Albo zobaczyć przeszłość tego świata, gdy nie był jeszcze przysypany ziemią – odparowała Ellyse, po czym skinęła na swoją towarzyszkę. Nie było sensu ani gdybać, ani przesadnie się ubezpieczać. Teraz, gdy już tutaj były, stawiały wszystko na jedną kartę. – Nie ma alternatywy, Sang – dodała, a potem ruszyła na zewnątrz.

Trójkątne odrzwia otworzyły się błyskawicznie, a Nozomi musiała osłonić się przed mocnym słońcem. Dostrzegła wokół jedynie piaszczyste podłoże i kurz w powietrzu, niesiony mocnymi podmuchami wiatru.

– Jak dobrze tu wrócić – burknęła Channary.

– O tak, spełniło się moje najskrytsze marzenie.

– Chyba tu zostanę – perorowała dalej Sang. – Postawię dom, użyję trochę ziemię, zrobię ogródek. Będę tu szczęśliwa, nawet żyjąc w samotności.

– Czytasz mi w myślach.

– Nie ma mowy o żadnej misji. Znalazłam raj.

Przeszły kawałek w milczeniu, patrząc w niebo.

– Masz jakieś odczyty z sensorów? – spytała Channary. – Możemy ściągać kaski?

– Nie wiem. Poczekaj chwilę, wszystko oszalało od przejścia przez tunel.

Wprawdzie wcześniej na Rah'ma'dul było czym oddychać, ale Ellyse doskonale pamiętała niejednoznaczne odczyty, które Håkon zebrał tuż po wylądowaniu na powierzchni planety. Zresztą w zależności od tego, w którym okresie się znalazły, skład atmosfery mógł ulec zmianie.

Spojrzała na wyświetlacz w kasku, ale ten nadal analizował dane.

- Naszła mnie pewna myśl – odezwała się Sang.
- Tak? – spytała od niechcienia Nozomi.
- Co się stanie, jeśli zapobiegniemy fortelowi Lindberga podczas *proelium*?
- Wiesz co.
- Nie, nie. Mam na myśli to, co stanie się z nami.
- Jak to?
- Zmienimy linię czasu, o ile to możliwe... wszyscy zginą w tej rozgrywce, ale my nadal będziemy tutaj. My z przyszłości. My... z teraz. Ja i ty.

W natłoku tego wszystkiego Nozomi nie miała czasu pomyśleć o tej ewentualności – ale towarzyszka miała rację. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, obie zostaną na Rah'ma'dul, całe i zdrowe. Będą stanowić nadprogramowe jednostki, o których istnieniu Diamentowi nie będą mieli pojęcia.

Nagle Ellyse uświadomiła sobie, że gdyby zabrały tu ciało Håkona, mógłby przeżyć. Zatrzymała się jak rażona piorunem, mając ochotę wyciągnąć berettę i przystawić sobie do skroni.

- Co jest? – zapytała Channary.
- Dopiero na dobre sobie uświadomiłam, że masz rację.
- Rozumiem. Czasem też tak reaguję – odparła Sang, wzruszając ramionami.

Ellyse spojrzała na nią beznamiętnie.

- Chodzi mi o Håkona... mogłybyśmy go uratować. Gdybyśmy tylko go tutaj zabrały, byłby w tej samej sytuacji i...
- Bzdura – ucięła Channary. – Chyba ostatnimi czasy cierpisz na osłabienie umysłowe.

Nozomi ścięgnęła brwi, marszcząc czoło.

- Gdybyśmy tu go przywlekły, cała ta zabawa w zamrażanie nie miałaby sensu. Komora nie ma swojego zasilania, prawda?

Ellyse pokiwała głową, stwierdzając, że może rzeczywiście coś było nie tak z jej głową. Od długiego czasu nie przespała

całej nocy, a traumatycznych przeżyć miała pod dostatkiem. Była zmęczona.

Stały kilkaset metrów od Terminala, rozglądając się wokół. Nigdzie nie dostrzegły żadnych śladów, co nie było niczym dziwnym, biorąc pod uwagę nieustanne wichury planetarne.

– Mam odczyty – powiedziała po chwili Ellyse. – Możemy ściągać kaski, skład jest taki sam jak poprzednio.

– I co to oznacza? – odparła Sang.

– Nic.

– Nie możesz na tej podstawie czegoś ustalić?

– Tylko szacunkowy czas naszego przybycia.

– Więc? Jaki to szacunek?

– Znalazłyśmy się tutaj mniej więcej w tym samym czasie co poprzednio. Plus minus od pięciu do siedmiu miliardów lat.

Channary spojrzała na nią spode łba, a potem pokręciła głową.

– Dałabyś sobie spokój z żartami. Nie mam nastroju – powiedziała, tocząc wzrokiem aż po horyzont. – Co dalej?

– Nie wiem.

Sang jeszcze przez chwilę się rozglądała, po czym zrezygnowana usiadła na piachu. Nozomi zajęła miejsce obok niej, nie wiedząc, co powiedzieć ani co zaproponować.

– Najwyraźniej wyczerpałyśmy limit szczęścia – odezwała się Channary.

– Kiedy? Z tego, co pamiętam, w ogóle nam go brakowało.

– To prawda.

Zamilkły na kilka chwil. Obie zdawały sobie sprawę, że pozostało im tylko jedno wyjście – czekać. Nie potrafiły sterować Terminalem, nie miały szans na wydostanie się z planety, więc mogły jedynie uczynić z niej swój nowy dom.

– Beznadziejna sprawa, Ellyse.

– Wiem.

Niełatwo było uczynić z Terminala dom. Specjalnie wielkiego wyboru jednak nie miały, bo był to jedyny budynek, którego nie przykrywała ziemia. Nozomi nieustannie zastanawiała się nad tym, czy trafiły do przeszłości, czy przyszłości – za teraźniejszość uznała czas, w którym Accipiter i Kennedy trafiły na orbitę.

Dni upływały im początkowo na rozmowach i przystosowywaniu budynku do ich potrzeb – potem już wyłącznie na milczeniu. Sytuację pogarszał fakt, że nie miały jak dbać o higienę, a przestrzeni nie było wiele. Menu składało się z samej papki witaminowej, płynów zaś zaczynało im brakować. Wiedziały, że nie mają wiele czasu – miesiąc, może dwa, zanim skończą się racje żywnościowe. Substancje w kombinezonach potrafiły nawadniać organizm lepiej niż cokolwiek innego, ale nie wystarczyłoby ich na zawsze.

Kilkakrotnie poruszały ten temat, a Sang uparcie twierdziła, że powinny spróbować uzyskać kontrolę nad Terminalem – innymi słowy, że Nozomi powinna postarać się namieszać w posągu, którego Gideon użył niegdyś do sterowania tunelami.

I byłby to może nie najgorszy pomysł, gdyby nie to, że po prostu nie mogły dobrać się do tego systemu. Hallford miał wówczas konchę – a gdy ją ściągał, wciąż dysponował wiedzą, jaką w niego tłoczyła. Nozomi nie potrafiła się domyślić, jak aktywować system.

Mimo to po dwóch tygodniach podjęła pierwszą próbę. Podczas gdy Channary przeczesywała okolicę w poszukiwaniu głębinowego źródła wody, ona starała się uzyskać dostęp do Terminala. Posągi zdawały się jednak w dotyku zupełnie jednolite – mimo że wizualnie sprawiały wrażenie, jakby były wykonane z brył. Nozomi nie znalazła żadnego miejsca, gdzie mogłaby wetknąć choćby szpilkę.

Ostatecznie zrezygnowana usiadła pod posągiem i czekała na powrót Sang.

Wiedziała, że to, co zrobiły, było wielkim ryzykiem. Miała jednak nadzieję, że gdy system wykryje martwego Diamentowego, uruchomi się procedura awaryjna. I Terminal skieruje je do czasu, w którym mogłyby odnaleźć pomoc.

Najwyraźniej jednak Prastarzy nie przewidzieli takiej sytuacji.

Channary wróciła po kilku godzinach ze zwieszoną głową.

– Nadal to samo – powiedziała. – Pomrzemy tutaj z odwodnienia.

Trudno było się z tym nie zgodzić.

– Słyszysz?

– Słyszę – odparła cicho Ellyse.

– Próbowowałaś coś wskórać?

Skinęła głową, uznając, że nie musi mówić nic więcej.

– Postaraj się bardziej.

– Jak?

– Nie wiem – syknęła Channary, wskazując nerwowo posąg.

– Naświetl to czymś, podłącz do kombinezonu, rozwal albo...

– Próbowaliśmy wszystkiego i dobrze o tym wiesz.

– Na pewno nie wszystkiego – zaproponowała Sang, kręcąc głową. – Nie godzę się na to, żeby ot tak zrezygnować.

– Nie ot tak...

– I nie godzę się, że jedynym wyjściem jest śmierć.

Ellyse zaś zaczynała oswajać się z tą świadomością. Nie przychodziło jej to łatwo, ale ostatecznie trudno było się łudzić, że będzie inaczej. Zaczęła nawet podejrzewać, że pomyliła się w najbardziej podstawowych założeniach swojego planu.

Wszystko już się wydarzyło – i wydarzy się ponownie – więc jeśli podczas pierwszej wizyty na Rah'ma'dul żadne z załogantów nie spotkało Ellyse i Sang z przyszłości, oznaczało to, że nie dojdzie do tego także teraz.

- Słyszysz? – zabiegała o jej uwagę Channary.
- Słyszę, ale co mam ci odpowiedzieć?
- Daj mi, kurwa, cokolwiek. Choćby ogryzek nadziei.

Nozomi uśmiechnęła się blado, doceniając to, że Sang siliła się jeszcze na takie sformułowania. Potem usiadły pod jedną ze ścian, która w połączeniu z podłogą służyła im za kanapę, i odchyliły głowy.

Od jakiegoś czasu ich ulubionym zajęciem był sen. Nie przychodził łatwo, gdy było się wygłodniałym, ale przynosił cudowne ukojenie. Problemy zaczynały się, gdy ponownie otwierało się oczy – suchość w ustach i pustka w żołądku dawały o sobie znać ze zdwojoną mocą.

Pewnego dnia – Nozomi nie wiedziała, którego od przybycia – Channary obudziła się z suchym kaszlem. Z trudem przełknęła ślinę, a potem spojrzała na towarzyszkę. Ellyse dostrzegła, że Sang ma coraz wyraźniejsze cienie pod oczyma.

- Jak... jak to będzie? – zapytała.
 - Co?
 - Jak umrzemy, Ellyse?
 - W spokoju.
 - Nigdy nie słyszałam o nikim, kto umierał z odwodnienia. Nie wiem, jak to wygląda.
 - To jeden z najspokojniejszych sposobów, w jaki można odejść.
 - Łżesz?
 - Nie. Czytałam o tym kiedyś.
 - Gdzie?
 - Nie pamiętam, w jakimś periodyku.
- Channary przewróciła się na bok i spojrzała na nią mętным wzrokiem. Nozomi widziała, że chciała jej uwierzyć.
- Jakieś czasopismo naukowe? – zapytała Sang. – Można temu... wierzyć?
 - Nie pamiętam.

– Ale to na pewno rzetelne źródło... podejrzewam, że innych nie czytywałaś, prawda?

– Prawda – odparła, zmuszając się do uśmiechu.

Wiedziała dokładnie, co będzie się z nimi działo. Najpierw przestaną oddawać mocz – choć już teraz ledwo zwilżały piasek za Terminalem. Potem nerki po prostu przestaną działać i będzie to wyrok śmierci. Śmierci odroczonej już tylko o kilka dni. Wszystkie toksyny w ich organizmach będą piętrzyć się i psuć każdy organ. Bez ujścia zeżrą je od środka.

Gdy ten proces się rozpocznie, nie będą już świadome postępujących zmian. Zewnętrzny świat będzie dla nich zupełnie abstrakcyjny, popadną w katatonię. Poziom elektrolitów odchyli się od normy jak wskazówka prędkościomierza, przez co nastąpi nieregularna akcja serca. Jego uderzenia będą tak chaotyczne, że organy przestaną odgrywać swoją rolę. W końcu wysiądą – i wówczas nadejdzie śmierć.

Naprawdę będzie spokojna. W tamtym momencie żadna z nich nie będzie już miała pojęcia, co się dzieje.

– Warto było... spróbować, prawda?

– Prawda, Sang – odparła Nozomi, a potem ułożyła się wygodnie i spróbowała na powrót zanurzyć się we śnie.

Channary była świadoma jeszcze przez kilkadziesiąt godzin.

Potem zaczęła bełkotać coś pod nosem i wodzić nieprzytomnym wzrokiem po Terminalu. Przewracała się z jednego boku na drugi, a ręce bezwiednie podążały za ciałem. Ellyse próbowała do niej przemówić, ale nie była w stanie nawet przytrzymać jej głowy w miejscu.

Channary Sang zmarła kilka dni później, utylłana wszystkim, co drzemało jeszcze w jej ciele.

Nozomi czuła, że traci władzę nad umysłem. Zachowała na tyle świadomości, by wiedzieć, że nastąpi to niebawem. Wyczołgała się z Terminala i ruszyła przed siebie, chcąc

oddalić się od miejsca, gdzie ostatnie tchnienie wydała jej towarzyszka. Nie wiedziała, jaki ma w tym cel.

Ostatnia nadzieja ludzkości.

Wszystko przepadło.

Ciągnęła za sobą bezwładne nogi, zostawiając ślady na piasku. Gdy przeszło jej przez myśl, że gdzieś tutaj może cudownie trafić na wodę, poczuła mocny ścisk w brzuchu, jakby ktoś rozpruł jej trzewia, a potem wsadził do środka kleszcze i mocno zacisnął.

Udało jej się przeczołgać jeszcze kawałek, nim zaczęła odpływać.

Ostatnią jej myślą było to, że ma arytmieję.

Potem odpłynęła w błogość ze świadomością, że już nie wróci.

5

– Co to, kurwa, ma być? – zapytał Dija Udin.

Håkon wyszedł z tunelu tuż obok niego i był nie mniej zdziwiony. Pośrodku Terminala leżały kości.

– Szkielet.

– Widzę, że szkielet, sukinsynu. Ale skąd?

– Pytaj mnie, a ja ciebie.

– Nie podoba mi się to – oświadczył Alhassan. – Nie nastraja mnie dobrze.

– Myślałem, że lubisz trupy.

– Lubię – przyznał Dija Udin. – Ale świeże. Ten tylko napawa mnie niepokojem.

Håkon uśmiechnął się pod nosem, a potem przyklęknął przy szczątkach. Delikatne światło wpadało do budynku przez główne wejście, więc przypuszczał, że trafili do przeszłości Rah'ma'dul. W przyszłości trójkątnie drzwi zawsze były zamknięte.

– Wygląda, jakby tego biedaka zabiła jakaś bestia – zauważył Dija Udin.

– Skąd taki wniosek?

– Intuicja tak mi podpowiada.

– Nie ma żadnych śladów walki, Alhassan.

Dija Udin prychnął cicho.

– Ja tam swoje wiem – dodał.

Håkon przyjrzał się kościom i bez trudu dostrzegł postępujący stopień rozkładu – musiały leżeć tutaj dość długo, bo wystarczyło ich dotknąć, a się rozpadały. Podczas gdy Skandynaw zajmował się znaleziskiem, Dija Udin wyszedł na zewnątrz. Wrócił po kilku chwilach ze zwieszoną głową.

– Nic tu po nas – powiedział.

Lindberg się podniósł.

– Ciebie i tak tu nie ma.

– Ano nie – przyznał Dija Udin.

Håkon potrząsnął głową.

Nie wiedział, od ilu lat błąka się po tunelach. Umysł już jakiś czas temu zaczął płatać mu figle – by nie powiedzieć, że zupełnie zwariował. Gorączkowo poszukiwał członków *Yan'ghati*, tak jak polecił mu to zrobić Gideon. Nigdzie jednak nie udało mu się trafić na ich ślad i powoli zaczynał przypuszczać, że ta grupa zaszyła się zbyt głęboko, by mógł ją odnaleźć.

Spojrzał w miejsce, gdzie przed momentem widział Alhassana. Teraz był tam tylko jeden z brylantowych posągów, sprawiających posępne wrażenie. Håkon westchnął, dochodząc po raz kolejny do wniosku, że powinien ograniczyć używanie konchy. Miała przemożny wpływ na jego psychikę – i najwyraźniej nie zawsze był to wpływ korzystny.

Spuścił wzrok i pomyślał, że pod stopami może mieć własne prochy.

Być może przeszedł przez ten sam korytarz w przeszłości, a potem wyzionął tutaj ducha. Trudno było stwierdzić, czy

szkielet był ludzki – stopień rozkładu skutecznie to uniemożliwiało, a na Rah'ma'dul zjawiało się tyle ras podczas wszystkich odsłon *proelium*, że możliwości były nieograniczone. Skandynaw wiedział, że bez odpowiedniej aparatury nic ponad to nie uda mu się ustalić.

Westchnął, ruszając na zewnątrz. Wprawdzie nie było możliwości, by znalazł *Yan'ghati* na Rah'ma'dul, ale chciał zobaczyć, jak wygląda planeta, która stała się cmentarzyskiem ludzkości i wielu innych ras.

Przekroczywszy próg, zdał sobie sprawę, że powoli zaczyna tracić nadzieję. Jeśli w najbliższym czasie nie trafi na jakiś trop, wyimaginowany Alhassan będzie jego najmniejszym problemem.

Lindberg rozejrzał się po okolicy, nie dostrzegając niczego ponad normę. Westchnął, po czym wrócił do Terminala. Aktywował konchę i wybrał tunel na *Quae'hes*, bez większej nadziei. Potem znikł.

6

Ellyse z trudem złapała oddech.

Miała wrażenie, jakby jej płuca rozrywał palący ogień. Chciała krzyknąć, ale głos ugrzązł jej w gardle. Pierwszą myślą nie było to, że nadal żyje, ale to, że czuje wilgoć w ustach. Nie była już odwodniona.

Nie potrafiła jednak nic zobaczyć.

Jej oczy zalewała przeraźliwa jasność, która zdawała się wnikać przez nerwy prosto do mózgu. Była jak całe miriady ostrych szpikulców, przebijających głowę na wylot. Nozomi próbowała zamknąć powieki, ale nie potrafiła. Chciała potrząsnąć głową, ale uświadomiła sobie, że jest unieruchomiona.

Potem zdała sobie sprawę, że leży zanurzona w jakiejś cieczy – stąd wilgoć w ustach.

Zacząła panikować, ale wszystko nadal odbywało się jedynie w jej umyśle – ciało nie poruszyło się choćby o milimetr. Po kilku chwilach zaczęła powtarzać sobie, że żyje i wszystko jest w porządku. Stopniowo się uspokajała – przynajmniej do momentu, gdy stwierdziła, że pierwotne założenie mogło być błędne.

Mogła nie żyć.

To, czego doświadczała, mogło być życiem pozagrobowym.

Gdy tylko ta myśl nadeszła, Nozomi znów zaczęła rzucać się na boki i krzyczeć – i nadal wszystko odbywało się wyłącznie w jej głowie.

Dopiero po jakimś czasie emocje znów opadły. Ellyse brała głębokie, lepkie wdechy, czekając.

W końcu wyciszyła się i zapadła w błogi sen, a gdy się obudziła, nie znajdowała się już w tym samym miejscu. Ponownie miała kontrolę nad własnym ciałem. Mogła się podnieść i dostrzec, gdzie jest.

Pomieszczenie było ascetyczne, miało kilka łóżek i masę aparatury podwieszanej u sufitu. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby było pozbawione kątów prostych. Kształt tego miejsca przywodził na myśl kilka zlepionych ostrych brył. Stożki i inne elementy wystawały ze ścian, jakby celowały w Ellyse.

– Gdzie ja jestem? – zapytała, rozglądając się.

Jak na komendę kilka ostrych kształtów skierowało czubki w jedno miejsce, a potem rozsunęło się. We wnęce, która się ukazała, pojawiła się postać doskonale znana Nozomi.

Wbiła wzrok w Dija Udina... Imada Rehmaniego czy inną kopię tej samej osoby. O ile w ogóle osobą można było to nazywać.

Obcy patrzył na nią z zaciekawieniem, jakby dziwił się, że nie zareagowała na jego widok nerwowo. Dał krok w przód,

a stożki za nim natychmiast się rozsunęły i wnęka znikła.

– Nozomi Ellyse? – zapytał głosem Dija Udina.

– Jak widać – odparła, siadając na łóżku.

Czuła się nadzwyczaj dobrze. Prawdę mówiąc, lepiej niż kiedykolwiek.

– Özgür Kolay – przedstawił się klon.

– Nie sądzę.

– Słucham?

– Nie sądzę, byście mogli rościć sobie prawo do imion i nazwisk.

Özgür przechylił głowę na bok i przyjrzał się jej, jakby była jakimś egzotycznym okazem.

– Wiesz, gdzie jesteś?

– Mogę się tylko domyślać – odparła, rozglądając się. – To statek Pradawnych... a przynajmniej jednej z dwóch ras, które tak określamy.

Kolay cofnął się. Poza cechami fizycznymi w niczym nie przypominał Dija Udina, którego znała.

– Skąd to wiesz?

– Zdążyłam nauczyć się tego i owego.

A raczej zrobił to Håkon, a potem mnie przekazał informacje, dodała w duchu. Obcy nie musiał tego jednak wiedzieć. Nozomi patrzyła na niego, czekając, aż się odezwie. Ten zaś zdawał się dogłębnie namyślać. Dopiero po kilku chwilach nerwowego wyczekiwania powiedział:

– Jeden z naszych zwiadów odnalazł cię na Rah'ma'dul. Balansowałaś na granicy śmierci.

– Niestety tak się dzieje, kiedy zabraknie wody.

– Nie był to twój czas.

– Z pewnością nie.

– Nie pochodziłaś z tamtego okresu – doprecyzował Özgür.

– Całkiem możliwe, że nie.

Zbliżył się o krok, a potem spojrział na nią z góry.

– Najlepiej będzie, jeśli wszystko mi powiesz. Po dobroci.

Przypuszczała, że to nie czcze groźby. Jeśli ta rasa potrafiła doprowadzić ją do stanu używalności po tak bliskim spotkaniu ze śmiercią, z pewnością była także władna wymusić jej współpracę.

– Nie mam zamiaru się stawiać – zapewniła go. – Pytaj, a wszystko wam powiem.

– Z jakiego czasu pochodzisz?

Mimo właśnie złożonej deklaracji zamilkła. Uświadamiała sobie możliwe implikacje odpowiedzi – jeśli oznajmi Prastarym, że zbiegli z *proelium*, ci z pewnością podejmą kroki, by do tego nie dopuścić.

Zasadniczo była to niepokojąca konkluzja.

Zaraz potem Ellyse zdała sobie jednak sprawę z tego, że jest wręcz przeciwnie. Jeśli tak się stanie, ona osiągnie swój cel. Kennedy nigdy nie opuści orbity Rah'ma'dul i nigdy nie wróci na Ziemię. Meaza Endale i jej wątpliwe moralnie społeczeństwo przetrwają.

Mogła zrobić to, co zamierzała. Zabić ich wszystkich i tym samym ocalić resztę.

– Z jakiego czasu pochodzisz? – zapytał jeszcze raz Kolay.

– Z twojej przyszłości.

– Jakim sposobem podróżujesz tunelami?

– Słucham?

– Nie posiadasz *la'derach*, nie nosisz też śladów jej użytkowania.

Ellyse słuchała go tylko pobieżnie. Wiedziała, co musi zrobić, ale była świadoma także tego, że wyda wyrok na wszystkich bliskich jej ludzi. Z drugiej strony, i tak czekała ich śmierć.

Nabrała tchu, a potem wbiła wzrok w oczy Özgüra.

– Do otwarcia korytarza użyłam ciała jednego z Diamentowych – powiedziała.

Patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem, a ona dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, że jej obecność na Rah'ma'dul musiała stanowić nie lada enigmę dla Prastarych. Dotychczas

byli zapewne przekonani, że kontrolują każdy aspekt *proelium*, że przewidzieli każdą możliwość.

– Żebyś to zrozumiał, muszę zacząć od początku – powiedziała.

Kopia Dija Udina skinęła głową.

– Ale nie będę się powtarzać, więc zaprowadź mnie do kogoś, kto zrobi z mojej wiedzy użytek – dodała, wstając z łóżka. Sądziła, że zachwieje się na nogach, ale szybko przekonała się, że nic takiego się nie stanie. Ruszyła w kierunku Kolaya, a ten machinalnie cofnął się o krok.

– Boisz się mnie? – zapytała rozbawiona.

– Nie możesz opuścić tego miejsca – odparł spokojnie Özgür.
– I nie wolno ci rozmawiać z nikim prócz mnie. Możesz być jednak pewna, że przekażę wszystko pozostałym.

– Czyli komu?

Nie odpowiedział, wlepiając w nią obojętny wzrok.

– Przykro mi – dodała. – Ale nie idę na taki układ.

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. Wyciągniemy z ciebie tę wiedzę inaczej.

Obrócił się, a stożki natychmiast przesunęły się w jego kierunku i aktywowały wyjście. Ellyse zakłęła w duchu, uznając, że przegrała tę niewielką próbę sił. Ledwo przekroczył próg, a go zatrzymała.

Potem przysiadła na skraju łóżka, zastanowiła się i zaczęła mówić. Zaczęła od samego początku, gdy Kennedy odebrał sygnał z Accipitera – i ze zdziwieniem przekonała się, że Kolay wie, o czym mówi.

Nie znajdowała się więc w przeszłości względem tego momentu. Może trafiła do niej na Rah'ma'dul, ale po opuszczeniu tej planety Terminalem możliwości były przecież nieograniczone.

Postanowiła mówić dalej i dzięki temu spróbować coś ustalić. Powiedziała klonowi o wiadomości, którą Gideon przekazał Håkonowi – i która uruchomiła ciąg zdarzeń

ostatecznie prowadzący do ucieczki z *proelium*. Gdy tylko wspomniała o *Yan'ghati* i ich roli w tym procesie, Özgür natychmiast się ożywił. Słuchał z chorobliwą ciekawością, jakby tylko czekał, by stąd wyjść i zacząć polować na zbuntowany odłam Diamentowych.

Nozomi zakończyła swoją opowieść na tym, jak wraz z Channary Sang użyły ciała jednego z nich, a potem przeszły do Terminala.

Wiedziała, że przypieczętowała swój los – swój i wszystkich towarzyszy, bo w jakimkolwiek punkcie w czasie by była, informacja trafi do odpowiednich uszu. Jednocześnie jednak ocaliła Ziemię przed wymarciem.

A przynajmniej tak jej się wydawało.

7

Håkon miewał momenty świadomości.

Pierwszy błysk nastąpił na moment przed tym, jak przeniósł się ze swojego ciała do głowy Gideona. Wtedy go nie odnotował, ale po jakimś czasie wyłowił to wspomnienie z mroku niepamięci.

Drugi błysk nastąpił jakiś czas po tym, jak ciało Hallforda zostało wyrzucone w próżnię. Śmierć nastąpiła nagle, a potem długo nie działo się nic. Håkon był nieświadomy, ale jednocześnie towarzyszyło mu przedziwne uczucie mijającego czasu.

Trzeci błysk miał miejsce, gdy Ellyse i Sang otworzyły tunel na górzystej planecie. I ten był najgorszy. Ten spowodował, że umysł Lindberga na powrót się włączył – ale jednocześnie nie zaskoczył zupełnie, wchodząc w jakiś rodzaj lekkiego uśpienia.

Wiedział, czym było spowodowane. Nozomi zabrała konchę, z którą jego jaźń była immanentnie związana. Od kiedy po raz

pierwszy ją założył, stała się częścią jego, a on częścią jej... czy raczej tego, co sobą reprezentowała.

Skandynaw nadal nie wiedział, czym jest owo „to”. Był jednak przekonany, że prędzej czy później dane mu będzie się tego dowiedzieć. *La'derach* prowadziła go, pokazywała mu drogę, a nawet powodowała, że czuł przymus podejmowania pewnych działań. Nie miał wątpliwości, że ostatecznie doprowadzi go do odpowiedzi.

Musiał tylko przeżyć wystarczająco długo. A ściślej mówiąc, musiał zostać wskrzeszony w odpowiednim czasie, nim kriokomora wyczerpie źródło swojego zasilania.

Pamiętał, że koncha chciała, by pojawił się na Ziemi. Chciała, by doszedł do tego, dlaczego Kennedy'ego wysłano na ratunek z tak wielkim pośpiechem, ignorując wszystkie względy bezpieczeństwa.

Pamiętał doskonale, jaki czuł przymus, by się tego dowiedzieć. Pozostałym członkom załogi zdawało się to nieistotne – w jego wypadku zapewne byłoby tak samo, gdyby nie maska. Wtedy działał na podstawie podświadomego rozkazu, teraz był autentycznie ciekaw. Coś było na rzeczy. Coś naprawdę ważnego.

8

Ellyse została sama na kilkanaście godzin. Kopia Dija Udina oznajmiła, że musi przedstawić tę sprawę „całemu gremium”, cokolwiek mogło to oznaczać. Mieli zastanowić się i podjąć decyzję co do losu dziewczyny i przydatności informacji, które przekazała.

Czas mijał wolno, a jedynym zajęciem Nozomi było ściganie się z własnymi myślami. Starła się je ignorować, ale bezskutecznie. Wciąż powracała świadomość, że wszyscy, których znała, już nie żyją. Zaraz potem uzmysławiała sobie,

że po dotarciu na Rah'ma'dul, obiektywnie rzecz biorąc, jeszcze się nie urodzili. Wszystko było względne.

Myśli biegły dalej, a ona zupełnie się gubiła. Nie wiedziała już, czym są przeszłość i przyszłość – ani tym bardziej, gdzie leży teraźniejszość i jaki ma wpływ na pozostałe płaszczyzny.

Tych kilkanaście godzin należało do jednych z najbardziej męczących w jej życiu. Gdy Kolay pojawił się z powrotem, odetchnęła z ulgą, bez względu na to, jakie wieści jej przynosił.

– Za mną – powiedział, po czym obrócił się i przeszedł przez wnękę w ścianie.

Ellyse nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

Szli długimi, wąskimi korytarzami. Ich ściany pokryte były małymi wypustkami, zapewne czubkami kolejnych brył. Wszędzie panował półmrok, jaki Nozomi kojarzył się z czasem tuż przed wschodem słońca. Przedświt. Gdzieś na horyzoncie majaczy już niewyraźna łuna, ale świat nadal zatopiony jest w ciemności.

Tunele zakręcały to w lewo, to w prawo i zdawały się nie kończyć. Po którymś skrócie Özgür zatrzymał się przed jedną ze ścian, a potem przesunął ręką przed stożkiem przed sobą. Kilkadziesiąt z nich natychmiast skupiło się w jednym miejscu, a potem ukazała się wnęka. Kolay przeszedł przez nią, a Ellyse ruszyła za nim.

Znalazłszy się w przestronnym pomieszczeniu przywodzącym na myśl Terminal, powiodła wzrokiem wokół. Widziała, że była tutaj galeria, kilka metrów nad podłogą – panował tam jednak nieprzenikniony mrok i nie mogła dojrzeć, kto się na niej zgromadził.

Özgür poprowadził ją na środek pomieszczenia. Gdy zajęła wyznaczone miejsce w niewielkim kole, jego obrys w podłodze natychmiast rozblęsnął jaskrawym światłem. Nozomi musiała osłonić oczy.

– Będę mówił w ich imieniu – odezwał się obcy.

– Ich?

– Przekazałem im wszystko, co mi powiedziałaś.

Ellyse przypuszczała, że niczego więcej o „nich” się nie dowie. Próbowała dojrzeć, kto znajduje się na galerii, ale teraz dodatkowo sytuację komplikowała dobywająca się z podłogi kurtyna światłości.

– Skoro wszystko wiedzą, po co tu jestem?

– Muszą poznać szczegóły – odparł obcy. – Mają wiele pytań.

Nozomi skinęła głową, sądząc, że to wystarczy za odpowiedź – była lepiej niż dobrze oświetlona.

– Udzielisz odpowiedzi – dodał Özgür.

– Być może.

– Od tego wszystko zależy.

– Nie wątpię.

– Przyszłości nie można zmienić – dodał beznamiętnym głosem Kolay. – Wszystko już się wydarzyło i zostanie powtórzone w kole czasu.

– Tak, coś wiem o tej teorii...

– A jednak twoje pojawienie się może temu przeczyć.

Ellyse na moment zamilkła, dopiero teraz przyswajając to, co usłyszała. Jeśli Prastara rasa obcych – budowniczych Terminala – twierdziła, że czasu nie da się zmienić i istnieje tylko jedna jego linia, to najwyraźniej musiało tak być. Teoria samospójności Nowikowa, o której mówił Håkon, znalazła ostateczne potwierdzenie. Istniała tylko jedna wersja zdarzeń. Jedna linia. Niezmienna, uniwersalna i stała. I żadne machinacje w przeszłości nie zdołają jej zmienić – bo to właśnie one w pierwszej kolejności ją ukształtowały.

Ale w takim razie dlaczego ją wezwano? Najwyraźniej coś musiało być na rzeczy, coś w konstrukcji wszechświata musiało ulec zmianie. Była to niepokojąca myśl – szczególnie że wiązało się to z nią samą.

– W jakim sensie moje pojawienie się może przeczyć niezmienności czasu? – zapytała.

- Nie pojawiałaś się wcześniej.
- Słucham?
- Nie wykryto twojej obecności w żadnym okresie.
Nie było to specjalnie pouczające stwierdzenie.
- Co to znaczy? - zapytała.

Klon Dija Udina przez moment milczał, zastanawiając się. Istoty na galerii musiały zorientować się, że mają do czynienia z przedstawicielką gatunku, który nie do końca ogarnął umysłem zawichości wszechświata.

- Czas nie ma znaczenia - odezwał się w końcu Özgür.
- Tak, przypuszczam, że dla was nie ma.
- Jest elementem subiektywnym.

Ellyse spojrzała na zaciemnione postacie.

- Nie istnieje w żadnej formie, jaką postrzega twój umysł.
- Więc chyba będziecie musieli mi to wytłumaczyć.
- Nie.

- Nie? To jak ja mam cokolwiek wyjaśnić?

- Musisz zrozumieć tylko tyle, że dotychczas występowałaś jedynie w określonym układzie. Teraz opuściłaś ten układ. W jaki sposób to zrobiłaś?

- Nie wiem.

- Wydarzyło się coś łamiącego permanencję czasu.

- To znaczy, że coś się zmieniło? - zapytała. - Z waszej perspektywy?

- Czas nie ma perspektyw.

Ellyse podrapała się po skroni.

- Ale jeśli zaszłaby jakaś zmiana w linii czasu, nie zauważylibyście jej, bo wciąż w niej egzystujecie - drążyła, próbując dojść do sedna. - W takim razie na jakiej podstawie uważacie, że jednak coś się zmieniło?

- Czas nie jest subiektywny.

- Tak, już to mówiłeś - bąknęła. - Macie jakiś sposób, by widzieć go obiektywnie? - zapytała, nagle zaczynając rozumieć. - Zaraz... Potraficie spojrzeć na wydarzenia jako

dziejące się nieustannie, a nie jako przeszłość, terażniejszość i przyszłość?

Kopia Dija Udina nie odpowiadała.

– Jesteście jak kontroler lotów, który na ekranie przed sobą ma trasy przelotów... z tym że to nie przewidywana trajektoria, a realny ruch każdej jednostki. Na całym świecie.

– Ta analogia jest nam nieznana – odparł Kolay.

– Ale trafna – skwitowała pod nosem Ellyse. Nie rozumiała może wszystkiego, ale z tego doskonale zdawała sobie sprawę. Dotychczas na ekranie jej samolot podążał swoim wcześniej ustalonym kursem. Teraz zmienił kierunek i nagle pojawił się w miejscu, gdzie być nie powinien.

– By zapobiec ucieczce z *proelium*, musimy znać szczegóły – dodał Özgür.

– Jakie?

– Musimy wiedzieć, gdzie i kiedy przebywa ten, którego nazywasz Håkonem Lindbergiem.

– Nie możecie tego zobaczyć?

– Nie.

– Dlaczego?

– Mamy wgląd w to, co potrafimy zobaczyć.

– Jak każdy, ale...

– Możemy spojrzeć tam, gdzie skierujemy wzrok.

Nozomi potrząsnęła głową.

– Mniejsza z tym – odparła. – Powiem wam, co wiem.

Obcy milczał przez kilka chwil i Ellyse przypuszczała, że odbiera instrukcje od istot zgromadzonych ponad nimi.

– Czego oczekujesz w zamian? – zapytał w końcu.

– Przeżycia – odparła bez zastanowienia. Miała wiele godzin, by rozważyć, jak to rozegrać. I zamierzała czekać, aż obcy zapytają o cenę tych informacji. – Przeżycia swojego i Håkona.

– To niemożliwe. Jeśli jest obecny w przeszłości, nie możemy naruszać jego roli.

– Jest na planecie, z której dotarłam na Rah'ma'dul. Jego ciało przestało funkcjonować, ale wierzę, że umysł nie.

Znów w pomieszczeniu zaległa cisza – absolutna, żadne urządzenie nie wydawało tu choćby cichego szmeru.

– Skąd takie przekonanie? – zapytał Özgür.

– Håkon nosił konchę. *La'derach*.

Ledwo wypowiedziała to słowo, a Kolay wpadł do świetlistego kręgu i zacisnął dłoń na jej szyi. Ellyse wydała z siebie stłumiony okrzyk, chwytając napastnika za rękę.

Patrzył jej prosto w oczy, zaciskając chwyt coraz bardziej. Starła się wychrypieć pytanie, ale nie zdołała.

W końcu podniósł wzrok, a potem ją wypuścił. Nozomi złapała się za szyję i zaczęła kaszleć. W głowie lekko jej się kręciło.

– Co to ma być... – wychrypiała.

Özgür milczał, wycofując się powoli. Gdy podniosła wzrok, zobaczyła, że patrzy na nią z czystą furią w oczach. Bez słowa wszedł w światłość, a potem znikł. Nozomi klęczała pośrodku kręgu, zbyt zdezorientowana, by zebrać myśli.

Milczenie przeciągało się, a Ellyse czuła narastające w niej napięcie.

– W jaki sposób Håkon Lindberg wszedł w posiadanie *la'derach*? – rozległ się głos, który nie należał do Kolaya.

– Najpierw ustalmy warunki...

– Odpowiedz na zadane pytanie.

– Nie – odparła Nozomi, podnosząc się na trzęsących się nogach. – Najpierw dogadamy się co do rzeczy, które mnie interesują. Dopiero potem zajmiemy się tym, co interesuje was.

– W jaki sposób Håkon Lindberg wszedł w posiadanie *la'derach*?

– Nie uzyskacie odpowiedzi, jeśli nie zagwarantujecie mi tego, czego oczekuję.

Znów zaległa cisza.

– Nie wiesz, o co prosisz – odezwał się Özgür. – Jeśli otrzymamy od ciebie informacje, linia czasu ulegnie zmianie.

– Domyślam się. W końcu o to chodzi, prawda?

Kolay nie odpowiadał, za to włączył się drugi głos:

– Håkon Lindberg i Nozomi Ellyse przestaną istnieć.

– Nie wydaje mi się.

– Po zniszczeniu okrętu ISS Kennedy przestanie istnieć cała załoga. Nozomi Ellyse nigdy nie dotrze na planetę, na której aktywowała tunel.

– Zdaję sobie z tego sprawę – odparła. – Ale wiem też, że wy egzystujecie poza czasem. Sami to stwierdziliście, prawda?

Uznała, że cisza w tym przypadku jest odpowiedzią twierdzącą.

– Chcę, byście wyjęli mnie i Håkona poza ramy czasu.

Nie wiedziała, czy to możliwe, ale skoro Prastarzy egzystowali na jakiejś obiektywnej płaszczyźnie, gdzie mogli bawić się w kontrolera lotów, być może i dla nich byłoby to osiągalne.

– To warunek postawiony przez Nozomi Ellyse?

– Tak.

Na galerii ponownie zapanowało milczenie. I ponownie oznaczało zgodę.

9

Håkon nie miał pojęcia, co się dzieje ani gdzie się znajduje. Pozostawał w pełni świadomy, ale nie potrafił wyrzec poza granice własnego umysłu.

Do czasu.

W pewnym momencie otworzył oczy. Poczł podnoszące się powieki. Swoje ciało.

Zobaczył nad sobą stożkowate kształty i pochylającą się Ellyse. Przesłona komory kriogenicznej była otwarta, a on leżał w niej z konchą na twarzy. Czuł jej obecność.

– Håkon?

Chciał zapytać, co się stało, ale z jego gardła wydobył się tylko niewyraźny charkot. Nozomi ostrożnie wsunęła rękę pod jego plecy i pomogła mu usiąść. Omiótł wzrokiem okolicę. Nie znajdował się w pomieszczeniu do diapauzy – i chwilę trwało, nim uświadomił sobie, gdzie jest.

– Nie... – powiedział.

Krażownik Prastarych. Widział go wraz z Ev'radatem, gdy opuścili bańkę czasoprzestrzenną. Potem pojawił się wahadłowiec, dalej klony Dija Udina... i Ev'radat zdradził go, przynajmniej pozornie. W rzeczywistości sprawił, że Lindberg wrócił do swojego czasu i mógł kontynuować plan ucieczki z Rah'ma'dul.

– Nie... – powtórzył. – Nie możemy tu być.

– Wiesz, gdzie jesteśmy?

Nie były to najlepsze pierwsze słowa, jakie mógł skierować do Ellyse, ale niespecjalnie się tym teraz przejmował.

– Wiem – odparł. – W dalekiej przeszłości, na jednostce Prastarych. Ellyse, musimy natychmiast...

– Wszystko ci wytłumaczę – przerwała mu.

Tembr jej głosu był tak ciepły i spokojny, że Lindberg poczuł się zbity z tropu.

– Nic złego nas nie spotka – powiedziała. – Uspokój się.

– Jesteśmy na okręcie wroga – odparł, kręcąc głową. Naraz jednak dotarło do niego, że Nozomi doskonale zdaje sobie sprawę z tego, gdzie się znaleźli i co tutaj robi. Spojrzał jej prosto w oczy i trwali tak przez kilka chwil, nie poruszając się.

Potem Håkon oparł się o kapsułę.

– Co się ze mną stało? – zapytał.

– Ciało Gideona...

– Tak, pamiętam ten sąd kapturowy i karę śmierci. Co było później?

– Musiałam improwizować.

Rozejrzał się, uzmysławiając sobie, że Ellyse poszła z organizatorami *proelium* na jakiś układ. Trudno było oswoić się z tą myślą – i jeszcze trudniej przychodziło mu rozwinięcie jej. Dlaczego miałyby się z nimi dogadywać? I jak? Co takiego mogłaby im zaoferować, że wyciągnęli do niej pomocną dłoń?

Ściągnął naprawioną *la'derach*, po czym wziął ją za rękę.

– Opowiedz mi wszystko.

– Z chęcią. Ale najpierw po prostu mnie obejmij, do cholery.

Zrobił to, już kiedy kończyła zdanie. Przywarli do siebie mocno i trwali tak przez kilka chwil, zanim Håkon odsunął ją, a potem pocałował. Uczucie było cudowne – tym cudowniejsze, że ostatnim razem z trudem w ogóle na niego spoglądała. Teraz chłonęli się niczym dwójka nastolatków przy pierwszym zbliżeniu. Lindberg poczuł, jak wzbiera w nim podniecenie, ale Ellyse szybko się od niego oderwała.

– Muszę ci... wszystko... powiedzieć – zdołała wydusić w przerwach między kolejnymi pocałunkami.

– Później.

Håkon uniósł ją lekko i przycisnął do kapsuły. Zareagowała szybko, podnosząc uda i oplatając go nogami.

– Obawiam się, że to nie może czekać – powiedział.

– Będzie musiało – odparła z uśmiechem. – Nie jesteśmy tu mile widziani. Przynajmniej nie na tyle, żeby nadużywać gościnności.

Spojrzał na nią z odległości kilku centymetrów. Była piękna jak zawsze, emanowała delikatnością i patrzyła na niego tak, jakby nic innego się nie liczyło.

– Słyszysz? – zapytała.

– Głośno i wyraźnie, ale...

– Żadnych ale.

– W porządku. Mów.

Zrobiła to, używając niedomówień, skrótów myślowych i eufemizmów, by nikt z przysłuchujących im się zapewne obcych nie dowiedział się zbyt wiele. Przez cały ten czas nie

odrywała spojrzenia od jego oczu i nie przestawała mocno oplatać go w pasie nogami. Początkowo sądził, że chce mu tym pokazać, jak bardzo jej go brakowało. W miarę jak snuła swoją opowieść, uświadomił sobie, że zamierza go przytrzymać.

Jego pierwszą reakcją był gniew. Dopóki nie usłyszał wszystkiego, co miała mu do powiedzenia, uczucie w nim wzbierało. Gdzieś z tyłu głowy jednak cały czas miał świadomość, że Nozomi nie postąpiłaby nieroztropnie.

Nie odzywał się słowem, dopóki nie skończyła.

– Rozumiem – powiedział później.

Czekała, aż rozwinię, nerwowo wpatrując się w jego oczy. Lindberg nie miał jednak nic więcej do dodania. Nie teraz, gdy emocje jeszcze w nim buzowały.

– Håkon? – zapytała po chwili. – Muszę wiedzieć, czy...

Znow ją pocałował. Był to najlepszy komentarz, jaki przyszedł mu do głowy.

– Musisz zrozumieć, że z mojego punktu widzenia oni wszyscy już nie żyli, gdy podejmowałam decyzję – dodała po chwili. – Ty także.

– Wiem.

– Poświęcenie nas wszystkich w przeszłości było niewielką ceną za uratowanie całego gatunku.

Kiwnął głową.

– Wiem – powtórzył. – Tak zdroworozsądkowo, zrobiłaś dokładnie to, co powinnaś...

– Ale?

– Ale wciąż mam wrażenie, jakbyśmy odarli się ze wspomnień i... z życia.

– My?

– Mam na myśli tych „nas”, którzy nie opuszczą *proelium*. Albo w ogóle nie będą w nim uczestniczyć... Być może Diamentowi zniszczą *Accipitera*, a na jego miejsce wytypują inny okręt. Zaoszczędzi im to trochę problemów, prawda?

Tym razem to ona pokiwała głową w milczeniu.

– I nadal nie rozumiem, co sprawiło, że możemy zmienić linię czasu.

– Ja też nie. I nie wiem nawet, czy Prastarzy rozumieją.

Jeśli tak było w rzeczywistości, nie mogli być pewni, że ten plan się powiedzie. Jeżeli sami budowniczo Terminala nie wiedzieli, w jaki sposób Ellyse przełamała permanencję czasu, być może w istocie tego nie zrobiła.

– Wątpisz, że cokolwiek się uda zmienić? – zapytała.

– Nie wątpię – skłamał, przypuszczając, że mogą być obserwowani. – Jesteśmy tu, a to znak, że coś się wydarzyło. Powstał jakiś wyjątek w mechanizmie czasoprzestrzeni, który dozwolił wprowadzić zmianę.

Nozomi skinęła niepewnie głową.

– Zresztą to sprawa Prastarych – dodał.

– Zgadza się. Kiedy wprowadzą swoje plany w życie, nas już tu nie będzie.

– Nie?

– To była część umowy.

Lindberg spodziewał się, że o to zadbała. Jeśli rzeczywiście informacje od Ellyse mogły w jakiś sposób zmienić bieg wydarzeń, to siłą rzeczy zmieniłyby także ich obecną sytuację – przestaliby istnieć.

– I? – dopytał. – Jaki jest plan gry?

– Na czas zmian wejdziemy do tunelu. I wyjdziemy z niego, gdy już będzie po wszystkim.

– To wystarczy?

– Tak twierdzą Prastarzy.

– A mnie wydaje się, że to brzmi jak niewykonalna misja. Nie sposób tak po prostu pozostać w tunelu. Sprawdziłem te korytarze na wszelkie możliwe sposoby, poszukując *Yan'ghati*. Sterowanie którymkolwiek z nich podczas przejścia jest niewykonalne. Żyją własnym życiem, kiedy już ustawi się kierunek. Wchodzisz, a potem...

– Nagle wychodzisz po drugiej stronie – dopowiedziała. – Tak, wiem.

Håkon patrzył na nią wyczekująco.

– Nie pytaj mnie, jak to zrobią – odparła. – Powiedzieli mi tyle, że znajdziemy się poza czasem i przestrzenią, gdy zmiany będą zachodzić. A jako że wyglądali, jakby ręce paliły im się do roboty, przypuszczam, że nastąpi to niebawem.

I rzeczywiście nastąpiło. Nie minął kwadrans, a kopia Dija Uдина pojawiła się w progu. Lindberg nie był przesadnie zdziwiony tym, że Özgür nie należy do gadatliwych – podczas poprzedniej wizyty na statku żaden z klonów nawet się nie odezwał.

– Za mną – rzucił Kolay, a potem skierował się w głąb wnęki.

Håkon i Ellyse spojrzeli po sobie, a potem poszli za obcym.

– Zaraz... – odezwał się Lindberg. – Zabieram konchę.

– Nie ma takiej możliwości.

– A ja nie wybieram się nigdzie bez niej.

Özgür zamilkł, zatrzymując się między wystającymi ze ścian stożkami.

– Słyszysz, gnoju? – dopytał Håkon. – Nie mam zamiaru zostawiać tutaj *la...*

– Lepiej nazywaj ją konchą – ucięła Nozomi. – Z jakiegoś powodu oryginalne nazewnictwo działa na niego jak płachta na byka.

Skandynaw wbił wzrok w plecy Kolaya, ale ten nie obejrzał się nawet przez ramię. Ruszył przed siebie, jakby wyraźnie mu się spieszyło.

– Moment...

– Chodźmy, Håkon – poradziła Ellyse, biorąc go za rękę i ruszając za klonem. – Próbowałam przekonać ich, żebyśmy ją zabrali, ale nie byli gotowi się zgodzić.

Lindberg poczuł wzbierającą w nim złość. Ellyse nie postarała się odpowiednio... a może nawet zrobiła to

z premedytacją. Dobrze wiedziała, że stawał się coraz bardziej uzależniony od *la'derach*. Może...

Urwał tok myśli, karcąc się za absurdalne wnioski. Wiedział, że maska odciskała piętno na jego umyśle – i ewidentnie było ono wyraźniejsze, niż sądził. Ale naprawdę jej potrzebował. Bez niej czuł, że traci kontakt z wszechświatem.

Zatrzymał się.

– Nie ma mowy – powiedział. – Bez konchy nigdzie nie idę.

– Nie bądź niepoważny.

– Nie jestem.

Nozomi ściągnęła brwi i spiorunowała go wzrokiem.

– Wiesz, ile z nimi pertraktowałam?

– Najwyraźniej niewystarczająco.

– Håkon!

– Przepraszam – zmitygował się szybko, spuszczając wzrok. – Wiem, że zrobiłaś wszystko, co mogłaś.

Kiwnęła głową, nadal patrząc na niego bykiem. Özgür dopiero teraz się zatrzymał i obejrzał. Czekał spokojnie, nie odzywając się słowem.

– Muszę ją zabrać, Ellyse.

– Wiem, ale...

– Nie, nie wiesz – przerwał jej. – To nie kwestia uzależnienia. Ja po prostu...

– Co? – spytała niechętnie.

– Mam poczucie... przekonanie, że od tego będzie wiele zależało.

Patrzyła na niego badawczo przez kilka chwil, jakby zastanawiała się, czy może mu wierzyć. W końcu skinęła głową.

– W porządku – odparła. – Ale obawiam się, że nie mamy już żadnej karty przetargowej.

– Mamy.

Ellyse zmrużyła oczy, a potem pokręciła głową.

– Terra – dodał Lindberg.

– Nie...

– To dla nas zagrożenie, Nozomi. Dopóki Ingo Freed gdzieś tam jest, istnieje niebezpieczeństwo, że dotrze razem ze swoją flotą na Ziemię.

– Nie – zaoponowała stanowczo.

– Nawet jeśli nie odbierze sygnału o nadejściu Kennedy'ego i reszty, to tylko kwestia czasu, zanim sprawdzą planetę. Jeśli nie Ingo Freed, to inny szaleniec.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

Ton jej głosu świadczył o tym, że postrzega go jako ćpuna, który zrobi wszystko, by dostać działkę. Po prawdzie tak się trochę czuł. Zaraz jednak nadchodziło głębokie przekonanie, że koncha jest najistotniejszym elementem w całej tej układance.

– Wiem doskonale, o czym mówię.

– O ludobójstwie.

– I tak do niego dojdzie, gdy ta kopia Dija Udina... Imad Rehmani, ściągnie Diamentowych czy ich odległych kuzynów. Tylko nie w takim stopniu.

– Håkon...

– Zaufaj mi.

– W tej kwestii nie mogę.

Skandynaw zignorował protest i ruszył w kierunku Özgüra. Ten natychmiast odebrał to jako sygnał, że mogą kontynuować marsz.

– Poczekaj – zatrzymał go Lindberg. – Jest jeszcze coś, co powinni wiedzieć Prastarzy.

Ellyse próbowała go powstrzymać, używając wszystkich tych argumentów, które Håkon całkowicie ignorował. Nie dał się przekonać. Wyłożył Kolayowi tylko to, co ten absolutnie musiał wiedzieć, a potem czekał na jego decyzję.

Okazała się korzystna dla Skandynawa. Nozomi została odeskortowana do kajuty, a jego poprowadzili do przestronnej

sali, gdzie Ellyse wcześniej wynegocjowała warunki ich przeżycia.

Lindbergowi nie trzeba było wiele czasu, by przekonać obcych do współpracy. Wiedział, że koncha była dla nich istotna – ale nie tak jak informacja o rzezi, która odbyła się na Terze.

Nie byli świadomi istnienia tej planety, nie wiedzieli, że ludzkość zbiegła ze swojego domu i znalazła nową przystań. Informacje przekazane przez Håkona były cenne. Na tyle cenne, że *la'derach* wróciła do niego bezpiecznie. Skoro tylko trafiła do jego dłoni, wiedział, że wszystko się ułoży. Nie cofnie już tego, co wydarzyło się w przeszłości, ale dzięki konsze zadba o dobrą przyszłość dla niego i Ellyse.

10

Kolay towarzyszył Lindbergowi w drodze do kajuty, po czym zaprowadził dwoje Ziemiaków do niewielkiego pojazdu, który przywodził na myśl kapsułę ratunkową. Otworzył właz, a potem ruchem ręki zasugerował, by weszli do środka. Håkon zmierzył go wzrokiem, marszcząc czoło.

– Co to ma znaczyć? – zapytał.

– Nie tak się umawialiśmy – dodała Ellyse.

Özgür trwał z wyciągniętą ręką, wskazując wewnątrz jednostki.

– Ustalono, że będziecie znajdować się poza czasem i przestrzenią, czyż nie? – zapytał.

Spojrzeni po sobie.

– Sądziłam, że chodzi o tunel na Rah'ma'dul.

– Nie.

Lindberg przypuszczał, że po tej lakonicznej odpowiedzi nastąpi wyjaśnienie, ale kopia Dija Udina trwała w milczeniu. Skandynaw przeniósł wzrok na pojazd, dopiero teraz

domyślając się, co zamierzali Prastarzy. Ellyse mogła źle zinterpretować ich słowa, a może po prostu wpadli na inny pomysł.

– Macie zamiar zawiesić nas w czasoprzestrzeni, ale nie w korytarzach – powiedział.

– Owszem.

– W jaki sposób?

– Wasza jednostka wejdzie w zakrzywienie czasoprzestrzeni i pozostanie tam, aż zmiany zostaną dokonane.

– Tyle że zmiany nie mają określonego punktu w czasie – zaoponował Håkon. – Kiedykolwiek by nie nastąpiły, wywrą na nas efekt.

– Nie jeśli będziecie poza czasem.

Lindberg spojrział na Nozomi, a ta skinęła do niego głową. Wiedział, że muszą zaufać Prastarym, alternatywą była pewna śmierć – czy raczej nagły koniec istnienia.

Wszystko to jednak opierało się na założeniu, że można zmienić linię czasu – a co do tego Håkon nie był przekonany. Dotychczas wszystko, co robił, i wszystko, czego doświadczył, zdawało się potwierdzać teorię samospójności Nowikowa. Prastarzy mogli być odmiennego zdania, ale nie znaczyło to, że odkryli prawdę obiektywną – mogli się mylić, a zawilości czasoprzestrzenne mogły przekraczać także ich percepcję.

– Do środka – rzucił Kolay.

Jeszcze raz spojrzeli po sobie, a potem przeszli przez właz. Mrok wewnątrz statku rozświetlały liczne pasy na podłodze i ścianach. Emanowały jaskrawym światłem, ale nie raziły.

Zanim dwójka ludzi zdążyła odezwać się słowem, Özgür zamknął z hukiem pokrywę włazu. Ellyse niemal podskoczyła.

– Śluza opadła, klamka zapadła – odezwał się pod nosem Lindberg.

– Sądzisz, że to się uda? – zapytała obojętnym głosem.

– Przed chwilą to ty byłaś pewna, że tak.

– „Pewna” to mocne słowo.

Håkon rozejrzył się wokół. W ciasnym korytarzu, gdzie się znajdowali, były dwa niewielkie łóżka – akurat na tyle szerokie, by ułożyć się na nich z rękoma przylegającymi do ciała. Kawałek dalej mieściła się namiastka kokpitu – małe panele i wyświetlacz pośrodku, który służył zapewne za przednią szybę.

Skandynaw usiadł przy stanowisku po prawej stronie, Nozomi zajęła miejsce obok niego.

– Co teraz? – zapytała.

– Przypuszczam, że ustawili nam autopilota.

Przesunął ręką po panelu, ale ten nie zareagował. Ellyse zrobiła to samo ze swoim, po czym sprawdziła pozostałe miejsca, w których mogły znajdować się nieaktywne ekrany. Gdy niczego nie znalazła, Håkon zaplótł ręce na karku i odchylił się.

– Pozostaje nam tylko czekać.

– Tak.

Zaległa nieco niezręczna cisza. Håkon wiedział, że czeka ich długa i niespecjalnie przyjemna rozmowa, ale miał nadzieję, że jeszcze przez jakiś czas uda mu się jej unikać. Przynajmniej na tyle, by emocje nieco opadły.

– Długo będziesz tak milczał?

– Jak najdłużej mi się uda – odparł, obracając się do niej z bladym uśmiechem. W odpowiedzi zobaczył jedynie kategoryczne spojrzenie.

– Podpisałeś na nich wyrok, Håkon...

– Sami to zrobili.

– Nie – odparła niemal przez zęby. – Ingo Freed nie reprezentował całego społeczeństwa Terry. Nie rozumiesz tego?

– Rozumiem, ale...

– Nie. Ani tego, ani faktu, że koncha poprzewracała ci w głowie.

– Możliwe, ale...

– Jesteś od niej uzależniony.

Wstała, a potem odeszła na tył statku. Lindberg musiał oddać jej sprawiedliwość – i tak długo trzymała nerwy na wodzy. Wprawdzie wiedziała, że w starciu z nim i Prastarymi nic nie wskóra, ale mogła próbować, nastęrczając niemałych problemów. Wybrała rozsądne wyjście – i Håkon był jej za to wdzięczny. Przypuszczał jednak, że teraz zbierze cięgi.

– Wiesz, kto robi takie rzeczy? – syknęła.

– Posłuchaj...

– Zbrodniarze i ludobójcy – ofuknęła go, wracając na przód pojazdu. – Nie mogę uwierzyć, że byłeś w stanie pójść na taki układ, Håkon. Naprawdę nie mogę. I pomyśleć, że to ja cię wyciągnęłam, wyszarpałam ze szponów śmierci.

– Ty także poświęciłaś...

– Tych, których musiałam! – odparowała ostro. – Ty zabiłeś wszystkich na Terze, by mieć swoją pierdoloną maskę!

Zamachnęła się, jakby chciała uderzyć go w twarz. Håkon machinalnie zerwał się z siedziska, gotów do obrony. Szybko jednak powściągnął emocje.

– To nie tak...

– Jesteś ćpunem – rzuciła.

Nie odzywał się, bo nie było sensu zaprzeczać. Poniekąd miała rację, ale nie czuła tego, co on. Nie miała kontaktu z tym, do czego dopuszczała go koncha.

– Zabiłeś tych wszystkich ludzi, Håkon. Zamordowałeś ich z zimną krwią.

– Nikogo nie zabiłem.

Chciał złapać ją za rękę, ale go odtrąciła. Przez moment mierzyli się wzrokiem, a on miał wrażenie, że teraz go spoliczkuje. Zaraz potem Ellyse odwróciła się i przeszła na tył. Usiadła na łóżku i schowała twarz w dłoniach.

Lindberg opadł ciężko na fotel przy panelu i zwiesił głowę.

Nie miała racji, oczywiście, że nie miała. Potrzebował konchy... ale nie dlatego, by zaspokoić głód związany z używaniem jej. Była mu niezbędna, bo mogła wszystko

zmienić. Nie przeszłość, ale przyszłość. Wciąż rozbrzmiewało mu to w głowie – i wciąż decydował się, by w to wierzyć.

– Ellyse...

– Nie odzywaj się do mnie.

– *La'derach* nigdy jeszcze mnie nie...

– Proszę, nie mów nic.

Zamilkł, wychodząc z założenia, że tak będzie lepiej. Przynajmniej na jakiś czas.

Nie tak miało wyglądać ich spotkanie po długiej rozłące, pomyślał. Nie miał okazji na dobre się nad tym zastanowić, bo aktywował się centralny wyświetlacz. Pojawił się na nim ciąg znaków, których Skandynaw nie potrafił rozczytać.

– Ellyse...

Kątem oka dostrzegł, że stanęła już obok niego. Usiadła na swoim miejscu, a potem przesunęła palcem po ekranie.

Po chwili dane na wyświetlaczu znikły, a zastąpił je obraz z kamery dziobowej. Håkon obserwował, jak otwiera się przed nimi śluza. Pojazd uniósł się nieznacznie i ruszył w kierunku otwartej przestrzeni.

Gdy opuścili hangar, znów pojawił się ciąg znaków, a potem nastąpił rozbłysk. Nic nie poczuli, ale musieli przesłonić oczy przed zbyt jasnym światłem.

Skandynaw przypuszczał, że wygaśnie, gdy tylko znajdą się w załamaniu czasoprzestrzennym, ale pomylił się. Jaskrawe światło towarzyszyło im przez cały czas, kiedy statek znajdował się poza znaną im rzeczywistością.

Wszechświat skurczył się do ich dwojga – niemal literalnie – co nie stwarzało odpowiednich warunków do pogodzenia się. Dni mijały im na milczeniu lub burkliwych wymianach zdań.

Załatwianie się było niemałym problemem. Obcy najwyraźniej nie potrzebowali toalety, więc Lindberg i Ellyse sami musieli zbudować coś, co zapewniało namiastkę prywatności. Jedyнным nadającym się elementem wystroju wewnątrz były łóżka, więc co dzień rano demontowali jedno

i robili z niego parawan. Z resztą radził sobie dezintegrator pokładowy – najwyraźniej urządzenie uniwersalne w każdej cywilizacji.

Czas dłużył im się niemiłosiernie. Håkon miał wrażenie, że znajdują się w wyrwie wszechświata już całe wieki. Czasem myślał o tym, jak wszystko to wyglądałoby, gdyby nie zabrał konchy. Czas z pewnością pędziłby jak szalony.

Raz po raz wymieniali ze sobą ukradkowe spojrzenia, ale nie odzywali się słowem. Kilka razy Lindberg próbował zacząć rozmowę, ale Nozomi zbywała jego próby milczeniem.

Momentami zaczynał myśleć, że może miała rację. Rozsądek kazał sądzić, że rzeczywiście stał się ludobójcą. Zaraz potem jednak nachodziło go niezachwiane przekonanie o tym, że *la'derach* o wszystko zadba. Musiał tylko jej zaufać.

Kiedy Håkon powoli poddawał się obawie, że coś poszło nie tak i na zawsze utkną w miejscu poza czasem i przestrzenią, w końcu nastąpił przełom. Najpierw przed nimi pojawiły się czarne kropki, potem pojazdem zatrzęśło. Kiedy oboje dopadli do urządzeń sterowania, statkiem rzucało już do tego stopnia, że mieli wrażenie, jakby jakaś siła miała rozerwać go na strzępy.

– Coś jest nie tak! – Nozomi starała się przekrzyczeć huk, który dochodził nie wiadomo skąd.

Lindberg zaparł się o swoje stanowisko. Jednostką poniewierały nieznane siły, a on miał wrażenie, jakby wraz z Ellyse doświadczali niemożliwego do przetrzymania przez ludzkie ciało przeciążenia.

W końcu wyszli z załamania czasoprzestrzeni.

Białe światło przestało zalewać wnętrze statku i Håkon potrzebował chwili, by cokolwiek dojrzeć. Oczy tak przyzwyczyły się do blasku, że trudno było przestawić się na czerń kosmosu, która roztaczała się przed nimi.

Wciąż siedział przy głównym pulpicie, a mimo to potrzebował chwili, by zrozumieć, gdzie jest. Ellyse w tym

czasie już starała się coś ustalić.

– Gdzie nas wyrzuciło? – zapytał.

– Sprawdzam.

Była to najdłuższa wymiana zdań, jaką przeprowadzili od kilku dni. Lindberg obserwował, jak Nozomi obsługuje obcy system, który został przystosowany do jej umiejętności.

Przez moment analizowała dane, a potem zamarła.

– Co jest? – zapytał Skandynaw.

Ellyse wbijała pusty wzrok w jakiś punkt na ekranie.

– Co się dzieje? Gdzie jesteśmy?

– Niedaleko Ziemi, Håkon...

– Więc co jest nie tak?

– Wyrzuciło nas w przeszłość.

– Jak daleko?

Pytanie było pozbawione sensu, bo punkt odniesienia w ich przypadku stał się już zupełnie abstrakcyjny – najpierw kilkaset lat upłynęło na podróżach do i z Rah'ma'dul, a potem drugie tyle, gdy Nozomi i Sang leciały na planetę z tunelem.

– Ellyse?

– Jesteśmy... trzydzieści dwa lata przed startem misji Ara Maxima.

Lindberg poczuł, jak jego brwi się unoszą.

– Co takiego? – zapytał, patrząc na wyświetlacz. – Do cholery... oni to zaplanowali?

– Nie sądzę.

– Musimy stąd wiać – powiedział. – Zaraz ktoś nas wykryje.

Potrząsnęła głową, a potem aktywowała kontrolę układu sterowania. Zmieniła kilka ustawień, które Håkonowi niewiele mówiły, i... nic się nie stało. Statek nie poruszył się ani o milimetr.

– Coś nie tak? – zapytał.

– Jak widzisz.

Nozomi gorączkowo wprowadzała zmiany do komputera pokładowego, a Lindberg obserwował obraz z głównej kamery.

W oddali widoczna była Ziemia, odbijająca światło Słońca. Z tej perspektywy przypominała kulę wielkości piłki tenisowej, ale nie mogło być wątpliwości, że to ona.

– Musieli nas tu skierować, ale po co? – odezwał się bardziej do siebie niż do niej. – Może uznali, że dzięki temu nigdy im już nie zagrozimy? Wrócimy do domu, a potem spokojnie dożyjemy swoich dni... z pewnością zdążymy, nim przyjdzie zagłada. Misja Ara Maxima jest w powijakach...

– Bądź cicho.

Skinął głową, a potem skupił się na tym, co robi Ellyse. Po chwili statek drgnął, choć nie w tym kierunku, który chciała nadać mu Nozomi.

– Myślałem, że opanowałaś te systemy.

– W teorii.

– Ta teoria wydaje się daleka od praktyki.

– Zamknij się.

– Mówię tylko, że może lepiej się zastanowić, zanim przypadkowo wystrzelimy jakiś ładunek w kierunku Ziemi.

– Ten statek nie ma uzbrojenia – odparła pod nosem. – A ja dotychczas uczyłam się wszystkiego na sucho. Nie miałam jak sprawdzić pewnych rzeczy, prawda?

– No tak.

– Więc siedź cicho i poczekaj chwilę.

– Obawiam się, że satelity na orbicie okołoziemskiej nie będą czekać.

Wiedział, że nie poprawia sytuacji, ale gadał, co mu ślina na język przyniosła – byleby znów nie zapanowała cisza. Nie było to przesadnie mądre, trudno jednak było się powstrzymać.

Szczęśliwie statek ruszył we wskazanym kierunku.

– Schowaj nas za czymś.

– Obrałam kurs na Wenus.

– Jest teraz blisko? Bo nie wiem, czy aby...

– Jest tam, gdzie być powinna. Im bliżej Słońca, tym lepiej – ucięła. – Promieniowanie ukryje nas przed skanowaniem

satelitów.

– O ile ta łajba jest gotowa je znieść.

Nozomi spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Przed chwilą zniosła dużo więcej.

– Zgoda, ale nie możemy być pewni, że jest przystosowana do...

– Jest.

Lindberg nie miał zamiaru polemizować. Patrzył na oddalający się glob i dopiero teraz zreflektował się, że przeniesienie się w przeszłość uniemożliwia im sprawdzenie, czy cały plan się powiódł. Zaklął w duchu.

Gdy ich statek znalazł się w cieniu Wenus, oboje odetchnęli z ulgą. Nic nie świadczyło o tym, że zostali wykryci.

– Nie wiem, jaka technologia jest obecnie na orbicie – odezwała się Ellyse.

– Ja też nie. Miałem wtedy, czy raczej mam teraz, cztery lata.

– Trzeba to ustalić.

– Jak?

– Mamy na pokładzie zaawansowaną technologię – odparła, wskazując na ciąg znaków widocznych na ekranie. – Problem polega na tym, że nie wiem, jak użyć części z tych systemów.

– Próbuj.

– Będę próbować – odparła stanowczo. – Ale jeden błąd może sprawić, że nas wykryją.

– W najgorszym wypadku uciekniemy. Mamy napęd nadświetlny, prawda?

– Mieć a używać to dwie różne kwestie.

– Mimo wszystko, skoro udało ci się posterować tą krypą na Wenus, z pewnością uda ci się ustawić także inny kurs.

– Może.

Ellyse zamilkła, na powrót poświęcając całą uwagę systemom statku. Lindberg zdołał wyświetlić odczyty z sensorów. Ziemia zdawała się pulsować wszystkimi rodzajami sygnałów – radiowymi, promieniowaniem AKR,

w końcu impulsami z satelitów. Wołała w kosmos, by ją odnaleźć.

Håkon analizował odczyty przez godzinę, dostając porządnego oczopląsu. Dopiero po kolejnej Ellyse zdawała się wreszcie opanować główne systemy.

– W porządku – powiedziała, przeciągając się. – Mam sterowanie napędem.

– Świetnie.

Wiadomość może rzeczywiście była dobra, co nie zmieniało faktu, że nadal nie wiedzieli, co począć. Spojrzeli na siebie i po raz pierwszy od długiego czasu żadne z nich nie uciekło wzrokiem.

– Mamy szansę wszystko zmienić, Håkon – odezwała się Nozomi.

– Co?

Nie taki był plan, przeszło mu przez myśl.

– Jesteśmy w przeszłości, możemy...

– Nie ma mowy.

– Stanowimy obcy, burzący konstrukcję element. Znaleźliśmy się tu przez wyrwę w czasoprzestrzeni, przez wyjątek w zasadach rządzących wszechświatem. Możemy zmienić przyszłość.

– Nie – odparł stanowczo. – Wszystko natychmiast się zawali, nie rozumiesz?

– Rozumiem tyle, że możemy uratować całą naszą rasę.

– Nie sądzę.

– Zapobiegniemy misji Ara Maxima.

– Nie.

– Sprawimy, że ludzkość nie rozsiej się pośród gwiazd.

– Wiesz, jakie będą konsekwencje? – zapytał, obracając się do niej. – Zastanów się nad tym, co proponujesz.

– Cały czas się zastanawiam.

– Więc powinnaś wiedzieć, że to doprowadzi do takiego samego ludobójstwa, jakie zarzucałaś mnie.

– W jaki niby sposób? – zapytała ze spokojem w głosie.

– Terra nigdy nie powstanie – odparł. – Jeśli nie wyruszymy na misję Ara Maxima, nigdy nie...

– W porządku – ucięła. – Wiem, do czego zmierzasz. Nielinearne rzecz biorąc, to taka sama zbrodnia.

Zamilkła, najwyraźniej przyjmując, że ta myśl jest warta choćby refleksji. Oczywiście jedno z drugim miało tylko tyle wspólnego, że ludzka kolonia na Terze przestawała istnieć – choć motywy i sposób doprowadzenia do tego były zupełnie inne.

Nozomi wstała ze swojego miejsca i przeszła się po kilkumetrowym pokładzie. Skandynaw stanął obok krzesła.

– Nie mam już na to siły, Håkon.

– Wiem.

– Mam dość temporalnych zawiłości i panującej wszędzie śmierci.

Podszedł do niej i zobaczywszy, że nie ma zamiaru go odepchnąć, objął ją. Początkowo nie poruszyła się, ale po chwili przylgnęła do niego, jakby potrzebowała ratunku.

– Wszystko, co zrobiliśmy od rozpoczęcia *proelium*, kończyło się czyjąś śmiercią – dodała. – Chcę wyjść z tego błędnego koła.

– Możemy to zrobić.

– Jak?

Wskazał na sygnały z Ziemi.

– Możemy się gdzieś osiedlić, niezauważeni i anonimowi – powiedział. – Nie będziemy nikomu przeszkadzać, na nic nie wpłyniemy.

– Ale ci wszyscy ludzie, którzy zginęli...

– Zginą prędzej czy później – odparł.

Jeśli czegokolwiek nauczył się podczas swoich podróży w czasie, to właśnie tego. Najbanalniejsza prawda w historii ludzkości stała się dla niego prawdziwa. Życie jednostek czy całych społeczeństw było tylko niewyraźnym rozbłyskiem

w mrokach historii. Dla wszechświata jedna cywilizacja znaczyła tyle, co dla niego ziarno piasku na wietrze. Z tej perspektywy trudno było przejmować się tym, gdzie i w jakim okresie zakiełkowało życie, a gdzie zniknęło.

Wiedział, że Ellyse prędzej czy później także to sobie uświadomi. Potrzebowała tylko czasu... którego mieli pod dostatkiem.

Ostatecznie uznali, że nie pozostaje im nic innego, jak przeżyć swoje życie najlepiej, jak było to możliwe. Nie mieli już wpływu na to, co się wydarzy – sami zapisali przyszłość wszystkich, którzy niegdyś wyruszą na misję Ara Maxima.

Możliwości osiedlenia nie było wiele. Istniała tylko jedna planeta, której historię znali na tyle dobrze, by jej przypadkiem nie zmienić. Wybrali najbardziej odludne miejsce na Ziemi, a potem wprowadzili koordynaty do komputera pokładowego.

Dotarcie tam zajęło im tylko ułamek sekundy. Znikli w miejscu początkowym i pojawili się u celu. Niewykryci przez żadne radary, niezauważeni przez satelity. Statek opuścił zagięcie czasoprzestrzenne na terytorium Grenlandii, nieopodal miasteczka Ittoqqortoormiit – jednego z najbardziej odludnych miejsc na globie. Stale przebywało tam raptem pięciuset ludzi, a na każdego mieszkańca przypadało średnio niemal czterysta kilometrów kwadratowych powierzchni. Było gdzie żyć.

Håkon i Ellyse ukryli niewielki statek u zbrocza jednego ze wzniesień, przysypując go ziemią. Nie było to najlepsze rozwiązanie, ale stanowiło jedynie tymczasowy środek. Gdyby nawet któryś Grenlandczyk się tu zapuścił, zapewne uznałby pojazd za podniebną taksówkę albo kuter głębinowy.

Zostawiwszy środek transportu, ruszyli na poszukiwania domu. Nie mieli grosza przy duszy, ale było to bez znaczenia – Håkon doskonale pamiętał największe wydarzenia sportowe tej dekady. Mimo że sam był wówczas kilkulatkiem, znał je z opowieści ojca.

Stary Lindberg jako zagorzały kibic aeropiłki nieraz stawiał pieniądze na Greåker Idrettsforening, wspominając, że

w jednym z sezonów sprawili ogromną niespodziankę, powodując ból głowy wielu bukmacherów.

Jeśli Lindberga nie myliła pamięć, pamiętny mecz z Rosenborgiem miał odbyć się za dwa tygodnie, tuż nad stolicą Federacji Skandynawskiej. Wystarczyło, że postawią trochę uniwersalnej waluty, a będzie ich stać na jeden z domów w okolicy.

– Mogliśmy osiąść na Tristan da Cunha – odezwała się Ellyse, gdy szli do miasteczka. – Byłaby to jakaś dziejowa sprawiedliwość.

– Mogliśmy.

– Ale ciągnęło cię na północ.

– Bo tutaj nikt nikomu nie wchodzi w drogę. I jeśli ktoś chce być sam, reszta to szanuje.

– Niezła mentalność – zauważyła Nozomi. – Więc jak będę miała cię dość, wystarczy, że powiem?

Wzruszył ramionami i lekko się uśmiechnął. Ich relacje nieco się poprawiły, ale nadal trochę brakowało im do tego, jak wyglądały wcześniej. Håkon przypuszczał jednak, że z każdym rokiem będzie coraz lepiej. Szczególnie że pierwotnie Ellyse sama chciała zapobiec *proelium* – a zatem dokonać zmian, przez które nie narodziłoby się znacznie więcej osób niż w wersji przyjętej przez Lindberga.

– Na razie nie polecam ci mieć mnie dosyć – odparł. – Przynajmniej dopóty, dopóki jesteśmy goli jak pasternak i nie dorobimy się na zakładzie.

– Przyjmujesz, że mamy co postawić. A nie mamy.

– Będziemy mieli.

– Tak?

Skinął głową, a potem wskazał na wioskę w oddali.

– Na pewno szukają tam rąk do pracy.

– Przy czym? – zapytała Nozomi, wodząc wzrokiem dookoła.

– Tutaj nic nie ma.

– Tu nie, ale w morzu tak.

– Cały połów mają z pewnością zautomatyzowany – zaoponowała. – Może i jesteśmy w przeszłości, ale to nie czasy, kiedy szło się do pierwszej lepszej rybackiej wioski i pytało, czy można wyszorować pokład.

– Zapewniam cię, że kultywują tutaj jeszcze dawne zwyczaje.

– Nie sądzę.

– Złapię jakąś robotę, zarobię trochę, a potem postawimy wszystko na Greåker.

– Mhm.

– Chłopcy wygrają z hukiem, a my kupimy dom i założymy własny biznes. Rodzinny.

– Jaki biznes można tu założyć?

– Połów wielorybów.

– Nie masz pojęcia, jak łowić wieloryby.

– Czytałem Hermana Melville'a.

– Świetnie, kapitanie Ahab – odburknęła Nozomi. – Ale wielorybów się nie łowi, tylko się na nie poluje.

– W takim razie zajmę się połowem krewetek.

– Biznes marzenie.

– W tutejszych wodach z pewnością jest też sporo halibutów.

Po raz pierwszy od długiego czasu spojrzała na niego z sympatią, co Lindberg wziął za dobry prognostyk.

Dość szybko udało im się znaleźć zakwaterowanie w Ittoqqortoormiit – niewielki pokój w zamian za sprzątnięcie całego budynku – a potem zaczęli rozglądać się w poszukiwaniu pracy.

Początkowo imali się wszystkiego, co tylko wpadło im w ręce – sprzątnięcia, odśnieżania czy pomocy przy wywózce śmieci. Miasto było trudno dostępne, więc wiele zadań użyteczności publicznej nadal wymagało ludzkich rąk – choćby po to, by załadować worki ze śmieciami na niewielki prom, który zabierał je z wyspy.

Udało im się zarobić tyle, by mieć co postawić. Efekty były zgodne z przewidywaniami – dzięki wysokiej stopie zwrotu

mogli pozwolić sobie nie tylko na kupienie domu, ale i odłożenie części funduszy na rachunku oszczędnościowym.

Wiedli niewystawne życie dwójki szczęśliwych ludzi.

Po jakimś czasie Ellyse poznała wyspę na tyle, że zaczęła oprowadzać po niej nowo przybyłych. Zabierała ich na przejażdżki tradycyjnymi psimi zaprzęgami, pokazując atrakcje turystyczne w okolicy. Największym zainteresowaniem cieszyły się Scoresby Sund – bezbrzeżne białe połączenie ziem i stojące na nich kolorowe domostwa odcinające się na tle śniegu. Nieraz zabierała klientów także do muzeum w mieście, gdzie opowiadała o dawnych metodach polowań i arktycznej faunie. Wielu turystów Ellyse zabierała do obserwatorium, z którego każdego ranka startował balon meteorologiczny. Część decydowała się na dodatkową atrakcję – opływanie wyspy z fiordami.

Håkon pomylił się, sądząc, że znajdzie pracę na kutrze. Wody przybrzeżne nie były wprawdzie skute lodem, ale ich temperatura podniosła się na tyle, że niegdyś obecne tu gatunki ryb migrowały dalej na północ. Lindberg szybko przekonał się, że osada polega głównie na rozrywkach odbywających się na Scoresby Sund – i nie pozostało mu nic innego, jak nauczyć się polowania na niedźwiedzie polarne. Był to jeszcze czas, kiedy mieszkańcy planety nie widzieli nadciągającej zagłady i nikomu przez myśl nie przeszło, by cokolwiek zmieniać.

W Ittoqqortoormiit łowy stanowiły sztukę, tradycję przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Najpierw Skandynaw musiał uzyskać akceptację którejś z rodzin, a dopiero później mógł chwycić za broń. Każde domostwo utrzymujące się w ten sposób miało przyznaną pulę zwierząt, które można było odstrzelić. Mimo wszystko nierzadko względy ekonomiczne brały górę nad tradycją – mnóstwo pieniędzy zarabiano na odsprzedawaniu zezwolenia myśliwym, którzy polowali dla sportu.

To podczas jednej z takich wypraw spokojne życie Lindberga uległo zmianie.

Był kwiecień, miesiąc przed końcem sezonu łowieckiego. Temperatura wynosiła kilkanaście stopni poniżej zera. Wraz z zaprzęgiem psów husky i myśliwym Håkon poruszał się po zboczu jednego ze wzniesień na Scoresby Sund.

– Patrz, jest tam – szepnął mężczyzna, wskazując Lindbergowi kierunek.

Ten zwrócił wzrok w odpowiednią stronę, ale widział jedynie oślepiającą biel śniegu. Zamrugał kilkakrotnie. Już kilka lat temu jego oczy przyzwyczyły się do jasności. Nie powinien mieć żadnych problemów.

– Widzisz?

– Tak – skłamał.

– Podejdę jeszcze kawałek. Ty zostań.

– W porządku – odparł słabo Håkon.

Myśliwy obrócił się do niego, co wyglądało dość pokracznie, jako że był porządnie okutany.

– Wszystko okej? – zapytał. – Nie brzmisz najlepiej.

– Tak, muszę tylko... sam nie wiem.

– Ćpasz?

– Nie – odparł bezwiednie.

– To może kiedyś ćpałeś? Mój brat miał problem z heroiną. Wszędzie poznam ten mętny wzrok, pot i ziemistą cerę.

– Nie – powtórzył Håkon, znów nieco mijając się z prawdą. Używanie konchy można było przyrównać do dawania sobie w żyłę, a on od pewnego czasu zaczął ograniczać dawki swojego narkotyku. Nozomi dawno przestała się upierać, że nie powinien zakładać konchy, ale w końcu sam doszedł do wniosku, że wywiera ona destrukcyjny wpływ na jego psychikę.

– No, nieważne – odparł myśliwy. – Zostań tutaj z psami.

– Będę czekać.

– Ile mam czasu, jeśli spudłuję?

– Zezwolenie jest ważne przez dziesięć dni.

Rozmówca ruszył przed siebie bez słowa, a Lindberg przez chwilę wodził za nim wzrokiem. Gdy ten oddalił się o kilkadziesiąt metrów, poczuł, jak głowa mu opada. Nim zdążył się zorientować, wyłożył się na śniegu.

Ostatnim, co słyszał, był głos Gideona Hallforda.

12

Håkon otworzył oczy i nie czuł już potrzeby, by osłaniać się przed jasnością. Znalazł się w zaciemnionym miejscu. Wokół widział jedynie niewyraźne kształty, przesuwane jak widma wokół niego. Rozlegał się tu jakiś szum, ale gdy się w niego wsłuchał, stwierdził, że to szepty tych postaci.

– Słyszysz? – dobiegł go głos głównego mechanika Kennedy’ego.

Lindberg uświadomił sobie, że rozpoznał go na moment przed tym, jak stracił przytomność na zaśnieżonym zboczach.

– Gideon? – zapytał niepewnie.

– Słyszysz mnie?

– Zbyt głośno i zbyt wyraźnie, żebym mógł się łudzić, że to sen.

– Wreszcie!

Håkon rozejrzał się, starając wyłowić z licznych postaci tę, z którą rozmawiał. Wszystkie wyglądały niemal identycznie. Długie cienie przesuwane jak po sznurku. Ledwo widział ich kształt, rozmywał się gdzieś w nieustępliwym mroku.

– Gdzie ja jestem?

– Tam, gdzie są wszyscy Posiadacze.

– Kto?

– Ci, którym dane było założyć konchę.

– Co takiego?

– To bank umysłów, Håkon. Jesteś tu na chwilę, ale ostatecznie trafisz do niego na wieczność.

– Nie rozumiem...

– Rozumiesz, rozumiesz – odparł Gideon łagodnym tonem. – Nie dopuszczasz jeszcze do siebie całego obrazu, ale wiem, że rozumiesz. Być może wiesz już o tym wszystkim od momentu, gdy twoja jaźń znalazła się w moim ciele.

– Ale...

– Byłeś już tutaj, tyle że Ellyse cię wyciągnęła. Nie pamiętasz?

– Nie.

– Uratowała twoje ciało, wsadzając je do kriokomory. Ale twój umysł był już gotowy połączyć się z innymi Posiadaczami. Lindberg obrócił się nerwowo wokół własnej osi.

– Kurwa mać – skwitował. – To zaświaty?

– Mógłbyś to tak nazwać.

– I nie pomyliłbym się?

Odpowiedziała mu cisza.

– Dlaczego tu jestem? Dlaczego teraz?

– Ponieważ udało mi się wreszcie nawiązać kontakt.

Lindberg z niepokojem zauważył, że cieniste postacie zaczynają okrążać go coraz szybciej, zbliżając się do niego. Z trudem przełknął ślinę, po czym uzmysłowił sobie, że nie znajduje się tutaj fizycznie. Wszystko było złudzeniem.

– Musisz mi to wytłumaczyć, Gideon.

– Oczywiście – odparł Hallford, a potem wynurzył się z pochodni cieni.

Håkon z przerażeniem spojrzał w jego puste oczodoły i twarz, która przypominała raczej demona niż człowieka. Kości policzkowe wystawały, zęby były poczerńiałe, a skóra przywodziła na myśl spękaną skorupę.

– Nie mamy prawa kontaktować się z tym, który obecnie posiada *la'derach* – podjął Gideon. – Dysponujemy zbyt dużą wiedzą, znacznie przekraczającą percepcję istot na twojej

plaszczynie egzystencji. Gdybyśmy przypadkowo przekazali Posiadaczowi choćby jej skrawek, mogłoby to zachwiać fundamentem wymiarów.

Håkon milczał, patrząc ze wstrętem na Hallforda.

– Istnieją zasady, których nie powinniśmy łamać... i mechanizmy, których nie jesteśmy w stanie obejść. A przynajmniej nie byliśmy w stanie aż do dzisiaj.

– Ale...

– Zdecydowaliśmy, że nasza interwencja jest niezbędna, Håkon.

– Ale jak...

– Nie zadawaj pytań.

Lindberg potrząsnął głową.

– To będzie trudne, biorąc pod uwagę, ile ich mam.

– Nieistotne – odparł Gideon. – Liczy się tylko to, że udało nam się nawiązać porozumienie. Teraz możemy przywrócić wszystko do pierwotnej formy.

– Nie rozumiem.

Krąg znów się zacieśnił i Håkon poczuł nieprzyjemny zapach. Przez chwilę nie mógł stwierdzić, co konkretnie przypomina, ale potem odnalazł właściwą analogię. Spalenizna połączona z rzygowinami. W dodatku odór zdawał się zwiększać z każdą chwilą.

– Spowodowaliście wyłom w czasoprzestrzeni – odezwał się Hallford. – Zmieniliście linię czasu.

Lindberg na moment zamilkł, starając się zebrać myśli.

– Jeśli to prawda...

– Prawda – uciał Gideon.

– Więc... jeżeli... skoro rzeczywiście można zmienić bieg wydarzeń... to z pewnością nie byliśmy pierwsi.

– Nie, nie byliście.

Håkon potrząsnął głową.

– Więc w czym problem? Niech wszystko rozegra się na nowych warunkach.

– Wszystko już się rozegrało. I będzie wciąż się rozgrywać.

Lindberg mimowolnie dał krok w tył, nie myśląc o tym, że oddalając się od zjaw stojących przed nim, zbliża się do tych za plecami. Dopiero gdy sobie to uświadomił, wrócił na poprzednie miejsce.

– Czy oni muszą się przybliżyć?

– Są ciekawi.

– Ja też, ale niekoniecznie chcę ich oglądać i czuć z bliska.

– Jesteś drugim człowiekiem, jakiego widzieli.

Håkon zacisnął usta.

– Każ im spierdalać – powiedział stanowczo.

Hallford się nie odezwał, ale postacie przestały się do niego przysuwać. Nadal go okrężały – i nadal mógł usłyszeć szmer, ale smród zdawał się nieco zelżeć.

– Jak to się stało? – zapytał Lindberg. – W jaki sposób dokonaliśmy zmian?

Gdzieś w mroku rozległ się dziwny dźwięk przypominający rżenie zdezelowanego silnika na wysokich obrotach. Skandynaw nie chciał nawet myśleć, co to oznaczało.

– Linia czasu może ulec zmianie – powiedział Hallford. – Istnieje tylko jedna wersja zdarzeń, ale może być zmieniana.

– I?

– Z tego względu jest pilnie strzeżona. Ale nie w abstrakcyjny sposób, nie przez obiektywnego obserwatora. Jego punkt widzenia zmienia się, więc w istocie zawsze pozostaje subiektywny.

Håkon potarł skronie, licząc na to, że klarowne wyjaśnienia dopiero nadejdą.

– Kontrola czasu odbywa się poprzez skrupulatną obserwację tuneli – dodał Hallford. – Pilnujemy wyjść i wejść, wiedząc, w jakim kierunku odbywa się ruch. Obie prastare rasy dbają o to, by nie dokonywać wyłomu w ciągu zdarzeń, Håkon. Nie są jednak kontrolerami lotów, jak przypuszczała

Nozomi, a raczej strażnikami przy skarbcu w banku. Stoją tam, widząc każdego, kto nadchodzi. Nikt im nie umknie.

– Chyba że... ktoś zrobi podkop. Jak my.

– Zgadza się – potwierdził Gideon. – Ellyse i Channary weszły od drugiej strony. To nie powinno się zdarzyć. Tym samym zmieniły linię czasu.

– Wcześniej była już zmieniana – zaproponował Lindberg. – Choćby w trakcie *proelium*.

– Nie.

– Nie?

– Sam przecież udowodniłeś, że pozostała niezmienna – powiedział Hallford, a jego głos stał się bardziej szorstki. – Wszystkie zmiany, których twoim zdaniem dokonałeś, podróżując w tunelach na Rah'ma'dul, sprawiły, że ostatecznie rozegrało się to dokładnie tak, jak na początku.

Håkon skinął głową.

– Co konkretnie się teraz zmieniło? – zapytał Lindberg.

– Zbyt wiele, bym zdołał ci o wszystkim powiedzieć.

– W ten sposób nie przekonasz mnie, że linia czasu wymaga naprawy.

– Sądziłem, że w ogóle nie będę musiał cię przekonywać.

Lindberg uśmiechnął się pod nosem.

– Więc liczyłeś, że ot tak ci uwierzę?

– Posiadacze żyją w symbiozie, Håkon. Nie mamy powodu, by sobie nie ufać.

– Jedyna osoba, z którą żyję w symbiozie, to Ellyse.

– Niezupełnie.

Skandynaw po raz pierwszy pomyślał o tym, że wszystkie te widma musiały być nieustannie połączone z jego jaźnią. Widziały to, co on widział, czuły to, co czuł... były z nim podczas najintymniejszych chwil. Na tym polegała ich nieśmiertelność, uzmysłowił sobie Lindberg. Nie musiał nawet pytać, czy jego spostrzeżenia są prawidłowe. Wiedział, że tak jest.

– Musisz mi zaufać – odezwał się po chwili Hallford.

– Najpierw ty musisz pokazać, że ufasz mnie – odparował Håkon. – Co się zmieniło przez Ellyse i Sang?

Kocmołuch – czy raczej to, co z niego zostało – dał krok w tył, a potem znikł w pochodzie zjaw. Po chwili ich szepty stały się coraz głośniejsze, raz po raz rozbrzmiewało rżenie, ale Skandynaw nadal nie był w stanie wyłowić pojedynczych słów.

Miał wrażenie, że dochodzą z samej głębi nieistnienia, że są jedynie echem z otchłani.

Czekał, dostrzegając, że widma poruszają się coraz wolniej. W końcu się zatrzymały, a potem Hallford znów wyłonił się z szeregu.

– W wymiarze, który cię interesuje, zaszła jedna istotna zmiana – odezwał się. – Ludzkość przestała istnieć. Zamiar Ellyse nie został osiągnięty.

– Niemożliwe.

– Wasze statki zostały unicestwione na orbicie Rah'ma'dul – zaczął Gideon. – Ale zanim Diamentowi to zrobili, mieli z tobą i Ev'radatem nie lada problem. Wprawdzie wasz plan się nie powiódł, ale *Yan'ghati* udowodnili, że stanowią zagrożenie. Podobnie jak Ziemianie. Pojawiliście się jako nowy element, z którym trzeba się liczyć. Diamentowi postanowili pozbyć się zagrożenia.

Håkon czekał w milczeniu na dalszy ciąg.

– Wysłali całą armadę na Ziemię. Obrócili planetę w pył, zanim jeszcze rozpoczęły się problemy z terraformacją. Jak więc widzisz, główny motyw Ellyse doprowadził do zupełnej zagłady ludzkości.

Lindberg patrzył na jego demoniczne oblicze i zastanawiał się, na ile może mu wierzyć.

– Przenikamy twoje myśli, Håkon. Pamiętaj o tym.

– Co?

– Widzimy, co ty widzisz, czujemy, co czujesz... i trafiają do nas twoje myśli.

– Bynajmniej sobie tego nie życzę.

– Obawiam się, że nie masz wyboru.

W tej chwili tak naprawdę niespecjalnie go to interesowało. Większą uwagę skupiał na tym, co może zrobić – i co powinien zrobić.

– Wierz mi, że gdyby była inna możliwość zapobiegnięcia katastrofie, nie wzywalibyśmy cię przed nasze oblicze. Wymagało to podjęcia wielkiego ryzyka... i jeszcze większego wysiłku.

– O jakiej katastrofie mowa? – zapytał Lindberg, wbijając wzrok w puste oczodoły. – Wątpię, by Ziemia była dla twoich kumpli tak istotna jak dla nas.

– Masz rację.

– Więc?

– To, czego dokonaliście z Ev'radatem, było wielkim zwycięstwem *Yan'ghati*. Bez niego ruch oporu przestał się rozwijać, co miało poważne konsekwencje w kolejnych wiekach i ostatecznie doprowadziło do zdarzeń, które nie powinny zajść.

– To znaczy?

– Skup myśli na własnej planecie, Håkon.

– Chcę znać cały obraz.

– Ten obraz wykracza poza ramy galaktyki.

– Nie szkodzi.

Głosy naraz umilkły, a Lindberg poczuł nieprzyjemne zimno oplatające ciało. Wydawało mu się, że wszystkie widma skupiły wzrok na jego oczach.

– Dowiesz się wszystkiego, gdy do nas dołączysz – odparł Gideon. – A stanie się to już niedługo.

– Znaczy...

– To wszystko, co mogę ci wyjawić.

– I do tej pory mam po prostu wam zaufać?

– Tak.

Skandynaw toczył wzrokiem po cieniach. Szukał potwierdzenia, że wszystko, co usłyszał, jest prawdą – wiedział jednak, że go nie uzyska. Wiedział też, że ostatecznie postąpi tak, jak mu polecą. Mieli nad nim przewagę – i tylko dzięki nim mógł wejrzeć w przyszłość.

– W porządku – odezwał się w końcu. – Co proponujecie?

13

Håkon przypuszczał, że niełatwo będzie przekonać Ellyse. Szybko uzmysłowił sobie jednak, że była skłonna uwierzyć w słowa Hallforda szybciej niż on. Gdy skończył relacjonować jej wszystko, czego doświadczył, spuściła wzrok, a potem kiwnęła głową.

Przez godzinę trwała w milczeniu, nie odpowiadając na pytania Lindberga. Dopiero potem odezwała się słabym głosem:

– Powinnam była wiedzieć, że nie uda mi się wygrać z czasem.

– To nie twoja wina. Zrobiłaś, co mogłaś.

– Ale powinnam była wiedzieć, prawda?

– Wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej. Zresztą nadal może.

Nozomi spojrzała na niego z nadzieją w oczach.

– Naprawdę myślisz, że możemy ocalić Ziemię?

– Posiadacze twierdzą, że tak.

Wyraźnie się wzdrygnęła. Opowiadając jej o nich, nie pominął niczego. Zdała sobie sprawę, że te istoty znają każdy cal jej ciała tak dobrze jak on. Że ilekroć się kochali, nie byli sami. I nigdy nie będą.

Håkon spuścił wzrok i przez chwilę się nie poruszał. Potem podniósł spojrzenie na Ellyse. Czas odcisnął piętno na jej

obliczu – kąciki ust nieco opadły, wokół oczu pojawiły się zmarszczki, a włosy stawały się coraz radsze. Jego czas oszczędzał. Koncha dbała o długowieczność nosiciela.

– Byłam przekonana, że ich ratujemy...

– Wiem.

Potrząsnęła głową.

– Jak to zmienić? Z pomocą kapsuły?

– Nie. Ona, jak każde inne urządzenie mogące zaginać czasoprzestrzeń, będzie monitorowana. W ten sposób pilnują, czy...

– Wiem, już mówiłeś – przerwała mu, podnosząc się z fotela. Stała tuż przed nim, a potem ujęła go za ręce. – Więc jak?

– Chcą, byśmy zostali w tym czasie.

– Po co?

– Mają pewien plan. Długofalowy.

Błysk zrozumienia pojawił się w jej oczach. Nagle zdała sobie sprawę, dlaczego całą swoją opowieść wygłaszał tak przybity. Ścisnęła mocniej jego dłoń.

– Håkon... – powiedziała. – Czy ja dożyję końca tego planu?

– Nie.

Wziął ją w ramiona, a potem trwali tak przez jakiś czas, nie wiedział, jak długo. Od kiedy tylko Gideon zaczął przedstawiać mu, co planują, zdawał sobie sprawę, że będzie to jednoosobowa misja. *La'derach* sprawiała, że mógł przeżyć każdego na planecie... ale na tym nie kończyły się jej możliwości.

– Będziesz musiał mnie zostawić?

Skinął lekko głową.

Przez chwilę się nie odzywała. Nadal stali pośrodku pokoju, w ich własnym domu, który miał służyć za bezpieczną przystań aż do ich późnej starości. Chcieli założyć rodzinę – próbowali, choć bez skutku. Istniały sposoby, by temu zaradzić, i oboje wiedzieli, że prędzej czy później po nie sięgną.

Myśleli, że jedyną rzeczą, której mają pod dostatkiem, jest czas. Teraz okazało się, że tak nie było.

– Przepraszam – powiedziała Nozomi.

– Za co?

– Nie powinnam... nie powinnam była wszystkiego niszczyć.

– Los wszystko zepsuł, Ellyse.

Odsunął ją, a potem trzymając za ramiona, spojrzął jej w oczy.

– *Proelium* wszystko zniszczyło, Diamentowi wszystko zniszczyli... Ingo Freed, cała reszta... wszyscy, ale nie ty. Ty próbowałaś poskładać to z powrotem z małych kawałków.

– I nie udało mi się – odparła tonem, który dobrze znał. Oznaczał koniec dyskusji na ten temat. – Obiecuj mi, że to naprawisz.

Obiecał, choć wiedział, że nie powinien składać takiego przyrzeczenia.

Następnego dnia spakował niewielki plecak, ciepłe ubrania, a potem Ellyse odprowadziła go do portu. Transportowiec miał wylądować za pół godziny, co wydawało się niewystarczającym czasem, by się pożegnać.

– Jest szansa, że kiedykolwiek wrócisz? – zapytała.

– Zrobię wszystko, żeby tak się stało.

Objął ją, a ona położyła mu głowę na ramieniu.

– Będę na ciebie czekać – zapewniła.

Było to ostatnie, co od niej usłyszał. W milczeniu dotrwali do przybycia promu, a potem Håkon bez słowa wszedł na pokład. Do momentu, gdy zamknęła się śluza, patrzyli sobie w oczy. Potem Lindberg opadł ciężko na siedzisko.

Naprzeciw niego siedział brodac, który przypatrywał się ich rozstaniu.

– Niełatwa sprawa, co?

– Niełatwa – potwierdził Håkon.

– To ostatnie pożegnanie?

– Niestety.

Brodaty skinął głową.

– Wiesz pan, jak to mówią. Kilka kroków bliżej do nieba.

– Co?

– Do ponownego spotkania.

– Nie wierzę w takie rzeczy – uciął Skandynaw.

– Tak czy inaczej, w smutku łatwiej wyczekiwać śmierci.

Lindberg skinął głową, nie odpowiadając. Wiedział, że nigdy nie zobaczy Ellyse – i nawet gdyby był wierzący, trudno byłoby sądzić, że spotkają się w zaświatach. Na niego czekał cały szereg widm. I miał wrażenie, że niebawem do nich dołączy.

Musiał tylko wypełnić swoje zadanie.

14

Na to, co zaplanowali Posiadacze, funduszy miał aż nadto. Zaraz po tym, jak wylądował na kontynencie, udał się do pierwszego lepszego biura podróży i zamówił lot na przylądek Canaveral.

Wiedział, że musi spędzić tam kilka tygodni, zanim weźmie się do roboty. Wynajął niewielki dom w dobrej dzielnicy Morningside Heights na Merritt Island, a potem zaczął przygotowania. Musiał zadbać o kilka rzeczy, w tym o swoją kondycję. Codziennie rano wybiegał na Albatross Street, a potem truchtał kilka kilometrów wzdłuż wybrzeża. Zapisał się do klubu aeropiłki i chodził na treningi dwa razy w tygodniu.

Nabył kilka niezbędnych rzeczy w paru sklepach elektronicznych rozsianych po hrabstwie, a potem czekał. Oglądał na bieżąco relacje z przygotowań do misji Ara Maxima. Wyznaczono już datę startu – statki miały opuścić Ziemię za trzy miesiące.

Media zapewniały, że po burzliwej międzynarodowej debacie skład załóg został ostatecznie zaakceptowany. Personel

kolonizacyjny miał odzwierciedlać to, co najlepsze na planecie.

Nikt nie wspomniał nawet słowem, że ISS Challenger ma na pokładzie zarodki. Håkon przypuszczał kiedyś, że w tym okresie po prostu nie interesowano się przesadnie tak małą jednostką – i nie budziło niczyjej podejrzliwości, że wysyła się ją razem z flotą Ara Maxima. Teraz przekonał się, że nie przeszło to bez echa.

Na jednym z videoblogów wątpliwości w tym względzie podnosiła jakaś dziewczyna. Zauważała, że jest w tym coś podejrzanego – i trudno było odmówić jej wnikliwości. Jej kanał szybko znikł z międzyplanetarnej płaszczyzny blogosfery. Lindberg chciał pójść tym tropem, ale ostatecznie stwierdził, że może to doprowadzić do wykrycia go – i tym samym pokrzyżowania planów Posiadaczy.

Ci wracali do niego raz po raz, zawsze kiedy był sam. Rozmowy nie należały do najprzyjemniejszych i po każdej z nich Håkon potrzebował czasu, by dojść do siebie.

Zawsze okrążali go niczym sępy padlinę – czy raczej dobrego kandydata na padlinę. Sądził, że ta analogia jest trafiona.

– Wszystkie elementy są na miejscu – oznajmił mu przy którejś okazji Gideon.

Skandynaw skinął głową, starając się ignorować pozostałe widma. Zaczynał oswajać się z niepokojącą świadomością, że tak mogą wyglądać zaświaty. Może nie tylko dla tych, którzy mieli za życia konchę – może w podobne miejsca trafiały inne dusze.

Ze względu na niepokój, jakim napawały go te zjawy, nie była to najlepsza perspektywa dla ludzkości.

– Dokąd mam się udać? – zapytał.

– Na główną wyspę.

– A dokładnie?

– Na East Merritt Island Causeway znajduje się pewien hotel.

– Wiem, Clarion – odparł Håkon. – Byłem tam kiedyś.

– Raczej będziesz.

Miał rację. Jeśli do startu misji Ara Maxima pozostały trzy miesiące, niebawem zjawi się na przylądku Canaveral i zamieszka na jakiś czas w tym hotelu. Obecnie jego młodsze alter ego znajdowało się w Detroit, gdzie podszkalano go w temacie reagowania na sytuacje awaryjne. Lindberg miał ochotę pojechać tam i przekazać wszystkim tym instruktorom, że ich rady są tak cenne jak słowo honoru zawodowego łgarza.

Potem będzie miał dwa tygodnie na pożegnanie się z rodziną i znajomymi. Nie będzie łatwo, ale media robiły swoje, oswajając wszystkich z tym, co prędzej czy później musiało nastąpić. Gdy ten niespecjalnie wygodny etap się zakończy, armia przeniesie go na stałe do ośrodka na przylądku. Do tej pory wybudowano już tam niewielkie miasteczko, w którym na półtora miesiąca zamieszkają członkowie misji Ara Maxima. Będą strzeżeni dzień i noc, a ich kontakty zostaną ograniczone do minimum – po długich debatach ustalono, że przedwczesne interakcje mogą doprowadzić do powstania uprzedzeń czy nawet do scysji.

Uznano, że załogi statków na dobre poznają się dopiero po przybyciu do miejsc docelowych. Teraz będą widywać się raz na tydzień, co nie sprzyjało ani nawiązywaniu znajomości, ani generowaniu konfliktów. Grupy były tak liczne, że nie sposób było zapamiętać choćby części twarzy.

– Wiesz, co będzie potem? – zapytał Hallford, przerywając jego rozmyślenia.

– Oczywiście. Sam w tym uczestniczyłem, prawda?

– To było wiele lat temu.

– Obiektywnie rzecz biorąc, kilkaset.

Gideon milczał. Widma krążyły wokół w swoim apatycznym tańcu.

– Jesteś gotowy?

– Na tyle, na ile mogę być.

– Więc zaczynaj.

Håkon nie zdążył nawet skinąć głową – Posiadacze szybko przerwali połączenie. Ocknął się na podłodze wynajmowanego domu w stroju do biegania. Potrzebował chwili, by stwierdzić, gdzie jest i co się stało. Powroty stawały się coraz trudniejsze.

Przeszedł do pokoju, a potem otworzył sejf i wyjął *la'derach*. Gorączkowo przyłożył ją do twarzy, jakby stanowiła remedium na wszystkie problemy. Gdy tylko przyłgnęła do kości policzkowych, poczuł się błogo.

Następnego dnia zwlókł się z łóżka, czując rodzący się ból głowy. Wiedział, że przesadził wczoraj z konchą, zbyt długo miał ją na twarzy. Poszedł pod prysznic, orzeźwił się, a potem znów stanął przed sejfem.

Tym razem wyciągnął z niego to, co sklecił z części zakupionych w sklepach elektronicznych. Niegdyś w ten sposób budowało się amatorskie ładunki wybuchowe, zwane IED-ami. Teraz na Ziemi był jeden człowiek, który dzięki wiedzy przekazanej przez konchę był w stanie zbudować impulsator. A przynajmniej coś zbliżonego do tej jeszcze niewynalezionej broni.

Håkon wrzucił wszystko do plecaka, a potem zamknął mieszkanie na cztery spusty, przypuszczając, że już do niego nie wróci. Wynajął niewielki domek letniskowy na przedmieściach Orlando, niecałe sto kilometrów od Hotelu Clarion.

Wsiadł do białego forda i pojechał w wyznaczone miejsce. Zatrzymał się w uliczce na tyłach hotelu, a potem wysiadł z samochodu, zostawiając otwarte drzwi.

Stanął za rogiem budynku, wyciągnął impulsator i czekał.

Posiadacze zapewniali Lindberga, że Dija Udin zjawi się niebawem.

I nie pomylili się.

Precyzyjnie o podanej porze, z dokładnością co do sekundy, Håkon dostrzegł dawnego przyjaciela. Szedł samotnie w kierunku uliczki, leniwie spoglądając w górę, zupełnie nieświadomy tego, co go czeka. Lindberg dał kilka kroków w tył, wchodząc głębiej w uliczkę.

Gdy tylko Alhassan wyłonił się zza rogu, Skandynaw do niego wycelował.

– Co to ma być? – zapytał Dija Udin, zatrzymując się jak rażony piorunem. – Kim ty jesteś, sukin...

Håkon oddał strzał. Z takiej odległości nie musiał martwić się, że chybi. Wiązka z impulsatora pomknęła z prędkością tak dużą, że była niemal niezauważalna. Ułamek sekundy po tym, jak Lindberg nacisnął spust, Alhassan leżał nieprzytomny na ziemi.

Skandynaw rozejrzał się, po czym zaciągnął go do samochodu. Nie musiał nawet go krępować – efekt działania impulsatora utrzyma się przynajmniej przez kilka godzin. A podróż do domku przy Lake Jesup zabierze najwyżej kilkadziesiąt minut.

Zaparkowawszy pod budynkiem, Håkon uznał, że wybrał idealne miejsce. Naturalną barierę przed wścibskimi oczami stanowiły gęste drzewa, a w okolicy nie było innych domostw. Idealnie.

W jednym z pokoi znajdowało się metalowe krzesło – i nic ponadto.

Posadził na nim Dija Udina, po czym przywiązał go pasami, które nabył w sklepie z akcesoriami samochodowymi. Rzekomo miały utrzymać samochód na holu, więc tym bardziej poradzą sobie z Alhassanem.

Zrobił głęboki wdech, patrząc na swoje dzieło. Sprawdził jeszcze raz, czy Dija Udinowi nie uda się wyswobodzić, a następnie przeszedł do drugiego pokoju, zostawiając drzwi otwarte.

Gdy po kilku godzinach usłyszał, że Alhassan się przebudził, wrócił do niego.

– Co to ma, kurwa, być! – krzyknął muzułmanin, miotając się na krześle. – Ratunku! Ludzie, pomocy!

– Nie drzyj się.

– Porwano mnie, kurwa!

– Będziesz spokojny, nic ci się nie stanie.

– Porwali mnie! Zgwałcą mnie!

Lindberg patrzył na niego z niedowierzaniem. Alhassan oddychał płytko, błędząc wzrokiem po pokoju.

– Halo, kurwa, halo! Policja!

– Obawiam się, że w promieniu kilku kilometrów nikogo nie ma.

– Pomocy!

– Słuchaj... – rzucił pod nosem Håkon. – Jeden moment spokoju w czasie paniki uchroni cię przed tysiącem problemów.

Alhassan na moment zamilkł. Może przypomniał sobie, że coś podobnego powiedział kiedyś Ali ibn Abi Talib, pierwszy imam szyitów i wierny towarzysz Mahometa. Lindberg znał ten cytat tylko dlatego, że usłyszał go niegdyś od przyjaciela.

Dija Udin zawahał się, a potem zaczął kołysać się w przód i w tył, próbując przewrócić krzesło. Skandynaw pochwalił się w duchu za to, że wcześniej o tym pomyślał i przytwierdził je do podłogi. Przypuszczał zresztą, że to kolebanie się jest niczym w porównaniu z tym, jak Alhassan będzie się rzucał później.

– Przestajesz?

– Błagam! Ktokolwiek!

– Wiem przecież, że sprawdzasz tylko, na ile możesz sobie pozwolić.

– Ludzie!

– Nie boisz się – dodał Håkon. – Bo nie jesteś zaprogramowany, by obawiać się czegokolwiek w takiej

sytuacji.

Wzrok Dija Udina znieruchomiał.

– Coś ty powiedział?

– To, co słyszałeś.

– Z którego psychiatryka cię wypuścili? I przede wszystkim dlaczego?

– Wiem, czym jesteś, Dija Udin.

– I wzajemnie – odparł Alhassan, nie odrywając spojrzenia od jego oczu. – Jesteś najbardziej pierdolniętym człowiekiem, jakiego w życiu spotkałem. A gwarantuję ci, że trochę się ich przewinęło.

Håkon wzruszył ramionami, nie mając zamiaru polemizować.

– Czego ode mnie chcesz? – zapytał Dija Udin. – Wiem, że wyglądam na bogacza, ale jestem goły jak...

– Zamknij japę.

– Sam zamknij, ty parszywy...

– Przebywasz na Ziemi od dziewiętnastego wieku – uciał Lindberg. – Przysłano cię tutaj, byś wprowadził wirusa do komputera pokładowego ISS Accipitera. Masz zadbać o to, by ocalałe statki czuły imperatyw wygrania *proelium* i by wszyscy sądzili, że to jedyny sposób na uratowanie ludzkości.

Wyraz twarzy Alhassana drastycznie się zmienił.

Teraz nie miał nic wspólnego z tym Dija Udinem, którego Håkon nazywał przyjacielem. Patrzył na niego z chłodem, który mógł emanować jedynie ze sztucznych oczu niebędących tworem natury.

– Pochodzisz z przyszłości – odezwał się beznamiętnym głosem.

– Zgadza się.

Alhassan sprawiał wrażenie, jakby za moment miał rozerwać krępujące go więzy i rzucić się na Skandynawa. Nie wyglądał na pokonanego – raczej na wyczekującego.

– Jak dowiedziałeś się, że...

– Byliśmy razem na Accipiterze.

– Håkon Lindberg?

Skandynaw kiwnął głową, a rozmówca zmrużył oczy i dopiero teraz porządnie mu się przyjrzał.

– Nie wyglądasz jak on.

– Trochę lat minęło, a oprócz tego *la'derach* odcisnęła piętno na tym, co zazwyczaj nazywasz moją parszywą gębą.

Gdy tylko Dija Udin usłyszał nazwę konchy, natychmiast pobladł. Dopiero teraz wyglądał, jakby był przegranym w tym starciu. Spuścił wzrok i trwał przez moment w ciszy.

– Jak to się stało? – zapytał w końcu. – Jakim cudem tu jesteś i nikt nie zareagował?

– Wyrwa w czasoprzestrzeni.

– Że co? – zachnął się Alhassan. – Chyba wyrwa w twoim mózgu. Co ty pieprzysz?

– Będzie jeszcze sporo czasu, żebyśmy wszystko omówili.

Dija Udin przewrócił oczami.

– Jak cholera będzie czasu – odparował. – Zaraz mnie zabijesz. Widzę to w twoich przebrzydłych ślepiach, skurwielu.

– Zwykleś nazywać mnie raczej sukinsynem.

– Mało mnie to obchodzi. Rób, co masz robić.

– Ot tak? – zapytał Lindberg z powątpiewaniem. – Tylko tyle trzeba, żeby instynkt samozachowawczy w twoim programowaniu przestał działać?

Dija Udin odcharknął przeciągle, więc Håkon szybko wycofał się za próg. Dobrze wiedział, czego udało mu się uniknąć. Splunięcie rozległo się chwilę później.

– Wejdz tu.

– Nie.

– Wchodź! Mam jeszcze sporo śliny.

– Poczekam.

Odpowiedziała mu cisza. Skandynaw oparł się plecami o ścianę i odchyliwszy głowę, zamknął oczy. Wiedział, że czeka

go trudna przeprawa. Teraz prowadzili jedynie grę wstępną, swoistą zabawę, ale gdy przyjdzie co do czego, będzie ostro.

– Nie zamierzam odbierać ci życia, Dija Udin – odezwał się po chwili Håkon.

– Więc co chcesz zrobić?

– To, co planowałem od samego początku.

– Czyli?

– Przeprogramować twój głupawy umysł.

– Powodzenia.

Koncha od samego początku napełniała go przekonaniem, że musi to zrobić. W jakiś sposób przewidziała kolej zdarzeń – nie zdołała tylko uświadomić mu, że odkupienie grzechów przez Dija Udina zdarzy się w przeszłości, nie przyszłości.

Od dawna próbowała mu coś powiedzieć. Kiedy wybudził Alhassana po powrocie na Ziemię, był przekonany, że ma to związek ze startem Kennedy’ego. Wiedział, że coś więcej jest na rzeczy, ale nie rozumiał co. Teraz dopiero pojął, że wówczas nie potrafił jeszcze odpowiednio zinterpretować tego, co próbowało dobić się do niego z innej płaszczyzny egzystencji. Nie chodziło o start Kennedy’ego, ale misji Ara Maxima. To ten moment był kluczowy dla całego wszechświata.

Lindberg osunął się po ścianie, nadal z zamkniętymi oczami. Czekał, aż Posiadacze nawiążą połączenie. Obserwowali rozwój wydarzeń, więc było to tylko kwestią czasu.

Ledwo usiadł, pojawili się. Mrok opadł przed oczami Håkona, a po chwili wynurzyły się z niego niewyraźne postacie. Poczuł znaną dezorientację i jego umysł potrzebował chwili, by zaskoczyć na odpowiednie tory.

– Ująłeś zdrajcę – odezwał się Hallford.

– Tak, ale to dopiero początek. Za wcześnie na świętowanie.

Widma zaszumiały jak wierzby na wietrze. Lindberg poczuł się niekomfortowo.

– Zajmiemy się resztą.

– Słucham?

– Wystarczy, że umieścisz *la'derach* na stałe na twarzy zdrajcy. My zajmiemy się resztą.

– Musicie mi wybaczyć, ale nie...

– Miej wiarę, Håkon.

W kontaktach z tymi istotami często pojawiały się takie żądania. Były niepokojące, bo kazały Skandynawowi sądzić, że całe to mroczne gremium ma coś wspólnego z religią. Ostatnim, czego by chciał, było odkrycie, że ma do czynienia z tworam, które ludzkość zna od pokoleń.

Kołatało mu się w głowie pytanie o to, kim są pozostali Posiadacze. Wiedział, że widma je słyszą, a mimo to Gideon nie zająknął się na ten temat słowem.

– Musisz stopniowo przyzwyczajać go do *la'derach*.

– Wiem.

– Nie masz jednak wiele czasu.

– To też wiem. Za dwa tygodnie Dija Udin musi stawić się na przykładku Canaveral.

– Bierz się do pracy.

Wrócił do świata żywych. Towarzyszyły temu ból głowy i nudności – coraz bardziej dokuczliwe. Tym razem szarpnął nim spazm, ale zdołał nie zwymiotować. Podniósł się ociężale z podłogi.

– Te, porowacz – odezwał się Alhassan. – Rzygasz tam?

– Nie.

– Może masz zamiar paść trupem? Rozwiązałyby to kilka moich problemów.

– Jeszcze nie teraz – odparł Lindberg, po czym sięgnął do szafki kuchennej, gdzie trzymał konchę. Wyjął ją i ruszył w kierunku pokoju. Przed progiem zatrzymał się i po chwilowym zastanowieniu założył ją.

Było to cudowne uczucie. Krew w żyłach zaczęła szybciej płynąć, wzrok się wyostrzył, płuca wypełniły się powietrzem, a mięśnie stały się bardziej zbite.

Wrócił do Dija Udina z przekonaniem, że uda mu się wypełnić misję.

– Ożeż kurwa... – powiedział Alhassan na widok maski. – Idź precz.

– Spokojnie.

– Przepadnij w piździec!

– Uspokój się, Dija Udin. Będzie mniej bolało.

– Ratunku!

Skandynaw zatrzymał się przed nim i spojrzał na niego z góry.

– Nie martw się – powiedział. – Już raz to przerabialiśmy. Wiem dokładnie, co robić.

16

Ten sam scenariusz powtarzał się przez kilka kolejnych dni – Håkon zakładał swojemu jeńcowi konchę na kilka chwil, a potem dawał mu odetchnąć. Dija Udin wył wniebogłose, spływając potem i rzucając się na boki. Dopiero teraz przytwierdzenie krzesła do podłogi naprawdę się przydało.

Alhassan krzyczał, obrażał go, groził... a potem błagał, by przestał go torturować. Ostatnim razem, gdy Lindberg stosował tę technikę, przyjaciel wyśpiewał mu wszystko, co chciał wiedzieć. Wtedy Skandynaw osiągnął cel, więc ostatecznie przerwał te męczarnie – tym razem nie mógł tego zrobić.

Po nieco ponad tygodniu Dija Udin przyzwyczyił się do konchy. Tak jak przy podawaniu małych dawek trucizny robi to organizm ludzki.

– Żyjesz, sukinsynu? – zapytał go Håkon.

– Będiesz palił się w piekle... twoja skóra będzie obracała się w popiół, a potem odrastała... i tak do końca świata...

– Nie sądzę, bym trafił do islamskiego piekła.

– Jest tylko jedno...

Lindberg pochylił się nad jeńcem.

– Dobrze się czujesz?

– Na tyle dobrze, żeby ubić cię jak knura, gdy tylko mnie...

Håkon przytknął mu konczę do twarzy. Tym razem nie rozległ się krzyk ani nawet zduszony wyraz protestu. Dija Udin siedział bez ruchu, akceptując to, co się stało. Astrochemik odczekał chwilę i gdy stwierdził, że wszystko jest w porządku, wyprostował się.

– Wyruszasz w ciekawą podróż, Alhassan.

– Goń... się...

– Kiedy wrócisz, będziesz już zupełnie innym człowiekiem.

– Nie... jestem... czło...

Urwał, a jego głowa opadła w tył.

Håkon przypuszczał, że do jego umysłu dobrali się teraz Posiadacze. Było coś niebezpiecznego w dopuszczaniu Dija Udina do tamtego świata, ale skoro byli przekonani, że nie stanowi dla nich niebezpieczeństwa, Lindberg nie miał zamiaru o tym wspominać.

Czekał, obserwując dawnego przyjaciela.

Ten raz po raz miewał skurcze mięśni, ale prócz tego się nie poruszał. Håkon próbował nawiązać z nim kontakt – bezskutecznie. Mijały godziny i nic się nie działo. W umyśle Alhassana zapewne trwała heroiczna walka o utrzymanie dawnego programowania – a gdzieś na styku tego świata z innym grupa Posiadaczy robiła wszystko, by przełamać ten opór.

Lindberg nie wiedział, co dokładnie planowali. Przypuszczał jednak, że gdy Dija Udin się obudzi, linia czasu znajdzie się na najlepszej drodze ku zmianie. O ile oczywiście Alhassan zdoła wrócić do świata żywych.

Kilka godzin później uniósł głowę. Håkon siedział przy ścianie naprzeciw, popijając piwo. Ledwo Dija Udin drgnął,

Skandynaw się podniósł. Podeszedł do niego i wyciągnął rękę, by zdjąć mu konchę.

– Sam się pozbędę tego barachła – burknął Alhassan. – Jak tylko rozwiążesz mi rękę.

– Zrobię to, jak tylko...

– Oj, daj sobie, kurwa, spokój.

Ściągnął *la'derach*, po czym przyjrzał się obliczu Dija Uдина. Nie widać było na nim śladu maski.

– No, szybko – dodał Alhassan. – Zamień z nimi parę zdań, upewnij się, że wszystko jest okej, a potem mnie wyswobodź. Mam kilka rzeczy do zrobienia i nie zalicza się do nich patrzenie na twoją gębę, której mam już serdecznie dosyć.

Håkon zbliżył konchę do twarzy. Wiedział dokładnie, czego może się spodziewać. Widział to w oczach przyjaciela.

– Wiedziałeś, że ta banda strzyg obserwowała, jak grzmociliście się z Ellyse?

– Co? Skąd...

– Wiem teraz więcej, niż mógłbyś przypuszczać.

– Jak?

– Wyposażyli mnie w twoje wspomnienia, sukinsynu.

– Ale...

– Przestań dukać, zakładaj ten pokrowiec na ryj i miejmy to za sobą.

– To znaczy, że jesteś...

– Mniej więcej tym samym cudownym Dija Udinem, którego znasz – uciął. – A teraz możemy brać się do roboty? Sprzykrzyło mi się tkwienie tu jak kretyn.

Håkon kiwnął głową, a potem założył *la'derach*. Stracił zupełnie inicjatywę, ale było to do przewidzenia. Nie miał tylko pojęcia, że Posiadacze zaufają Alhasannowi na tyle, by przekazać mu całą jego wiedzę.

Gdy znalazł się w kręgu cieni, poczuł dezorientację znacznie większą niż dotychczas. Rozejrzał się, nic nie rozumiejąc.

Dopiero gdy z szeregu widm wyłonił się Gideon, Lindberg zrozumiał, gdzie jest.

– Coraz gorzej ze mną – powiedział, podnosząc się.

– Nie. Coraz lepiej.

– Słucham?

– Jesteś coraz bliżej nas.

– Was, czyli śmierci.

– Tak.

Håkon powiódł wzrokiem po otaczających go cieniach. Przestały go okrążyć, wydawały się względnie niezainteresowane jego obecnością. Przemknęło mu przez głowę, że istoty te mogą być zmęczone. Z pewnością walka z umysłem Dija Uдина kosztowała je trochę sił.

– Udało się? – zapytał Skandynaw.

– Tak.

– Więc co teraz?

– Ciąg zdarzeń ulegnie zmianie. Naprawimy wszystko, co zostało zniszczone.

– W jaki sposób?

– Nie musisz się o to martwić.

– A jednak chciałbym wiedzieć.

– Chciałbyś wiedzieć znacznie więcej – zauważył Hallford. – I jeśli masz poznać odpowiedzi, proponuję, byś zrobił to, zanim Dija Udin wyruszy w drogę.

Zanim Lindberg zdążył o cokolwiek zapytać, połączenie zostało zerwane. Na powrót znalazł się w domku letniskowym przy Lake Jesup. Tym razem zwymiotował wprost do konchy, jednocześnie osuwając się na podłogę.

– No pięknie – usłyszał głos Alhassana. – Ja już na pewno więcej tego nie założę.

Lindberg zerwał maskę z twarzy, rozbryzgując wokół wymiociny.

– Ohyda – skwitował muzułmanin. – Myślisz, że można to myć? Powinna być wodoodporna, skoro wytrzymała tyle

w piachu, nim Reddington ją odkopał, ale... sam nie wiem.

Håkon wsparł się na rękach i spojrzał na niego z niedowierzaniem. Potem otarł rękawem usta, czując nieprzyjemny, kwaśny posmak.

– Zbladłeś – zauważył Dija Udin.

– Co ty powiesz?

– Przekonali cię, że jestem po waszej stronie?

– Tak.

– Świetnie. Możemy ponownie się zbratać. Jak już porządnie wyszczotkujesz zęby.

– Nie mam zamiaru się z tobą bratać.

– To chociaż mnie rozwiąż – odparł Alhassan, potrząsając spętanymi rękoma. – Tylko nie kieruj ku mnie tych swoich wyziewów.

Skandynaw z trudem wstał, a potem obszedł Dija Udina.

– Musisz skończyć z tymi wyprawami na tamten świat – dodał muzułmanin. – Chyba że masz zamiar zrobić jedną, a porządną.

– Obawiam się, że los ma to w planach.

– Płakać nie będę.

Lindberg odwiązał go, a potem odsunął się o krok. Wiedział, że Posiadacze musieli mieć pewność, że nie wywinie żadnego numeru, a mimo to Håkon nie czuł się bezpiecznie. Zbyt wiele zależało od Alhassana.

– Co tak spozierasz? – bąknął Dija Udin. – Nawróconego nigdy nie widziałeś?

– Wiesz, co masz robić?

– Wiem doskonale – odparł, przechodząc do kuchni. – Napić się.

– Miałem na myśli dalszą perspektywę.

Alhassan zatrzymał się, a potem obrócił do Skandynawa.

– Wiem, co mam robić – powiedział poważnym, nie swoim głosem. – I żałuję, że nie będziesz mógł zobaczyć zmian,

których dokonam. Stracisz całą wiedzę o tym, co się wydarzyło.

Lindberg wskazał na krzesło.

– Siadaj – powiedział, a potem wyciągnął z lodówki dwa piwa. – I opowiadaj, krok po kroku, co zamierzasz zrobić.

Opróżnili jeszcze kilka butelek, nim Dija Udin skończył. Gdy jego głos przebrzmiał, Håkon miał przekonanie, że wszystko da się jeszcze naprawić – doprowadzić do formy, jaka miała istnieć, nim zaczęli igrać z oszukiwaniem śmierci. To był moment, w którym wszystko poszło źle. Gdyby zginął na Tristan da Cunha, nigdy nie doszłoby do ciągu zdarzeń, który doprowadził do zmian w linii czasu. Śmierć najwyraźniej nie lubiła być oszukiwana.

17

Dija Udin przechadzał się po pokładzie Accipitera z przedziwnym uczuciem. Był tu po raz pierwszy, ale doskonale znał każdy korytarz, a część z nich przywodziła mu na myśl krwawą łaźnię. Mimo że śmierć załogi była dopiero przed nim, doskonale pamiętał widok ich porozrywanych ciał, wnętrzości spływających po podłodze i smród ekskrementów.

Za pomocą konchy Posiadacze wtłoczyli w niego wszystkie wspomnienia Håkona. Były jak fantomat, który wyświetlało się do znudzenia od dzieciństwa. Można było cytować wypowiedzi wszystkich postaci, pamiętało się nawet ich intonację.

– Nawigator? – zapytał jakiś wysoki mężczyzna, zatrzymując go na korytarzu.

– Niestety. Parszywa robota, w dodatku nudna. Nie dość, że...

– Pomieszczenie kriogeniczne jest tam – przerwał mu żołnierz, wskazując kierunek.

- Sen jeszcze mnie nie morzy.
- Za godzinę wszyscy mają znajdować się w diapauzie.

ISS Accipiter opuszczał już Układ Słoneczny wraz z innymi statkami misji Ara Maxima. Kamery orbitalne śledziły każdy ich ruch, dopóki okręty nie wyszły z zasięgu. Teraz dopełniano ostatnich procedur kontrolnych, a potem wszyscy zapadną w kriogeniczny sen – w zamierzeniu na kilkadziesiąt lat, w rzeczywistości większość na zawsze.

Było coś przyjemnego w tym, że Dija Udin jako jedyny zdawał sobie z tego sprawę.

- Masz jakiś problem? – zapytał żołnierz.
- Żeby to jeden.
- W takim razie...
- Na szczęście żaden nie wiąże się z tą misją – odparł Alhassan i poklepawszy mężczyznę po plecach, udał się w wyznaczonym kierunku. By załadować wirusa, który rozejdzie się potem po wszystkich statkach, musiał jedynie położyć się do snu odpowiednio wcześniej.

Jeśli wszystkie będą znajdowały się w zasięgu komunikacji podświetlonej, program roznie się po ich komputerach pokładowych jak pył na wietrze. Misja Ara Maxima w jednej chwili stanie się ostatnim wielkim przedsięwzięciem ludzkości.

Posiadacze zastanawiali się, czy nie powinni tego zmienić. Ostatecznie jednak doszli do wniosku, że wszystko musi rozegrać się dokładnie tak, jak poprzednio. Dija Udin nie wiedział dlaczego. Coś wydarzyło się w odległej przyszłości – coś wykraczającego poza ramy tej galaktyki. I aby ponownie mogło zaistnieć, ciąg zdarzeń musiał zostać odtworzony.

Alhassan położył się w kapsule do diapauzy i powiódł wzrokiem wokół. Nikt z tych ludzi się już nie obudzi. Jedynymi ocalałymi będą on i Håkon.

Zamknął oczy, a potem szyba nad nim się zasunęła.

Wszystko potoczyło się identycznie z tym, co pamiętał. Zbudził się, gdy wyły systemy alarmowe, a czerwone światło

zalewało pomieszczenie. Z trudem wyszedł z komory, a potem dostrzegł dowódcę, który słał się na nogach, łapiąc się za głowę.

Przypomniawszy sobie, że we wspomnieniach Lindberga ten człowiek zmarł, upadając na osłonę jego komory. Trzeba było to powtórzyć.

Zdezorientowany oficer rozejrzał się panicznie, nie dostrzegając, że jeden z załogantów przeżył i skrył się za kapsułą. Potem dowódca popędził na korytarz, a Dija Udin natychmiast ruszył za nim.

Nie spieszył się. Doskonale wiedział, gdzie zaraz będzie mógł go odnaleźć. Po drodze udał się do zbrojowni, skąd zabrał standardową berettę. Tak wyposażony, poszedł dokonać dzieła.

Zaatakował kapitana od tyłu, rzucając ciało na osłonę kabiny. Strzał w potylicę skutecznie usuwał niebezpieczeństwo, że ofiara przeżyje. Krew i mózgowie bryznęły na ścianę, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Wpasowywało się w ogólny obraz.

Pozwolił, by ciało oficera osunęło się po osłonie, po czym otworzył kriokomorę Lindberga. Ten wypadł z niej, przywodząc na myśl noworodka. Alhassan przez moment patrzył na niego z góry.

– Przestań się toczyć jak poparzony – powiedział.

Gdy Dija Udin się nad nim pochylał, dostrzegł, że Håkon próbuje coś powiedzieć.

– Nie szarp się, wszystko jest w porządku – zapewnił go, a potem spojrzawszy na swoją plaketkę z imieniem i nazwiskiem na piersi. – Dija Udin.

Powtórzenie wydarzeń okazało się nie lada wyzwaniem. Mimo że Alhassan znał każdy krok, który powinien postawić, wszystko zdawało się działać na jego niekorzyść.

Przemknęło mu przez głowę, że być może wszystko, co robi, jest dokładnym wypełnieniem tego, co już się stało. Wszak we wspomnieniach Lindberga kapitan Accipitera też padł na osłonę komory – ale dlaczego Alhassan miałby go wówczas zabijać? Teraz zrobił to tylko dlatego, że faceta nie było w poprzedniej linii czasu.

Długo się nad tym zastanawiał, ale nie udało mu się dojść do żadnej sensownej konkluzji.

ISS Accipiter nadał sygnał o treści „Rah’ma’dul” do przekaźnika na Alpha Centauri Bb, a potem machina czasu poszła w ruch. Kennedy został wysłany na ratunek, a Alhassan z Lindbergiem spędzili półroczny interwał kriogeniczny na pokładzie swojego okrętu, skacząc sobie do gardeł.

Potem obie załogi udały się na *proelium*, zupełnie nieświadome tego, w jakim kierunku zmierzają. Dija Udin z zadowoleniem obserwował pierwsze kroki, jakie stawiali ku sobie Ellyse i Skandynaw. Cierpliwie czekał, aż dojdą do tego, jak otworzyć Terminal na Rah’ma’dul, a potem nim sterować. Wyciągał pomocną dłoń, tylko jeśli wcześniej zdarzyło się to w oryginalnej linii czasu.

Sądził, że jego wiedza o przyszłości w jakiś sposób zakłóci plan Posiadaczy, ale dotychczas wszystko rozgrywało się dokładnie tak, jak we wspomnieniach Skandynawa.

W końcu Dija Udina zamknięto w celi, a Lindberg zaczął błąkać się po bezbrzeżnej płaszczyźnie czasu i przestrzeni, poszukując *Yan’ghati*. Alhassan wiedział, że niewiele czasu pozostało, nim wejdą w diapauzę i niepostrzeżenie uciekną z *proelium*, zostawiając za sobą ślady świadczące o tym, że w istocie tak się nie stało.

Tyle tylko, że tym razem pojawiała się Ellyse z przyszłości.

Posiadacze nie mieli pojęcia, kiedy dokładnie nastąpi zmiana wywołana jej obecnością, ale doskonale wiedzieli, w jakim momencie Nozomi się pojawiła. Wytypowali dwie okazje, gdy Prastarzy mogli zadziałać – i Alhassanowi pozostawili decyzję, kiedy powinien wprawić w ruch ich plan.

Pierwszy moment minął. Było to jeszcze zanim Lindberg wszedł do Terminala i zaczął błąkać się po tunelach. Dija Udin nie sądził, by ktokolwiek miał interweniować – Prastarym zależało, by Skandynaw odnalazł *Yan'ghati* i naświetlił ich obecność.

Fakt, że Kennedy nadal był w jednym kawałku, świadczył o tym, że Alhassan miał rację. Pozostała druga możliwość – atak nastąpi zaraz po tym, jak Håkon powróci. Dija Udin wiedział, że będzie wtedy w celi, ale zawczasu przygotował wszystko, czego będzie potrzebował, by się z niej niepostrzeżenie wymknąć.

Algorytm wprowadzony do komputera pokładowego zadziałał bez zarzutu. Drzwi się otworzyły, a Dija Udin szybko opuścił nie tylko celę, ale także Kennedy'ego. Z konchą z przyszłości udał się do Terminala, a potem wprowadził odpowiedni punkt docelowy.

Wyszedł w bezpiecznym miejscu, a następnie obrócił się i za pomocą *la'derach* zmienił punkt powrotny.

Gdy wyszedł po drugiej stronie, zobaczył Ellyse i Channary Sang leżące na podłodze.

– Miło mi was widzieć – powiedział, ściągając maskę.

Podniosły na niego wzrok zupełnie skołowane, może nawet przerażone. Musiały sądzić, że mają omamy. Były odwodnione i skrajnie zmęczone. Sprawiały wrażenie ciężko chorych pacjentów na oddziale intensywnej terapii i znajdowały się na jak najlepszej drodze, by umrzeć. Sang padnie trupem niebawem, potem Nozomi wyczołga się na zewnątrz.

– Rozumiem, że jesteście zaskoczone – powiedział.

– Jak... – zaczęła Channary, a wtedy Alhassan sięgnął do kabury.

Spokojnie wyciągnął berettę, wymierzył w jej głowę, a potem pociągnął za spust. Czaszka pękła z hukiem, ciało zważyło się na bok.

Ellyse wydała z siebie przeciągły krzyk, a Dija Udin stwierdził, że musi to załatwić jak najprędzej. Nie było powodu, by dziewczyna się męczyła – a każda chwila była dla niej katorgą.

Przymierzył i wystrzelił. Krzyk nagle przebrzmiał.

Alhassan schował berettę do kabury, zapiał ją, a potem aktywował jeden z portali prowadzących w daleką przyszłość Quae'hes – do momentu, gdy atmosfera planety już nie istniała, a na powierzchni panowało istne piekło. Przerzucił tam oba ciała, na wszelki wypadek.

Potem wrócił do swojego czasu. Wiedział, że jest to jedyny moment, gdy może zostać ujęty. Ellyse śledziła emisje z Terminala, choć teraz powinna być bardziej zajęta doprowadzaniem Lindberga do stanu używalności i planowaniem ucieczki niż trzymaniem ręki na pulsie.

Wróciwszy na pokład Kennedy'ego, Dija Udin przekonał się, że nie został wykryty. Schował broń do zbrojowni, a potem wrócił do celi. Opadł ciężko na swoją prycę i zamknął drzwi.

Udało mu się. Przywrócił oryginalny bieg zdarzeń.

Teraz pozostało tylko wykonać drugą część planu Posiadaczy.

19

Alhassan nie był pewien, czy rozbicie promu na Tristan da Cunha jest konieczne. Wydawało mu się, że niczemu to nie służy, ale Posiadacze wyraźnie zaznaczyli, że musi się to potoczyć dokładnie w taki sposób.

– Zaraz do ciebie strzeli – burknął Dija Udin, gdy stanęli przed MacAllisterem i jego pobratymcami. Skandynaw go nie słyszał, ale nie musiał. Chwilę później nastąpiło wyładowanie impulsatora, a Håkon padł bez życia na ziemię.

Alhassan niechętnie dał się zamknąć, a potem przesłuchiwać. Ponieważ wszystko, co się wówczas działo, Lindberg znał jedynie z opowieści, Dija Udin nie był do końca pewien, jak to rozegrać.

Ostatecznie poczekał, aż pojawił się wahadłowiec z Kennedy’ego, a następnie wraz z resztą wrócił na pokład. Ellyse zaczęła już snuć możliwe scenariusze, dzięki którym mogli uratować Lindberga.

– Mam lepszy pomysł – wtrącił w pewnym momencie Alhassan. – Założmy mu konchę i pozwólmy, żeby go przywróciła.

Maska była złamana, o czym wszyscy doskonale wiedzieli. Czego nie byli świadomi, to fakt, że druga *la’derach* znajdowała się w skrytce na pokładzie, gdzie mieściły się cele.

– Słyszysz, Ellyse? – dopytał.

Czekał na ten moment od długiego czasu. To teraz wszystko zacznie iść innym torem – tym, który według Posiadaczy miał doprowadzić do pożądanej przyszłości.

– Zamknij się – odparła.

– Maska go uratuje, gwarantuję ci to.

– Jest zniszczona.

– Bez dwóch zdań. Ale mamy na pokładzie bonusową sztukę.

– Co ty bredzisz?

Dija Udin podał im dokładną lokalizację skrytki. Normalnie mieściły się w niej artykuły pierwszej pomocy na wypadek sytuacji kryzysowej. Alhassan jakiś czas temu na ich miejscu umieścił konchę.

Zostawili go zamkniętego w celi, ale gdy wrócili, niosąc *la’derach*, wiedział już, że długo tam nie posiedzi. Spojrzał na

Jaccarda, Channary, Ellyse i Gideona. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby grunt usunął im się spod nóg.

– Jak to możliwe? – zapytał Loïc.

– Normalnie. Wyhodowałem dodatkowy egzemplarz.

– Nie drwij sobie, zbrodniarzu – odparła Sang.

– Skąd ją masz? – zapytał Hallford.

Alhassan przeciągnął się.

– Håkon mi ją dał. Choć to trochę skomplikowane do wytłumaczenia.

– Spróbuj – poradził Loïc.

– Cóż... dał mi ją w przeszłości Håkon z przyszłości.

Takie stwierdzenie skierowane do jakiegokolwiek innej załogi mogłoby sprawić, że wzięto by go za wariata. W tym jednak przypadku nie mogło być o tym mowy. Ci ludzie przeszli zbyt wiele, doświadczając licznych zawirowań w czasie, by bagatelizować takie słowa.

– Otwórzcie celę, założmy ją na gębę temu sukinsynowi, a potem będzie czas na rozmowy. Im dłużej leży w komorze kriogenicznej, tym większe prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak.

– Skąd wiesz, że...

– Jak mówiłem, mam co nieco wspólnego z przyszłością.

Channary Sang chwyciła za broń, a potem pokręciła głową.

– Nie ma mowy – powiedziała. – On coś kombinuje.

– Żebyś wiedziała. Kombinuje tak, żeby uratować naukowca, a przy okazji ocalić tę linię czasu. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

– Wiem wszystko, co potrzebuję wiedzieć – odparła, zbliżając się do celi. – Jak tylko stąd wyjdiesz, spróbujesz nawiązać kontakt z Diamentowymi. Sprowadzisz ich na Ziemię i sprawisz, że...

– Nie mam już tego imperatywu.

– Co?

– Sukinsyn mnie przeprogramował.

Wiedział, że teraz jak bumerang wraca do nich to, co Håkon już im wyłożył. Wszem wobec powtarzał, że zna sposób, by Alhassan odkupił swoje grzechy. I gdyby zapytać Dija Udina, powiedziała, że tak się stało.

Channary patrzyła na niego jednak bez przekonania.

– Łże – powiedziała. – Zdrajca chce nas omamić. A wy mu pozwalacie.

Ellyse zrobiła krok do przodu.

– Dajmy mu wytłumaczyć, o co chodzi – zaproponowała.

Dija Udin spojrział na nią, przypominając sobie, jak beretta rozłupała jej czaszkę. Nie, nie beretta. Było to jego dzieło – i w dodatku specjalnie się nim wówczas nie przejmował. Nie był stworzony do odczuwania winy czy żalu. A poza tym nie miało znaczenia, co spotkało tamtą Nozomi. Owa linia czasu przepadła, z obecnego punktu widzenia nigdy nie istniała. Ellyse stała tutaj, patrzyła na niego i czekała na wyjaśnienia.

A mimo to on widział jedynie śmierć w jej oczach.

Załoganci sprzeciali się przez kilka chwil, po czym Jaccard uniósł dłoń i ukrócił dalsze dyskusje.

– Masz szansę, by to wszystko wytłumaczyć – powiedział.

– Najpierw koncha na ryj Lindberga, potem wyjaśnienia.

Nie musiał długo ich przekonywać. Jakikolwiek motyw mu w ich mniemaniu przyświecały, nie mogli mieć wątpliwości co do tego, że maska uratuje Skandynawowi życie. A w zasadzie mu je przywróci, bo już był martwy.

Tylko chwilę trwało, nim to sobie uświadomili. Potem Alhassan został sam, zamknięty w celi, którą wciąż potrafił otworzyć.

Czekał jednak cierpliwie, aż wrócą. Wiedział, że przybędzie im wtedy jeden członek załogi.

I tak też się stało – po niecałej godzinie do pomieszczenia wszedł Jaccard, a za nim Håkon i cała reszta. Ellyse trzymała mocno jego dłoń, uśmiechając się promiennie. Gideon

sprawił wrażenie, jakby nie dowierzał, a Sang... cóż, Sang wyglądała, jakby mimo wszystko miała zamiar zabić zdrajcę.

– Miło cię widzieć, Dija Udin. Szczególnie w celi.

To rzekłszy, Skandynaw ją otworzył.

– Dzięki, sukinsynu.

– Mogłeś sam to zrobić.

– Hę?

– Namieszałeś w komputerze pokładowym, by samemu otwierać celę.

– Skąd wiesz?

– Posiadacze mi powiedzieli.

– Co?

– Przestanieś z tymi monosylabami?

Dija Udin spojrzał na niego spode łba, nieprzekonany, czy przyjaciel mówi prawdę. Mogli samodzielnie odkryć zmiany w systemie, które wprowadził, a cała ta gadka...

Nie, to nie miało sensu. Koncha z przyszłości przed momentem zrobiła z Lindbergiem to samo, co wcześniej z nim.

– Wychodzisz czy spodobało ci się życie w zamknięciu?

Alhassan zrobił krok w przód, wbijając wzrok w oczy Lindberga.

– Wiesz wszystko to, co ja? – zapytał go.

– Obawiam się, że tak.

– Więc dzielimy wszystkie wspomnienia z ostatniego czasu?

– Niestety.

– A zatem pora umierać – odbąknął Dija Udin, kręcąc głową.

– Moje życie już nigdy nie będzie takie samo.

Alhassan spojrzał na resztę załogantów, dochodząc do wniosku, że zanim tu przyszli, Skandynaw zdążył wyłuszczyć, co się stało. Jeśli posiadał wiedzę z konchy, musiał poznać także każdy pojedynczy element planu. Wiedział, że może ufać Dija Udinowi – bo sam uczestniczył w przeprogramowaniu go.

– Chodź – rzucił Lindberg. – W mesie podobno dają zimne piwo.

– Bzdury.

Astrochemik wzruszył ramionami.

– Chodź tak czy inaczej. Pogadamy.

Wszyscy ruszyli korytarzem.

– Zdajesz sobie sprawę, że mój umysł podpowiada mi, że przeżyłem z tobą dwa życia? – burknął Alhassan. – Mam trochę dosyć wszystkiego, co się z tobą wiąże.

– Z wzajemnością.

– Więc może po prostu w milczeniu rozejdziemy się każdy w swoją stronę i dożyjemy naszych dni w spokoju?

– Ostatecznie tak zrobimy.

– Ale?

– Musimy zastanowić się, co dalej.

– Dalej? – zachnął się Dija Udin. – Ja na nic więcej się nie piszę.

– Jakkolwiek absurdalnie by to brzmiało, jesteś zaprogramowany, by pomagać.

– Gówno prawda.

– Koncha, Posiadacze i ja twierdzimy inaczej.

– Moja misja dobiegła końca. Mam teraz skorzystać z wolnej woli. A moją wolną wolą jest to, by znaleźć się jak najdalej od ciebie, przebrzydły naukowcu.

Lindberg uśmiechnął się i nie odpowiedział. W milczeniu przeszli do mesy, a potem zajęli miejsca przy największym stole. Kennedy znajdował się na orbicie i przez iluminatory doskonale widoczna była Ziemia.

20

Patrząc na zebranych, Håkon doświadczał pewnego dysonansu poznawczego. Z jednej strony widział ich wszystkich zaraz przed tym, jak wsiadł na pokład promu i odleciał z Alhassanem na powierzchnię. Z drugiej strony

w głowę wtłoczono mu nowe wspomnienia, które wiązały się ze śmiercią wszystkich, którzy siedzieli przy stole.

– Ittoqortoormiit... parszywa osada – mruknął.

Skierowali na niego wzrok.

– Zawszony koniec świata – poparł go Dija Udin.

Spojrzeni na siebie niepewnie. Obaj dzielili wspomnienia Håkona Lindberga – tego, który wraz z Ellyse przeżył dobrych kilka lat na Grenlandii. Lindberga, który odwiedził zaświaty... który wniknął w nie głębiej niż ktokolwiek wcześniej.

Obaj wiedzieli też, że miejsce, w którym istnieli Posiadacze, było czymś więcej, niż gotowi byli przyznać. Håkon przekonał się, że trafiają tam nie tylko ci, którzy za życia nosili konchę. Był to wielopłaszczyznowy świat, a widma stanowiły jedynie wierzchołek góry lodowej.

Lindberg spojrzał na Dija Udina. Jego pełen niepokoju wzrok kazał mu sądzić, że przyjaciel ma takie same odczucia.

– W porządku – odezwał się astrochemik, tocząc wzrokiem po zebranych. – Czas ustalić, co zamierzamy zrobić.

– Jak ostatnio sprawdzałem, ja tutaj dowodziłem – odezwał się Jaccard.

Håkon skinął głową i unióśł dłonie.

– Tak tylko mówię.

– Waszą wiedzę zachowajcie dla siebie – dodał Loïc z uśmiechem. – Cokolwiek wydaje wam się, że wiecie, niech to zostanie między wami. Możecie spotykać się co wieczór przy kuflu piwa i opowiadać sobie te historie.

Obaj się wzdrygnęli.

– A tymczasem mamy bardziej palące problemy – perorował dalej Jaccard. – Jak rozumiem, ograliśmy zarówno organizatorów *proelium*, jak i Diamentowych.

Dija Udin i Håkon kiwnęli zgodnie głowami.

– Pozostaje nam ten...

– Ingo Freed – podsunął Lindberg.

– Tak. Prędzej czy później się tutaj zjawi, a w dodatku jest ta kobieta... – Loïc znów urwał, rozkładając bezradnie ręce.

– Meaza Endale – tym razem pomógł mu Dija Udin. – Wyjątkowo smukła niewiasta.

– Wbrew pozorom Amalgamat nie stanowi problemu – wtrącił Håkon. – Bardziej niepokojący są Padlinożercy.

– Więc roboty przed nami sporo – odparł Jaccard. – Na początek chcę wiedzieć, co proponujecie.

– Myślałem, że to ty jesteś dowódcą – bąknął Alhassan.

– Dowódcą, który pyta was o zdanie.

Dija Udin już otwierał usta, ale Lindberg go wyręczył.

– Amalgamat to nasza jedyna szansa – powiedział. – Nie jest to idealny ustrój, a Endale nie jest wymarzoną przywódcą, ale niczego lepszego nie dostaniemy. Z Padlinożercami będziemy rozprawiać się systematycznie. Mając do dyspozycji sześć statków, szybko ich spacyfikujemy.

– Ot tak?

– Są oportunistami, nie będą stawiać się, jeśli najpierw trochę im pogrozimy, a potem zaproponujemy korzystne warunki.

Jaccard potarł skronie, a potem kiwnął głową.

– Co z tym Django Freedem? – zapytał.

– Ingo Freedem. Zanim się tu zjawi, zdążymy ukryć wszelkie ślady naszej obecności. Nie zorientuje się, że na Ziemi zaszły jakiegokolwiek zmiany, i nie będzie miał powodu, by w ogóle wchodzić na orbitę.

– To raczej życzeniowe myślenie – zaproponował Alhassan. – Znam tego skurwiela.

– Ja też.

– Ale nie ciebie męczył jak skundlonego psa.

– Ciebie też nie.

– Formalnie rzecz biorąc, nie, ale...

Jaccard uniósł ręce, wstając ze swojego miejsca.

– Wystarczy – powiedział. – Przed nami trudna droga, ale wygląda na to, że nie kończy się przepaścią. Jeśli odpowiednio to rozegramy, powinniśmy zapewnić ludzkości drugie życie.

– Pod ziemią? – zapytała z powątpiewaniem Sang.

– Widzisz inną możliwość? Z tego, co mówią ci dwaj, terraformacja to niezbyt udany pomysł. A nie mamy do dyspozycji tego... – znów urwał i zwrócił wzrok na Lindberga.

– Tego sprzętu z Yorktown – uzupełnił astrochemik.

Major pokiwał głową.

– Ziemskiej technologii ufać nie mam zamiaru, skoro sprowadziła na nas zgubę.

Przez moment panowała cisza.

– Weźmy oddech, a potem zabierajmy się do roboty – odezwał się w końcu Loïc. – Mamy parę spraw do załatwienia.

Po tym gigantycznym niedomówieniu wszyscy obrócili się ku iluminatorom. Przez kilka chwil trwali w milczeniu, a Lindberg poczuł, jak Ellyse bierze go za rękę. Spojrzał na nią i się uśmiechnął. Wygląda pięknie, a w jej oczach nie było tej rezerwy, do której jego starsze alter ego musiało przywyknąć na Grenlandii.

– Jedno mnie zastanawia – odezwała się. – Skąd wiedziałeś, co powiedzieć Ingo Freedowi?

Uniósł brwi.

– Zacytowałeś mu jakiś ustęp z Biblii, prawda?

Håkon skinął głową. Zdążył dawno o tym zapomnieć.

– Skąd go znałeś?

– Dobrze, kurwa, pytanie – wtrącił Dija Udin. – A co ważniejsze, jakim cudem użyłeś go wtedy, kiedy było trzeba?

– Koncha mną sterowała.

– A kto sterował konchą?

– To jeszcze lepsze pytanie – odparł Skandynaw, uśmiechając się pod nosem.

– Posiadacze?

– Najpewniej.

– Więc mają wgląd w naszą marną płaszczyznę egzystencji?

– Na to wygląda.

– Ale skoro mogli przekazywać ci jakieś podświadome komendy za pomocą *la'derach*, równie dobrze mogli ostrzec nas przed tym, co nadchodziło. Nie potrzebowali ciebie ani mnie, żeby zmienić linię czasu.

– Twierdzisz więc, że to nie oni?

– Na tym poprzestańmy – wtrącił Jaccard. – Jeśli jest we wszechświecie coś, co stoi ponad tymi istotami, nie chcę o tym wiedzieć. Jest mi dobrze w moim małym zakątku świata.

Nie czekając na odpowiedź, major odwrócił się i skierował do wyjścia. Håkon przez moment się zastanawiał, ale ostatecznie uznał, że ludzkość podobne problemy roztrząsała, od kiedy człowiek nauczył się myśleć. Tego dnia kilka osób na orbicie okołoziemskiej z pewnością nie zrozumie wszystkiego, co skrywała głębia wszechświata.

Gdy Ellyse się do niego przysunęła, przestał rozpatrywać ten temat. Objął ją ramieniem, a potem spojrzął przed siebie, na tę stronę Ziemi, która obecnie pozostawała w cieniu.

– Więc co teraz? – zapytała Nozomi.

– Zaczniemy odbudowę.

– I będziemy rozmnażać się jak króliki – wtrącił Alhassan.

Skandynaw obrócił ku niemu głowę.

– Wiesz, co mnie zastanawia bardziej niż istota wszechrzeczy? – spytał.

– Nie. I nie wiem, czy chcę wiedzieć.

Håkon uśmiechnął się półgębkiem.

– To, czym ty, do cholery, jesteś.

– Sam zbyt często zadaję sobie to pytanie, sukinsynu – odparł Dija Udin, a potem skrzyżował dłonie na karku i odchyliwszy się, wyłożył nogi na stół. Spojrzął na planetę powoli wyłaniającą się z cienia i pomyślał, że czeka ich ciekawa przyszłość.

POSŁOWIE

Echo z otchłani leżało w mojej szufladzie od listopada 2014 roku, kiedy to skończyłem nad nim prace. Zamierzałem wydać tę książkę od razu, ale ówczesny wydawca się nie palił, a ja nie miałem za bardzo kiedy zasiąść do ostatecznej redakcji. Potem kolejne powieści domagały się uwagi i nie pozwalały mi wrócić do tej – ostatecznie uznałem, że poczekam na moment, aż wrócą do mnie prawa do *Chóru zapomnianych głosów*, żeby wydać razem jeden i drugi tom z moim obecnym wydawcą. Moment, czyli jakieś pięć lat.

Wiem, brzmi to właściwie jak rezygnacja, ale w świecie książkowym zazwyczaj myśli się długoterminowo i taka perspektywa nie jest specjalnie odległa. Wystarczy uzbroić się w cierpliwość, ewentualnie nie myśleć o upływającym czasie. Zresztą czymże on jest, jeśli nie li tylko umowną koncepcją, która...

Dobra, dobra. Mieliśmy już do czynienia z filozofią temporalną na kartach powieści – i myślę, że tyle wystarczy. To jednak prawda, że każdy pisarz na początku swojej drogi musi nauczyć się wyjątkowej cierpliwości. Szczególnie kiedy ma całkiem niemało powieści poupychanych w szufladach.

Moje aż się uginają. Oprócz *Echa z otchłani* jest tam przynajmniej sześć skończonych historii z gatunku fantastyki i dwie napoczęte, ale nigdy niedomknięte. (Nie pytaj, ile mam kryminałów, thrillerów i innych). Co jakiś czas te widma szepczą, przypominają mi o sobie, domagają się zredagowania

(czy raczej przepisania) i chca, zebym do nich wrócił. To dość kuszące, bo pisanie każdej z tych książek wspominał jako niesamowitą zabawę – owszem, była to ciężka praca, ale najprzyjemniejsza, jaką można wykonywać w tej galaktyce.

Problem polega na tym, że nie mam konchy ani dostępu do Terminala. Mawia się, że twórczy żywot jest krótki – nawet jeśli trwa kilkadziesiąt lat. I to święta prawda. Bez względu na to, na jakim jest się etapie pisarskiej kariery, autorowi nieustannie towarzyszy poczucie, że nie zdąży przelać na papier wszystkiego, co mu się w głowie zrodziło. A zatem to zawsze wybór na zasadzie ryzyka – nie wiadomo, czy dana książkę się skończy, czy nie. Czy wyśle się ją w świat, na półki księgarń, czy schowa się ją do szuflady i nigdy nikomu nie powie o jej istnieniu.

Są oczywiście takie historie, przy których to ryzyko nie występuje lub jest minimalne. Tak było dla mnie od napisania pierwszego zdania w *Echu z otchłani*. Wiedziałem, że skończę tę powieść, bo losy Håkona i Dija Udina domagały się, by je dopowiedzieć. Poza tym uwielbiam manipulacje czasem i przestrzenią, a ten duet zawsze dawał mi gwarancję, że będę mógł właśnie w ten sposób się zabawić.

Mam nadzieję, że to igranie z zasadami rządzącymi wszechświatem było dla ciebie równie ciekawe jak dla mnie. I dziękuję Ci za kolejną wspólną podróż na pokładzie Kennedy'ego. Czy coś jeszcze przed nami? Nie wiem, to nie zależy ode mnie.

Dziękuję także Bartkowi Czarneckiemu za to, że jako pierwszy przeczytał tę książkę i dostarczył mi cennych uwag. Przeleżały pięć lat w wordowskim pliku, ale kiedy zabrałem się do redakcji, to właśnie od nich zacząłem. Wszystkie wprowadziłem (no dobrze, prawie wszystkie), choć dość często włączał mi się wewnętrzny Dija Udin, obdarzający Bartka wieloma barwnymi określeniami. To zawsze dobry znak – znaczy, że ten, kto przeczytał naszą powieść, zapewnił nam

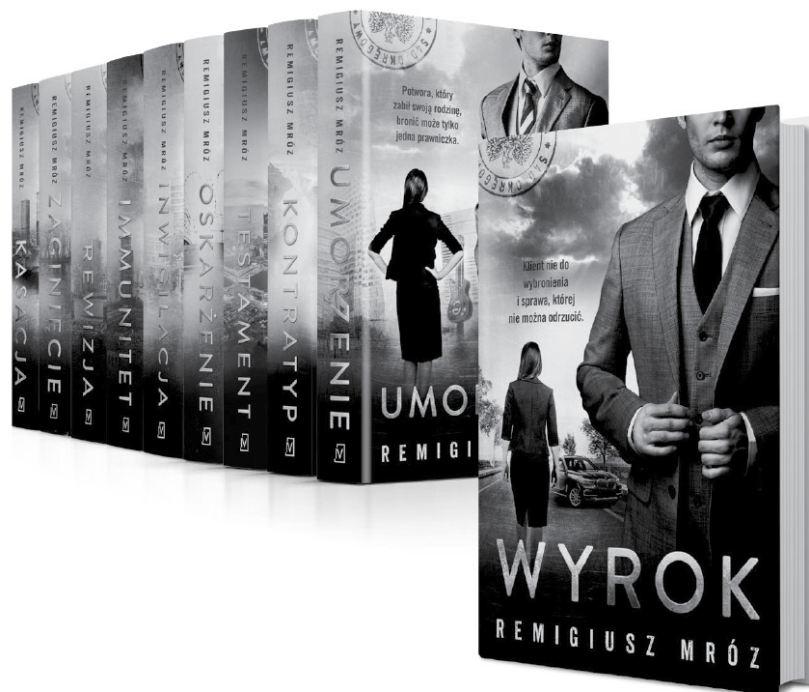
konstruktywną krytykę. Krótko mówiąc, że trafiliśmy na dobrego redaktora, który wzorowo wykonał swoją robotę. Tak było w tym wypadku, więc wszelkie błędy, przeinaczenia i potknięcia należy składać jedynie na barki autora.

Dziękuję jak zawsze moim Rodzicom, przyjaciołom i współpracownikom, bez których ta książka albo by nie powstała, albo leżałaby w szufladzie przez kolejnych pięć lat. A przede wszystkim dziękuję tym, którzy przeczytali *Chór zapomnianych głosów* i przez te wszystkie lata domagali się kontynuacji.

To dla Was jest ta książka.

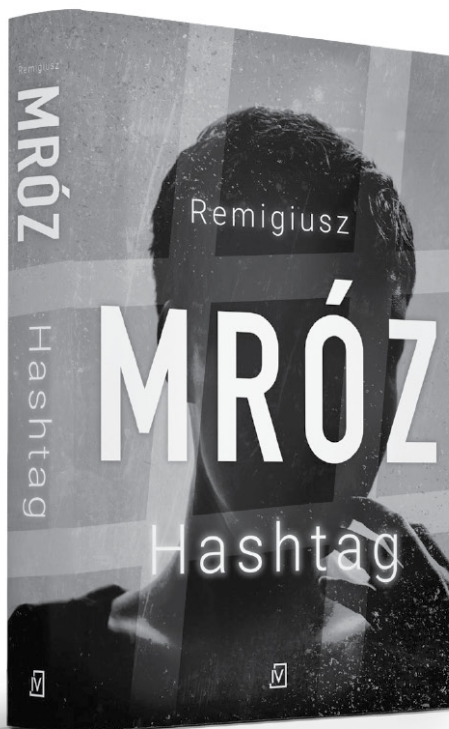
Remigiusz Mróz
30 września 2019 roku
Rah'ma'dul

BESTSELLEROWA SERIA MISTRZA KRYMINAŁU



WYROK REMIGIUSZ MRÓZ

Po zdaniem egzaminie adwokackim świeżo upieczony mecenas Oryński ma zastąpić Chytkę jako główna siła napędowa kancelarii Żelazny & McVay. Pierwsza sprawa, jaką poprowadzi, niechybnie zaważy na całej jego przyszłości zawodowej...



HASHTAG
REMIGIUSZ MRÓZ

Wiadomość o czekającej na odbiór przesyłce, która wydaje się zwykłą pomyłką, na zawsze odměnia życie Tesy. Spirale tajemniczych wydarzeń dodatkowo podkreślają wpisy pojawiające się w mediach społecznościowych – kolejni internauci zamieszczają tajemnicze notki o treści #apsyda. I nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie fakt, że osoby te od lat uznane były za zaginione...

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

ROZDZIAŁ 2

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

ROZDZIAŁ 3

1

2

3

4

5
6
7
8
9
10
11
12
13
14
15
16
17
18
19
20

POSŁOWIE

Polecamy również